

NIE MA TAKICH KŁAMSTW,
KTÓRE DA SIĘ POGRZEBAĆ NA ZAWSZE.

GRZĘZAWISKO

PRZEMYSŁAW
ŻARSKI



GRZĘZAWISKO

**PRZEMYSŁAW
ŻARSKI
GRĘZAWISKO**

Copyright © Przemysław Żarski, 2023
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska
Marketing i promocja: Karolina Guzik
Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Konsultacja merytoryczna: Leszek Koźmiński
Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz
Fotografia na okładce: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: Mikołaj Starzyński
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

*Bratu Bartoszowi –
zbudowały nas wspólne wspomnienia.
Wciąż do nich sięgam. Wciąż nas tam
spotykam.*

2019

Piach zaskrzypiał pod powiekami i obraz się rozmył. Mężczyzna odzyskał przytomność, ale czuł, że z trudem łapie oddech. Materiał przylegał ciasno do twarzy, oblepiał ją niczym wżerająca się w skórę maź.

Zorientował się, że ma skrępowane ręce i nogi, sznur zaciskał się pętlą za jego plecami. Jak, do diabła, w ogóle tu trafił?

Ocknął się w obcym miejscu, pozbawionym światła i tlenu. Wbrew temu, co przyszło mu do głowy, nie była to wilgotna piwnica, ale coś znacznie mniejszego.

Nie mógł się poruszyć, mimo to miał wrażenie, że się przemieszcza. Bagażnik? Raczej podłoga furgonetki. Równie upiorna perspektywa. Pojazd, w którym się znajdował, skakał na wybojach jezdni. Nie miał pojęcia, jak się w nim znalazł ani kto siedzi za kółkiem.

Cios. Przypomniwał sobie uderzenie w tył czaszki. Napastnik włożył mu coś na głowę, skrępował kończyny i wpakował go do wozu. Widział przez materiał tylko przebłysk światła, czuł, że to coś zaciska mu się na skórze i utrudnia oddychanie. Słyszał przez przesłone w kabinie, że nieznajomy zmienił bieg, a gdy wsłuchał się uważniej, do jego uszu dotarł charczący oddech, tłumiony przez szum mijających ich pojazdów. Usiłował coś powiedzieć, jednak poczuł, że w usta ma wciśnięty knebel. Ból z tyłu głowy wciąż przypominał o tym, że na jakiś czas odcięło mu prąd.

W radiu rozbrzmiewały dźwięki muzyki. Kierowca ściszył je, widać nie chciał, aby głośne dźwięki go rozpraszały.

Musiał skorzystać z jego nieuwagi. Usiłował się ruszyć, ale zaciśnięta lina wrzynała się w skórę nadgarstków i kostek.

Wokół było mało miejsca. Poczuł za plecami opór i domyślił się, że przestrzeń jest zawałona rupieciami, które utrudniały ruch. Starał się odwrócić na brzuch, ale po kilku próbach dał za wygraną i odpuścił. Nie mógł nic zrobić. Znalazł się w potrzasku. Ubezwłasnowolniony, zdany na łaskę i niełaskę jakiegoś wariata.

Radio zaczęło trzeszczeć, gubiło po drodze zasięg, z głośnika płynęła muzyczna sieczka. Kiepski czas na rachunek sumienia; prowadził legalny biznes, nikomu nie załazł za skórę, nie miał wrogów. Komu mogło zależeć na pozbyciu się go? Z każdą chwilą oddychał z coraz większym trudem, czuł zasychającą w kącikach ust ślinę. Całe szczęście, że materiał przepuszczał powietrze, w innym razie już dawno by się udusił. Bał się. Strach ściągał go na dno.

Nagle kierowca odbił ostro w prawo. Leżący na posadzce mężczyzna poczuł, że wjeżdżają w boczną drogę, prowadzącą w górę niewielkiego wzniesienia. Kierowca nerwowo zmieniał biegi, dodawał za dużo gazu, przez co silnik wył, a samochód tracił płynność i przyczepność na pełnej dziur nawierzchni. W końcu facet się odezwał.

Uprowadzony mężczyzna nie znał brzmienia jego głosu.

– Słyszę, że się obudziłeś. Nie wierć się, nie walcz. To i tak niczego nie zmieni.

Nie liczył na wyjaśnienia. Obaj dobrze wiedzieli, kto rozdawał karty w tej grze.

– Czekałem na ten moment stanowczo zbyt długo. Zniszczyłeś mi życie, skurwielu, zabrałeś mi wszystko. Zapłacisz za to – syczał nieznajomy przez zaciśnięte szczęki.

Musiał wiedzieć, że tamten nie będzie się bronił, w końcu wcisnął mu knebel do ust.

– Zostawiłeś go tam. Pozwoliłeś, by umarł w męczarniach. Nie daruję ci tego.

W oddali zagrzmiało, w szyby wściekle walił deszcz. Porwany słyszał skrzypienie wycieraczek. Światło pod zaciągniętą maską błyskało i gasło na zmianę, mimo to pojazd sunął dalej, brnął na wybojach i zapadał się w grząskim gruncie, żeby za chwilę znowu przeć do przodu.

Skrepowany mężczyzna wiedział już, kim jest ten człowiek.

Zrozumiał, że rzeczywiście zniszczył mu życie. Wierzył, że ocali w ten sposób swój kruchy świat, dlatego złożył jego obraz z rozsypanych części. Z zamkniętymi oczami, na siłę, nie zwracał uwagi, czy do siebie pasują i czy złudzenie, które tworzą, jest prawdziwe.

Wcześniej 2019

Instynkt łowcy wygłuszał w nim wrodzoną ostrożność, wyostrzał zmysły i pozbawiał go skrupułów. Mężczyzna był skupiony na celu, wszystko inne przestawało się liczyć.

Śledził promienie słońca, które przeciskały się zza drzew i ślizgały po zroszonej trawie niczym jaszczurki. W kontakcie z przyrodą triumfują pierwotne instynkty, napędzane adrenaliną i tłumioną dziecięcą ciekawością.

Uwielbiał grę szarości i półcieni; przebłyski światła skakały po poszyciu i grały z nim w berka. Chłonał zapach lasu, nasiąkał nim. Wstawał o świcie, zostawiał auto pod wiaduktem i przemierzał w ciągu dnia wiele kilometrów, by zapomnieć o wszystkim.

Wyprawiał się głęboko w las z aparatem wiszącym u szyi. Zaklinał samotność.

Odkąd syn wyjechał na studia, zyskał czas, by robić to, co zawsze odkładał na później. Uznał, że „później” może już nie nadejść.

Podpatrywanie zwierząt w ich naturalnym środowisku było czymś intymnym, pozwalało się wyciszyć i oderwać od uciążliwego uczucia pustki, które wdzierało się do jego myśli każdą szczeliną. Tylko w ten sposób radził sobie z żalobą po utracie żony.

Zaszywał się w lesie i uciekał od wspomnień. Ostatnim razem uchwycił dzięcioła trójpalczastego; ptak przycupnął na gałęzi, pewny siebie i dumny. Nie miał pojęcia, że leżący w trawie człowiek trzyma palec na spuście migawki i czeka, aż poderwie się do lotu.

Przyjeżdżał tu w każdy weekend, przedzierał się przez nieprzystępne rewiry rozległego lasu, skupiony na utrwalaniu chwili i zapisywaniu jej w pamięci aparatu. Nic nie równało się z tym uczuciem ulotności, zapomnienia. Odcinał się od codzienności i działał jak automat.

Nigdy nie zabrnął tak daleko. Stracił poczucie czasu i teraz szedł jak w transie, chłonąc klimat lasu; o świcie jego smak był uzależniający. Przeciskał się przez zarośnięte chaszczami dzikie zakamarki. Zdawał sobie sprawę, że powinien się wycofać, wrócić w bezpieczne miejsce, lecz ciekawość i pogoń za nieznanym pchały go w objęcia tego, co nieodkryte. Znów czuł się wolny. Nieskrępowany.

Usłyszał nad głową szelest i dostrzegł w gęstwinie liści wielobarwne upierzenie ptaka, który odfrunął kilkanaście metrów, by w końcu przysiąść na gałęzi.

Mężczyzna stanął jak wryty i sięgnął po aparat. Nie chciał go spłoszyć. Wokół rozciągały się mokradła – ich mętna przestrzeń przypominała stłuczoną tafłę lustra pokrytą zieloną, połyskującą mazią. Z rozlewiska wyrastały kępki trawy, połamane gałęzie i konary powalonych drzew. Robił wszystko, by znaleźć się bliżej ptaka.

Obszedł wodę wzdłuż jej krawędzi. Stawiał uważnie stopy, by w nic nie wdepnąć.

Wodoodporne obuwie nie uchroniło go przed zapadnięciem się. Nie wiedział, jak głębokie jest grzęzawisko. Widać było, że upalne lata postrzępiły jego brzegi, odsłaniając przyschnięte błoto, które osiadło na wszystkim wokół w postaci spękanej skorupy. Gdzieś wystawały z niej garby odsłoniętych korzeni, wykręcone niczym artretyczne kończyny.

Ustawił przesłonę i spojrzał w oko aparatu. Starał się znaleźć obiekt na horyzoncie.

Ptak się nie poruszył. Zastygł i czekał na to, co zrobi nieznajomy.

Mężczyzna szedł ostrożnie. Nie chciał stracić takiej okazji. Czuł rosnące zdenerwowanie. Starał się panować nad oddechem, wyciszyć emocje. Ziemia zapadała się pod stopami, słyszał plusk i czuł wodę wylewającą się spod podeszw butów; z każdym krokiem było jej więcej. Miał wrażenie, że zabrnął za daleko i czas się wycofać.

Badał grunt, szacował, czy zdoła podejść bliżej. Potrzebował kilku kroków, by mieć na wyciągnięcie ręki obiekt swoich fascynacji. Nie mógł go spłoszyć, pozwolić sobie na zbędny ruch. Zbyt wiele energii poświęcił, aby się teraz wycofać. W tym momencie poczuł, że coś zagroziło mu drogę. Spojrzał pod nogi i zobaczył wystającą z wody kość lub coś, co ją przypominało.

To z pewnością gałąź, która miesiącami zalegała na dnie, odsłonięta przez przeciągającą się suszę, uznał. Kolejne spojrzenie potwierdziło jednak rodzące się w jego głowie obawy. To musiała być kość. Usiłował zgadnąć, do jakiego zwierzęcia należała.

Nie był ekspertem od anatomii, ale kość przypominała ludzką. Wycofał się i spojrzał w górę – ptak poderwał się do lotu i zniknął w oddali. W zaschniętym błocie mężczyzna dostrzegł kilka innych obiektów przypominających kości.

Zastanawiał się, czy wyobraźnia nie płata mu figla. To abstrakcyjne uczucie.

Z trudem panował nad galopującym tętnem. Sięgnął po komórkę, a następnie pokonał kilkaset metrów, by znaleźć w tej głuszy zasięg. Zadzwonił na policję. Wiedział, że to wróży kłopoty, i najchętniej zniknąłby stąd bez słowa. Ale nie mógł się wycofać. Tylko on doprowadzi ich w to miejsce.

2019

Policyjny radiowóz stał na opuszczonym placu przed nieczynną hurtownią z artykułami budowlanymi. Brak śladów opon na zarośniętym chwastami podjeździe wokół zniszczonych popegeerowskich zabudowań i mrugające w skąym świetle wysłużone latarnie oznajmiały, że nikt nie zapuszcza się w te okolice bez powodu.

Podkomisarz Aleksandra Lazar siedziała w fotelu kierowcy. Wygięła się w łuk i zasunęła rozporek, z trudem kontrolując galopujące tętno. Zaparowane szyby radiowozu odwracały uwagę od tego, co działo się wokół. Jej partner wyszedł na zewnątrz zapalić, wrócił i opadł zmęczony na fotel. Wyłączył grające w tle radio i przyglądał się przełożonej. Zawsze gdy uprawiali seks, zapominał, że ich relacja jest z góry skazana na porażkę.

Byłby jednak idiotą, gdyby z niej zrezygnował.

– To mi się nigdy nie znudzi. – Położył rękę na jej udzie.

Ola strąciła ją, nawet nie spoglądając mu w oczy.

– Co cię ugryzło? Zrobiłem coś nie tak? – spytał.

– Nie. Po prostu mam ochotę nic nie mówić.

Włączyła nawiew. W aucie unosił się zapach ich spoconych ciał. Coraz częściej kończyli w ten sposób dyżur lub zaczynali służbę. Przestała liczyć, ile razy wmawiała sobie, że to się musi skończyć.

Ostudził ich znajomy dźwięk w policyjnym radiu. Znudzony głos dyspozytora rozlał się sennie z głośnika. Policjant przystawił palec do ust, żeby nic nie mówiła.

Pech chciał, że w tej dziurze działali sami. Za dziesięć minut dotrą na miejsce.

– Dobrze, że nie przerwał nam w trakcie. Już widzę twoją minę, jak mu tłumaczę, że zaraz dojadę – zaśmiał się wysoki policjant i osłonił się przed ciosem w udo. Poprawił opadające na twarz blond włosy. – Wiesz, że żartuję.

– Wiem. Ale i tak mnie wkurzasz. – Lazar odwzajemniła uśmiech.

– Muszę popracować nad kondycją. Zasapałem się, jakbym przebiegł maraton. Jak ty to robisz, że masz siłę, by przed robotą pójść jeszcze biegać?

– Nie użalam się nad sobą? I wcześniej chodzę spać – ucięła. – Zamiast gnić w łóżku, zwłóknęłyś z samego rana cztery litery i poszedł pobiegać ze mną.

– Wystarczy, że cię zbieram z trasy. Nikt normalny nie zrywa się o świcie, żeby ganiać po lesie. – Śledczy pokręcił głową.

Lazar ciężko pracowała, żeby być w formie. Wmawiała sobie, że katowanie się dietą, siłownia i bieganie nie są ucieczką od nudnego życia rodzinnego, które wysysało z niej resztki energii.

– Nie zdążę cię nigdzie odstawić – odezwał się. – A trudno będzie wytłumaczyć, dlaczego dotarliśmy tam razem.

– Jadę z tobą – stwierdziła krótko policjantka.

Spojrzał na nią w taki sposób, że przez moment znów poczuła się jak dziecko.

– Wiesz, że to podejrzane. Za chwilę dopiero zaczynasz pracę. – Wzruszył ramionami.

– Dostałeś zgłoszenie i zgarnąłeś mnie po drodze na miejsce. Co w tym dziwnego?

– Oła, za każdym razem wałkujemy ten temat. Ktoś w końcu połączy kropki.

– Zostaw to mnie. Prędzej czy później i tak musiałabym tam dotrzeć.

W końcu dał za wygraną. Wiele ryzykowali, łącząc pracę z życiem prywatnym, ale było im ze sobą dobrze i Lazar nie chciała przejmować się na zapas. Uczyla się nie wybiegać zbyt daleko w przyszłość. To bez sensu.

Zatrzymali się na wąskiej ścieżce prowadzącej do lasu. Wychodząc z auta, widziała zaparkowany pod wiaduktem samochód i człowieka, który

palil papierosa.

– No w końcu. Myślałem już, że uświerknę tu, nim łaskawie ktoś się zjawi.

– Powie pan, o co chodzi, czy mam zgadywać? – Lazar zlekceważyła marudzenie mężczyzny. – Proponuję zacząć od przedstawienia się. Zależy nam na czasie.

– Nazywam się Jan Karwat. – Wydawał się zbity z tropu. – Pół godziny drogi stąd znalazłem kości. Robię zdjęcia i się na nie natknąłem. Wiem, jak tam trafić, zapisałem lokalizację w telefonie. Wydaje mi się, że należą do człowieka, choć nie dam sobie głowy uciąć.

Dopiero teraz zrozumiał, jak niefortunnie to zabrzmiało.

– Zaprowadzi nas pan tam, gdzie je znalazł? – Policjant nie rezygnował.

– Oczywiście. Ale uprzedzam, że dotarcie w to miejsce nie jest wcale proste.

– Proszę iść przodem. Nie pierwszy raz pracujemy w trudnych warunkach.

Mężczyzna nie protestował. Zasugerował, żeby trzymali się blisko, i szedł w milczeniu, upewniając się co jakiś czas, że śledczy dotrzymują mu kroku.

Policjantka odniosła wrażenie, że zna las na wyrywki.

Wisząca nisko gałąź skaleczyła jej twarz. Ola zaklęła pod nosem, a resztę drogi odganiała się od natrętnych owadów. Nie przepadała za włóczęństwem po lesie, z dala od wydeptanych ścieżek, przeciskaniem się przez zarośla zlepione pajęczą siecią. Od czwartego roku życia wychowywała się w mieście, ale spędziła w tych okolicach sporo czasu; pamiętała, że zbierała tu grzyby z dziadkami, snuła się po leśnych drózkach i przyjeżdżała tutaj na wakacje.

Las strzegł swoich tajemnic. Złe wspomnienia skradały się między drzewami. Starła się nie utknąć w grząskim terenie. Patrzyła pod nogi i szukała stabilnego gruntu. Po długim marszu wreszcie dotarli na miejsce.

Mężczyzna poprosił, by dali mu czas, i rozejrzał się nerwowo, usiłując zlokalizować nieszczęsne znalezisko. Kręcił się w kółko, zanim trafił we właściwe miejsce. Pomachał do nich z oddali – w końcu znalazł to, po co przyszli.

– Jeżeli ma rację i to są ludzkie kości, technicy będą zachwyceni – burknął pod nosem śledczy i ruszyli niechętnie w stronę Karwata.

Omijanie bajor i podmokłych miejsc przypominało grę w klasy. Grzęzawisko w ostatnich latach musiało się skurczyć, bo zieleń zaczęła się odradzać, jakby wydzierając po kawałku zagrabiony niegdyś teren.

Lazar zobaczyła wystające fragmenty kości. Rzeczywiście przypominały ludzkie szczątki, ale wolała wstrzymać się z wnioskami do czasu werdyktu biegłych. Teren wokół znaleziska wciąż był na tyle rozległy i trudno dostępny, że oględziny mogły się okazać drogą przez mękę.

Śledczy skończył rozmawiać ze świadkiem. Podszedł do niej, kręcąc głową.

– Co o tym sądzisz? – zapytała.

– Sądzę, że nie powinno cię tu być.

– Wyjaśniliśmy już to sobie, Błażej. Pytam, co sądzisz o tych cholernych kościach.

– Nic. Trzeba ściągnąć techników, zawiadomić prokuraturę. Nawet jeśli to są naprawdę kości ludzkie, to minie sporo czasu, zanim będziemy w stanie powiedzieć coś więcej – odparł zrezygnowany. – Wygląda na to, że przeleżały tu trochę. – Wskazał na wysuszone trawy wzdłuż rozlewiska. – Trzeba zabezpieczyć teren i czekać na dalsze wytyczne. Wolę niczego nie ruszać, chociaż trudno zakładać, żeby zachowały się jakieś ślady.

Lazar nie przerywała mu. Podświadomie odsuwała od siebie najgorszy scenariusz, ale pamięć zasypywała ją niepokojącymi migawkami. Poszatowane przez czas slajdy wyświetlały się pod powiekami. Wbijały się w nie jak szpilki.

– Ola, słyszysz mnie? – upomniał ją.

– Tak. Zamyśliłam się. Musimy przekopać bazy danych. Ktoś pewnie zgłosił zaginięcie, nikt nie rozplywa się przecież w powietrzu.

Czuła dziwne mrowienie w dłoniach. Zakręciło jej się w głowie. Oddychaj, powtarzała sobie.

– Dajmy się wykazać biegłym, niech określą, do kogo mogły należeć i jak długo tu są. Muszą zawęzić zakres poszukiwań, inaczej się w tym zakopujemy. Jedź na komendę.

Ostatnie słowa z trudem przebiły się do jej świadomości. Zdawała sobie sprawę, że w tym miejscu zakończyło się czyjeś życie, a mimo to wciąż mogą gdzieś być ludzie, którzy czekają na zagrzebaną pod wodą prawdę.

– Nic tu po tobie, Ola. Poradzę sobie, wszystkim się zajmę – zapewnił ją Błażej Uryga. – Ogarnij formalności, w razie czego jesteśmy w kontakcie.

Skinęła głową, że rozumie, gapiąc się w ekran telefonu. Mąż wysłał jej zdjęcie córki. W kucharskim fartuchu i czapce na głowie, Maja mieszała ciasto w wielkiej misie i śmiała się od ucha do ucha. Na blacie walały się skorupki rozbitych jaj, a twarz córki zdobiły odbite w mące ślady rąk. Piekli jej tort.

Lazar obchodziła dziś trzydzieste siódme urodziny. Nie sądziła, że zacznie ten dzień od wizyty w miejscu ujawnienia ludzkich kości. A wcześniej będzie pieprzyć się z kolegą z pracy w radiowozie. Wiedziała za to, że wróci do domu zmęczona, wściekła i zła, że nie umie docenić szczęścia, które czeka na nią w czterech ścianach.

Spodziewała się, co będzie dalej. Ekipa techników i ktoś z prokuratury pojawią się na miejscu i zacznie się żmudna policyjna orka. Teren zostanie wygradzony taśmą, choć dotarcie w to miejsce graniczy z cudem. Każdy będzie przemoczony i zły. Towarami pierwszej potrzeby okażą się termos z kawą i spray na komary.

Oględziny mają swój rytm, to uświęcony tradycją rytuał, którego nic nie mogło zakłócić. Biegli postarają się określić, do kogo należały kości i jak długo tu spoczywały. Przekopanie policyjnych baz danych zawęzi zakres poszukiwań, ułatwi planowanie działań. Zanim to nastąpi, technicy będą krzątać się wokół grzęzawiska, usiłując znaleźć cokolwiek, co naprowadzi ich na jakiś trop.

Oprócz kilku kości niczego tu nie odkryją. Czas skutecznie zaciera ślady – Ola miała tego świadomość, dlatego nie czekała na nich, tylko udała się na komendę. Musiała rozruszać tę zmurszałą maszynę.

1996

Weź się w garść. Nie jesteś miękkim robiony.

Zdążyłem pogodzić się z tym, że powtarzane na głos zaklęcia nie mają mocy sprawczej. Stałem przed lustrem i wpatrywałem się w swoje odbicie. Wiele bym dał, by wyglądać inaczej, zmyć ze skóry piegi, które rozsiadły się wokół nosa i wykwitwały za każdym razem, kiedy – podobnie jak teraz – robiło się cieplej. Rude włosy układały się w poskręcane strąki, ich przycięcie jeszcze pogarszało sprawę. Przylegały do czaszki niczym bluszcz i chciałem zapaść się ze wstydu pod ziemię. Miałem je po mamie, ale jej tylko dodawały urody.

Zginęła w wypadku trzy lata temu i czasem miałem wrażenie, że te rude włosy są ostatnim świadectwem jej obecności w moim niespełna piętnastoletnim życiu. Długo nie pogodziłem się z tym, że odeszła; wracałem ze szkoły i gapilem się w zakurzone okna, licząc, że zobaczę ją na prowadzącej do domu ścieżce. Wiedziałem, że to tylko pobożne życzenia.

Tata schował przede mną zdjęcia, na których była – a może się ich pozbył? Nie wiem. Pewnego wieczoru spakował i wywiózł jej ubrania oraz rzeczy osobiste w workach. Widocznie nie chciał, by zostało coś, co mogło nam o niej przypominać. Wymazał ją z naszego życia. Zostały mi rude, poskręcane włosy. Nic więcej.

Opłukałem twarz zimną wodą, umyłem zęby i wyszedłem z domu. Wsiadłem na rower i ruszyłem w stronę szkoły. Stała na wzgórzu, a z polanki na tyłach sypiącego się gmachu można było podziwiać panoramę naszej miejscowości. Całej, oprócz pojedynczych domów

przycupniętych pod lasem, w tym odziedziczonej po babci i odremontowanej przez tatę rudery, w której mieszkaliśmy.

Suche Błota. Wieś wciśnięta tak głęboko w tyłek zacofania, że jej nazwę wymyślono na jakimś zakrapianym raucie i nikt nie miał odwagi umieścić jej na żadnej szanującej się mapie. Cytuję tatę, zawsze tak się o niej wyrażał.

Obaj spędzaliśmy w domu niewiele czasu, traktując go wyłącznie jak sypialnię lub – w przypadku taty – miejscówkę do organizacji niekończących się imprez. W starych, zalatujących wilgocią i zgrzybiałych murach czuć było zapach samotności. Rozlewał się w trzewiach, sprawiał trudności z oddychaniem i zatykał arterie. Wiedziałem, że pewnego dnia stąd wyjadę, uwolnię się od tego miejsca i zastygłych pod tapetą bolesnych wspomnień. Na razie nie byłem na to gotowy.

Zostawiłem rower przy drzewie, obok wejścia do szatni. Nikt go tu nie ruszy, uznałem, po co komu taki rupieć. Większość dzieciaków miała górale, ja wciąż śmigiałem na starym składaku; bez przerzutek, z potwornie zawodzącymi hamulcami.

Zmieniłem obuwie, powiesiłem kurtkę na wieszaku i poszedłem po schodach na trzecie piętro. Dla pewności zerknąłem na zegarek, który dostałem od mamy na komunię. Przypominał kalkulator z melodyjkami i na początku rzuciłem go w kąt, wściekły, że nie kupiła mi czegoś lepszego. Gdy emocje opadły, odkryłem, że może mi się przydać. Lekcja zaczynała się za pięć minut.

Wszedłem do ubikacji i zamknąłem się w kabinie. Na przesłonach oddzielających boksy roiło się od wulgarnych haseł obrażających nauczycieli i uczniów, rysunków przedstawiających roześmiane fiuty i tym podobnych bzdur, stanowiących ujście dla buzujących pod skórą hormonów.

Znałem je na pamięć. Spędzałem tu sporo czasu. Teraz opuściłem deskę, wszedłem na muszlę i usiadłem po turecku. Nie chciałem, by ktoś mnie tu znalazł. Ostatnim razem o mało nie wyważyli drzwi, a raz, gdy zapomniałem ich zamknąć, wsadzili mi głowę do ubikacji i trzymali pod wodą, aż nie odklepałem, że mam dość. Po wszystkim spuścili mi w kiblu

zawartość plecaka. Wygrzebałem tylko to, co pozostało na dnie muszli; zeszyty i podręczniki suszyłem na parapecie. Nie prowokowałem ich, nie rzucałem się w oczy. Przestałem się łudzić, że dadzą mi spokój.

Gnębili mnie od pierwszej klasy, bo zawsze byłem słabszy. Nie potrafiłem zaprotestować, postawić się im. Trudno się dziwić, że stałem się naturalnym celem.

Przerwa dobiegła końca. Dla pewności odczekałem chwilę, a gdy hałas na korytarzu ucichł, wszedłem do klasy. Usiadłem pod oknem. Nauczyciele już dawno przestali strzepić języki, że się spóźniam. Wyjąłem podręcznik, zeszyt i coś do pisania. Chciałem złapać za pasek plecaka i odłożyć go pod kaloryfer, ale usłyszałem, jak chłopak z tyłu szura nim po ziemi i ciągnie w swoją stronę. Nie zdążyłem mu go wyrwać. Za plecami rozległ się śmiech. Udawali, że słuchają, co mówi stojąca przed tablicą nauczycielka.

– Bartek, mógłbyś skupić się łaskawie na lekcji? – zwróciła się do mnie, przecierając okulary. – Oceny są już wystawione, ale z tego, co kojarzę, nadal nie poprawiłeś ostatniego sprawdzianu. Wkrótce egzaminy.

– No właśnie, Bartek – przedrzeźniali ją.

– Zamyśliłem się – odparłem i spuściłem wzrok, unikając spojrzeń kolegów z klasy.

Czułem, że robię się purpurowy ze wstydu, oblał mnie pot. Starłem się kontrolować oddech, ale ręce drżały mi ze zdenerwowania. Nauczycielka wróciła do lekcji, a ja potrzebowałem czasu, by się skupić. Słyszałem wulgarne docinki za plecami, a na porysowanym blacie wylądowała zmięta wulkę kartka.

Rozwinąłem wiadomość pod ławką.

Zgłoś się po zgubę do szatni na przerwie. I nie waż się strzelić z dupy, leszczu.

Kiedy rozległ się dzwonek, zaczękałem, aż wszyscy opuszczą klasę, i snułem się w stronę drzwi, unikając wzroku nauczycielki, która uzupełniała coś w dzienniku. Zawahałem się, czy nie wspomnieć jej o tym incydencie, ale domyślałem się, że to tylko pogorszy sprawę. Nie mogłem dać im tej satysfakcji.

Przywykłem do tego, że się nade mną znęcają, że znaleźli kogoś, na kim mogli się wyżyć i wyładować frustracje. Za kablowanie wyrwaliby mi z tyłka nogi z korzeniami. Słuchałem ich gróźb wystarczająco często, żeby zrozumieć, że nie żartują. Wolałem więc trzymać język za zębami. I tak niewiele bym wskórał.

Szatnia znajdowała się na najniższym poziomie, tuż za stołówką. O tej porze oprócz woźnej, która akurat skończyła szorować podłogę i jadła kanapkę w składziku na szczotki, nikt się tu nie kręcił. Kobieta miała z siedemdziesiąt lat, paradowała po szatni w starym fartuchu w kwiaty i z włosami spiętymi w kok. Zza grubych denek okularów i tak nic nie widziała.

Wszedłem do okratowanego boksu pod ścianą. Spodziewałem się, że ci durnie tam na mnie czekają. Najwyższy z nich ścisnął w dłoni mój plecak. Zawartość leżała rozsypana na podłodze, kopali między sobą zeszyty i przybory szkolne.

– No, jesteś w końcu, śmieciu. Myślałem, że wydygałeś i poszłeś się pożalić dyrce.

– Oddaj mi plecak. Zaraz zaczyna się gegra. – Nie podnosiłem głosu, by go nie rozjuszyć.

– Żebyś się czasem nie zesrał – odparł Blachowski, najsilniejszy z nich, a pozostali zanieśli się śmiechem.

Chłopak rzucił plecak do kolegi obok, ten napluł do środka i odrzucił go z powrotem. Zabawa trwałaby w nieskończoność, gdybym nie chciał jej przerwać, usiłując złapać plecak w locie. Chwyciłem za pasek na ramię, Smalec szarpnął za drugi i wrywaliśmy go sobie z rąk. Żaden z nas nie zamierzał odpuścić.

Ucho, za które ciągnąłem, odpruło się od reszty i został mi w dłoni tylko fragment paska. Smalec skorzystał z okazji i wyrwał mi go z ręki.

– No i co narobiłeś, ty ryza pokrako! – zaśmiał się Blacha.

Doskoczyłem do chłopaka z plecakiem, odepchnąłem go i odebrałem mu swoją własność, o mały włos nie potykając się o rozsypane rzeczy. Nie zdążył zareagować, a ja poczułem uderzenie w plecy, a za chwilę

zaciskającą się na włosach rękę jednego z napastników. Uderzenie było tak silne, że zasyczałem przez zaciśnięte zęby.

Inny z chłopaków wepchnął mnie na metalową siatkę oddzielającą boks od szatni młodszej klasy i docisnął do niej łokciem, tak że czułem wrzynające się w policzek zimne, metalowe pręty. Ból promieniował, mimo to nie użalałem się nad sobą. Nie mogłem dać im tej satysfakcji. Blacha sapał mi coś do ucha, czułem drobinki śliny na skórze i smród tytoniu, zamaskowany gumą do żucia.

Opadłem z sił i przestałem się bronić. Nie miałem szans wyrwać się z uścisku.

– Podskakuj dalej, to połamię ci te kulasy, pizdo! Powiedz staremu, aby trzepał z dala od mojej matki, bo jak go znowu z nią zobaczę, to wybiję ci te koślawe ząbki. Kapujesz, lachociągu? – Blachowski mocnym kopnięciem w łydkę podciął mi nogi.

Zachwiałem się, zgiąłem wpół i odkleiłem od kraty. Smalec pochylił się nade mną i splunął mi za kołnierz, a ktoś inny walnął mnie pięścią w brzuch tak mocno, że upadłem na posadzkę i zwinąłem się z bólu. Oberwałem też w twarz. Nie zorientowałem się nawet od kogo. Kątem oka widziałem tylko Siwego, który przyglądał się całej akcji. Jeszcze kilka lat temu byliśmy kumplami i obaj dostawaliśmy solidne lanie, ale w końcu Szymon wkupił się w ich łaski. A skoro tak, nie mógł stanąć w mojej obronie.

Rozległ się dzwonek i ze składziku wyszła woźna, grożąc im zaciśniętą pięścią.

– Wracać mi do klasy, a nie błaznować tu! – Przegoniła ich, machając brudną szmatą.

Grupa nastolatków, śmiejąc się, rozpląnęła się w ciemnym korytarzu biegnącym w stronę schodów na piętro. Słyszałem ich rechot, leżąc na ziemi.

Woźna mnie nie widziała. Mruczała coś pod nosem i wreszcie zniknęła na zapleczu. Potrzebowałem czasu, by dojść do siebie – wciąż czułem ból w pogruchotanym ciele.

Pozbierałem rozwleczone rzeczy. Upchnąłem je do plecaka. Złamane długopisy nie nadawały się do użytku, więc wyrzuciłem je do śmieci.

Zmieniłem obuwie i wyszedłem przed szkołę. W takim stanie nie chciałem już wracać na lekcje.

Zanim wsiadłem na rower i ruszyłem do domu, zwymiotowałem za drzewem.

Na szczęście nic dziś nie jadłem, z żołądka wylała się więc tylko żółtawa ciecz, która paliła w gardle. Jechałem w stronę lasu, czując, że pieką mnie skóra i wnętrzności.

Spodziewałem się, że ojca i tak nie zastanę w domu. Zajmował się budowlanką i remontami, po godzinach naprawiał samochody. Wracał późno – sam, w towarzystwie kumpli albo poznanej kobiety. Za każdym razem innej. Przestałem zwracać na nie uwagę i łudzić się, że któraś z nich zagości w domu na dłużej. Staraliśmy się nie wchodzić sobie w paradę.

Hałasowali do późna, śmiali się, budząc mnie w środku nocy, i pieprzyli się do świtu. Wolałem te noce, gdy tata wracał wyczerpany i zasypiał przed telewizorem z czteropakami piwa w ręku. Mogłem się wtedy porządnie wyspać.

Skręciłem w szutrową drogę w stronę lasu i pogałem do mieszczącej się przy mokradłach bazy. Znajdowała się w trudno dostępnym miejscu i budowałem ją od wiosny. Zbierałem deski, resztki starych mebli, w końcu skleciłem z nich coś w rodzaju domku na drzewie. Trzeba było wykazać się bujną wyobraźnią, aby dopatrzeć się w tej zbieraninie zarysu zwartej struktury, ale mogłem stąd doglądać okolicy i ukryć się tu przed światem.

Samotność rozgościła się w jej niestabilnych ścianach; oblepiała je, tworząc szczelny kokon, w którym czułem się bezpieczny.

1996

Gdy wracałem do domu, było już ciemno. Od strony lasu dobiegał gwar skrzeczących żab. Pochowane w wysokich trawach świerszcze stroiły instrumenty.

Prowadziłem rower. Bałem się jeździć po ciemku, choć znałem tu każdy kąt.

Gorące letnie wieczory w sąsiedztwie lasu przypominały symfonię nachodzących na siebie dźwięków. Hałas nawarstwiał się, wlewał do pokoju na piętrze przez uchylone okno. Miałem wrażenie, że wdzierał mi się pod piżamę, łaskotał skórę i nie pozwalał zasnąć. Z czasem oswoiłem ten jazgot, wsłuchując się w jego rytm.

Zostawiłem rower na podjeździe i nasłuchiwałem. Wóz ojca, czterodrzwiowa toyota z odsłoniętą paką, na której woził sprzęt niezbędny na budowie, stał na rozjeżdżonym trawniku. Tata rzadko wjeżdżał autem do garażu. Obłazące z zielonego lakieru drzwi przypominały mi o beztroskich latach spędzonych z mamą.

Odkąd pamiętam, garaż był składowiskiem rupieci. W środku walały się pogniecione puszki po piwie, części rozkręconych urządzeń, pralek bądź lodówek. Ojciec raz w miesiącu ładował to wszystko na pakę i wiozł na złom. Części, które pozostały z rozbiórki i których nie dało się spieniężyć, upychał w środku. Tarasowały drzwi do garażu, walały się po podłodze.

Usłyszałem uderzenie muzyki i salwy śmiechu na tyłach. Pogodziłem się z tym, że nie zmrużę tej nocy oka, i to nie z powodu zawodzących świerszczy. Nagle poczułem śliski jęzor na ręce, a po chwili brudne łapy Tytusa wylądowały na moim brzuchu.

– Złaż ze mnie – zaśmiałem się, odsuwając psa od siebie. – Śmierdzi ci z pyska, łachudro.

Tytus był przybłądą i nazwałem go na cześć bohatera jednego z komiksów. Pojawił się kilka tygodni temu, ale minęło trochę czasu, nim pozwolił się dotknąć. Głód sprawił, że strach wynikający ze złych doświadczeń z ludźmi zszedł na drugi plan, a wychudzona psina zgięła kark i wyjadała z miski resztki, które jej podrzucałem. Polubił mnie, dał się głaskać i chodził za mną krok w krok. Czmychał za każdym razem, gdy ktoś chciał się do niego zbliżyć. Nie robiłem niczego na siłę, czekałem, aż sam uzna, że warto mi zaufać. Nie wpuszczałem go do domu, wiedziałem, że ojciec nie będzie z tego powodu szczęśliwy. Pies wygrzewał się pod ławką, odprowadzał mnie pod krawędź lasu, gdy szedłem do bazy, raz spotkałem go pod szkołą. Czekał w cieniu pod drzewem, a gdy wsiałem na rower, biegł za mną do domu. Nie przyspieszałem, by go nie zamęczyć. Miałem nadzieję, że spędza noce w pobliżu domu, i chyba tak było, bo pojawiał się rankiem i znikał nocami. Jak duch. Czasem myślałem, że nie trafił tu przypadkiem – że to mama mi go zesłała. Wiem, że to głupie, ale nic na to nie poradzę.

– Nie mam nic dla ciebie. Jutro załatwię ci coś do żarcia – tłumaczyłem, jakby to rozumiał. Znalazłem jednak w plecaku niezjedzoną kanapkę i zostawiłem mu ją, a potem minąłem psa w drzwiach.

Odłożyłem plecak w przedpokoju i udałem się na piętro, nie zapalając światła. Jeżeli ojciec się zorientuje, że wróciłem, co rusz będzie mnie wysyłał po coś do lodówki.

Pod stropem zawisł smród dymu z grilla. Zamknąłem okno.

W pomieszczeniu na górze było tak gorąco, że gdybym rozebrał się do slipów i położył na podłodze, musieliby mnie od niej odklejać. Stałem w oknie i patrzyłem na trawnik na tyłach domu; widziałem żarzące się drewno i kumpli ojca siedzących na pieńkach ściętej brzozy. Cięli w pokera. Oświetlała ich goła żarówka wypuszczona na kablu między kuchnią i sypiącą się szopą na narzędzia. Pili piwo, opowiadali sprośne żarty i zaśmiewali się do rozpuku. Jak ci durnie ze szkoły.

A może po prostu nie miałem poczucia humoru i tu nie pasowałem?

Przebrałem się, umyłem zęby i gapiłem się w swoje odbicie w stłuczonym lustrze w łazience. Nie wiem, w jaki sposób się strzaskało. Pewnie tata walnął w nie z bezsilności po tym, gdy mama zginęła w tym cholernym wypadku.

Nigdy go o to nie pytałem, rozumiałem, że i tak nie powie mi prawdy. Pamiętam tylko, że przez tydzień paradował po domu w podkoszulku i w ściągaczu na dłoni. Przez jakiś czas nie chodził do pracy. Wylegiwał się całymi dniami na kanapie przed telewizorem, otępiały i zrezygnowany. Nie chciałem mu tego utrudniać.

Niekiedy przypominał sobie, że ma syna i wypadałoby się nim zająć. Wiózł mnie wtedy na lody, do kina lub lunaparku. Świetnie się bawiliśmy, ale kolejnego dnia czar pryskał i ojciec znów robił wszystko, bym czuł się przezroczysty. Nie winiłem go za to, wiedziałem, że jest zajęty, więc nie drażyłem tematu. Gdy miał słabszy dzień, schodziłem mu z drogi. Nie zamierzałem być dla niego ciężarem.

Poznałem jego dwa oblicza. Wesołka, który spędza wieczory z kumplami, zasypując ich żartami, ojca, który nie zmusza do wkuwania, nie smęci z byle powodu i wyciąga mnie z domu, jakby jutra miało nie być, oraz melancholika, który całymi dniami nie wstaje z kanapy i zapomina, że świat nie kończy się na czubku jego nosa.

Umiałem bez pudła odgadnąć, którą maskę zamierzał danego dnia przywdziać.

Wpatrywałem się w pokierszowaną twarz. Rana na przeciętej wardze źle się goiła. Obmyłem ją lekko, gdy zaczęła szczypać, i wytarłem twarz ręcznikiem, omijając napuchnięte oko. Siniak pod żebrami zaczął już purpurowieć.

Zęby były na miejscu. Mogło skończyć się gorzej, uznałem i zszedłem na dół.

Stałem przy lodówce i otworzyłem drzwi od zamrażarki. Tata trzymał w niej grzyby, resztki mięsa i lód w kostkach, na wypadek gdyby odwiedzili go znajomi, co późną wiosną i latem zdarzało się regularnie. Jadłem obiady w szkole, jeśli nie zapomniał za nie zapłacić. Rzadko

gotował, umiał przypalić wodę na herbatę, a jego jajecznicę trzeba było nieraz zdrapywać z patelni.

Była fatalna, ale w porównaniu z czerstwym chlebem z masłem i solą, stanowiącym podstawowy posiłek w tym domu, smakowała jak święto na talerzu.

Wziąłem trochę lodu do miski i wbiegłem po skrzypiących schodach na górę.

Usiadłem w wannie, nalałem wody i przystawiłem kostki do bolących miejsc pod okiem i pod żebrami. Czułem ulgę, ale było za późno na uniknięcie krwiaków. Włożyłem koszulę od pizamy i rozprute w kroku spodnie, które nadawały się już do śmieci.

Wyjąłem kij od szczotki ze schowka – to był mój patent na wieczór. Gdybym to komuś powiedział, uznałby mnie za dziwaka. Wskoczyłem do łóżka, wcisnąłem obleczony kołdrą kij między materac i nisko zawieszony sufit, tworząc coś w rodzaju namiotu. Budowałem klimat. Znalazłem latarkę i książkę, którą wypożyczyłem z biblioteki – *Miasteczko Salem* Stephena Kinga. Czarna okładka ze srebrnymi literami i facjatą wampira wywoływała ciarki na skórze.

Wcisnąłem kłębki waty do uszu, by nie słyszeć muzyki za oknem, i wsiąknąłem w lekturę. Zapomniałem o wszystkim, co spotkało mnie w szkole, o bólu i tęsknocie za mamą, o samotności, która zapuściła w sercu ropiejące korzenie. Nie miałem się komu wygadać, zrzucić z siebie bólu, który zaczął przygniatać. Dla innych byłem niewidzialny.

Nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Zdarzało się już, że budziłem się z kijem od szczotki odcisniętym na policzku. Oczy szczypały mnie od wpadających do pokoju promieni słońca, poczułem w ustach kwaśny posmak zalegającej śliny.

Wszedłem do łazienki, opuściłem spodnie od pizamy i opróżniłem pęcherz.

Czułem ulgę i kwaśny odór uryny unoszący się w powietrzu. Gdy skończyłem, poszedłem do kuchni szukać czegoś do jedzenia, ale oprócz leżących na blacie kromek suchego chleba znalazłem w lodówce tylko pęto kiełbasy, masło i resztkę dżemu wiśniowego na dnie słoika. Wygrzebałem

klejącą się papkę łyżką, rozsmarowałem ją na chlebie i zjadłem w pośpiechu, wracając na górę i rozglądając się za czymś do przebrania. Znoszone ciuchy wrzuciłem do pralki.

Usłyszałem rżenie na podwórzu i wyjrzałem przez okno. Tata leżał pod autem z walizką narzędzi i przeklinał, na czym świat stoi. Przypomniałem sobie, że jest sobota i nie muszę iść do szkoły. Wyszedłem przed dom i zastanawiałem się, co tym razem nawaliło w tym gracie. Ostatnio wysiadł akumulator, hamulce też nieraz płątały figle, a żarówki przepalały się jak choinkowe lampki.

– Zamiast się gapić, przyniósłbyś ojcu jeszcze jedną butelkę piwa. Pieprzony upał leje się po plecach aż do dziury w dupie. – Tata wysunął się spod auta, wytarł spoconą twarz i sięgnął do flanelowej koszuli po paczkę papierosów. Poprawił opadającą na czoło grzywkę i teraz gapił się na mnie. – Znów spuścili ci wpierdol?

Wolałem nic nie mówić. Odpowiedź miałem wypisaną na twarzy.

– Nie możesz bez przerwy zaciskać zębów i pozwalać lać się po gębie, chłopie. Ile razy mam ci to powtarzać? Nie bądź cipą. Podejdz no, niech ci się przyjrzę.

– To nic takiego – wydukałem.

– Nie chodzi o to, czy coś ci się stało, ale o zasady. Jak raz odpuścisz, nie dadzą ci spokoju. Zrozum to wreszcie, synek.

Ojciec stanął obok, chwycił moją twarz w potężne, wysuszone dłonie i obracał nią, przyglądając się obrażeniom. Papieros zwisał mu z kącika ust niczym wykałaczka. Wyjął go, wypluł żółtą flegmę i pokręcił głową, tłumacząc:

– No, do wesela się zagoi, nie martw się. – Poklepał mnie po ramieniu, dodając mi otuchy. – Przyjdzie dzień, że spuścisz im taki łomot, że się nie wyliżą. Zobaczysz.

Potaknąłem. Przyglądałem się, jak ojciec jednym haustem opróżnia butelkę piwa.

– Obiecuj, że tak zrobisz. – Głos taty wyrwał mnie z zamyślenia. – Obiecuj, synek.

– Obiecuję – odparłem nieśmiało.

– Zasłużyłeś chociaż? – dopytał.

Nie miałem odwagi zmyślać.

– Nie pozwól, aby się na tobie wyzywali. Świat nie potrzebuje następnych frajerów, wystarczająco wielu z nich zagląda nam już do portfeli. Zrozumiałeś?

Słyszałem to stanowczo za często, by zapomnieć. Uznałem, że lepiej to przemilczeć.

– To, że są więksi, silniejsi, gówno znaczy – instruował dalej ojciec, podciągając spodnie. – Musisz być sprytniejszy. Przewidzieć ich następny ruch, myśleć. Liczy się to, co masz tutaj. – Postukał się w czoło. – Nikt nie zdoła cię złamać.

Skinąłem głową, że kapuję. Obaj wiedzieliśmy, że nie mam szans w walce na pięści.

– To jak będzie z tym piwem? – Puścił do mnie oko. – Zaszło mi w gardle.

– Już idę.

Potrafił mnie rozśmieszyć. Wziąłem pustą butelkę i poszedłem po nową.

Ojciec wsunął się z powrotem pod samochód, a kiedy wróciłem, co jakiś czas prosił, bym podał mu potrzebne narzędzia. Gdy skończył, kazał zanieść wszystko do garażu, wsiadł do auta, przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał, wzbijając za sobą kłęby gryzącego dymu. Zatrąbił, wysunął głowę przez szybę i uśmiechnął się do mnie. Na swój pokręcony sposób musiało mu na mnie zależeć. Przez moment śledziłem, jak toyota znika w oddali.

Zebrałem resztki z grilla i wrzuciłem je psu do miski. Nim zdążyłem się obrócić, wylizał ją do czysta. Niedawno kupiłem mu skórzaną obrozę. Pozwolił ją sobie założyć i choć może to zabrzmieć głupio, wydawał się szczęśliwy, paradując z nią po okolicy.

Miałem wolne. I wiedziałem, że sporo pracy przede mną. Zabrałem coś do żarcia, napełniłem termos herbatą; wieczory w głuszy bywają chłodne. Wcisnąłem wszystko do plecaka i ruszyłem do bazy. Tytus odprowadził mnie do ścieżki wiodącej do lasu. Z jakiegoś powodu bał się wchodzić głębiej, podskórnie czuł, że nie jest tam bezpieczny.

2019

Obudził ją uciążliwy ból głowy. Połknęła tabletkę i uświadomiła sobie, że leży w łóżku w ubłoconych spodniach. Spojrzała na zegarek na szafce. Dochodziła siedemnasta. Wróciła do domu, ostatkiem sił wzięła prysznic i zdrzemnęła się. Dzisiejszy poranek mocno dał jej w kość.

Musiała odpocząć. Wykasowanie obrazów, które zalegały w pamięci, tylko w teorii wydawało się proste. Do tego fatalnie się czuła.

Uciążliwa migrena sprawiła, że Ola działała jak zombie, na zwolnionych obrotach. Ból głowy uderzał bez uprzedzenia, ściągał do parteru i odcinał zasilanie. Dawno przestała z nim walczyć. Starła się wyłącznie zminimalizować straty.

Wiedziała, jak oczyścić głowę z toksycznych slajdów. A może była po prostu zimną suką? To określenie przyłgnęło do niej już w szkole średniej. Długo się przed nim broniła, ale wbrew pozorom ta cecha ułatwiała życie.

Nie sypiała z mężem w jednym łóżku. Tak było wygodniej; przy ich trybie życia wciąż się mijali. Od początku wiedziała, że to kiepska wymówka, ale zgodził się na taki układ. Żyli razem w dwóch przenikających się światach. Artur nie protestował, był programistą i większość czasu spędzał przed ekranem komputera. Lubił pracować w nocy i zgodził się spróbować. Odprowadzał Maję do szkoły, robił zakupy, a gdy starczało mu czasu, coś ugotował.

Aleksandra czuła, że jego ciągła obecność ją uwiera. Zawsze był na wyciągnięcie ręki. Nie miała kiedy zatęsknić i bała się przyznać, że to wygodne. Kochała go, ale równocześnie była nim rozczarowana. Stał się przewidywalnie nudny, a jej przestało to wystarczać.

Zeszła do kuchni i zatrzymała się w progu. Spodziewała się, że zastanie ich przy stole; zadowolonych z siebie i dumnych z tortu, który razem upiekli. Poczła się niezręcznie.

Powinna okazać wdzięczność, wziąć córkę na rękę, pocałować męża i cieszyć się, że są razem, tworzą rodzinę jak z obrazka, ale ten schemat zdążył jej się opatrzyć.

Nie zamierzała ich krzywdzić, lecz ich wspólne życie było iluzją, domkiem z kart, który runie przy słabym podmuchu. Mimo to brnęła w tę fikcję. Nie znosiła społecznych ram, gorsetu, który odbiera dech i krępuje ruchy. Lazar pragnęła się uwolnić, sprawić, by to, co ogląda każdego ranka, zastygło w powietrzu i pękło jak bańka mydlana.

– Niespodzianka! – Z zamyślenia wyrwał ją okrzyk córki. – Sto lat, mamusiu!

Pięciolatka biegła w jej stronę i rzuciła jej się na szyję. Ola widziała Artura, który stał przy stole i zaintonował z córką *Sto lat*, jakby nie docierało do niego, że to wszystko jest złudzeniem, marną imitacją życia, o jakim marzył i na jakie się umawiali. Nie był głupi, musiał się domyślać, że przyprawiała mu rogi.

– Dziękuję, kochanie. – Aleksandra podniosła córkę i przycisnęła ją mocno do piersi.

– Zobacz, mamusiu, jaki śliczny tort zrobiliśmy. To kotek. – Maja wskazała na ulepioną z lukru figurkę. – Wiem, że lubisz kotki. – Zaplotła rękę wokół jej szyi.

Ola miała nadzieję, że zaciśnie je mocniej i pozbawi ją tchu. Kochała córkę, mimo to wciąż wyrzucała sobie, że jest kiepską matką. Że ją zaniedbuje.

Albo że nie kocha jej wystarczająco mocno, jakby mogła to zrobić na zapas.

Irytowały ją docinki obcych ludzi. Wiele razy słyszała, że wybrała karierę zamiast opieki nad dzieckiem. Jaką karierę można zrobić w policji w takiej dziurze jak ta? – utyskiwała pod nosem. Bez stałego zajęcia czuła się uzależniona od męża i wsparcia jego rodziny. Miała z tyłu głowy, że może się spakować, zabrać dziecko i po prostu zniknąć. Kilka razy była blisko,

ale nie zrobiła ostatniego kroku. Nie chciała wywrócić życia Mai do góry nogami.

– Jest piękny. Zrobiliście mi cudowny prezent, dziękuję. – Uścisnęła córeczkę i pozwoliła, by została w jej ramionach. – Ale tort zjemy po obiedzie, dobrze?

Pięciolatka wydawała się niepokieszona.

– Mamy dla ciebie drugi prezent – dodała rezolutnie, by zmienić temat, i puściła oko do Artura. – Lubisz piękne bransoletki, prawda? No powiedz, że lubisz?

– Lubię, kochanie. – Lazar z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Maja podbiegła do taty i wyrwała mu z ręki tekturową torebkę z logo jubilera. Podeszła z nią do Oli i wręczyła jej prezent, wypatrując nerwowo reakcji mamy.

– Sama wybrałam – pochwaliła się.

Lazar robiła, co mogła, by nie wypaść z roli, i z zaciekawieniem zajrzała do torby. Sięgnęła po pudełko i wyjęła z niego srebrną bransoletkę z zawieszkami. Unikała wzroku męża i skupiła go na Mai.

– Dziękuję, jest naprawdę śliczna.

– Daj. Założę ci. – Maja wyrywała jej bransoletkę z ręki i nieudolnie próbowała wsunąć ją mamie na nadgarstek.

Ola przytrzymała zaczep i pomogła jej ją zapiąć. Jedyne, o czym teraz marzyła, to by położyć się w łóżku i zapomnieć o wyrzutach sumienia. Była na siebie zła. Wmawiała sobie, że zacznie spędzać z córką więcej czasu. Ciągłe się okłamywała. Pogodzenie grafiku z opieką nad dzieckiem było dużym wyzwaniem.

Usiedli przy stole. Artur zrobił gołąbki, Maja wciąż coś mówiła, ale Ola zupełnie się wyłączyła. Głosy bliskich ginęły w odmętach myśli.

Niepotrzebnie naciskała, by jechać z Błażejem na miejsce ujawnienia kości. Analizowała teraz każdy szczegół, zastanawiała się, skąd ludzkie szczątki znalazły się na mokradłach. I do kogo należały. Odrzucała najbardziej oczywistą wersję.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

Dopiero teraz dotarł do niej głos męża i pokiwała głową, imitując uwagę. Czuła się jak wybebeszona z uczuć kukła, która pozwala ciągnąć się na sznurku społecznych ról i oczekiwań.

– Co?

– Pamiętasz o zebraniu w przedszkolu?

– Tak – skłamała.

Szukała właściwych słów, jak powiedzieć mu o tym, że będzie miała teraz urwanie głowy w pracy. Artur widocznie się domyślił, bo szybko uciął temat:

– Zadzwoń do mamy.

Oczywiście miał na myśli swoją mamę. Lazar straciła rodziców, gdy miała cztery lata, i wychowywali ją dziadkowie. W pewnym stopniu obwiniała ich o to, że pozwolili im odejść bez niej, choć wiedziała, że to niedorzeczne.

– Wiesz, że ja nie dam rady – ciągnął Artur. – Wspominałem ci o konferencji w Poznaniu tyle razy. Wyjeżdżam z samego rana, zdążę jedynie odprowadzić Maję do przedszkola.

– Pamiętam. Zajmę się tym.

– Olka, nie rozdwoję się. – Powiedział to w taki sposób, że bez trudu wyłapała w jego głosie uzasadnione pretensje. Zmęczyło ją ciągle rozdrapywanie ran. Nie lubiła, gdy tak się do niej zwracał.

Po obiedzie pod pretekstem zmęczenia wróciła do sypialni. Siadła na brzegu łóżka i oglądała bransoletkę na nadgarstku. Miała ochotę ją zerwać. Mogłaby przysiąc, że odparza jej skórę, wżera się głęboko w tkanki i rozpuszcza kości.

W pewnej chwili usłyszała uchylające się drzwi i dostrzegła Artura, który się w nią wpatrywał. Nienawidziła, gdy to robił. Stał w progu i wycierał chusteczką szkła okularów. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że jest bliski wybuchu. Nie dziwiła mu się.

– Rozumiem, że mogło ci wypaść coś pilnego w pracy. Pogodziłem się z tym i nie chcę drażnić. Problem w tym, że ty z niej nie wracasz. Nie było cię w łóżku nad ranem, nie pierwszy raz zresztą. Nawet gdy jesteś w domu, myślami i tak tkwisz daleko stąd.

Ola wsłuchiwała się w tembr jego głosu. Zdawało jej się, że chustka, którą wycierał szkło, zetrze je do końca.

– Znalaziono ludzkie szczątki. Byliśmy najbliżej i szybko dotarliśmy na miejsce. Wiesz, że nie dysponujemy takimi możliwościami jak w dużym mieście, mam jedynie kilkoro ludzi. Twoim zdaniem powinnam olać to wszystko i wrócić do łóżka? – odbiła piłeczkę. Atak był sprawdzoną formą odwrócenia od siebie uwagi. – Biegam przed służbą od lat, to jedyny moment, kiedy mam czas, żeby to robić. To część mojej pracy, muszę być w formie. Tak trudno to zrozumieć?

– Zajrzałem do ciebie o świcie – powtórzył, unikając jej wzroku. – Naprawdę uważasz, że jestem taki głupi i nie wiem, co się dzieje? Nasze małżeństwo to pieprzona fikcja, czas się do tego przyznać i coś z tym w końcu zrobić.

– Co przez to rozumiesz?

– Że musimy przestać się oszukiwać. Są terapie dla par, specjaliści – wyliczał.

– I co to według ciebie zmieni? – wtrąciła przytomnie. – Mamy córkę. Idź do niej i wytłumacz jej, że całe jej dotychczasowe życie jest cholerną szopką i że jesteśmy ze sobą z obowiązku, a jej dzieciństwo jest jedynie złudzeniem. Żadna terapia tego nie zmieni, bo za bardzo się różnimy.

– Ja mam jej to powiedzieć? – Roześmiał się poirytowany, bagatelizując jej uwagi.

– A coś to zmieni, jeśli ja to zrobię?

– To nie ja spędzam całe dni z jakimś lamusem z pracy. Zwyczajna przyzwoitość wymagałaby, żebyś wzięła to na swoje barki. Pomyślałaś o tym? – drwił. – Myślisz w ogóle o kimś poza sobą?

– Nie mów mi, co to jest przyzwoitość. I zamknij drzwi, jak będziesz wychodził.

Była wściekła. Zdjęła bransoletkę i rzuciła ją na szafkę. Najgorsza była świadomość, że nie mogli się mocniej zranić. Wzajemne pretensje przestały szybciej pompować krew.

Po chwili Lazar usłyszała wibracje telefonu i odebrała połączenie.

Na początku nic nie mówiła, kiwała głową i czekała na wyjaśnienia. Z każdym słowem nabierała pewności, że znalezisko z mokradeł skrywa długą i mroczną tajemnicę. Było za wcześnie na wyciąganie wniosków, na domysły i składanie tej historii w całość. Wciąż pozostawało zbyt wiele niewiadomych.

Jeśli kości przeleżały w tym miejscu kilkadziesiąt lat, na co wskazywały wstępne oględziny, powróci koszmar, który rozgrzał lokalną społeczność do czerwoności w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. Pamiętała szczegóły zaginięcia. Wiedziała, że powrót do tej historii będzie otwarciem puszek z nieszczęściami, odkryciem wciąż jątrzących się ropą ran i przysypaniem ich solą. Bała się tego.

Rozłączyła się. Wzięła plecak i wyszła przed dom. Zamierzała ochłonać.

Kątem oka widziała, że Artur jej się przygląda, stojąc w oknie.

Wsiadła do auta i włączyła muzykę. Hałas płynący z głośników pozwalał oczyścić myśli i odgrodzić się od natrętnych obrazów. Zaciągnęła się papierosem i opuściła szybę. Kilka tygodni temu, po jednej z kłótni z mężem, zakupiła paczkę cameli i wozila ją w schowku na czarną godzinę. Nie znosiła smaku papierosów, ale teraz postanowiła zapalić. Uspokajały ją.

Wspomnienie tamtej feralnej nocy nie zatarło się w jej pamięci na przestrzeni lat.

Powinna poczekać na wyniki ekspertyz. Jeśli uda się znaleźć punkt zaczepienia ze sprawą zaginionego w połowie lat dziewięćdziesiątych chłopca, to będzie przełom. Jego rodzice byli dziś po sześćdziesiątce i stracili nadzieję, że znajdą syna lub chociaż zdążą pochować jego szczątki. Wraz z upływem lat wydawało im to się coraz mniej prawdopodobne.

Ruszyła. Jechała na południe. Znała trasę na pamięć, przemierzała ją tyle razy. Sączące się w tle dźwięki muzyki tworzyły nieprzepuszczalny kokon, przez który nie przebijały się destrukcyjne myśli. Wyjazd w to miejsce był formą oczyszczenia i choć nie miała stamtąd wielu trwałych wspomnień, czuła, że jakaś jej częśćka pozostanie tam na zawsze.

Ustawiła w telefonie tryb samolotowy. Nie znosiła, gdy ktoś jej przeszkadzał.

Droga zajęła jej godzinę, ale nigdzie się nie spieszyła, celebrując samą podróż. Lubiła być sama, z dala od zgiełku i podszeptów ludzi, którzy wciąż czegoś od niej chcieli. Była indywidualistką, nie znosiła nasiadówek i pracy w zespole, wolała polegać na sobie. Z czasem zrozumiała, że wszystkie jej relacje są zaburzone, pozbawione oparcia i wzorca, na którym udałoby się je oprzeć.

Stała na poboczu szutrowej drogi. Wokół rozciągały się nieużytki, w oddali obsadzone kukurydzą pola, gdzieniegdzie kilka pojedynczych domostw. I las, który zagarniał je kościstymi paluchami.

Szła wydeptaną ścieżką w głąb zaniedbanej łąki, niemal po omacku, jej mapę dawno wyrysowała w zakamarkach pamięci. Na zewnątrz zrobiło się szaro, gdzieś w oddali słyszała warkot pracującego traktora, ale nie po to przejechała taki kawał drogi, aby nie odwiedzić miejsca, które wciąż wiele dla niej znaczyło. Znała liczbę kroków na pamięć, dokładnie sto dwadzieścia trzy dzieliły ją od punktu, który z tej strony drogi był niemal niewidoczny. Nie była przesadna, ale nigdy nie przyjeżdżała od frontu, jakby nie chciała, by jakiś przełącznik w głowie uruchomił się i zasypał ją obrazami.

Odliczała kroki za każdym razem, gdy tu trafiała, i ani razu nie pomyliła się o więcej niż jeden. Po raz pierwszy po tragedii zjawiała się tu z dziadkiem, mając osiem lub dziewięć lat, ale wtedy tylko po to, aby mu towarzyszyć.

Minęło wiele czasu, nim zrozumiała, dlaczego tu wracał.

Uświadomiła sobie podobną potrzebę w szkole średniej. Wsiadała do wysłużonego pekaesu i pokonywała trasę w milczeniu, wpatrzona w umykający za szybą wiejski krajobraz i twarze, które zacierały się w pamięci.

Ścisnęła w dłoni czarno-białą fotografię i choć była przetarta niemal do cna, Lazar traktowała ją niczym relikwię. Talizman, który pozwoli zachować nić łączności z rodzicami.

Ola stała pośrodku wyschniętej łąki; osty i trawy sięgały jej do pasa. Bez trudu znalazła pozostałości po fundamentach, czarne od sadzy i pokruszone. Gdzieniegdzie walało się zbutwiałe drewno. Była

zaskoczona, jak niewiele czasu potrzebuje przyroda, by strawić świadectwo życia, które pochłonął żywioł. Nieokiełznana, brutalna siła pozbawiła ją wspomnień, zatarła granicę między tym, co prawdziwe, a ulotnym mirażem. W tym miejscu stał kiedyś jej rodzinny dom; tu stawiała pierwsze kroki i tu mieszkała zaraz po tym, jak przyszła na świat.

Czas wymazał to miejsce z pamięci, ale ono istniało, póki wciąż tutaj wracała.

To z nią musiał najpierw się uporać.

Usiadła na trawie i wyobraziła sobie układ pomieszczeń. W głowie miała pustkę.

Jej rodzice zginęli w pożarze, kiedy miała niespełna cztery lata. Ogień strawił budynek, zostawił tylko fundamenty, które z czasem wykruszały się i zniknęły w zarastających wszystko łąkach. Nie odważyła się odtworzyć urwanego życia ze zgliszczy i zapomnieć o dramacie, który wydarzył się trzydzieści trzy lata temu. Wracała, by choć przez chwilę czuć bliskość ludzi, których nie zdążyła dobrze poznać. Bolesną wyrwę w sercu zasypała lękiem, szybkim dojrzewaniem, a po latach złamanym życiem rodzinnym i ucieczką w pracę.

Przyjeżdżała tu się wypłakać, wykrzyczeć złe emocje. Ukrywała żal i tęsknotę pod policyjnym mundurem.

2019

Nie spała dobrze tej nocy. Wiedziała, że musi kontynuować sentymentalną podróż zapoczątkowaną w miejscu, w którym zginęli jej rodzice. Zdawała sobie sprawę, dokąd powinna się udać, dlatego z samego rana wsiadła do samochodu i znów ruszyła w drogę.

Zmuszała się, by tu przyjeżdżać. Stojący na odludziu, otoczony zewsząd zielenią dom spokojnej starości był miejscem, które ją przygnębiało. Nie dlatego, że przypominał o zbliżającej się wielkimi krokami jesieni życia – z jakiegoś powodu czuła, że nie będzie żyć tak długo – lecz z powodu izolacji, odosobnienia, które zaplatały silne ramiona i tłamsiły samotnych ludzi w uścisku.

Miała wrażenie, że każda z mieszkających w tym miejscu osób czekała na to, by znaleźć się po drugiej stronie. Świadomość przemijalności ją przygniatała.

Ola przywitała się z recepcjonistką. Wszystkie osoby, które pracowały w ośrodku, zdążyły ją poznać, bo przyjeżdżała w odwiedziny co najmniej dwa razy w miesiącu, co nie było tu częstą praktyką. Większość osób pozostawiała rodziny za murami ośrodka albo nie miała nikogo, kto mógłby się o nich zatroszczyć.

Lazar wciąż wyrzucała sobie, że zgodziła się na to, by dziadek tu trafił. To była jego decyzja i długo się przy niej upierał. Zrobił to dla niej. Czuła się z tym źle, w końcu razem z nieżyjącą już babcią zastąpili jej rodziców. Chciała mu się odwdziaczyć, wziąć go do siebie, ale cieszył się jeszcze na tyle dobrym zdrowiem, żeby zrozumieć, że w takim wypadku stanie się dla niej ciężarem.

Od pewnego czasu jego stan się pogarszał. Miał zaniki pamięci, wtedy z trudem ją rozpoznawał. Coraz częściej mówił od rzeczy, gubił się w drodze do domu – nic dziwnego, że jego zachowanie zaniepokoiło sąsiadów. Decyzja o umieszczeniu go w ośrodku była jedynym rozwiązaniem. Wbrew pozorom właśnie tu mógł poczuć się wolny.

Przeszła procedurę rejestracji, wjechała na drugie piętro i weszła do sali na końcu korytarza. Przystanąła pod oknem. Rozpościerał się stąd widok na skąpany we mgle las. Wiedziała, że dziadek wychował się w podobnym miejscu i tęsknił za tym wszystkim, co zostawił na Litwie. Sporo trudu kosztowało ją umieszczenie go akurat w tym pokoju, ale rozumiała, że to dla niego ważne.

Zapukała do drzwi i zajrzała nieśmiało do środka, nie chciała burzyć porządku dnia przebywającym tu ludziom. Pokoje były dwuosobowe, ale mieszkający z dziadkiem współlokator uskarżał się na problemy z oddychaniem i od tygodnia przebywał w szpitalu. Rokowania nie były najlepsze, zawsze jednak łąpała się na tym, że w tym miejscu mniej restrykcyjnie podchodzi się do spraw życia i śmierci. Żałoba nie różniła się od normalnego dnia. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że spędzą w domu spokojnej starości ostatnie chwile, i woleli nie rozpamiętywać tego, co nieuchronne. Jedni wyczekiwali końca z nadzieją, inni z pokorą, każdy czuł, że dama z kosą zapuka w końcu do drzwi i zaprosi do tańca.

Dziadek siedział w fotelu i czytał gazetę. Ośrodek prenumerował wiele dzienników i czasopism, pensjonariusze wymieniali się nimi, by nie tracić kontaktu ze światem. Ola dziwiła się, że mimo kłopotów z pamięcią starszek interesował się polityką. Czterdzieści lat przepracował w szkole podstawowej jako historyk i po przejściu na emeryturę nie zmienił przyzwyczajęń. Nosił brązowe spodnie wyprasowane w kant, koszulę i kamizelkę, spod niej wystawał krawat.

– Cześć, dziadku – odezwała się na tyle stanowczo, by ją usłyszał, i na tyle spokojnie, by go nie przestraszyć. Usiadła na krześle pod drzwiami. Oprócz niej i syna drugiego lokatora nikt tu nie zaglądał. – Wzrok masz ostry jak brzytwa, skoro jesteś w stanie czytać bez okularów.

Siwy, drobny mężczyzna odwrócił się w jej stronę i przez chwilę jej się przyglądał, jakby przekaźniki w mózgu potrzebowały czasu, żeby skojarzyć fakty. Wreszcie kąćki ust uniosły się i Lazar zobaczyła uśmiech na jego twarzy.

– Oluśka! – Zawsze zwracał się do niej w ten sposób. – Miło cię widzieć, dziecko.

– Obiecałam ci, że od czasu do czasu tu zajrzę, pamiętasz?

– Ach tak, pamiętam, pamiętam – odparł i odłożył gazetę. Usiłował się podnieść, ale słabe, żyłaste dłonie nie były w stanie dźwignąć zwiotczającego ciała.

Podeszła bliżej i przytuliła go, wyczuwając zapach ulubionej wody kolońskiej.

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku? – spytała, trzymając w dłoni jego rękę. Była zimna i pomarszczona, niebieskie żyły niemal przerywały wrażliwą skórę.

– Bywało lepiej – zaśmiał się i odkaslnął flegmę. – Brakuje mi wyjazdów w góry albo na ryby. Ruszam się, trochę spaceruję, ale ostatnio nogi mam jak z waty. Nie martw się, nie zamierzam się położyć i czekać tu na śmierć. Co to, to nie.

– Nawet się nie waż. – Pogroziła mu palcem.

– Basia mnie w ogóle nie odwiedza. Nie chcę się narzucać, dzwonić do niej i prosić o to, aby zainteresowała się starym ojcem. To było takie dobre dziecko...

Za każdym razem, kiedy podnosił ją na duchu swoją przenikliwością i trzeźwością umysłu i nabierała się, że z jego pamięcią nie jest wcale źle, chwilę później sprowadzał ją na ziemię tekstem, który odwracał sytuację i świadczył o nasilających się problemach.

Na początku starała się zaprzeczać i tłumaczyć, że jego córka, a jej mama, nie żyje od ponad trzydziestu lat. Ale z czasem przestała wyprowadzać go z błędu.

Zastanawiała się, która z tych wersji była dla niego łatwiejsza do przełknięcia.

– Przywiozłam ci książki, o które prosiłeś. – Wyciągnęła z plecaka kilka tytułów zamówionych w księgarni internetowej.

Gdy tu trafił, wypożyczała mu książki w bibliotece, ale przez jego problemy z pamięcią i tak musiała je odkupywać. Gubił je lub zapominał, komu pożyczył. To zdumiewające, że człowiek, który nie pamiętał o śmierci córki i zięcia i nie zawsze wiedział, z kim rozmawia, był na bieżąco z lekturami. Zwykle sięgał po opracowania i książki historyczne.

– Dziękuję, kochana. Bez czytania zupełnie bym tu osiwiął. – Rozbawił go własny żart. – U ciebie wszystko dobrze? Maria pewnie świetnie radzi sobie w szkole.

Za każdym razem przekręcał imię Mai. Nie miała mu tego za złe. Gdy zwracała mu na to uwagę, dziwił się, że nazwała dziecko tak nietypowo. Odpuściła.

– Jest jeszcze w przedszkolu, ale zna już litery i zaczyna składać je w słowa.

– Twoja mama szybko nauczyła się czytać. Pamiętam, że nie mogła pogodzić się z tym, że w *Uroczysku* Nienackiego Tomasz jest dziennikarzem, a nie historykiem sztuki. Była taka zdolna. – Kręcił głową.

Opowiadał jej tę anegdotę wiele razy. I nigdy nie przekręcił nazwiska autora i informacji dotyczących bohatera powieści. Za to za każdym razem zmieniał wersję, komu czytał tę książkę. Raz była to ona, raz jej mama, w zależności od dnia. Lazar wiedziała, że mówił o niej.

– To dzięki tobie tak kocham te opowieści.

– Miałaś je wszystkie. Zdobywanie książek w tamtych czasach nie było takie proste jak dzisiaj. Ten cholerny pożar wszystko pochłonął. Wszystko zniszczył.

– Nie pamiętam go, dziadku. Miałam niecałe cztery lata i byłam z wami tej nocy, kiedy to się stało – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Ktoś podłożył ogień, zapewniam cię... – Rozkręcał się i było słychać, że z każdym słowem jest coraz bardziej zdenerwowany. Ta historia wciąż w nim żyła.

– Minęło wiele lat. To zamknięty rozdział. Nie wracajmy do tego. – Zacisnęła dłoń na jego rękę, ale szybko się uwolnił. Wiedziała, że nie

powinna go nakręcać, to tylko pogorszy sprawę. Po prostu go przytuliła.

– Powtarzałem im setki razy, że to nie był nieszczęśliwy wypadek. Nie chcieli mnie słuchać. Zniknęły różne rzeczy...

– Strawił je ogień, z domu zostały zgliszcza – dopowiedziała.

Sprawdziła akta od razu po tym, jak zatrudniła się w policji. Nic nie wskazywało na to, aby ktoś rzeczywiście podłożył ogień. Rodzice najpewniej zatruli się czadem we śnie, rano mieli jechać na wesele. Nie zdążyli zareagować, to bezlitosny zabójca.

– Nieprawda. To kpina! – Dziadek uniósł się i z trudem sięgnął po gazetę, którą odłożył na stolik. – W tej temperaturze ogień strawi wszystko, ale złoto może przetrwać, a na miejscu nie znaleziono obrączek. Nikt mnie nie słuchał. Basia się z nią nie rozstawała. Rozumiesz mnie? Przed domem nie było też ich auta... – zirytował się.

Od lat powtarzał te same historie. W dokumentach Ola nie znalazła informacji, że zwęglone zwłoki nie miały na palcach obrączek, a w pogorzeliisku trudno było znaleźć skrzynkę, w której mama trzymała biżuterię. Rodzice posiadali oszczędności, ale banknoty bez trudu strawił ogień. Auto stało pod szkołą, w której uczyła mama.

– Skąd wiesz, że mieli je ze sobą tego dnia?

Wyciągnął do góry dłoń i pomachał jej obrączką przed nosem.

– Bo tak ją wychowaliśmy. To symbol miłości, oddania, znak, że tego, co Bóg złączy, nikt nie zdoła rozdzielić. Będę ją nosił do końca moich dni, choćby mieli mi amputować dłoń. Basia nigdy nie rzucała słów na wiatr. Nigdy – podkreślił stanowczo.

To wyznanie kosztowało go wiele sił. Zaczął oddychać szybciej, jakby nie mógł złapać tlenu. Lazar wiedziała, że musi to przerwać. Obiecała, że przyniesie mu nowe książki, że wyjdą razem na spacer i zabierze go na kilka dni do siebie. Uspokoił się, znów zaczął się uśmiechać i koszmar czający się pod powiekami zniknął. Rozmawiali jeszcze pół godziny. Ola pożegnała się i przyrzekła, że wkrótce wróci.

Ucałowała go w policzek i ruszyła do drzwi, ale w tej samej chwili ją zawołał:

– Gdybyś widziała się z mamą, powiedz jej, że nie tak się umawialiśmy. Nie będę żył wiecznie, więc niech przestanie się wygłupiać i po prostu przyjedzie. Czekam na nią.

– Do zobaczenia, dziadku.

Mimo wszystkiego, co zdołała ustalić, jego słowa nie chciały wyjść jej z głowy. Wciąż zastanawiała się, ile z tego, co powiedział, było prawdą, a ile wytworem nadwyrężonej chorobą wyobraźni.

1996

– Wzięłeś wszystko?

– Możesz mi nie stać nad głową i nie truć dupy? Bo nie mogę zebrać myśli.

Blacha odsunął krzesło i schylił się, starając się wyciągnąć spod biurka plecak. Wysypał zawartość na podłogę, upchnął książki i resztę rupieci pod okno, wstał i zerknął na Szymona Sulimę spode łba.

– Nudzi ci się, Siwy? Idź do kuchni i weź z lodówki parę piw. I coś do żarcia, resztę kupimy u Grubego. – Wcisnął mu torbę.

– Twój stary się nie skapnie, że buchnęliśmy mu browary?

Konrad Blachowski włożył do plecaka walkmana, kilka kaset magnetofonowych, które kupił na bazarze, planszówkę, karty z panienkami i latarkę na baterie. W wolnej ręce ścisnął pokrowiec ze złożonym namiotem w pomarańczowo-niebieskie pasy i wielofunkcyjny scyzoryk. Szwajcarski. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać na ognisku.

– Nie rozśmieszaj mnie. Musiałby najpierw wytrzeźwieć. Jest zbyt napruty, by się ich doliczyć. Jak mu zaschnie w gardle, wyśle matkę po następne – odparł i minął go w drzwiach; nie chciał drążyć tematu. – Zresztą nie ma go teraz na chacie, więc się uwijaj. Znikniemy, nim się zorientuje, że coś zginęło. Zejdę po coś do garażu, poczekaj na mnie przed domem.

Siwy wiedział, że dyskusja z nim nie ma sensu. Blacha nie tolerował sprzeciwu.

Zrobił, co kazał. Zbiegł po starych, skrzypiących schodach do kuchni, otworzył drzwi lodówki, zawalone naklejkami, lepiące się od brudu, i włożył do torby kilka butelek piwa i szprotki w oleju. Nic więcej nie było.

W środku zalatywało stęchlizną. Warkot pracującej sprężarki ogrzewał lgnące do skóry powietrze.

W kuchni panował bałagan. Zlew ugiął się pod ciężarem nieumytych naczyń, a od kuchennych mebli, wilgotnych i lśniących od brudu, odchodziła sklejka. Pożółkłe firanki w oknach odcinały dopływ światła. Gdy promienie słońca jakimś cudem wcisnęły się do środka, oczom Szymona ukazała się warstwa kurzu na wyłożonych gazetami szafkach. Plamy smażonego oleju i utrwalone na tapecie zacieki też były oblepione kłębami kurzu.

Siwy wyszedł z domu tylnymi drzwiami. Z trudem trzymały się w zawiasach.

Zrobiło się upalnie. Szymon uznał, że skryje się w cieniu i zaczeka na kumpla. Odganiał się od namolnych, spitych parnym powietrzem much. Usiadł na trawie, wsunął źdźbło między palce i dmuchał w nie z całych sił, wydając piskliwy dźwięk.

Wkręcił mamie, że śpi dziś u Blachy. Gdyby wyznał prawdę, ojciec odkurzyłby jedną ze starych anegdot, a on nie miał ochoty słuchać po raz setny opowieści z wojska, które mógł recytować z pamięci wybudzony w środku nocy. Dla ojca Szymon był mięczakiem uczepionym spódnicy matki. Lanie drobnej kobiety i syna wojskowym pasem było najwyraźniej aktem prawdziwej męskości.

Siwy wykorzystywał każdą okazję, żeby wyrwać się z domu. Nawet kosztem kary.

– Dobra, możemy się zbierać. Wzięłeś, co ci kazałem? – usłyszał głos Blachy.

Chłopak podniósł plecak z trawy i zagrzechotał w powietrzu jego zawartością.

– No, to dźwigaj dupsko i idziemy. Smalec i reszta powinni być już na miejscu.

– Idę, weź wyluzuj. – Sulima snuł się za nim, obładowany manatkami jak tragarz.

Wstąpili do sklepu u Grubego. Właściciel zerkał krzywo, jak Siwy sięga do zawieszanej na szyi saszetki z płynem imitującym coca-colę i płaci za

dwa tanie wina. Wiedział, że chłopak jest niepełnoletni, ale we wsi nikomu to nie przeszkadzało, a żaden pieniądz nie śmierdział. Sulima dokupił jeszcze kiełbasę na ognisko.

Miejsce, w którym zamierzali rozbić obóz, znajdowało się dwa kilometry stąd, w głębi lasu. Umówili się na polanie przy wejściu, przy głazie od strony drogi.

Okoliczne lasy były rozległe, ale Konrad Blachowski świetnie się w nich poruszał; Siwy ufał mu, wiedział, że się nie zgubią. Po przekroczeniu strumienia szli wzdłuż spieczonej słońcem ścieżki wysypanej żwirem. Nikt oprócz leśników i drwali, żyjących z wyrębu lasu, nie zapędzał się w te tereny. Cywilizacja nie zapuszczała tu korzeni.

Blacha zdjął koszulkę i wcisnął ją do plecaka. Szedł z gołą klatką i zawiązaną w pasie flanelową koszulą. Siwy obserwował go kątem oka; Konrad był opalony i dobrze zbudowany, nic dziwnego, że większość dziewczyn chciałaby z nim chodzić. Z żadną nie kręcił, może trochę się go bały? Potrafił wybuchnąć z byle powodu.

Siwy wiele by dał, żeby wyglądać jak on. Mieć tyle siły i moc przeciwstawić się ojcu.

Nie rozmawiali ze sobą. Szymon z trudem nadążał za jego długimi susami. Trzymał się z tyłu, starając się nie zabłądzić. Co jakiś czas przecierał mokre czoło. Zapomniał czapki z daszkiem i opadająca na czoło grzywka kleiła się od potu.

Wreszcie dotarli w umówione miejsce. W oddali dało się dostrzec grupkę niewyraźnych postaci siedzących na polance przy głazie. Siwy spodziewał się Emila, ale Blacha nie pisnął słowem, że będą dziewczyny. Wcześniej za każdym razem, gdy padała taka propozycja, zgadzały się na nocny wypad, ale jak przychodziło co do czego, znajdowały milion wymówek i koniec końców zostawali sami.

Wyższa z nich, brunetka, była dziewczyną Smalca. Drugiej Siwy nie kojarzył, widział ją pierwszy raz. Spodziewał się, jak to się skończy. Blacha okręci ją sobie wokół małego palca, a ona będzie mu jadła z ręki. Zawsze tak było. Chłopak miał niezłą nawijkę.

– Czekamy tu na was z pół godziny, trzeba było powiedzieć, że nie znacie trasy, to narysowałbym wam strzałki – roześmiał się Emil Malczewski. Wstał z ziemi i otrzepał spodnie z trawy. – Proponuję się streszczać, w takim tempie zastanie nas noc.

– Wal się. – Blacha pokazał Smalcowi środkowy palec. – Mogłeś zabrać ze sobą tego niemotę. Bałem się, że będę go tu musiał przytaszczyć na plecach.

Skinął na Szymona, ale ten milczał. Nie umiał się odgryźć, znaleźć ciętej riposty.

– A gdzie reszta? – Blachowski zorientował się, że są w okrojonym składzie.

– Wymiękli, jak zwykle. Wszyscy są mocni w gębie, a srają w gacie bez starych.

– Ich strata. Nie mam zamiaru ich niańczyć – odparł Blacha i kiwnął ręką, żeby się zbierali.

Ruszyli w głąb gęstniejącego lasu, z czasem mimowolnie podzielili się na grupki. Dziewczyny szły na końcu, śmiejąc się i nawijając o szkołach i innych głupotach. Blacha z Emilem zniknęli na horyzoncie. Ścigali się, który ma lepszą kondycję i orientację w terenie. Co jakiś czas zwalniali i czekali, aż reszta do nich dołączy. Siwy czuł się jak piąte koło u wozu, zaczął żałować, że dał się w to wciągnąć.

Blacha wszedł w krzaki się odlać. Szymon skorzystał z okazji i podszedł do Smalca.

– Kim jest kumpela twojej laski? – Długo miał to pytanie na końcu języka.

– A co, podoba ci się? – Malczewski szturchnął go w ramię.

– Nie, tak tylko pytam. Nie znam jej... – Zaciął się, coraz bardziej zawstydzony.

– Zgrywam się. Na ognisku będzie okazja, to się poznacie. To kuzynka Marty, przyjechała do niej na parę dni. Wiesz, miastowi są dziwni, lubią zapach krowiego łajna.

– I starzy puścili ją samą do lasu?

– Nie jest sama, gdybyś nie zauważył. Nie dowiedzą się, że nocujemy w lesie.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie ma tu jej starych. Zresztą sam ją spytaj, skąd mam, kurwa, wiedzieć? – irytował się Smalec. – Obiecałem Marcie, że włos jej z głowy nie spadnie, i dotrzymam słowa. To tylko biwak, nic wielkiego. Posiedzi nad ogniskiem, zje ziemniaki z popiołu, wypije piwo i trochę się rozerwie. A rano odstawimy ją do domu.

W ich stronę zmierzał już Blacha. Kazał Siwemu się odwrócić, rozsunął plecak i wyjął butelkę piwa. Otworzył ją scyzorykiem i ruszył przodem, delektując się smakiem złocistego trunku. Najwyraźniej nie miał teraz ochoty na towarzystwo.

Korony rozciągniętych nad głowami drzew osłaniały ich przed słońcem. W pobliżu słychać było szmer strumienia; płynął dostojnie w dół wzgórza, niewzruszony ich wizytą. Smalec zszedł po skarpie, schylił się i przemył rozgrzaną skórę zimną wodą. Zawołał, by zeszli tu i zrobili to samo. Dziewczyny zlekcewały ten pomysł, szły dalej, zajęte rozmową, dlatego nabrał trochę wody w dłonie, pokonał kilka susów w górę i chlusnął w nie tym, co zdołał tu donieść.

Z piskiem rozbiegły się po ścieżce. Zaśmiewały się i przeklinały go na zmianę.

Siwy przyglądał się temu, siedząc na pniu, i zbierał siły przed dalszym marszem.

Gdzieś w oddali usłyszał nawoływania Blachy. Odpowiedział, że już idą, i ruszył ospale w głąb lasu, przyglądając się, jak Smalec zagaduje dziewczyny. Nie śledził czasu, ale minęła dobra godzina, nim dotarli na miejsce. Osłonięta polana znajdowała się w pobliżu nieuczęszczanego szlaku, przed wzniesieniem, i rozpościerał się stąd widok na położoną niżej wieś. Blacha i Smalec rozstawiali namioty, wbijali śledzie i popijali piwo. Szymon wypakował plecak i położył butelki w cieniu. Zastanawiał się, gdzie się rozbić. Namiot ojca był niewielki, jednoosobowy, jednak na tyle solidny, że nie przepuszczał deszczu ani wiatru.

Może ojciec miał rację i Siwy naprawdę był mięczakiem? Słyszał to tyle razy, że zaczął w to wierzyć.

– Świetna miejscówka. – Emil zdjął koszulkę i biegał wokół polany, roznosiła go energia. Niedaleko stąd znalazł miejsce po wygaszonym ognisku, widocznie ktoś wcześniej wpadł na pomysł, by spędzić tu noc pod gołym niebem. – Trzeba zebrać trochę chrustu, zanim zrobi się ciemno. – Nikt nie zareagował na jego sugestię, więc zwrócił się wprost do dziewczyn. – Ruszcie zgrabne cztery litery, jak nie chcecie, by jakiś zwierz wpakował wam się do śpiwora. – Smalec obniżył głos i zaczął imitować palcami szpony drapieżnika.

– Jak ty tam nie wleziesz, to nie ma się czego bać – przekomarzała się z nim Marta.

Podbiegł do niej, złapał ją wpół i zawarczał groźnie, a kiedy zdołała wyzwolić się z uścisku, zbiegł w dół wzniesienia, wrzeszcząc jak opętany. Zlekceważyli go i zajęli się swoimi sprawami. Dziewczyny usiadły pod drzewem i słuchały muzyki na walkmanie, co jakiś czas przekazując sobie słuchawki i gadając o zespołach, o których Siwy nawet nie słyszał. W domu słuchało się tego, na co zgodził się tata. Zwykle jego poleceń, krzyku i ciągłych pretensji. Od czasu do czasu muzyki klasycznej na gramofonie. Podobno go uspokajała, choć trudno było odnieść takie wrażenie, skoro musieli chodzić wokół niego na palcach.

Chłopak zdjął plecak, rozłożył namiot przy drzewie, wzdłuż ściany lasu, upił z termosu łyk herbaty, którą zrobiła mama, i rozpakował przygotowane przez nią kanapki. Zanim zjadł, zawsze zaglądał, co znalazło się w środku. Tym razem włożyła szynkę konserwową i jajko na twardo, całość doprawiła majonezem. Wkręcił jej, że będą spać na podwórku u Blachy, a w razie burzy przeniosą się do środka. Nawet jeśli nie uwierzyła, na pewno nie dała tego po sobie poznać.

Usiadł pod drzewem, ugryzł kęs i sięgnął po książkę. Bibliotekarka wahała się, zanim pozwoliła mu wypożyczyć *Ciała do wynajęcia* Stephena Gallaghera, zdartą, poźółkłą pozycję z półnągą kobietą na okładce. Nie wybrał jej z tego powodu, ale musiał przyznać, że przyciągała wzrok. Szymon znał większość horrorów dostępnych w bibliotece, więc nie

zamierzał wybrzydzać. Ukrywał je przed ojcem pod łóżkiem, doskonale wiedział, że interesuje go, czym syn zajmuje się po szkole. Siwy zgadywał, że gdyby je znalazł, złoiłby mu skórę.

Wsiąknął w lekturę tak głęboko, że nie usłyszał, gdy za jego plecami stanął Blacha. Poczł cios otwartą dłonią w tył głowy i mimowolnie chwycił się za kark.

– Nie słyszysz, że cię wołałem, głąbie? – Konrad stał nad nim bez koszulki, w uciętych do kolan jeansach. – Ten twój dmuchawiec zaraz odleci w kosmos, jak go nie przywiążesz do drzewa. Jak skończysz, rozpal ogień, nie mam czasu zajmować się tu wszystkim – stwierdził i nie oglądając się za siebie, udał się do namiotu.

Siwy zorientował się, że kolega nie ściemniał. Śledzie wyślizgnęły się z miękkiej gleby, a namiot powiewał na wietrze jak chorągiewka. Powinien go dociążyć i zebrać trochę drewna na ognisko. Smalec przyniósł kilka gałęzi, ale wciąż było ich za mało – kiedy nastanie zmierzch, będą się doświetlać latarkami.

Przewiesił plecak przez ramię i ruszył w dół. Zbocze nie było strome, zresztą samo wzniesienie ledwie wyrastało nad poziom wioski, w której mieszkali. Idąc, Szymon miał wrażenie, że las ciągnie się kilometrami, opada i wznosi się na zmianę.

Użył kompasu i szedł w stronę zachodzącego z wolna słońca. Robił, co mógł, aby nie zgubić się w tej dziczy. Nie słyszał już hałasów dochodzących z obozu – zastąpiły je przechadzający się między drzewami wiatr i jego lękliwe myśli.

Spojrzał przed siebie i zobaczył duże połączenie wody przypominające grzędawisko, i uznał, że nie warto zapuszczać się dalej, to zbyt niebezpieczne. Napęłnił reklamówkę suchymi patykami, resztę upchnął do plecaka. Musiało wystarczyć.

Zdawało mu się, że słyszał hałas, jakby ktoś biegł po ściółce. Niemal czuł strzelające pod nogami gałęzie. Pewnie ten kretyn Smalec robił sobie z niego żarty.

– Jesteś tu? Przecież wiem, że jesteś. – Szymon mówił sam do siebie, wypatrując kolegi w zachodzącym szarością lesie. Malczewski potrafił być

irytujący.

Zrobiło się chłodniej, upał w końcu zelżał, ale nigdzie nie było Smalca. Chciał go nastraszyć i uznał, że to zabawne, chociaż Siwy miał na ten temat inne zdanie. Niepotrzebnie zapuścił się tak głęboko w las. Zamyślił się i zapomniał, że czas wracać do obozu.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów i znów za jego plecami rozległ się hałas, jakby ktoś biegał między drzewami i rozpływał się we mgle niczym cień.

Siwy się bał. *Nie myśl teraz o tym, przeszłyśzało ci się*, powtarzał jak mantrę. Pamiętał mijane po drodze miejsca, wiedział, że się nie zgubił.

W końcu usłyszał dźwięk przypominający brzęczenie roju much. Ich czarne truchła mieniły mu się przed oczami. Zrobiło się szaro, więc nie zdołał wypatrzeć, co to dokładnie mogło być. Mimo to szedł ostrożnie w kierunku tego szumu, stawiając stopę za stopą na miękkiej ściółce. Dźwięk się nasilał, odbijał między uszami i zastygał pod czaszką.

Szymon podszedł bliżej i dostrzegł rój owadów kłębiący się niczym czarna chmura nad czymś, co zalegało w trawie.

Zatkał nos – smród padliny był nie do wytrzymania. Zerknął pod nogi i zobaczył mrowie larw oblepiających truchło sarny bądź innego martwego zwierzęcia. W zaawansowanym stadium rozkładu trudno było rozpoznać szczątki.

Zdążył przebiec kilkadziesiąt metrów w stronę wzniesienia, nim opadł na kolana i zwymiotował. Gotów był przysiąc, że odór śmierci i rozkładu przesiąkł przez ubrania i osiadł na skórze. Pragnął zedrzeć ją gołymi rękami. Swędziała go, piekła niczym żywy ogień. Musiał zrzucić z siebie ten słodko-mdlący smród.

2019

Siedziała na miniaturowym krześle pod oknem i gapiła się na kolorowe meble ustawione wzdłuż ściany, na wykładzinę przypominającą porozcinane ulicami miasto i kosze uginające się pod ciężarem wrzuconych do środka zabawek. Czuła się dziwnie, obserwując innych rodziców, którzy z wypiekami na twarzy słuchali wychowawczynie, dyskutowali i przerzucali się pomysłami dotyczącymi edukacji ich dzieci.

Ola nie miała do tego cierpliwości; pewnie dlatego, że rzadko wychodziła z pracy – myślami tkwiła w niej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Starła się nie zaniedbywać córki, lecz miłość do Mai nie była w stanie połatać wszystkich pęknięć, które powstały przez lata na jej kruchej psychice. Nikt nie nauczył jej budować głębokich relacji, pielęgnować ich.

Odkąd to sobie uświadomiła, uciekała w nałogi. W nowe związki. W destrukcję.

– Proszę pamiętać, że w wakacje pracujemy w okrojonym składzie ze względu na urlopy, dlatego proszę o przestrzeganie zapisów deklaracji i odbieranie dzieci w godzinach, do których się państwo zobowiązali. W innym razie któryś z pracowników będzie musiał zostać po pracy, co, nie ukrywam, jest kłopotliwe. Na pewno państwo rozumieją, że też mamy rodziny, życie prywatne, pasje – tłumaczyła wychowawczynie Mai.

Lazar czuła, że ostrze tych słów jest skierowane w nią. Nieraz zdarzyło jej się, że odbierała Maję po wyznaczonym czasie, o ile Artur nie zrobił tego za nią. Nie spóźniała się celowo, zajęta pracą po prostu traciła rachubę czasu.

Zgubiła wątek. Nie skupiała się na kwestiach, które zdawały jej się absurdalne. Zamiast tego myślami krążyła wokół odkrytych w lesie kości;

wciąż miała je przed oczami, analizowała, w jaki sposób znalazły się na podmokłym terenie, i odsuwała od siebie myśl, że należały do chłopca, który zaginął dwadzieścia trzy lata wcześniej, do...

– Pani Lazar, słyszy mnie pani? – Z zamyślenia wyrwały ją słowa wychowawczynie.

– Tak – skłamała.

– Zgadza się pani, aby Maja pojechała z grupą na wycieczkę do Ojcowca?

– Oczywiście. Jestem przekonana, że córka z przyjemnością się tam wybierze. – Lazar robiła wszystko, by ukryć rosnące zażenowanie.

Nauczycielka zaznaczyła coś w podręcznym notesie i przeszła do poszukiwań trojga rodziców, którzy zgodzą się pojechać z nimi. Grupa rozwrzeszczanych pięciolatek wymagała dodatkowych opiekunów, którzy zapewnią im bezpieczeństwo.

Ola wyczuła wibrowanie komórki. Zerknęła na wyświetlacz, dostawiła telefon do ucha i wyszła z sali. Żałowała, że nie poprosiła kogoś, żeby zadzwonił do niej wcześniej i wyrwał ją z tego koszmaru. Dusiła się w tym gnieździe roszczeniowych żmij.

Usłyszała głos Urygi.

– Co się stało?

– Są wstępne wnioski z zakładu medycyny sądowej. Kości należały do młodego człowieka, lekarz określa wiek na taki w przedziale od kilkunastu do dwudziestu kilku lat. To potwierdza tezę, że mogły należeć do zaginionego przed laty chłopaka, o którym wspominałaś.

– Oby. Jestem na zebraniu w przedszkolu. Możesz się streszczać? – mówiła szeptem, jakby się obawiała, że Kubuś Puchatek i Tygrys, przyklejeni na sąsiedniej ścianie, doniosą, komu trzeba, o czym rozmawiają. – Jak długo im zejdzie?

– W tych warunkach to nie jest łatwe do określenia. Musimy czekać na szczegółowe ekspertyzy, ale jest jakiś punkt zaczepienia. Procedura związana z wyizolowaniem DNA z kości nie zawsze kończy się sukcesem. To żmudny proces. Kości muszą zostać oczyszczone, sproszkowane, a i tak nie ma gwarancji, że uda się uzyskać pełen profil przydatny do identyfikacji. Załóżmy, że dopisze nam szczęście, wtedy przyjdzie czas na

porównanie próbek z materiałem genetycznym bliskich – uciał śledczy i umilkł na chwilę, po czym zmienił temat: – Skoczmy później coś zjeść?

Spojrzała na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Artur był w Poznaniu, córka u teściów. Wystarczyło zadzwonić do nich, powiedzieć, że wypadło jej coś pilnego w pracy, i poprosić, żeby Maja została u nich na noc. Nic prostszego.

– Kup jakieś wino i widzimy się wieczorem u mnie. – Rozłączyła się.

Spodziewała się, że to, co robi, przysporzy jej kłopotów, ale nawet to nie było w stanie przekonać jej do życia na zaciągniętym hamulcu. Rozłączyła się i wybrała numer teściowej, po czym wytłumaczyła jej, dlaczego nie odbierze Mai. Porozmawiała z córką, obiecała, że pójdą razem do kina, i wysłała jej górę całusów.

Stała przed drzwiami sali i uznała, że nie ma siły dłużej tego słuchać. Wróciła na parking i wsiadła do auta.

W domu zdążyła tylko zebrać leżące na podłodze zabawki i ciuchy, nim rozległ się dzwonek do drzwi.

Błażej ścisnął w dłoni butelkę wina. Lubiała w nim to, że nikogo nie udawał, nie silił się na tanie gesty i puste słowa. Znali się od kilku miesięcy, odkąd trafił do zespołu, mimo to wciąż był dla niej zagadką. Podobał jej się. Był zabawny i potrafił słuchać. To rzadkość.

– Wejdz i znajdź coś do oglądania, nie mam nerwów do przeszukiwania tego chłamu. Aha, i zamów coś do żarcia, chińczyk lub pizza będą w sam raz. Cholerne rozstępy nic sobie nie robią ze zdrowej diety – rzuciła, a następnie poszła do łazienki wziąć prysznic i przebrać się.

Wiedziała, że prędzej czy później ich znajomość rozleci się z hukiem, pół biedy, jeśli to on z niej zrezygnuje. Nie martw się na zapas, powtarzała w myślach. Chciała tylko miło spędzić wieczór, nic więcej. Wyciszyła komórkę i weszła pod prysznic.

*

– Zdążyłem obejrzeć cały sezon *Gry o tron*, a ty wciąż tu siedzisz. – Błażej stanął obok niej i pocałował ją w kark, gdy rozczesywała włosy przed

lustrem.

Była w ręczniku owiniętym wokół piersi. Jego dotyk wciąż wydawał jej się czymś nienaturalnym. Z jakiegoś powodu wołała się z nim przespać niż pozwolić, by się do niej zbliżył.

Szczęśliwie kurier wybawił ją z opresji, bo w korytarzu rozległ się dzwonek.

– Idę się ubrać. Zjemy w salonie, nie chce mi się sprzątać w kuchni – uznała i zniknęła w sypialni. – Otworzysz?

Uryga sięgnął do kieszeni po portfel, odliczył gotówkę i dorzucił dostawcy napiwek. Wziął od niego reklamówkę z pojemnikami i plastikowymi sztuczkami i wniósł ją do pokoju. Lazar usiadła obok niego na sofie.

– Biorę sajgonki z ryżem. Reszta twoja – oświadczyła.

Błażej zamówił wołowinę po tajsku. Byli tak głodni, że jedli bez słowa, gapiąc się na to, co leciało w telewizji. Film na HBO był tłem dla ich niemej relacji.

Kiedy Ola skończyła jeść, poszła do lodówki po colę. Gdyby Artur zamówił taki posiłek, wyrzuciłaby mu kaloryczność, zawartość tłuszczu i chemii, ale teraz skład jej nie przeszkadzał. Hipokryzja w czystej postaci.

– Wyjaśnisz mi, czemu nie spotykamy się u mnie, unikając tej żenady związanej z tym, że ktoś nas może tu nakryć? – odezwał się Uryga, odstawiając puste pudełko. Woń przypraw i mięsa wisiała pod sufitem. – Otworzę tu lepiej okno. Niech się trochę przewietrzy.

– Widujemy się na moich zasadach i na moim terenie albo kończymy te podchody i skupiamy się na pracy. Od początku gram z tobą fair, znasz moją sytuację. Sądziłam, że pasuje ci taki układ – wytknęła.

Miała wrażenie, że niewiele rozumie z tej pokrętej logiki, ale nie protestował.

– Nie chcę w to wnikać, po prostu dobrze mi z tobą i nie chciałbym tego speprzyć – tłumaczył się, patrząc na jej mokre włosy opadające na ramiona. – Może po prostu nie ma sensu drażnić.

Ola była kilka lat starsza od niego, miała męża i dziecko, mimo to nie zrezygnował, na każdym kroku dając jej do zrozumienia, że jest tego warta.

Uwielbiał dołeczki w jej policzkach, które pojawiały się za każdym razem, gdy się śmiała, i te nad pośladkami, gdy oglądał ją nagą. Nie musiał niczego wyjaśniać. Widziała to w jego oczach.

Umiał sprawić, że znów się uśmiechała, że chciała o siebie zadbać i czuła się kobieco. Nawet jeśli miało to być jedynie chwilowe zauroczenie, czysto fizyczna relacja, to Lazar niczego nie żałowała.

Pół nocy oglądali filmy. Wtuleni w siebie pili wino, które przyniósł, a kiedy się skończyło, poprawili kolejnym. Kochali się, śmiali i jedli, w różnej konfiguracji. Ola już dawno zrozumiała, że to uczucie jest na tyle ulotne, że nie warto pozbawiać się tych krótkich migawek, wracać do codzienności i żyć według reguł, które ją ograniczały. Ze względu na koszty nie było jednak sensu burzyć kruchej fasady bezpieczeństwa i stabilności, którą było jej małżeństwo. Ukryła się w zamku z piasku, wierząc, że nie zburzy go drobny podmuch.

1996

Zakręciło mu się w głowie. Niepotrzebnie dał się namówić i wypił to paskudne wino, zbierało mu się po nim na wymioty. Poprawił nalewką wiśniową, jedna z dziewczyn podwędziła ją z barku w domu. Szymon Sulima leżał na trawie w pobliżu ogniska i gapił się w gwiazdy; wirowały nad nim jak na ekranie w planetarium.

W tym miejscu pióropusz liści był rozrzedzony, chłopak mógł spoglądać bez przeszkód w bezchmurne niebo i podziwiać konstelacje, o których uczył się na geografii. Miał je na wyciągnięcie ręki. Mimo to oddałby wszystkie, żeby patrzeć w jej oczy. Nie znalazł w sobie śmiałości, by prócz kilku nieznaczących słów spytać o coś więcej. Powtarzał pod nosem jej imię. Usiadła obok Blachy, co wcale go nie zaskoczyło. Z niepojętych dla niego względów laski lgnęły do tego durnia.

Starał się wyrzucić z głowy obraz kłębiącego się na padlinie roju larw. Poczuł rosnącą w gardle gulę, ale zdołał opanować torsje. Konrad rzucił pomysł, żeby zagrali w butelkę, i choć Szymonowi się to nie uśmiechało, zrozumiał, że nie ma nic do gadania.

Byli za starzy na zabawę w chowanego, a „państwa i miasta” to gra dla kujonów. Wcześniej rozciągnęli wokół drzew sznurek, który imitował siatkę, ale po kilku mocnych atakach Emila dziewczyny zeszły z boiska. W tysiąca Blacha orznął wszystkich.

Usiedli w kręgu. Nikt nie zwracał uwagi na fakt, że parytet płci był zachwiany.

Zasady tej gry Konrad też naginał. Za każdym razem trzeba było pocałować osobę, na którą wskazała szyjka butelki, albo odpowiedzieć na jakieś kompromitujące pytanie.

– No dawaj, przyznaj się, wciąż jesteś dziewicą? – wypalił Smalec, zwracając się do Marty. – A jak nie, to całujesz jednego z nas. – Śmiał się, jakby sprawiło mu to dziką radość.

Alkohol zaczął coraz szybciej buzować w ich żyłach.

– Nie ty masz ją pytać, tylko Siwy – dodała druga z dziewczyn. – To jego kolej.

– On chce spytać o to samo, co nie? Tylko się wstydzi. – Emil szturchnął go w ramię.

Szymon zdał sobie sprawę, że nie ma sensu zaprzeczać. Skinął posłusznie głową.

– No widzisz. Myślmy o tym samym.

– Spadaj, nie będę spełniać twoich chorych fantazji – upomniała go wreszcie Marta, ale po kolejnych wywodach dotyczących zasad gry zbliżyła się do kuzynki i pocałowała ją w policzek. Stwierdziła, że tylko wtedy dadzą jej spokój.

– Ej, to się nie liczy! Miałaś pocałować jednego z nas – wyklócał się chłopak i szukał wsparcia u kumpli, jednak żaden nie stanął w jego obronie.

Blachowski milczał, choć dotarło do niego, że to dziewczyny rozdają karty w tej grze. Nie pozwoliły wejść sobie na głowę. Zyskały przewagę i ignorowały ich szczeniackie zaczepki. Wiedział, że jeśli przekroczą granicę, każą im się gonić. Musieli zmienić strategię. Butelka znów poszła w ruch.

Same głównie zadawały pytania. Nie chciały prowokować ich do wygłupów.

– Która ze znanych aktorek lub piosenkarek ci się podoba? – zapytała Marta.

– Litości, to list do „Bravo” czy pytanie ze złotych myśli? – Blacha nie wytrzymał.

– Weź wyluzuj – odezwał się Smalec. – Czepiasz się mnie i Siwego, a sam lecisz w kulki.

– Dobra, zejdź ze mnie. Te dwie laski, które pryskają ze szkoły w teledysku Aerosmith. Nie wiem, jak się nazywają, ale na pewno nie zadają głupich pytań.

– Sam jesteś głupi – odgryzła się Marta.

Zaczęła żałować, że brała udział w tej szopce. Emil zachowywał się przy nim, jakby chciał się wkupić w jego łaski. Gdy przebywali sami, był zupełnie innym chłopakiem; nieśmiałym i bystrym.

– Powiedz twojej lasce, by zluzowała, bo przestanie być miło – syknął Blacha.

– Ty też odpuść. Mieliśmy wypić po piwie, pograć w planszówki i kimnąć się w namiocie. Po co robić kwas? – Smalec usiłował załagodzić rosnące napięcie.

Na jakiś czas podziałało. Wrócili do gry na normalnych zasadach. Ale do czasu.

Zakręcili butelką. Naraz Siwy poczuł na skórze fragment złamanego patyka i domyślił się, że wypadło na niego. Wcześniej wyłączył się i nie słuchał poleceń, znudził się tą grą. I tak większość pytań ogniskowała się wokół seksu, choć żadne z nich nie miało o nim pojęcia.

– Coś się stało? Wyglądasz, jakbyś był sparaliżowany – wyśmiał go Blachowski.

– Zamyśliłem się. Nie słyszałem pytania.

– Czas dobrać ci się do tyłka! – ożywił się Blacha. – Zdejmujesz gacie i śmigasz na waleta wokół ogniska albo idziesz ze mną w ślinę. Wybieraj, co wolisz.

Sulima pomyślał, że to żart, ale widział konsternację na twarzach pozostałych. Zastanawiał się, czy Blacha się nabija, czy mówi serio. Widocznie nie żartował, skoro nie wycofał się ani o krok ze swojej propozycji.

– Miało być całowanie lub pytanie. – Szymon zaprotestował z zażenowaniem.

– Gra według zasad jest dla nudziarzy. Tylko mi nie mów, że się cykasz, pipo.

Siwy wahał się i szacował, która z opcji przysporzy mu mniej wstydu. Wiedział, że Blacha nie odpuści. Nie miał ochoty biegać z gołym tyłkiem wokół ogniska, ale druga możliwość była równie obleśna. Brzydził się na samą myśl o całowaniu go.

– Wal się. – Zdawał sobie sprawę, że gra na czas i nic w ten sposób nie wskóra.

– To tylko zabawa, Siwy. Weź wyluzuj – wtrącił Emil, bawiąc się scyzorykiem.

– Nie ma, kurwa, „wal się”. Zgodziłeś się grać z nami. – Blacha nie chciał ustąpić.

– Mam to gdzieś. Sam ustaliłeś te głupie zasady, a ja nie będę się tu rozbierał.

Reszta nie przyszła mu z odsieczą. Przekonywali go, żeby przestał się mazgaić, w końcu to nic wielkiego. Szukał wzrokiem jakiegoś wsparcia, jednak wszyscy wydawali się dobrze bawić jego kosztem. Czuł się jak zwierzyzna w potrzasku.

Nawet kuzynka Marty spisała go na straty, a liczył, że stanie w jego obronie.

– Nie rób wiochy, to taki żart, zgrywa. Nie łapiesz? – Blachowski sprawiał wrażenie rozluźnionego. Upił łyk taniego wina i wytarł usta ręką.

– Nie wymiękaj, Szymuś.

Smalec doskoczył do kumpla i udawał, że robi to za Konrada. Wygłupiali się.

– Spieprzaj! – Chłopak go odepchnął.

Był wściekły, czuł, że krew pulsuje w żyłach. Uznał, że głupi żart Blachy odbije im się czkawką i obaj będą się go później wstydzili. Podniósł się z trawy, podszedł do niego i nachylił się, słysząc w tle rechot pozostałych. Wpatrywali się sobie w oczy, jakby obaj próbowali zbadać, który pierwszy odpuści. To była gra na przetrzymanie. Czas mijał, jednak Blachowski nie wycofał swojej propozycji.

Sulima przybliżył się i poczuł smród niestrawionego alkoholu bijący od kolegi. Zamknął oczy i musnął wargami jego usta. Czuł wdzierającą się do gardła kulę obrzydzenia. Właśnie wtedy Konrad chwycił go za kark i przyciągnął mocno do siebie.

Jego ślina sprawiła, że Siwego niemal zemdliło. Język kolegi wsunął mu się do ust.

Wyrywał się, ale uścisk był na tyle silny, że zdołał tylko odchylić głowę. Wreszcie odepchnął go od siebie i splunął z obrzydzeniem. Dotarł do niego dziki wrzask podпитыh nastolatków. Blacha starał się obrócić całą sytuację w żart.

– I co, tak bolało? Tyle hałasu o nic.

– Pierdol się!

Blacha natychmiast do niego doskoczył. Drogę zagroziła mu kuzynka Marty. Nie wtrącała się w ich relacje, nie należała do paczki, ale w końcu nie wytrzymała.

– Zostaw go! – rzuciła.

– Nie wtrącaj się. A ty powtórz to, a rozkwaszę ci tę słodką buźkę – warknął Blachowski.

Siwy czuł się upokorzony. Napił się piwa, musiał pozbyć się paskudnego smaku z ust.

– Nie świruj. Miałeś na to ochotę, odkąd się poznaliśmy – podpuszczał go Konrad, wzbudzając salwę śmiechu u pozostałych.

Siwy wiedział, że wyklócanie się tylko pogorszy sprawę. Siedział markotny z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej i obserwował kręcącą się butelkę. Szczęśliwie zaczęła go omijać, co przyjął z ulgą.

– Smalec, przestań rzeć, bo każę ci cmoknąć mnie w dupę! – śmiał się Blacha. – A ty, Olka, masz większe jaja niż ci dwaj razem wzięci.

Dziewczyna pokazała mu środkowy palec i wróciła do namiotu po walkmana.

Gdy zajęli się kolejną kłótnią, Siwy skorzystał z okazji i się oddalił. Zanim wróci, może skończą grać w tę durną grę i zajmą się czymś innym.

Odszedł kilkadziesiąt metrów od obozu i oświetlił sobie drogę latarką, chcąc dostrzec cokolwiek na horyzoncie. Z tej perspektywy widział migoczące punkty w dolinie, które przypominały mu, że wciąż toczy się tam życie. Wiatr ucichł, a noc była na tyle ciepła, że mogli siedzieć przy ogniu prawie do świtu.

Alkohol krążył w żyłach. Siwy czuł się tak, jakby czas stanął w miejscu, a on znów był sam. Nie miał ochoty wracać do domu. Od tygodni dojrzewała w nim myśl, by zniknąć i nie narażać się na wahania nastroju

ojca i odwracanie wzroku matki. Zdążył zrozumieć, że jest dla taty źródłem frustracji, że on odreagowuje na nim swoje niepowodzenia, a mama nie ma odwagi, by stanąć w obronie syna.

Kochał ją i nienawidził jej na zmianę. Nie umiał pogodzić się z tym, że była równie słaba, że dała się zdominować i że poświęciła siebie i syna dla spokoju i rodzinnego szczęścia, które brzmiało niczym tani slogan. Tak było wygodniej.

Tłumaczył sobie, że kiedy sam zniknie, będzie jej łatwiej odejść. I znów zacząć żyć.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział na skarpie, ale gotów był przysiąc, że usłyszał jakiś hałas. Po chwili wzmógł się raz jeszcze. Tym razem dochodził zza pleców.

Szymon nie reagował, czuł, że i tak nie zdoła się od niego uwolnić. Tysiące werbli rozbrzmiało w jego głowie, podczas gdy on spoglądał w ciemność, usiłując znaleźć w niej spokój.

2019

Lazar siedziała naprzeciw rodziców zaginionego przed laty chłopca. Ich twarze przypominały pofałdowaną skorupę, z za której nie przebijały emocje. Czas wycisnął z nich wszystkie soki.

Wpatrywali się w policjantkę nieobecny wzrokiem, słuchali cierpliwie o znalezieniu zwłok, a w zasadzie tego, co po nich zostało. Ich życie zatrzymało się dwadzieścia trzy lata temu; wskazówki zegara utknęły w martwym punkcie, świat, który ich otaczał, odchodził wraz z nimi. Wciąż czekali na werdykt, który złośliwie nie chciał nadejść. Przedłużająca się niepewność z biegiem lat stała się udręką.

– Dziękuję, że zgodzili się państwo ze mną porozmawiać – zaczęła policjantka.

Nie знаła matki chłopca, ale ustaliła, że Marzena Sulima była w latach dziewięćdziesiątych szkolną pielęgniarką i – co powtarzał każdy – ciepłą i serdeczną osobą. Wielu uczniów przychodziło do niej nie tylko po to, by skontrolować wzrost i wagę albo zatamować krwawienie, ale też by się wyżalić. Po tym, co się stało z jej synem, zaczęli omijać jej gabinet. Lazar rozumiała ich, sama też bałaby się spojrzeć jej w oczy i przyznać, że mogła zrobić więcej, by zapobiec tragedii.

– Zaskoczyła nas pani tym telefonem – odezwał się Bogdan Sulima. Miał na sobie odświętną, wyprasowaną koszulę. Ogolił się, na jego twarzy policjantka zobaczyła lekkie zacięcia. Widać, że nie robił tego na co dzień.

Wyglądali tak, jakby szykowali się na odłożony w czasie pogrzeb, choć siedzieli na kanapie w salonie. Ola odsuwała od siebie tę myśl, czuła się onieśmielona ich obecnością.

Mężczyzna siedział wyprostowany niczym struna. Wszystko, co robił i czym się otaczał, musiało być przemyślane. Nie znosił słabości, ufał dyscyplinie i tego samego oczekiwał od innych. Mimo sześćdziesiątki na karku cały czas dbał o formę.

– Przez lata łudziliśmy się, że syn żyje, że w końcu do nas wróci, ale czas wybił te mrzonki z głowy, pozwolił oswoić najgorszą prawdę. Nie spodziewałam się, że dożyję tej chwili. – Matka Szymona Sulimy zalała się łzami.

Lazar nie przerywała jej.

– Proszę pamiętać, że wciąż nie ma pewności, że to państwa syn. Istnieje taka możliwość, dlatego tu jestem. Potrzebuję państwa zgody na przekazanie materiału genetycznego, rozmawialiśmy o tym przez telefon. Nie chciałabym niczego narzucać, ale jeśli uda się pozyskać materiał z kości, co po takim czasie nie jest wcale łatwe, tego typu porównanie może sporo wyjaśnić. Kiedy zaginął państwa syn, śledczy nie dysponowali takimi możliwościami, obecnie nauka oferuje wiele nowych rozwiązań. Warto z nich skorzystać.

– Ma pani nasze pełne wsparcie – odparł krótko mężczyzna w imieniu obojga.

– Wiecie już, w jaki sposób mógł zginąć? – dopytywała drobna kobieta.

Nie interesowały ją mechanizmy, które do tego doprowadziły. Potrzebowała podtrzymać naiwną wiarę lub odwrotnie – odrzucić wersję, że to mógł być jej syn.

– Nie wiem. To będzie przedmiotem zainteresowania biegłych. Proszę pamiętać, że kości znaleziono w trudno dostępnym miejscu, możliwe, że przeleżały w wilgotnym terenie kilkadziesiąt lat. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby państwu pomóc. Musimy zbadać każdy scenariusz, to potrwa. Na razie trzeba wykonać pierwszy krok. Państwa syn zaginął niedaleko stąd. – Wskazała to miejsce na mapie i z trudem przełknęła ślinę.

Bała się przyznać, jak wielka odpowiedzialność ciążyła na zespole. Nie mogli powielić błędów sprzed dekad, zawieść ich ponownie.

Sulimowie jej nie pamiętali. Upłynęło wiele lat, wyszła za mąż i przyjęła nazwisko Artura. Po tych feralnych wakacjach dziadkowie zerwali kontakt

z rodzicami Marty. Obwiniali ich o to, że pozwolili córce spędzić noc bez opieki, w towarzystwie nieodpowiedzialnych nastolatków. Lazar długo unikała tych miejsc.

Nie wspominała nikomu o tym, co się stało w trakcie tamtych wakacji. W pracy wiedział tylko jeden człowiek, stary policjant, który pracował przy tej sprawie. Dziś był na zasłużonej emeryturze i milczał jak grób, za co była mu wdzięczna. Nie chciała wprowadzać reszty zespołu w kulisy zaginięcia, dlatego tak jej się spieszyło, żeby zamknąć ją raz na zawsze. Wymazać trudną przeszłość, nim ktoś ją z nią powiąże.

– Robimy, co w naszej mocy, żeby to wyjaśnić – uspokoiła rodziców Szymona.

– Szkoda, że nie mogliśmy powiedzieć tego samego o dochodzeniu sprzed lat – nie wytrzymał Bogdan Sulima.

Ola widziała, jak drżą mu ręce. Z trudem panował nad głosem. Nie akceptował utraty kontroli i widać to było w każdym geście. Zanim tu przyjechała, zasięgnęła języka.

Marzena Sulima spojrzała na męża stanowczo, jakby chciała dać mu w ten sposób do zrozumienia, że się zagalopował. Nie mogli cofnąć czasu i wrócić synowi życia.

– Proszę wybaczyć, nie pracowałam wówczas w policji i nie odpowiadam za błędy i przeoczenia poprzedników. Czytałam akta sprawy i będę rozmawiać z osobami, które angażowały się w dotarcie do prawdy. Dlatego proszę o szczerść, nic więcej. W innym razie zakopiemy się w miejscu – dodała stanowczo Lazar, a ich milczenie było zielonym światłem dla kolejnych pytań. – Jaka była państwa pierwsza reakcja, gdy dowiedzieliście się, że syn zaginął?

Długo milczeli i spoglądali po sobie. Nie umieli się zdecydować, kto powinien zabrać głos. Większą determinacją wykazał się ojciec chłopca.

– Byłem pewien, że ci gówniarze kłamią, że coś mu zrobili i boją się przyznać. Dałbym sobie za to rękę uciąć. Nikt mnie wtedy nie słuchał. Puścili ich wolno.

Lazar zauważyła, że kobieta kładzie dłoń na jego udzie i stara się go uspokoić. Zrzucił ją. Zaciśnął zęby i powstrzymał się, by nie powiedzieć za

dużo.

– Dlaczego pan tak uważa? – Ola wiedziała, że nie ma sensu się z nim kłócić.

– Nikt nie ginie ot tak, bez powodu. Byli tam, musieli coś widzieć. – Ożywił się.

– Sugeruje pan, że pozbawili go życia?

– Niczego nie sugeruję. Jestem pewien, że wiedzą, co się stało. To oczywiste.

– Szymon miał problemy, jakieś konflikty w szkole? Mówił coś na ten temat?

– Nie, zupełnie. Był spokojnym, zamkniętym w sobie chłopcem – odparła kobieta. – W domu nie sprawiał kłopotów. Martwiłam się tylko, że coraz więcej czasu spędzał w towarzystwie Konrada Blachowskiego. Okłamał mnie, a ja na zbyt wiele mu pozwoliłam – wyrzucała sobie przez łzy. – Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Za często nie było mnie w domu. W innym razie nigdy by do tego nie doszło. – Mąż stanął w jej obronie. W jego źrenicach tliła się wściekłość. Żyły pulsowały na bladej skórze niczym larwy próbujące wydostać się na zewnątrz.

– Wspomniała pani, że skłamał. Na jaki temat?

– Gdy wychodził, zarzekał się, że spędzi tę noc pod namiotem w ogrodzie kolegi. Nigdy nie pozwoliłabym, żeby spał w lesie. – Wytarła chustką mokre oczy. – Nigdy.

– Znała pani jego znajomych?

– Konrad Blachowski i Emil Malczewski byli tu kilka razy, zresztą syn ciągle o nich mówił. Jedna z tych dziewczyn chodziła z nim do klasy. To były normalne dzieciaki, a Szymon zawsze był taki uległy, robił, co mu kazali. – Kręciła głową.

– Zabroniłem mu spotykać się z tymi prymitywami. Powinni dobrać im się do dupy i nie odpuszczać, dopóki się nie przyznają – wtrącił Sulima. – Tak kończy się pobłażliwość i bezstresowe wychowanie. Zamiast tego policjanci bawili się w nagrywanie rozmów, jakby to miało w czymś pomóc. Pieprzeni amatorzy.

– Mówi pan o nagrywaniu zeznań na dyktafon?

– Nie. Ustawili na stole kamerę i kręcili. Naoglądali się amerykańskich filmów. W czym to miało niby pomóc? – wzburzył się.

Zrozumiała, że cokolwiek powie, mężczyzna i tak będzie do niej w kontrze. Wiedział lepiej.

– Jedną z branych pod uwagę wersji była ucieczka z domu. Czy Szymon miał powód, by to zrobić?

– Pieprzenie. – Sulima się zdenerwował. – Od początku próbowali nam to wmówić. Że był nieszczęśliwy, że miał problemy. Starłem się, jak mogłem, by zrobić z niego prawdziwego mężczyznę. To rola ojca. Ucieczka jest objawem słabości, wpajałem mu to wiele razy. Gdyby to zrobił, nie miałby tu po co wracać. Wiedział o tym.

Wpajałem mu to wiele razy, powtórzyła w myślach. Tu nie było miejsca na dialog.

Lazar przyglądała się żonie wojskowego. Kobieta spuściła nisko głowę, położyła dłonie na kolanach i słuchała męża z mieszanką rezygnacji i strachu na twarzy.

Policjantka nie chciała zamęczać ich powtarzaniem od lat pytaniami, tym bardziej że wzmianka o nagraniu była dla niej niespodzianką. Przejrzała akta. Znała tę historię na pamięć. Ci ludzie wciąż żyli w cieniu tragedii. Przybliżyła im całą procedurę, wyjaśniła, w jaki sposób dzięki próbkom materiału genetycznego biegli będą w stanie ustalić, czy znalezione na mokradłach szczątki należały do ich syna. Zdawali się gasnąć z każdą sekundą.

Podziękowała im za spotkanie, wsiadła do auta i zapaliła papierosa. Bała się, że wróci do nałogu. Nie wiedziała, czy odkrycie kości sprawi, że poczuje ulgę, czy przeciwnie – zakopie się w przeszłości i zacznie szukać odpowiedzi na własną rękę. Po omacku. Wmówiła sobie, że nie zatrudniła się w policji, by poznać prawdę na temat tego, co stało się na tej przeklętej leśnej polanie, gdy była nastolatką. Dawno przestała w to wierzyć.

Wiedziała, dokąd powinna się udać. Zgasła niedopałek i ruszyła w stronę komendy. Jej relacje z szefem, odkąd został nim człowiek przywieziony w teczce z Krakowa, były zimne i formalne, przypominały spisany

w zamierzchłej epoce kodeks sztywnych procedur. Trudno się było z nim dogadać. Ich kontakty ograniczały się do oficjalnych, za to nigdy nie podważał jej kompetencji i zaangażowania, pozwalał robić swoje i nie myśleć o kularowych gierkach i brudnych zagrywkach. To brał na siebie.

Zaparkowała przed budynkiem komendy powiatowej i udała się do jego gabinetu.

Bajor wyglądał na zaskoczonego jej wizytą. W pośpiechu odłożył papiery i wyprostował się w fotelu, wskazując, by weszła. Zawsze był nienagannie ubrany, elegancki. Lazar zastanawiała się, czy kładzie się w mundurze spać i wstaje w idealnie wyprasowanej koszuli.

Usiadła po drugiej stronie dębowego biurka. Meble szef też dobrał sobie sam.

– Co panią do mnie sprowadza? – Oficjalny ton komendanta zakłuł jak szpilki, które wbijały się w skórę. Nie miała mu tego za złe. Zaproponowała, żeby przeszli na ty, ale odmówił, twierdząc, że lepiej zostać na stopie służbowej. Spodziewała się, jak będzie wyglądało to spotkanie. Zrozumiała, że musi dostosować się do sztywnych reguł, które panowały w tym miejscu, odkąd on tu rządził.

W pewnym sensie podziwiała w nim tę dyscyplinę, zamiłowanie do porządku. Wszystko musiało działać jak w idealnie naoliwionej maszynie. W porównaniu z chaosem, który panował tu za jego poprzednika, była to zmiana na plus.

– Potrzebuję dodatkowych ludzi na tydzień, góra dwa. Proste rozpytania, trochę pracy w terenie, przekopanie archiwum. – Lazar przeszła do konkretów.

Z ustawionego na parapecie radia sączyły się dźwięki muzyki klasycznej.

– Rozumiem, że ma to związek z ujawnionymi w lesie szczątkami ludzkimi?

Skinęła głową. Przyglądała mu się. Na jego twarzy nie poruszył się żaden mięsień.

– W pani zespole jest kilkoro śledczych. Skoro to nie jest świeża sprawa, tylu powinno wystarczyć. Nie mam na biurku żadnej decyzji z prokuratury odnośnie do dalszych działań. Najwidoczniej czekają na wyniki

z laboratorium i wcale im się nie dziwię. A skoro o tym mówimy... jak układa się współpraca z nowym śledczym?

– W porządku – odparła. Usiłowała wyczytać z jego głosu, czy już wie o jej relacji z Błażem. A może była przewrażliwiona? – Nie mam żadnych zastrzeżeń do jego pracy.

– Świetnie. Myślę, że poradzi sobie pani w obecnym składzie osobowym. – Bajor zdobył się na plastikowy uśmiech. – Proszę się nie spieszyć. Nie ma sensu wychodzić przed orkiestrę.

Mdliło ją od udawanej serdeczności w jego głosie. Wiedziała, że to fasada, pod którą kryją się przyschnięte strupy zranionej ambicji. Bajor nie spodziewał się, że wyląduje w takiej dziurze, liczył na karierę w Komendzie Głównej, przynajmniej tak mówiło się na korytarzach.

Żałowała, że jej nie zrobił.

– Grzebanie w tej historii nie ma na razie sensu – dodał po chwili, jakby chciał wybić jej ten pomysł z głowy. Wracanie do kurzącej się w archiwum sprawy nikomu nie było na rękę. – Wiara w to, że po latach uda się wskazać winnego, graniczy z naiwnością. To nikomu nie wyjdzie na dobre. Zgadza się pani ze mną?

– Wierzyć to ja mogę w garbate aniołki. Jesteśmy to winni rodzicom chłopca.

Komendant spojrzał na nią z politowaniem. Zrozumiała, że nakręcanie się nic nie da. Nie było sensu uświadamiać mu, że pracując w policji, zdobyła doświadczenie, przeszła specjalistyczne szkolenia i od kilku lat nie pracuje w drogówce, tylko zarządza wydziałem kryminalnym. Kusiło ją, by przypomnieć mu, że jeśli ma z tym kłopot, zawsze może ułożyć te klocki po swojemu.

– I zrobimy wszystko, by przynieść im tę prawdę w zębach – uciął stanowczo. – Jeśli okaże się, że nie urabiamy się na darmo, zespół zostanie wzmocniony. O ile wcześniej nie zajmą się tym funkcjonariusze z komendy wojewódzkiej.

Wielce to, kurwa, wspaniałomyślne z twojej strony.

Przez chwilę wahała się, czy nie powiedziała tego na głos, ale brak reakcji Bajora pokazywał, że skończyła na monologu wewnętrznym. Ola zdawała

sobie sprawę, że otwieranie nowych frontów nie sprawi, że problem zniknie. Odpuściła i zamknęła drzwi.

Na schodach spotkała Urygę. Coraz trudniej było udawać, że nic ich nie łączy.

– I co, zdołałaś coś wytargować? Dostaniemy dodatkowe wsparcie?

– Nie. I nie zamierzam do tego wracać – ucięła krótko, zatrzymując się w progu.

– Dłaczego mnie to nie dziwi... Daleko chcesz uciec przed samą sobą?

– Ujawnione w lesie kości należały do młodego człowieka i czekamy na ostateczne wyniki, to jest w tej chwili najistotniejsze – zaczęła ostrożnie. – Rób, co do ciebie należy, a nie wyskakuj z jakąś filozoficzną gadką. Kim ty, kurwa, jesteś, żeby mnie pouczać? – Odepchnęła go.

Nie był niczemu winien, ale musiała odreagować. Życie osobiste wymykało jej się z rąk, zawodowo wisiała na decyzji komendanta i miała związane ręce, a jakby tego było mało, powrócił koszmar, który odcisnął piętno na jej młodości. Była wściekła. Trzasnęła drzwiami i usiadła pod oknem.

Błazej dał jej czas, żeby ochłonęła. I wszedł do środka.

– Masz rację – odezwał się w końcu. – Jestem ostatnią osobą, która powinna dawać ci rady. Spierdoliłem swoje życie dokumentnie, mam tego świadomość. Ale zależy mi na tobie.

– Nie to chciałam powiedzieć – weszła mu w słowo. Piłka antystresowa była w strzepakach. Ola ugniatała ją, a gdy zaczęła mrowić jej dłoń, rzuciła ją do kosza.

– Wiem, co chciałaś powiedzieć. Ale to nie znaczy, że masz powielać moje błędy.

Zdawała sobie sprawę, że odreagowywanie na innych jest szczeniackie i głupie. To niezagojone rany z młodości wzerały się w skórę i paliły żywym ogniem. Błazej nie był niczemu winien.

– Wałkowaliśmy to wiele razy. Jeśli zamierzasz do tego wracać, zrób to, sływa to po mnie – podkreślił Uryga, patrząc jej w oczy. Dostrzegł w nich rezygnację.

– Wiesz, że sama mam swoje za uszami. Bez wsparcia nie uporamy się z tą sprawą. Rozumiem jego argumenty, ale chociaż przez chwilę mógłby przestać być takim kutasem.

– Ciesz się, że nie odebrał ci sprawy. Zrobimy, ile się da. Z nikim się nie ścigamy.

– Słabe pocieszenie.

Uryga wzruszył ramionami. Miała wrażenie, że dogadują się bez słów. Jednego powinna się od niego nauczyć: żonglować maskami. Błazej zaszył pod skórą bolesną przeszłość i robił wszystko, by szwy wytrzymały. Jej chciało się czasem wyć z bezradności.

1996

Obudziła się, gdy ognisko wygasło. Zapomnieli wyjąć reszty ziemniaków z popiołu, byli już tak zmęczeni, że poszli spać do namiotów. Czowała chłodną stopę kuzynki na łydce, zbudził ją skurcz. Odsunęła się delikatnie i z trudem wyczołgała z namiotu. Na zewnątrz słońce operowało nisko nad horyzontem.

Mimowolnie zmrużyła powieki. Postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza.

Rozmasowała bolącą łydkę i zastanawiała się, czy nie obudzić Olki, ale pełny pęcherz wybił jej ten pomysł z głowy.

Czowała na języku kwaśny smak alkoholu.

Nie wypila dużo, starała się kontrolować, ale smażona kiełbasa i piwo nie były dobrym połączeniem. Marta spięła wpadające do oczu włosy gumką i ziewnęła.

Obóz wyglądał na uspiony. Nikt nie wstał zbyt wcześnie. Zerknęła na zegarek: dochodziła siódma. Trudno się dziwić, że twardo spali, film urwał jej się koło trzeciej w nocy. Nie miała wielu doświadczeń z alkoholem, jednak już wiedziała, że jej nie służył. Udało jej się przetrwać noc bez wymiotów i atrakcji żołądkowych, ale czuła się podle. Szukała zostawionej na trawie butelki wody, by przepłukać gardło. Nad paleniskiem unosiła się niewyraźna smużka dymu.

Weszła głębiej w las, opuściła szorty i wysikała się. Opowieści o niedźwiedziach i innych zwierzętach, które wchodzi do namiotów, były przesadzone, wiedziała, że to bujdy. Chłopcy wymyślili je, by wskoczyły im do śpiworów. Zapięła guzik, przetarła zmęczone oczy i wróciła na polanę.

Ola już nie spała. Widocznie wychodząc, Marta narobiła tyle hałasu, że mimo wszystko ją zbudziła. Kuzynka leżała bez ruchu z rękami za głową, jakby wierzyła, że w ten sposób wyparują z niej procenty.

To, że pozwoliły się namówić na alkohol, było nierozsądne. Marta obiecała rodzicom, że się nią zaopiekuje. Wiedziała, że zawiodła ich zaufanie.

– Jak się czujesz? – szepnęła Ola. Bała się, że wszystkich obudzi. – Mam taki kapecz w gębie, że zaraz się porzygam.

– Przejdź się. Świeże powietrze dobrze ci zrobi. – Marta położyła się obok niej. – Mnie pomogło.

– Wstali już?

– Coś ty. Śpią jak zabici. Oni tacy mocni są tylko w gębie.

– Obiecuj mi, że następnym razem zero alkoholu.

– Powodzenia. Ale i tak się cieszę, że zgodziłaś się ze mną pójść. We dwie jest zawsze fajniej. Co sądzisz o Blaszcze? – Marta zniżyła ton głosu i zmieniła temat.

– A co mam o nim myśleć? Jest kompletnym świrem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Podoba ci się?

– A tobie?

– Pierwsza zapytałam. – Marta szturchnęła ją w ramię i obie zaniósły się śmiechem.

– Jest spoko, ale ma coś z głową. Ta akcja z pójściem w ślinę była pokręcona.

– Zgrywał się. Jest szurnięty, ale ma coś w sobie. Zanudziłabym się na śmierć z kimś, kto nie ma poczucia humoru – odparła Marta i porządnie związała włosy w koński ogon. – Postawiłaś mu się, a on lubi zadziorne laski. Wszystkie inne jedzą mu z ręki.

– Znasz go lepiej, ja widzę koleś pierwszy raz w życiu. Poza tym ty chyba kręcisz z Emilem? Jeśli są kumplami, to trochę słabe. U facetów takie akcje nie przejdą.

– Jezu, nie mówię, że się na niego zaraz rzucę – obruszyła się Marta. – Zresztą myślałam raczej o tobie. Fajnie byłoby poświrować razem, pojechać w czwórkę do kina albo gdzieś. Przynajmniej dopóki u mnie

jesteś. No i znalazła się ekspertka od związków. – Prychnęła i odwróciła się do niej plecami. – Zabujałaś się w kimś w ogóle?

– Nie twój interes – odparła Ola i zaczęły się przepychać, śmiejąc się z tego.

Na zewnątrz słyhać było rozmowy. Ktoś kręcił się po polanie, co szybko skłoniło je do zawieszenia broni. Nie mogły pokazać się chłopakom w takim stanie.

Marta przebrała się, wygrzebała z plecaka przenośne lusterko i poprawiła niedoskonałości urody. Kiedy wyszła z namiotu, chłopcy siedzieli pod drzewem, a na trawie leżała rozłożona gra planszowa. Smalec w kółko o niej gadał; *Magiczny Miecz* i dodatki. Fantastyczne bzdury, o których nie chciała słyszeć.

Idąc w ich stronę, widziała spakowane w worki karty postaci, zdarzenia, jakieś dziwne punkty i sztabki złota przypominające takie wycięte z kartonu na zajęciach praktyczno-technicznych. Nie rozumiała tej fascynacji. Tymczasem oni mogli grać godzinami. Obraziła się raz na Emila i nie odzywała przez tydzień, kiedy obiecał, że zaprosi ją do kina, a zamiast tego całe kieszonkowe wydał na jakieś idiotyczne rozszerzenie.

Blacha rzucał kostką i wrzeszczał, że rozniesie go w pył, czy coś takiego.

Nie chciała oglądać tej dziecinady. Kątem oka dostrzegła, że Ola wyszła przed namiot. Włączyła walkmana, usiadła pod drzewem i słuchała muzyki. Gdyby wiedziały, że chłopcy będą je tak ostentacyjnie olewać, nie zgodziłyby się na ten nocny wypad.

– Zamierzacie robić coś ciekawego czy będziecie grać w te bzdury cały dzień? – Marta wreszcie nie wytrzymała i podeszła do Emila. Z trudem panowała nad sobą.

Chłopak odwrócił się, zaśmiał głupio i wzruszył ramionami, nic mądrego nie przyszło mu do głowy. Nie chodziła z nim dlatego, że był mądry. Po prostu lubiła spędzać z nim czas. Teraz jego dziecinne zachowanie zaczynało ją drażnić.

– A co chcesz robić?

– Na pewno nie patrzeć, jak marnujecie czas na takie głupoty – fuknęła Marta.

– Możesz poskładać namioty, jak ci się nudzi – wtrącił się Blacha, nie odrywając wzroku od planszy. Podstawka z żółtobrodym krasnoludem przesunęła się o kilka pól, a nastolatek wyciągnął z puli kartę zdarzenia, po czym przeczytał na głos tekst.

– Wal się. Zresztą nie gadam z tobą, gdybyś nie zauważył – nie odpuszczała Marta.

– To nie zwracaj nam głowy, bo jesteśmy odrobinę zajęci.

– Miałeś się tak do niej nie zwracać – upomniał kumpla Smalec, ale na tyle anemicznie, że jego słowa nie wywarły na nim większego wrażenia.

– Niech idzie pojęcie do namiotu, chyba że chce ci się wypłakać w rękaw, to powiedz, zrobimy sobie przerwę – syknął Blacha. – I graj. Zamierzasz się dalej przyglądać czy rzucisz w końcu pieprzoną kostką?

– Spiesz ci się? Parę ruchów i jest po tobie. Boisz się, że wtopisz – odgryzł się Malczewski.

– Nie rozśmieszaj mnie, tylko rusz się wreszcie, bo nas tu noc zastanie.

Marta nie zamierzała tego słuchać. Brak umiejętności postawienia na swoim u Emila zaczynał ją irytować, więc odeszła bez słowa w stronę polany.

Namiot Siwego był rozsunięty. Chłopak musiał mieć twarde sen, skoro nie słyszał, co się dzieje wokół. Zaciekawilo ją to. Podeszła bliżej, nachyliła się i upewniła, czy kolega wciąż śpi.

– Szymon? Jesteś tam?

Znalazła tylko skotłowany śpiwór, ale nikogo nie było w środku. Rozejrzała się po polanie, jednak nic nie wskazywało na to, by chłopak był w pobliżu. Stanęła nad zasłuchaną w muzykę kuzynką i gestem skłoniła ją, żeby zdjęła słuchawki.

– Co się stało? – Ola wyglądała na zaskoczoną. Zatrzymała wirującą w walkmanie kasetę. *Dookie* Green Daya kupiła na targu za pieniądze, które dostała na urodziny. Wszystkie teksty zdążyła już wykuć na blachę.

– Widziałaś gdzieś Siwego?

– Nie. Może poszedł się przejść.

– Może... – odparła Marta, ale nie wiedzieć czemu miała złe przeczucia.

Wróciła do namiotu Sulimy. Nic nie wskazywało na to, aby Siwy go opuścił; jego plecak i rzeczy osobiste leżały na ziemi. Wstydziła się zagadać do chłopaków, zdając sobie sprawę, że przeszkadzając im, znowu wyjdzie na jędzę. Mimo to rzuciła:

– Wiecie, gdzie jest Szymon?

– Nie. Nie jest cholernym dzieckiem, nie trzeba go prowadzić za rękę – odparł Blacha, zirytowany jej obecnością. Przegrywał, nie poprawiało mu to humoru.

– Nie ma go w namiocie? – zaciekawiał się Smalec.

Brzmiało to tak, jakby spytał tylko po to, by Marcie się nie wydawało, że po raz kolejny ją lekceważył.

– Gdyby był w namiocie, to chybabym cię o to nie pytała – zdenerwowała się.

– Pewnie gdzieś polazł. Skąd mam wiedzieć, co wpadło do tego pustego łba.

– Nie dziwię mu się. Może skoro miał się przyglądać, jak marnujecie czas, grając w to gównno, wolał wrócić do domu. To o wiele ciekawsze. Ja też się stąd zwijam. – Odwróciła się i ruszyła w kierunku obozowiska.

W ostatniej chwili Smalec zdążył chwycić ją za rękę.

– Ej, no zaczekaj. Skończymy grać i odprowadzę cię na chatę. Nie obrażaj się.

– Trafię sama. Nie potrzebuję psa przewodnika.

Blachowski wybuchnął śmiechem. Najwyraźniej spodobała mu się jej cięta riposta.

– Rób, jak chcesz – skapitulował chłopak. Znał ją, wiedział, że jest uparta.

– Zostaw ją. Nie będzie ci gadać, co masz robić – dodał Blacha i wrócili do gry.

Marta była wściekła, jednak nie dała się sprowokować. Złożyła namiot i razem z kuzynką ruszyły w drogę powrotną do domu. Żałowała, że zgodziły się spędzić noc w lesie. Wreszcie dotarło do niej, że zadawała się z totalnymi kretynami.

Wieczorem w jej domu pojawili się policjanci. Rosły mężczyzna spytał, czy może wejść do środka i porozmawiać z rodzicami. Matka skinęła głową, że tak, choć była równie zaskoczona jak ona. Mężczyzna usiadł na kanapie i nie siląc się na przydługie wstępy, oznajmił, że Szymon nie wrócił po ostatniej nocy do domu. Funkcjonariusz próbował się dowiedzieć, co się z nim mogło stać, ale żadna z dziewczyn nie miała pojęcia.

Obie zapewniały, że ostatni raz widziały go w nocy. Siedział przy ognisku i nic nie wskazywało na to, by miał nie wrócić do namiotu. Policjant podkreślił, że jeśli się nie odnajdzie, będą musieli potraktować to jak zaginięcie i zacząć go szukać. Gdyby naprawdę przepadł, liczyła się każda minuta i każdy szczegół tej feralnej nocy.

2019

Kryta pływalnia znajdowała się kilkanaście kilometrów od jej domu, ale o tej porze Lazar nie musiała się spieszyć i spokojnie dotarła na miejsce. W trakcie jazdy wypominała sobie, że nie ma czasu o siebie zadbać. Praca, dom i opieka nad córką nie pozwalały zatroszczyć się o to, aby mogła oczyścić głowę i zmęczyć ciało. Bieganie było wyjątkiem, elementem rutyny, która pozwalała odciąć się od toksycznych myśli.

Weszła do świeżo wyremontowanego budynku, stanęła przed szybą i przyglądała się grupce starszków, którzy znaleźli czas, by o szóstej trzydzieści zrobić kilka długości basenu, podczas gdy normalni ludzie walczyli z budzikiem i błagali o dziesięć minut snu. Za późno staramy się wygrać walkę z upływającym czasem, naiwnie wierząc, że nie ściśnie nas za gardło i nie ściągnie na dno, pomyślała.

Usiadła na krześle pod ścianą. W poczekalni było gorąco i parno, wyczuła wiszący pod sufitem zapach wilgoci i chloru, wdzierający się uparcie do nozdrzy.

Wydawało jej się, że przez wszystkie lata, które minęły od tragicznej nocy w lesie, poradziła sobie z traumą. Nie sądziła, że znalezione na mokradłach szczątki uruchomią w jej głowie lawinę pytań.

Zbudziła się zlaną potem i długo nie mogła zasnąć.

Wątpliwości tkwiły w niej głęboko jak cierń, uśpione i spychane na margines.

Nie miała nic wspólnego z zaginięciem Szymona, nie zdążyła go nawet dobrze poznać. Ostatnie wydarzenia były jak podmuch, który podrzucił rozsypane fragmenty wspomnień.

– Ola? Co tu robisz? – Głos stojącego przed nią mężczyzny wyrwał ją z odrętwienia. Staruszek z sumiastym wąsem odłożył torbę i wyciągnął w jej stronę szeroko rozstawione ręce, jakby chciał ją przytulić.

– Andrzej! Wspaniale cię widzieć w dobrej formie. – Wstała i uściskała go.

– Nie przesadzaj. Sypię się, tylko odrobinę wolniej. Przyjechałaś popływać?

– Nie, chociaż widząc, jak sobie radzisz, nabrałam ochoty, aby wskoczyć w kostium i się trochę zmęczyć. – Śmiała się. – Mówiąc serio, chcę z tobą pogadać. Dzwoniłam na domowy, ale Mira wyjaśniła, że tu cię zastanę. Wybacz to najście.

– Domyślałam się, że to gardłowy temat, skoro fatygujesz się tak wcześnie.

Wzruszyła ramionami. Mężczyzna skinął głową, żeby poszli na parking – basen nie był dobrym miejscem do prowadzenia takich rozmów. Po chwili Andrzej Młynarczyk wrzucił torbę do bagażnika i gestem zaprosił ją, aby usiadła w fotelu pasażera. Odetchnął głęboko, jakby poranny maraton pływacki niemal pozbawił go tchu.

– No to mów, co cię sprowadza.

Nie bawił się w długie wstępy, zbędne aluzje. Szanowała w nim tę zdolność.

– Na mokradłach w lesie ujawniono ludzkie kości. – Ola nie musiała mówić nic więcej.

– I obawiasz się, że mogły należeć do Szymona – powtórzył na głos to, o czym oboje myśleli. Sprawdziła, jak zareaguje na wiadomość, na którą czekał tyle lat.

– Pobraliśmy próbki od jego rodziców. Zobaczymy, czy będzie trafienie.

Lazar zdawała sobie sprawę, że Młynarczyk poświęcił kawał życia, by znaleźć odpowiedź i zwrócić rodzicom zaginionego syna. Zanim to się stało, byli znajomymi, spotykał się z ojcem chłopca na brydżu. Teraz milczał, przecierając chusteczką zaparowane szkła okularów. Nie zwykł okazywać słabości.

– Jak w ogóle do tego doszło?

– Natknął się na nie przypadkowy człowiek, robił tam zdjęcia. Ostatnie ciepłe lata odsłoniły kawał niedostępnego wcześniej terenu. Grzęzawisko jest rozległe.

Oboje wiedzieli, że powiedziała to tylko po to, by zagłuszyć wyrzuty sumienia, które załęgły się w jego głowie. Funkcjonariusze zrobili, co mogli, by go wówczas odnaleźć. Ale widocznie coś przeoczyli. Teraz Andrzej miał pewność, że nie powinien był się zgodzić na przerwanie poszukiwań, na przesunięcie do innych działań ludzi włączonych w sprawę zaginięcia Sulimy. W zasadzie jego zwłok, bo choć nie wspomniał o tym ani razu rodzicom nastolatka, to od początku brali taki scenariusz pod uwagę.

– To niczego nie przesądza. To wcale nie musi być Szymon – wtrąciła Ola.

– Nie musisz tego robić. – Młynarczyk uśmiechnął się wymownie. – Gdyby ktoś inny zaginął i stracił życie na moim terenie, też plułbym sobie w brodę, że go nie znalazłem. Upłynęło wiele lat, ale to wciąż w człowieku siedzi – podkreślił. – Miałem za mało ludzi. Musieliśmy sprawdzić każdy scenariusz: że uciekł z domu, ktoś go porwał, uległ wypadkowi lub po prostu się zgubił. Ten cholerny las nie ułatwiał pracy. Obecne mokradła stanowią ledwie połowę ówczesnych...

Aleksandra przyglądała się ludziom, którzy wychodzili z basenu, wsiadali do aut i jechali do domów. Wiele razy zastanawiała się, czy nie przestać żyć tragediami innych i nie skupić się na sobie. Nie umiała tego zrobić. Praca była na pierwszym miejscu, cała reszta schodziła na drugi plan.

– Przekopałam wszystkie akta. Pamiętam nasze rozmowy przed tym, jak odszedłeś na emeryturę. Wreszcie jest okazja, by zostawić to za sobą. Zamknąć raz na zawsze te przeklęte drzwi. To dla mnie ważne. Przypuszczam, że dla ciebie też.

– W jaki sposób mam ci pomóc? Nie namówisz mnie, by znów w tym grzebać.

Spoglądała na niego w taki sposób, że musiał się domyślić. Mimo to milczał.

– Byłam tam, Andrzej. Tylko ty o tym wiesz, ta sprawa zalega w archiwum od ponad dwudziestu lat. Jestem ci wdzięczna, że przez cały ten czas nikomu nie wspomniałeś, że jestem jedną z osób, które spędziły noc w tym cholernym lesie. Odcinam od tego nawet swoich ludzi, chociaż czasem wydaje mi się to głupie i łatwiej byłoby się przyznać. Sama rozpytuję świadków. To wciąż we mnie siedzi, uwiera gdzieś pod skórą.

– Przeceniasz mnie. Nikt prócz rodziców chłopca o tym nie pamiętał. Sam przez przypadek połączyłem fakty. Widać było, że to zaginięcie nie daje ci spokoju, że zrobisz wszystko, żeby dotrzeć do prawdy – stwierdził z satysfakcją. – Jeśli chciałabyś o tym pogadać, zróbmy to jak ludzie. Głupio się czuję, mówiąc o tym wszystkim na parkingu. Zadzwoń do Mirki, zrobi nam śniadanie. Jak cię znam, to nie miałaś nawet czasu porządnie zjeść. Rób swoje, nie przejmuj się opinią innych. Nie masz na to wpływu.

Ola nie protestowała, wiedziała, że Młynarczyk ma rację. Przesiadła się do swojego auta i ruszyła w stronę domu emerytowanego śledczego. Przegadali na ten temat mnóstwo godzin. Od początku wiedziała, że prowadził sprawę zaginięcia Szymona, w końcu to właśnie on rozmawiał z nią w trakcie poszukiwań chłopca.

Niczego nie znaleźli, młody Sulima zapadł się pod ziemię. Góra zdecydowała o przerwaniu akcji, na nic zdały się lamenty bliskich i apel o zaangażowanie ludzi i środków, o wznowienie działań. Sprawę zamieciono pod dywan.

Kiedy podjechała pod dom, czekał już w ogrodzie. Przywitała się z jego małżonką i usiedli pod wiatą ogrodową. Lazar gościła tu raptem kilka razy, jednak zawsze czuła się jak u siebie. Od drobnej kobiety biło takie ciepło, że policjantka miała ochotę podejść i ją przytulić.

Żona Andrzeja nalegała, by Ola zjadła kanapki, które im przygotowała, i napiła się herbaty.

– Szczerze mówiąc, nie liczyłem już na to, że doczekam tej chwili, ale życie potrafi zaskoczyć – odezwał się Andrzej, gdy zostali w ogrodzie sami.

– Opowiedz mi jeszcze raz, jak wyglądały poszukiwania z waszej perspektywy. Pamiętam jedynie, że nie pozwalaliście mi wrócić do domu.

Dziadek przyjechał po mnie do Marty, bez przerwy ktoś mnie o coś pytał, wciąż powtarzałam to samo. Zaczęłam się już gubić, co jest prawdą, a co wytworem wyobraźni.

– To normalne. Byłaś w dużym stresie, zdecydowanie zbyt dużym jak na tak młodego człowieka. Nie dziwię się, że miałaś kłopoty z odróżnieniem faktów od tego, co próbowaliśmy od ciebie wyciągnąć. Pamiętam naszą rozmowę w obecności twoich dziadków w domu kuzynki. Minęło wiele lat, ale wciąż mam przed oczami twarz każdego z was. Twój dziadek robił, co mógł, żeby cię chronić – ciągnął, sięgając pamięcią głęboko wstecz.

– Miałam to szczęście, że mogłam stąd uciec, zapomnieć. Starłam się wyrzucić z głowy te obrazy. Nie mijałam tych osób na ulicach, nie wracałam do tych miejsc. Marta i jej znajomi musieli mierzyć się z traumą i nieufnością na co dzień.

– Utrzymujesz z nią jakiś kontakt?

– Nie. Mieszka niedaleko stąd, z mężem i dziećmi, ale jakoś nigdy jej nie odwiedziłam. Nie było okazji.

– Nie dziwię się. Sam budzę się często i myślę o sprawach, które powinienem prowadzić inaczej. Zaimponowałaś mi tym, że przyjechałaś tę posadę i przeniosłaś się w te strony. Mamy podobne charaktery, więc szczerze ci współczuję. – Zaśmiał się, lecz to był śmiech przez łzy. – Pytałaś o poszukiwania... No cóż, robiłem, co mogłem, żeby zaangażować w nie tylu ludzi, ilu się dało. Oprócz policjantów z sąsiednich miejscowości, strażaków i ochotników pomagali nam mieszkańcy, uczniowie, w zasadzie wszyscy. Od początku podkreślałem, że zaczęliśmy za późno; w takich sytuacjach liczy się każda godzina. Ale nie miałem na to wpływu. Poruszyłem niebo i ziemię, żeby dostać dodatkowe wsparcie. Zaczęliśmy poszukiwania w miejscu, w którym urwał się kontakt z Szymonem, schodziliśmy od obozu, szukając jakichkolwiek tropów.

– Dziś las wygląda inaczej niż wtedy. Albo mam luki w pamięci.

– Pamiętaj, że mówimy o latach dziewięćdziesiątych, nie mieliśmy dronów i tych drogich zabawek, którymi dysponujecie teraz. Wzięliśmy mapy, podzieliliśmy teren na sektory i przydzieliliśmy ludzi do przeszukania. Nikt z dzieciaków i nauczycieli nie zaprzętał sobie głowy

powrotem do szkoły w ostatnich dniach roku. Rozdanie świadectw było symboliczne, bez apelu. Uczniowie spotkali się w klasach i życzyli sobie udanych wakacji. Tyle.

– Pamiętam, że swoje też odebrałam dopiero we wrześniu. Jakoś nie miałam do tego głowy. Niczego nie znaleźliście?

Andrzej pokręcił głową.

– Szczegółowo zweryfikowano zeznania pochodzące od rodziny zaginionego i kilku osób, które zarzekały się, że mają wiedzę na temat miejsca jego ostatniego pobytu. Wiesz, jak to wygląda, ludzie wygadują kompletne bzdury, a my musimy za każdym razem traktować ten bełkot poważnie. Wskazaliśmy straży obszary niezbędne do prowadzenia poszukiwań, w których mógł znajdować się chłopiec lub jego zwłoki, czego nikt na tym etapie nie chciał mówić głośno. Na wodzie działania prowadziły grupy wodno-nurkowe, sprawdziły koryto rzeki. Strażacy w woderach brodzili wzdłuż brzegu i szukali śladów. Ściągnięto nawet przeszkolonego psa. Zgubił trop w okolicy drogi, przy lesie, i kręcił się w kółko. Rzeka jest zdradliwa, kręta, jej powierzchnia nieprzejrzysta, co nie ułatwia prowadzenia działań. Porastała ją gęsta roślinność, uszkodzone konary, które utrudniają poruszanie się, a co dopiero poszukiwanie ciał. Musieli spenetrować zagłębienia, zbadać doły przy brzegu. Rzeka ma zmienną głębokość, w niektórych miejscach wody jest po kolana i w woderach jesteś w stanie dotrzeć wszędzie, w innych niemal cię przykrywa. Nurkowie schodzili pod powierzchnię, również bez powodzenia. Przeszukiwaliśmy te przekłete mokradła, ale to rozległy, nieprzyjazny teren. Pewnie coś przeoczyliśmy.

– Dlatego skupiliście się na nas. Kluczowe były zeznania nastolatków, którzy spędzili z nim ostatnią noc. – Lazar poczuła, że zasycha jej w gardle. Mówiła o sobie, choć przez lata starała się umniejszyć swoją rolę w tej tragedii.

Mężczyzna westchnął.

– To było trudne wyzwanie. Ustaliliśmy, za przyzwoleniem prokuratora, że ze względu na wasz wiek przeprowadzimy rozmowy w bezpiecznym dla was środowisku, w szkole albo, jak w twoim przypadku, w domu Marty.

Staraliśmy się stworzyć takie warunki, aby nie powodować dodatkowego stresu. Nie chcieliśmy, by rozpraszały was czynniki zewnętrzne, ale presja rodziny, bliskich, też mogła mieć wpływ na wasze zeznania, stąd ten wybór. – Młynarczyk tłumaczył cierpliwie i trudno było nie przyznać mu racji. Przesłuchanie osób nieletnich wymaga szczególnej ostrożności oraz wiedzy.

– Formalnie to nie było nawet przesłuchanie. – Ola łączyła fakty. – W przypadku pozostałych nie było tam rodziców ani opiekunów. Na początku nie powstał nawet protokół – zauważyła przytomnie.

– Nie działaliśmy wedle reguł. Ale mieliśmy błogosławieństwo prokuratora, wasi opiekunowie też byli o wszystkim poinformowani. Zależało nam na czasie, a tego typu relacje są zwykle najbardziej wiarygodne. Zresztą to był szereg rozmów, w następnych dniach przepytывaliśmy was w obecności bliskich. Wszystko masz w papierach.

Lazar nie oceniała go, zrozumiała, dlaczego tak postąpili, ale coś nie dawało jej spokoju.

– To nie usprawiedliwia nagrywania rozmów na kasety video. Ani tym bardziej wynoszenia tych nagrań do domu.

Andrzej napił się herbaty, jakby chciał zamknąć sobie na chwilę usta, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mógłby żałować. Jego żona zmierzała w ich stronę z talerzem drożdżowego ciasta z wiśniami. Była piękna. Ola przyglądała się jej lśniący włosom i zmarszczonej skórze; to przywilej móc się tak zestarzeć.

– Skąd o nich wiesz? – zapytał wreszcie Młynarczyk.

– A czy to coś zmienia?

– Nie. Słuszna uwaga. Ale miałem wtedy głęboko w poważaniu procedury. Chciałem znaleźć tego chłopca, a w ten sposób zyskałem dostęp do zeznań dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nikogo przecież nie krzywdziłem – odparł oschle. – Twój dziadek się na to nie zgodził. Nie odstępował cię na krok. Oczywiście nie powinienem przegrywać tych kaset i zabierać ich do domu, zresztą to była wówczas niespotykana praktyka. Jeśli już, to za zgodą prokuratora lub komendanta, a jak się pewnie domyślasz, my takiej nie uzyskaliśmy.

Oszczędziła mu konkluzji. Oboje wiedzieli, jaki był efekt końcowy poszukiwań.

– Wierzyłeś w to, że któreś z nas mogło mu zrobić krzywdę?

– Braliśmy pod uwagę każdą możliwość. Wasze zeznania zdawały się spójne, a jednocześnie niewymuszone. Nie mieliście czasu ich uzgodnić, dlatego nie było podstaw ich zakwestionować. Brzmiały wiarygodnie, tym bardziej że powtarzaliście je na każdym etapie jak mantrę. – Były śledczy rozłożył bezradnie ręce.

Mira postawiła talerz na stoliku i kazała im się częstować. Rozumiała bez słów, że jej obecność w trakcie rozmowy tylko ich krępuje. Poza tym czuła się źle i powiedziała, że idzie się położyć. Od dwóch lat toczyła trudną walkę z rakiem.

– Chciałabym przesłuchać te taśmy – odezwała się Ola, gdy znów zostali sami.

Młynarczyk spojrzał na nią wymownie. Wiedział, że nie odpuści.

– Nic tam nie znajdziesz. Zresztą skąd pewność, że ich nie skasowałem?

– Mówiłeś, że jesteśmy do siebie podobni. Sama nigdy bym tego nie zrobiła.

Mężczyzna zaśmiał się pod nosem, a ona odpowiedziała tym samym. Nie miała pojęcia o tych nagraniach, dopóki nie usłyszała o nich w trakcie rozmowy z rodzicami Szymona. Pamiętała tę sprawę jedynie ze swojej perspektywy, a teraz będzie mogła skonfrontować ją z zeznaniami pozostałych. Bała się tego. Zdawała sobie sprawę, jak dziurawa potrafi być pamięć.

Andrzej zniknął na kilka minut w domu, po czym wrócił i wręczył jej tekturowe pudło z kasetami VHS. Leżało na fotelu pasażera, gdy jechała do domu.

Zakurzone taśmy mogły okazać się podróżą w najgłębsze odmęty koszmaru, o którym podświadomie chciała zapomnieć. Wiedziała jednak, że czas się tam w końcu wybrać.

1996

Uwielbiałem tę grę. Mogłem przemierzać willowe dzielnice amerykańskiego miasteczka, wpatrując się w niewielki czarno-biały ekran. Marzyłem o tym, aby choć na jeden dzień zamienić się miejscami z chłopakiem, który jechał na rowerze i wrzucał gazety do skrzynek domów na przedmieściach.

Tak wyglądała praca marzeń, stwierdziłem, ruszając joystickiem i omijając kolejne przeszkody. Z trudem unikałem kolizji z pędzącą oponą.

Ostatnie dwie noce okazały się zaskakująco spokojne; żadnych ekscesów, imprez na podwórku ani skrzypienia zużytych sprężyn w sypialni ojca. Nie obudziły mnie krzyki i jęki przypominające te przy kręceniu sutków, co było jedną z ulubionych kar Blachy. W piątek tata porządnie zabalował, nic nie dały wciśnięte do uszu kłębki waty. Udało mi się zasnąć w środku nocy. W sobotę po południu go nie było, widziałem go tylko przy śniadaniu w niedzielę; raz czy dwa minęliśmy się w kuchni, ale byliśmy zajęci i nie wchodziliśmy sobie w paradę.

Nie powinienem uczyć go, jak żyć, i dawać mu rad. I tak by mnie nie posłuchał.

Przywykłem do samotności, oswoiłem ją i wmówiłem sobie, że to nic niezwykłego. W głębi duszy bałem się, że on też mnie zostawi, jakbym był wadliwym produktem, bezpańskim psem, którym nikt nie chce się zająć.

Większość czasu spędzałem na mokradłach. Rozbudowałem bazę o nowe elementy i coraz bardziej przypominała fort na drzewie. Mogłem ukryć się tu przed słońcem, zabić nudę, ale co najważniejsze, czułem, że tu pasuję, czego nie mogłem powiedzieć o domu rodzinnym. Wszystko przypominało mi, że dla ojca jestem ciężarem. A może sam to sobie wmówiłem? Nie

miałem mu tego za złe, byłem wdzięczny, że mnie nie odtrącił i kochał, na swój pokręcony sposób. Bycie przezroczystym miało swoje plusy.

A może to zła strategia? Inaczej niż z mamą, za którą wciąż tęskniłem, życie z tatą było ciągłym zabieganiem o uwagę, dopraszaniem się, by w ogóle mnie zauważył. Miał trudny charakter, ale właściwie nigdy mnie nie zdradził. Przysiągłem sobie, że go nie zawiodę i spłacę dług, który u niego zaciągnąłem.

Kątem oka zerknąłem za okno. Tata dłużył przy aucie; nic nowego, zabrał się do zderzaka. Toyota była brudna, widać znów ścigał się z kumplami po wertepach. Jeżeli chciał doprowadzić tę starą landarę do stanu używalności, musiał się napracować. Miałem wrażenie, że robi to po to, by zająć czymś głowę. Wreszcie zaczął też remont garażu, miałem nadzieję, że przestanie przypominać śmietnik.

Zamyśliłem się i rozbiłem w grze o stojący na poboczu pojazd.

Spojrzałem na zegarek stojący na szafce, zerwałem się i wyłączyłem w biegu commodore C64. Dochodziła ósma trzydzieści, dojazd do szkoły zajmie mi pół godziny. Matematyka zaczyna się za dwadzieścia minut, musiałem się sprężyć. Zbiegłem po schodach, zgarnąłem z blatu suchą kromkę i wcisnąłem ją do ust. Przewiesiłem klucz na szyi, włożyłem plecak na ramię i wsunąłem buty, opierając się o ścianę. Wsiadłem na leżący przy drzewie rower i zacząłem pedałowac tak prędko, jak starczyło mi pary w nogach.

Zjechałem ze stromeego, zwirowego wzniesienia i wzbilem za sobą kłęby gryzącego dymu. Na szczęście do końca roku zostało kilka dni i nikt nie zrobi mi awantury z powodu spóźnienia. Zwolniłem obok spożywczaka, który ponoć należał przed wojną do jednego z mieszkających w miasteczku Żydów. Dziś, mimo szyldu oklejonego reklamami Coca-Coli, rufflesów i gumy do żucia ludzie wciąż powtarzali, że chodzą po zakupy do Mozków. Czas nie wymazał nawyków.

Drewniany słup był oklejony ulotkami. Obok kartki zachęcającej do naprawy telewizora, sprzętów AGD i resztek po starych ogłoszeniach mój wzrok przykuło niewyraźne zdjęcie chłopca. Zsiadłem z roweru

i położyłem go na trawie. Podeszedłem bliżej, wpatrując się w znajomą twarz i czytając treść ogłoszenia:

W sobotę 15 czerwca wyszedł z domu i zaginął czternastoletni Szymon Sulima. Szymon miał na sobie ucięte na wysokości kolan niebieskie džinsy i biały podkoszulek z napisem. Ostatnio widziano go w okolicy lasu, u zbiegu ulic Długiej i Podleśnej. Jeśli ktoś ma informacje dotyczące miejsca pobytu Szymona, prosimy o kontakt z najbliższym komisariatem policji lub pod wskazanym numerem telefonu (prosić o rozmowę z Marzeną Sulimą).

Pod ogłoszeniem znajdowały się gotowe do wyrwania wycinki z numerem telefonu.

Wiedziałem, że podobnie jak większość z nas starzy Siwego nie mieli w domu aparatu i korzystali z uprzejmości sąsiadów, by gdzieś zadzwonić lub odebrać połączenie. Nikt nie biegał po wsi z byle pierdołą, tylko w sytuacji bez wyjścia, jak mówił tata. Nietrudno się domyślić, że zaginięcie syna z nawiązką spełniało te kryteria.

Przełknąłem ślinę, uświadamiając sobie, że to nie przelewki. W tej dziurze nikt nie znikał ot tak, bez wyraźnego powodu. Zdarzało się, że ludzie stąd uciekali, przenosili się do miasta albo zapijali na śmierć. Niektórzy znajdowali się u bliższej lub dalszej rodziny, inni szukali szczęścia daleko stąd albo wracali z niczym.

Szczęście było wówczas, gdy miałeś co włożyć do garnka i gdzie się przespać. Cała reszta to fanaberie. Chyba nie muszę tłumaczyć, czyje to słowa.

Obiło mi się o uszy, że w sobotni wieczór grupka osób z klasy wybierała się na biwak w lesie. Nie zaprosili mnie. Zdziwiłbym się, gdyby to zrobili, poza tym nie miałem zamiaru włączyć się z nimi po nocach. Z tego, co kojarzyłem, Siwy miał iść. Jeżeli tak było, to pewnie stało się coś, co zepsuło ten wieczór.

Wsiadłem na rower i pogałęm do szkoły. Szymon był mi niegdyś bliski, na początku podstawówki spędzaliśmy wspólnie dużo czasu. Miał wadę wzroku i z automatu dołączył do grupy spławianych, podobnie jak ja, z tym że jemu udało się zaskarbić szacunek reszty, a ja zostałem klasowym

odludkiem. Zmienił się. Chcąc przypodobać się tym troglodytom, stał się agresywny. Nie gnębił mnie, zwykle stał z boku i patrzył, jak inni to robią. Cóż, poświęcił starego kumpla w imię nowych przyjacieli. Nie miałem mu tego za złe, nasze drogi i tak prędzej czy później by się rozeszły.

Wciąż zastanawiałem się, co stało się na biwaku, dlaczego Siwy przepadł.

Przebrałem się i pobiegłem do klasy. Spóźniłem się dziesięć minut, co było niezłym wynikiem. Wiedziałem, że Krzywińska będzie punktualnie, miała słabość do cyfr. Zmierzyła mnie wzrokiem, gdy nieśmiało złapałem za klamkę i stanąłem w progu sali. Nic nie powiedziała. Przeprosiłem za spóźnienie, opuściłem głowę i ruszyłem w stronę ławki pod oknem. Kątem oka obserwowałem Smalca i Blachę. Wyglądali na zrezygnowanych, jakby ktoś wywiózł ich w środku nocy, zawiązał im oczy opaską i kazał odszukać drogę do domu.

Sprawiali wrażenie przygaszonych, nie zaczepiali mnie, nie stroili głupich min.

Matematyczka nadal milczała. Nie odczytała listy obecności, nie zająknęła się słowem o zakończeniu roku szkolnego. Cała sala milczała jak grób. Wydawało mi się, że ktoś powinien pstryknąć palcami i sprawić, żeby wszystko wróciło do normy. Wybudzić nas z letargu.

Na twarzach kilku dziewczyn zauważyłem łzy, więc bałem się, że przegapiłem jakąś dramatyczną wiadomość. Na zewnątrz zrobiło się gorąco, słońce przeciskało się do klasy każdą szczeliną, kreśliło jasne smugi na ławkach. Zmrużyłem oczy.

Nie miałem odwagi wstać i uchylić okna, ale czułem, że po plecach spływa mi pot. Nie chciałem zburzyć powagi tej chwili; dziwnej, namacalnej dramaturgii.

Wstydzilem się odwrócić, spojrzeć w oczy chłopaków, którzy zatruwali mi życie. W tym momencie wydawali się słabsi ode mnie. To nie był czas, by odreagowywać na nich własne niepowodzenia i krzywdy. Milczałem.

Do klasy wszedł korpulentny, łysiejący mężczyzna w znoszonym garniturze i ze starannie przystrzyżonym wąsem. Mieczysław Stawisiński był dyrektorem szkoły, z jego zdaniem liczyli się wszyscy, a jego pojawienie się na zajęciach zwiastowało kłopoty. Podszedł do tablicy,

machnął ręką w stronę nauczycielki, by nie wstawała, i odpowiedział na anemiczne „dzień dobry” uczniów, burcząc coś pod nosem. Rozejrzał się po klasie, po czym, zachowując powagę, odezwał się:

– Z pewnością wiecie już, że wasz kolega, Szymon Sulima, zaginął – mówił spokojnie, nie mógł pozwolić, aby jego podenerwowanie udzieliło się uczniom. – Jestem pewien, że niebawem wróci do domu, ale by tak się stało, potrzebujemy waszej pomocy. Jeśli ktoś wie, gdzie może przebywać albo co się z nim dzieje, niech nie trzyma tych informacji w tajemnicy. Wiecie, że mój gabinet jest dla was zawsze otwarty, możecie przyjść i powiedzieć wszystko, co leży wam na sercu. Zawsze. Tym razem sytuacja jest wyjątkowa i proszę, bądźcie to przemyśleli. Jeśli czegoś się wstydzicie, nie wiem, boicie się do czegoś przyznać – rozłożył szeroko ręce – możecie zawsze liczyć na dyskrecję. Odnalezienie Szymona jest w tej chwili najważniejsze. Pamiętajcie o tym.

Zamilkł i czekał na reakcję. Nikt się nie odezwał.

– Na pewno wiecie, że szkoła współpracuje w tej sprawie z policją. Niektórzy z was mogą dziś bądź jutro zostać zaproszeni na krótką rozmowę. To normalna procedura w takich przypadkach – uspokajał. – Nie macie się czego obawiać ani po co niepotrzebnie stresować. Będę z wami podczas rozmowy, żebyście czuli się pewniej. Proszę tylko o szczerą. Nie ma takich tarapatów, z których nie dałoby się wyjść obronną ręką, możecie mi wierzyć. Wasi rodzice zostaną o wszystkim poinformowani, zresztą pewnie i tak wszyscy wiedzą, że Szymon nie wrócił do domu. Wróci. Obiecuję wam, że wróci cały i zdrowy. – Stawisiński uśmiechnął się, jakby chciał dodać nam otuchy. Wydawało mi się, że najtrudniej było mu przekonać do tej wersji siebie. Zbyt wiele widział i przeżył, żeby naiwnie wierzyć w cuda.

Zanim wyszedł, poprosił na bok nauczycielkę i zamienił z nią kilka słów. Zdążył przykleić do ust plastikowy uśmiech i raz jeszcze potwierdzić, że Szymon wróci do domu.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Krzywińska otrząsnęła się i podeszła do tablicy, zapominając na chwilę o tym koszmarze. Normalność to było to,

czego w tej sytuacji potrzebowaliśmy. Kłopot w tym, że za tą kruchą fasadą codzienności skrywały się strach i niepewność.

Wszyscy zdali sobie sprawę, że coś złego stało się na biwaku. Milczenie osób, które tam były, tylko wzmogło domysły. Całą przerwę przesiedzieli w klasie, nie ruszali się stamtąd na krok, chęć do głupich żartów zupełnie ich opuściła. Nawet Blacha wydawał się przygaszony. Pozostali uczniowie przyglądali się im, próbując odgadnąć, co się stało feralnej nocy. Każdy bał się zapytać, nikt nie drążył tematu.

Na przerwie siadłem pod ścianą w korytarzu i grałem w grę elektroniczną. Przerośnięta kałamarnica utrudniała nurkowi dostęp do leżącego na dnie skarbu. Moim zadaniem było dostarczenie na łódkę łupów i uniknięcie jej wydłużających się macek. Na kilka dni Blacha i reszta dali mi spokój, gdy ją przyniosłem. Wszyscy grali w jajka albo hokej, jako jedyny dostałem od taty *Tajemnice oceanu*. Niestety szybko się znudzili, uprzykrzanie mi życia sprawiało im więcej frajdy.

Kątem oka widziałem, że przysiada się do mnie jedna z koleżanek z klasy, Iza.

– Wiesz, co się z nim stało? – szeptała, jakbym miał coś wspólnego z zaginięciem Szymona.

– Nie. Skąd pomysł, że mógłbym coś wiedzieć? – Wrzuciłem gierkę do plecaka.

– Nie wiem. Mieszkasz najbliżej lasu. Myślałam, że coś słyszałeś lub widziałeś.

– Nie miałem nawet pojęcia, że wybierają się na ognisko – skłamałem. – Las jest rozległy, łatwo się w nim zgubić.

– Myślisz, że się zgubił? Marta w kółko powtarza, że nie było go w namiocie. I nikt nie wie, co się z nim stało. Przepadł jak kamień w wodę.

– Iza wciąż szeptała, jakby w obawie, że ktoś może nas podsłuchiwać. Była przestraszona.

– Gadałaś z nią?

– W szatni. Ale szybko się zmyła, nie chciała rozmawiać. Myślisz, że ściemnia?

– Nie wydaje mi się, by wybrał się do domu w środku nocy. To byłoby głupie.

– Podobno w namiocie zostały jego rzeczy. Gdyby wracał, wziąłby je ze sobą.

– Może poszedł się tylko przejść i zabłądził. Kto wie, co mu strzeliło do głowy.

– Niby po co miałby włóczyć się po nocy? Sam twierdzisz, że to niebezpieczne.

Wzruszyłem ramionami. Zmęczyłem się wymyślaniem kolejnych scenariuszy.

– W szkole są już policjanci – ciągnęła tymczasem Iza. – Widziałam, jak dyrektor prosił Martę do swojego gabinetu. Chłopaki mają czekać na swoją kolej. Myślisz, że ich podejrzewają?

– Chyba nie... – Zawahałem się. – Chcą się dowiedzieć, co się mogło stać. Byli z nim na ognisku, musieli coś widzieć. To raczej normalne, że ich teraz maglują.

Wymianę zdań przerwał dzwonek. Wstaliśmy i ruszyliśmy do sali od biologii.

– Mam tylko nadzieję, że wróci do domu cały i zdrowy – rzuciła, mijając mnie w progu. – Modlę się o to. Po szkole będzie msza w jego intencji. Przyjdiesz?

Skinąłem głową, że tak, ale wiedziałem, że tego nie zrobię. Po śmierci mamy przestałem wierzyć w Boga, o ile w ogóle kiedyś w niego wierzyłem. Gdyby istniał, nie odebrałby mi jej. A skoro zabierał do siebie najlepszych, nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

Żadnej z osób, które wybrały się na biwak, nie było na lekcjach do końca roku szkolnego. Iza miała rację. Nie pokazali się w szkole, nie przyszli na rozdanie świadectw, niepotrzebnie potęgując plotki i domysły. Według części uczniów to oni odpowiadali za zniknięcie Sulimy. Ludzie szeptali o nieszczęśliwym wypadku, porwaniu, ci z największą wyobraźnią doszukiwali się wątków związanych z jakąś sektą.

Bez względu na to, ile prawdy było w tym wrózeniu z fusów, Siwy nie wrócił do domu. Ani tego feralnego lata, ani żadnego kolejnego.

2019

Wdech. Wydech. Szybki rzut oka na pulsometr i kontrola tętna. Lazar spoglądała na nadgarstek, jakby od tego niepozornego wyświetlacza na przegubie zależały jej funkcje życiowe. Każdego ranka starała się wybiegać przynajmniej pięć kilometrów, a jeżeli nie zrealizowała planu minimum, czuła się okropnie.

Substancje uwalniające się w trakcie biegu sprawiały, że organizm pracował na pełnych obrotach. Mieszkała w sąsiedztwie lasu, kiedy wychodziła z domu, brała tylko to, co mogło się przydać. Nie chciała się rozpraszać.

Po krótkiej rozgrzewce i rozciąganiu potruczała wzdłuż lasu. Wybierała sprawdzone trasy, od nieużytków za domem do końca wsi. Wracała rzadko uczęszczaną drogą. Latem wydłużała dystans, biegnąc przez las, a gdy dzień robił się krótszy, korzystała ze sztucznego światła rozstawionych wzdłuż szosy latarni.

Wśluchiwała się w dźwięki muzyki, która płynęła w słuchawkach. Wokalista Imagine Dragons starał się ją przekonać, jak kiepskim jest kłamacz. Lazar nie miała sobie aż tyle do zarzucenia, choć ukrywanie relacji z Błażem stało się z czasem coraz bardziej męczące.

Zatrzymała się przed domem i napiła wody. Nie biegała po to, by wykręcać rekordy i przesuwać granice możliwości, robiła to po to, żeby się zmęczyć, znów poczuć, że żyje.

Wzięła szybki prysznic, przebrała się i zeszła do kuchni. Odnotowała obecność męża, który krzątał się przy lodówce, jakby była przezroczysta. Musiała się spieszyć. Za kwadrans powinna wyjść z domu, by dotrzeć do pracy na czas.

– Jak ty to robisz, że pół nocy ślęczysz przy monitorze i rano masz jeszcze siły, żeby katować się bieganiem – zaczął, nie odwracając się do niej. Zastanawiała się, czy nie odbić tej piłeczki, ale to by nic nie dało. – Zamierzasz w ogóle coś zjeść?

– Nie. Mam dziś tyle roboty, że zjem coś po drodze.

Cisza, która między nimi zapadła, nie zwiastowała niczego dobrego.

– Maja ma jutro występ z okazji Dnia Ojca. Mam nadzieję, że pamiętasz. Obiecałaś jej, że usiądziesz w pierwszym rzędzie.

Nie lubiła, kiedy mówił do niej, stojąc tyłem, ale wiedziała, z jakiego powodu to robił. Światło za uchylonymi drzwiami lodówki zaczęło mrugać, uświadamiając jej, że pauza się przeciąga.

– Pamiętam. Postaram się zdążyć – odparła, darując sobie uwagę o Dniu Ojca.

– Postarasz się. Wspaniałomyślnie z twojej strony. – Drzwi od lodówki trzasnęły zdecydowanie za głośno. Artur stał przy blacie i smarował pieczywo masłem.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? Wiesz, jaką mam pracę, nie mogę przewidzieć wszystkiego, co się wydarzy. Nie jestem wróżką. Zrobię wszystko, by tam być. Zadowolony?

– Co ja mam powiedzieć córce, gdy znów będzie cię wypatrywać na widowni?

– Może prawdę? Że mama bardzo chciała zdążyć, ale musiała zostać w pracy? Nie przejdzie ci to przez gardło?

W pośpiechu się spakowała, wiedząc, że jeżeli zostanie tu chwilę dłużej, pójdą na otwartą wymianę ciosów.

– Mam wytłumaczyć pięciolatce, że dla mamy ważniejsze jest ustalenie, czyje kości gniją w ziemi od lat i nie mogą być już bardziej martwe, od jej występu i związanego z nim stresu? Z pewnością będzie na tyle dojrzała, by zrozumieć.

– Myślisz, że dla mnie to jest proste? – Ola podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w oczy. – Sądzisz, że sprawianie zawodu córce po mnie spływa? Umawialiśmy się, że tak to będzie wyglądało. Obiecałeś mi wspierać,

wiesz, że nie mogę rzucić pracy z dnia na dzień. Zresztą co miałabym według ciebie robić, no? Słucham?

– Nigdy jej nie rzucisz. A z okłamywaniem mnie nie masz takich problemów.

Ola nie skomentowała tego. Wiedziała, że musi trzymać emocje na wodzy.

– A gdybyś to zrobiła, co by się niby stało? – ciągnął zirytowany. – Przymieralibyśmy głodem? Nie. Nieźle zarabiam, wciąż żylibyśmy na wysokim poziomie.

– Nie zamierzam siedzieć w domu jak twoja matka i opiekować się dziećmi. Nie oczekuj ode mnie, by tak wyglądały moje życiowe ambicje – odgryzła się. – Miałaś tego świadomość. I nie chodzi o pieprzone pieniądze. Chcę się rozwijać, być potrzebna i nie wisieć na twoim pasku. Tak trudno ci to zrozumieć?

– Tylko czemu twoja córka musi płacić za to taką cenę?

– To także twoja córka. Nie zapominaj o tym.

– To jedyny argument, na jaki cię stać? Zagłuszasz nim wyrzuty sumienia?

– Nie mam wyrzutów sumienia.

Nie miała ochoty rozdrapywać wciąż jątrzących się ran. Trzasnęła drzwiami, wyszła przed dom i wsiadła do samochodu.

Była wściekła, łzy same napłynęły jej do oczu. Zacisnęła powieki, nie powinna dawać mu tej satysfakcji. Byli ze sobą wystarczająco długo, by znać swoje mocne i słabe strony, wiedzieli, gdzie nacisnąć, by wywołać właściwą reakcję. Ola obiecała sobie, że to skończy. Odchodząc od męża, mogła stracić córkę, a rezygnując z relacji z Urygą, godziła się na życie, które przeciekało jej pomiędzy palcami, na tkwienie w związku, który wypalił się po narodzinach Mai. Życie nie było sztuką wyboru, tylko zgniłym kompromisem.

Zatrzymała się na parkingu przed gmachem komendy powiatowej i wbiegła po schodach na piętro. Wydział kryminalny składał się z kilku niedużych pokoi i sali odpraw. W wakacje zespół był przetrzebiony, mimo

to wciąż mogła liczyć na najbliższych współpracowników. Przynajmniej na tym etapie sprawa została w ich kompetencji.

Wyniki badań mogły to zmienić. Póki miała karty w dłoni, musiała się spieszyć.

W sali odpraw zastała Urygę, Karola Murawskiego oraz młodą dziewczynę, którą komendant jakiś czas temu przydzielił do zespołu z drogówki. Sylwia Rosińska była bystra i pracowita, ale zbyt ładna, aby kompetencje zdołały odwrócić uwagę od powierzchowności, co nie ułatwia pracy w tym środowisku. Lazar przerabiała to na początku służby i spodziewała się, że dziewczyna będzie oceniana przez pryzmat ładnej buzi, a nie zdolności i zaangażowania. Im prędzej to pojmie, tym lepiej, w innym razie rozczarowanie podetnie jej skrzydła.

Pozostali funkcjonariusze rozsiedli się pod ścianą i czekali na podział zadań.

– Jest coś nowego? – Ola wlała sobie kawy z ekspresu przelewowego. Ustalili dyżury, każdego ranka ktoś inny parzył kawę dla zespołu. Dziś znów ktoś ją wyręczył.

– Mam potwierdzenie z laboratorium. Specjaliści zdołali wyizolować DNA z materiału kostnego i oznaczyć profil. Nie dysponujemy uprawdopodobnionym profilem osoby zaginionej, dlatego musi wystarczyć porównanie profilu DNA oznaczonego z kości z profilami pobranymi od rodziców chłopaka. Jestem w kontakcie z ekspertami, to jeszcze chwilę potrwa – podkreślił Uryga, wystukując na blacie jakąś melodię.

– Wiemy, ile lat miała ofiara i jak długo kości przeleżały w tych warunkach?

– Im ofiara jest młodsza, tym większa szansa dokładniej ustalić wiek, choć i tu bezpieczniej podać widełki – przypomniał Błazej. – Wynika to z procesów rozwojowych. U osób w pełni dojrzałych w grę wchodzi znacznie więcej czynników, różnic związanych nie tylko z płcią, ale i przebytymi chorobami, urazami czy nawet stylem życia. W tym wypadku mówimy o nastolatku albo bardzo młodym mężczyźnie, ale pamiętaj, że po tylu latach trudno to precyzyjnie ustalić. Kości są stare, lekkie,

w miejscach, w których wystawały ponad powierzchnię, zawiązały się mchy – dokończył Uryga. Wolał nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

– Wiemy kiedy i w jakich okolicznościach mógł stracić życie?

– Nie. Kości znaleziono na grzędawisku, a środowisko ma ogromny wpływ na rozkład ciała. Podobnie jak pogoda czy to, na jakiej głębokości zalegały. Zwłoki dorosłego człowieka w normalnym otoczeniu mogą ulec zeszkieletowaniu już po kilku miesiącach. Pod ziemią ten proces przebiega wolniej, nawet kilka lat, to zależy od szeregu czynników; głębokości, warunków atmosferycznych, rodzaju gleby. Stan kości świadczy o tym, że to stara sprawa. Pytanie, jak bardzo.

– A przyczyna zgonu? Jesteśmy w stanie na tej podstawie ją określić?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Szkielet nie jest kompletny. Niektóre z kości są złamane lub zniekształcone, jak kość biodrowa. Pytanie, czy te uszkodzenia powstały w wyniku urazu, czy dopiero po śmierci. Tym bardziej że są na nich ślady drapieżników. Jak dotąd wciąż jest więcej pytań niż odpowiedzi – uściślił Murawski. – Biegli mają masę roboty.

Najwyraźniej rozmawiali na ten temat, nim zaczęło się zebranie.

– Skupmy się na tym, co wiemy – stwierdziła Lazar. – Znamy przybliżony wiek ofiary, jej płeć. To w pewien sposób zawęży krąg poszukiwań. Przeglądałeś pod tym kątem bazę danych? – spytała Murawskiego.

Musieli podejść do sprawy z pełnym zaangażowaniem, zweryfikować wszystkie tropy i liczyć na odrobinę szczęścia. Dopóki nie stwierdzono pokrewieństwa na podstawie profili DNA, nie mogła być w stu procentach pewna, że kości należą do Szymona Sulimy.

– Ja to zrobiłam – odezwała się Sylwia. – Przeanalizowałam okres od kilku do kilkudziesięciu lat, skupiając się na młodych mężczyznach. W tym czasie zaginęło w okolicznych gminach kilkanaście osób, spośród których kilka spełnia kryteria. Biorąc pod uwagę okoliczności, zaginięcie Sulimy wydaje się najbardziej prawdopodobne. W tym czasie przepadł też Witold Mamrot, ale w jego przypadku zaginięcie zgłoszono po jakimś czasie. I był

trochę starszy. Są osoby, które zniknęły dalej, kilkadziesiąt kilometrów stąd, więc gdyby nasze tropy zawiodły, warto się im przyjrzeć.

Lazar nie mogła dać po sobie poznać, że sprawa ma dla niej wymiar osobisty.

– Dobra robota. Zaczniemy od lokalnych zaginięć i będziemy poszerzać zakres poszukiwań – zdecydowała. – Zaginięcie Szymona Sulimy biorę na siebie. Rozmawiałam z jego rodzicami i śledczym, który pracował nad tą sprawą. Miejmy nadzieję, że przekazane przez nich próbki uda się sparować z profilem wyizolowanym z kości – wtrąciła od niechcenia.

Uryga imponował jej wiedzą i doświadczeniem, widać, że przepracował kilka lat w wydziale kryminalnym. Uświadomiła sobie, że nigdy go nie pytała, dlaczego się tu przeniósł.

– Wszystko wskazuje na to, że po latach udało się wreszcie odnaleźć włóki chłopaka. – Murawski powiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

– Nawet jeśli to prawda, wciąż nie wiemy, w jaki sposób się tam znalazł i dlaczego zginął. – Nie chciała, by uznali sprawę za rozwiązaną. – Skupmy się na swoich zadaniach.

– Przeglądałem akta. Był pijany, pobłądził i nie zdołał wydostać się z bagna – nie odpuszczał Karol. Był najstarszy z nich, pracował w zespole od kilkunastu lat i kojarzył sprawę z opowieści starych śledczych. Ola zastanawiała się, co dokładnie mógł o niej wiedzieć, jednak ten dbający o kondycję, dobrze zbudowany czterdziestoośmiolatek nie zająknął się na ten temat słowem. Nie mógł jej skojarzyć z tamtą dziewczyną, którą wtedy była. Młynarczyk też zadbał o to, by nikt nie skojarzył jej z zaginięciem Sulimy.

– Z tego, co wiem, niektóre kości były zniekształcone – dopowiedziała Sylwia.

– Co może mieć związek z warunkami, w jakich przebywały, w lesie roi się przecież od zwierząt. Woda też zrobiła swoje – wyjaśnił Błażej. – Nie wiem, czy po takim czasie uda się określić, co mogło być przyczyną zgonu. Uraz mechaniczny także jest prawdopodobny. Chłopak mógł ulec wypadkowi, niczego nie da się wykluczyć. Musimy uzbroić się

w cierpliwość i zaufać specjalistom. Technicy wrócili na miejsce, ze względu na trudny teren powtórzyli działania i znaleźli fragmenty kości.

– Dopóki nie mamy pewności, że to on, działamy wielotorowo. Ja koncentruję się na Sulimie, wy pracujecie przy zaginięciach, o których wspominała Sylwia. Co o nich wiemy? – Lazar zwróciła się do młodej policjantki.

– Dwudziestoletni mężczyzna, Janusz Zając, przepadł w jednej z sąsiednich wsi w maju dwa tysiące pierwszego roku. Rodzina podejrzewa, że wyjechał do Anglii, ale nigdy się nie odezwał, nie dał znaku, że żyje. Jacyś ludzie widzieli go, jak wsiadał na stopa i jechał w kierunku Krakowa z plecakiem. W połowie lat dziewięćdziesiątych, jak wspomniałam, przepadł miejscowy pijaczek Witold Mamrot. Trzydziestoparolatek od dawna miał kłopoty z prawem. Kradł, wdawał się w bójki i rozrabiał. Matka nie żyje, wcześniej też niespecjalnie im się układało. Przez miesiąc był spokój, a w kolejnym znowu szedł w tango; lał ją, domagając się pieniędzy, a gdy nie wpuszczała go do domu, urządzał jej istne piekło. Przejrzałam akta obu spraw, teoretycznie obie pasują, ale realnie trudno będzie je zweryfikować – zakończyła Sylwia, wpatrując się w leżące obok notatki. – Co ciekawe, wcześniej Mamrot zgłosił się na policję i chciał sypanąć kumpli.

– Z jakiego powodu?

– Stare urazy. Przypomniawszy sobie o tym, że włamywali się ludziom do domów.

– Warto się temu przyjrzeć, zaczniemy od tych spraw. Jeżeli uda się sparować profile genetyczne, będziemy w domu. Jeśli to nie oni, musimy szukać dalej. Błazej, zajmij się Mamrotem – zasugerowała Lazar i dodała, że mogą wracać do siebie.

Niecierpliwość skłaniała ją do odwiedzin w kilku miejscach. Sięgnęła po kluczyki od auta i wróciła do pracy w terenie.

To był jej żywioł. Nie znosiła nudnych nasiadówek i papierkowej roboty, którą musiała odwalać jako szefowa wydziału kryminalnego. Szybko odjechała spod gmachu komendy.

Niepewność znów rozsiadła się na jej ramionach i szeptała do ucha zdradliwe wskazówki. Rzucała fałszywe tropy i wysysała z niej całą energię.

1996

Poszukiwania rozpoczęły się z samego rana, jednak długo nie zdawałem sobie sprawy z ich skali i zasięgu. Wracając do domu, wiele razy widziałem serpentyny światła snujące się po oplatających okolicę łąkach i koronach drzew. Przemierzałem wydeptane ciężkimi buciorami trawy i wsłuchiwałem się w nawoływania ludzi. I w szept wydobywającej się z lasu trwogi. Z każdym dniem brzmiał donośniej, jakby karmił się ich niepewnością i strachem.

Policjanci, strażacy i żołnierze przeszukiwali łąki i pola zwartą tyralierą, oddaleni od siebie o kilka kroków. Wpatrywali się w ziemię, szukali jakiegokolwiek śladu, rąbka nadziei, która rozpościerała nad ich głowami ochronny parasol.

Sprawdzali rzadko uczęszczane szlaki, zaglądali do opuszczonych budynków i trudno dostępnych miejsc. Prześledzili odjazdy z przystanków przylegających do obszaru poszukiwań, rozpytali mieszkańców, usiłując ustalić, co się mogło stać z Szymonem, odtworzyć jego ostatnie kroki. Byłem pod wrażeniem rozmachu poszukiwań, zaangażowania ludzi, ich bezinteresownej pomocy. Wiedziałem jednak, że okoliczne lasy są na tyle rozległe i nieprzystępne ze względu na pofałdowany, podmokły teren, że sam zapal mógł nie wystarczyć.

Z samego rana zbieraliśmy się w szkole, a po śniadaniu wyruszyliśmy w teren. Dzieliliśmy się na zespoły, sprawdzaliśmy każdą dziurę we wsi i przeszukiwaliśmy znajdujące się w okolicy nieużytki. Całymi dniami snuliśmy się głodni po łąkach, pukaliśmy od domu do domu z wydrukami uśmiechniętej twarzy Siwego. Po jakimś czasie ludzie przestali już na nie patrzeć. Każdy reagował na tragedię na swój sposób; jedni machali rękami,

twierdząc, że gówniarz na pewno nawiał z domu, inni zapewniali, że do niego wróci, pozostali wysuwali absurdalne teorie: obwiniali o zaginięcie rodziców, szkołę, upadek obyczajów, a nawet rząd. Żadna z tych wyssanych z palca historii nie posunęła działań śledczych o krok w stronę rozwiązania. Tracili cenny czas na weryfikację tych bzdur.

Po kilku dniach poszukiwań wszyscy byli tak zmęczeni, że zapał wygasł. Ludzie wykruszali się i wracali do swoich zajęć, w końcu sprawa ucichła. Jak wszystko. Śmierć mamy nauczyła mnie, że człowiek umie przyzwyczaić się do każdej prawdy, bez względu na to, jak bolesna się okazuje.

Ojca w ogóle to nie obchodziło. Nie był typem człowieka, który przejmowałby się kłopotami innych, miał zbyt wiele swoich, co lubił podkreślać. Wspomniałem o zaginięciu Siwego kilka razy. Obserwowałem zgarbioną sylwetkę długowłosego mężczyzny pochylonego nad talerzem zupy mlecznej z zacierką. Jadł to samo każdego poranka.

– Co tam w szkole, młody? – zagadał, nie odrywając wzroku od talerza.

On też potrzebował otworzyć do kogoś usta. I tak był w lepszej sytuacji ode mnie; miał znajomych, pracował. Ja całymi dniami włóczyłem się w pojedynkę. Po śmierci mamy stałem się jeszcze bardziej samotny. Zbędny.

– Nie mamy już zajęć. Mówiłem ci, że zaginał chłopak z naszej klasy i od kilku dni nie robimy nic innego, tylko go szukamy. – Nie wierzyłem, że przyswojenie tej informacji przekracza możliwości intelektualne dorosłego faceta. Skupiał się wyłącznie na tym, co jest istotne dla niego. Całą resztą nie zaprzętał sobie głowy. Ta umiejętność bardzo ułatwiała życie.

– Jeszcze go nie znaleźli? – dopytał niewzruszony, siorbiąc nad talerzem.

– Nie. Chodzą od domu do domu i wypytują, czy ktoś coś widział. U nas też byli, ze dwa razy. Pytali o ciebie, ale wyjaśniłem, że trudno zastać cię w domu.

– Nie lubię, jak ktoś mnie tu nachodzi. Jak zajrzą następnym razem, możesz ich zapewnić, że nie widziałem żadnego gówniarza, który kręci się bez celu po okolicy. Albo inaczej. – Zreflektował się. – Każden jeden właśnie to robi.

Nie skomentowałem tego. Z jakiegoś powodu ceniłem w ojcu tę emocjonalną obojętność, sam z trudem panowałem nad uczuciami, które targały moją kruchą, niedojrzałą psychiką. Zacząłem tracić nadzieję, że odziedziczę po nim tę cechę; znoszony płaszcz, który pozwoli mi uniknąć nienawistnych spojrzeń i sprawi, by słowa, które dziś ranią, spływały po jego powierzchni jak deszcz.

Wyjrzałem przez okno i usłyszałem, że przyjechał po niego Cypis. Walił w klakson tak, że poderwał do lotu ptaki, które rozsiadły się na ganku. Czułem, że robię się purpurowy ze złości.

– Ten debil rozjechał Tytusa – rzuciłem, z trudem tłumiąc wściekłość.

– Wyrażaj się. Naprawdę liczyłeś na to, że ta przybłęda zostanie z nami dłużej? – Patrzyłem, jak odstawia talerz do zlewu i zakłada flanelową koszulę wiszącą na krześle.

Ojciec sam mi o tym powiedział, w niedzielę przy śniadaniu. Łzy napłynęły mi do oczu, wybiegłem na zewnątrz i w przypiływie wściekłości rzuciłem się na jego kumpla. Cymański śmiał się, odganiając się od moich anemicznych ciosów. Szybko opadłem z sił.

– Ty gnoju, zabiłeś mi psa! – wrzeszczałem, usiłując zrobić mu krzywdę.

– Przestań się mazgać. To tylko kundel. Wpadł mi pod koła, nic na to nie poradzę, że był głupi jak but z lewej nogi.

– Sam jesteś głupi!

Nie umiałem się uspokoić. Moje ciosy nie zrobiły na nim większego wrażenia i zapłakany siadłem na trawie. Tytus był ostrożny wobec obcych, widać potrafił wyczuć człowieka na odległość. Tata radził mi, bym się nie przywiązywał do tego psiaka, i nawet jeśli rozumiałem, że kiedyś może odejść, to nie sądziłem, że stanie się to tak szybko. I że rozjedzie go ten debil. Nie wierzyłem w ani jedno jego słowo. Byłem pewien, że zrobił to specjalnie. Nie znosiłem Cypisa. Gnojek był śliski, agresywny i nieprzewidywalny.

Gdy ochłonąłem, wskazał mi miejsce za szopą na narzędzia, pod lasem, w którym zakopał truchło psa, i wręczył szpadel, żebym ubił świeżo rozkopaną glebę. Jego mętne spojrzenie przypominało wzrok psychopaty, ani przez sekundę nie wyraził skruchy. Pamiętam, że wkopałem tam mały

krzyż, zbity z gałęzi, i wyplakałem przy mogile Tytusa mnóstwo łez. Z czasem zarosła trawą i zlała się z otoczeniem. Nie został po niej ślad.

Przyglądałem się, jak tata wsiada do auta i odjeżdżają. Nie wybierałem ojcu znajomych. Nie miał szczęścia do ludzi. Do syna.

Po tym, jak w niedzielę omal się nie pozabijali, myślałem, że Cymański nie wróci. Wciąż się kłócili, nie nadażalem już ze śledzeniem o co.

Znów byłem zdany na własne towarzystwo. Umyłem naczynia, wysprzątałem kuchnię na błysk, wyrzuciłem z lodówki spleśniały ser i przeterminowane produkty, w końcu poszedłem na górę. Walnąłem się na łóżku i czytałem książkę, zapominając o bożym świecie. Nie miałem zamiaru wychodzić dzisiaj z domu, na zewnątrz zaczął siąpić deszcz. Ciskał kroplami w szyby, stukał w dach kościstymi paluchami, jakby zamierzał znaleźć w nim słaby punkt i wślizgnąć się do środka.

Wstawiłem do magnetofonu kasetę z muzyką z filmu *Batman Forever* i puściłem ją na cały regulator. Wiele razy prosiłem tatę, by wypożyczył mi film, jak będzie w mieście, ale wciąż zapominał.

Nie pamiętam, kiedy zmógł mnie sen. Ocknąłem się, bo wydało mi się, że ktoś dostał się do środka. To złudzenie, powtarzałem. Wiatr wykręcał artretyczne kończyny drzew, rozrzucał leżące na trawniku śmieci i wyrzucał firanki w oknach. Zapomniałem zamknąć drzwi po wyjściu ojca, więc wolałem to sprawdzić. Usłyszałem jakiś hałas, zresztą ciągle kręcili się tutaj różni ludzie. Ojciec lubił towarzystwo i nie zamykał się na znajomości.

Zszedłem po drewnianych, skrzypiących schodach na dół i rozejrzałem się uważnie, wsłuchując się w irytującą melodię gasnącej burzy.

Musiałem się przesłyszeć, bo w domu nie było żywego ducha. Stałem w oknie i wpatrywałem się w ten upiorny spektakl. Błyski przecinały delikatną skórę nocy.

Sięgnąłem do lodówki po coś do picia – i zastygłem z butelką oranżady w ręce.

Hałas się powtórzył. Zamarłem, czułem, jak serce podchodzi mi do gardła.

Odruchowo chwyciłem leżący na blacie nóż do krojenia pieczywa i zacząłem się wolno przesuwając w stronę sypialni ojca; to stamtąd dochodził hałas. W akompaniamencie grzmotów szedłem dalej, chcąc przyzwyczaić wzrok do panującej w przedpokoju ciemności. Czułem, że jestem zdany na siebie.

Ojciec za każdym razem powtarzał mi, że mam przestać się bać i walczyć odważnie o swoje, w przeciwnym razie zawsze znajdzie się ktoś, kto wyszarpie mi to z rąk.

Zrobiłem głęboki wdech i zamarłem, słysząc uderzenie pioruna. Odbite światło rozlewało się po ścianach, a huk wdzierał się do świadomości każdą szczeliną, wywołując trudny do okiełznania lęk. Nie mogłem zrezygnować, wycofać się i pozwolić, by strach wziął górę nad zdrowym rozsądkiem. Podeszedłem do progu sypialni i złapałem za klamkę, popychając drzwi do środka.

Nieśmiało zajrzałem za futrynę. Widziałem niewyraźną postać w łóżku, do którego dawniej przychodziłem, gdy nie mogłem zasnąć. Znów miałem wrażenie, że czuję dłoń mamy na mokrych włosach, ciepło jej ciała na skórze. Zdawało mi się, że widzę wzrok ojca, który odwraca się na drugi bok i zasypia, budząc nas chrapaniem. Czułem się w jej ramionach bezpieczny. Brakowało mi tego uczucia.

W pierwszym odruchu sądziłem, że to ona. Niemal widziałem jej twarz i wyciągnięte ręce, jakby zapraszała mnie, żebym znów do niej przyszedł. Czułem ciepłe ukłucie w sercu, które natychmiast stopniało, gdy zimna dłoń rozsiadła się na moim ramieniu.

Otrzeźwiałem. W pokoju rozbłysło światło i zobaczyłem młodą kobietę, która zasłaniała ciało naciągniętą pod szyję kołdrą.

Za moimi plecami stał ojciec.

– Co tu robisz, chłopie? – dotarł do mnie jego zachrypnięty głos. Domyślałem się, że nie jest szczęśliwy z powodu tego, co się wydarzyło. Przełknąłem ślinę.

– Myślałem, że nie ma cię w domu... – Plątał mi się język. – Że ktoś tu wszedł i kręci się po kuchni.

Poczułem tylko, że ojciec odbiera mi nóż, pochyla się i łapie mnie za ramiona, jakby chciał przewiercić mnie wzrokiem na wylot. Dotrzeć do źródła strachu.

– Jest już późno. Wróciłem do domu dwie godziny temu, ale pewnie nie zauważyłeś. Wracaj do łóżka, porozmawiamy jutro. I głowa do góry, dopóki tu jestem, nic złego ci się nie stanie. Rozumiesz?

Starłem się to powstrzymać, ale łzy stanęły mi w oczach. Wtuliłem się w silne ramiona ojca i robiłem wszystko, aby się nie rozkleić. Wiedziałem, że nie znosi słabości, pragnąłem być taki jak on. Silny. Niezależny. Wciąż sprawiałem mu zawód.

– Głowa do góry – powtórzył ojciec i poczochnął mnie po włosach, jak dziecko, rozpalając nieśmiały uśmiech w kącikach ust. – No, wracaj do siebie, synu.

Zrobiłem to, o co prosił, przyglądając mu się. Dałbym wszystko, by zyskać jego miłość, żeby pozwolił mi zbliżyć się do siebie. Zatrzymałem się na schodach i przypominałem sobie ten dzień, w którym straciłem mamę. Przeszywający ból i rozdzierający lęk. Wiedziałem, że nie przeżyję tego po raz drugi.

Wróciłem do siebie. Zakryłem twarz poduszką i starałem się nie słuchać śmiechu, a potem głośnych okrzyków kobiety, na którą się przez przypadek natknąłem.

2019

Lazar zdawała sobie sprawę, że przesłuchanie nagrań zajmie dużo czasu. Myślała o tym, czy podzielić się taśmami z resztą zespołu, ale bała się, że przegapi w ten sposób coś istotnego; była uparta i wierzyła, że warto ufać wyłącznie sobie. Odsunęła resztę. Nie wyleczyła się z tego od początku służby; wyrywała każde zlecenie, wyszarpywała je pazurami, by zyskać szacunek doświadczonych policjantów.

Wykąpała córkę, przeczytała jej jedną z przygód dziesięciu skarpetek i zaczekała przy łóżku, aż zaśnie. Wzięła piwo bezalkoholowe i usiadła na poddaszu.

Temperatura na zewnątrz nieco spadła, ale wieczór wciąż był ciepły i duszny.

Znalezienie odtwarzacza kaset video okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Targowisko w jednej z sąsiednich gmin kurczyło się z roku na rok, jednak obok owoców, warzyw i mięsa wydawanego spod lady w opłakanych warunkach sanitarnych można tu było kupić rzeczy, które wyszły z obiegu, nim Lazar przyszła na świat. Handlarze z daewoo tico i zardzewiałych żuków wyprzedawali pod lasem dobytek życia, wszystko, co dało się spieniężyć. Sześćdziesięciolatek w kaszkiecie zapewnił ją, że sprzęt działa bez zarzutu. W razie czego miała wrócić z reklamacją, i tak nigdzie się stąd nie ruszał. Gratis dołożył kabel.

Podłączyła urządzenie do telewizora. Godziny spędzone w młodości na oglądaniu wypożyczonych z wideoteki kaset nie poszły na marne, obsługa sprzętu okazała się dziecinnie łatwa. Usiadła w fotelu i sięgnęła po jedną z taśm, które leżały na biurku. Mimowolnie odsuwała ten moment, jakby

bała się wrócić do tragedii sprzed lat. Czasem miała wrażenie, że przyciąga nieszczęścia jak magnes.

Domyśliła się, dlaczego Andrzej nie przyznał się wcześniej do posiadania kaset; nie powinien w ogóle ich mieć. Popełnił błąd, wynosząc z komendy zapis tych rozmów, i nie chwalił się przed światem, że istnieją. Każda z nich była opisana imieniem i nazwiskiem ucznia oraz datą nagrania. Jej dziadek nie zgodził się na rejestrację rozmów – na jego miejscu zrobiłaby tak samo.

Ola upiła łyk piwa i sięgnęła po jedną z nich. Zaczęła od nagrania z Martą, ale dziewczyna była tak zestresowana, że większość czasu płakała lub odpowiadała zdawkowo. Malczewski też nie był specjalnie rozmowny. Odpowiadał „tak” lub „nie”, udając, że jakoś się trzyma. Tak naprawdę był kłębkim nerwów. Ich relacje niczego nie wniosły.

Wsunęła ostatnią taśmę do odtwarzacza i czekała, aż pokaże się obraz. Jakość zapisu pozostawiała wiele do życzenia, a ją ciekawiło nie tylko to, co powie kolejny świadek, ale głównie mowa jego ciała, która potrafi zdradzić więcej niż treść zeznania.

Sprzęt ustawiono na końcu stołu. Konrad Blachowski siedział spokojnie, z dłońmi na odrapanym blacie; unikał oka kamery. W tle słychać było gładzenie dyrektora szkoły i uderzenia w klawiaturę; pewnie maszyny do pisania, choć według zapewnień to była tylko nieformalna rozmowa. Młynarczyk poprosił o przedstawienie się, wyjaśnił powód, dla którego rozmawiają w szkole, w końcu przeszedł do konkretów.

POLICJANT: Przypomnij mi, gdzie spędziłeś noc z piętnastego na szesnastego czerwca bieżącego roku?

BLACHOWSKI: Mówiłem już, byłem na ognisku. W lesie.

POLICJANT: Odpowiadaj po prostu na pytania, dobrze? Na razie rozmawiamy wstępnie, ale za składanie fałszywych zeznań grozi odpowiedzialność karna, chciałbym, żebyś o tym pamiętał.

Konrad westchnął, usiadł wygodniej na krześle i wbił wzrok w blat stołu. Miał na sobie bluzę z kapturem i naszywką Eddiego z Iron Maiden. Poprawił opadającą na czoło grzywkę.

POLICJANT: Rozumiesz mnie?

BLACHOWSKI: Tak.

POLICJANT: Skąd pomyśl, żeby się tam w ogóle wybrać?

BLACHOWSKI: Zostało kilka dni do końca szkoły, zrobiło się gorąco, chcieliśmy się gdzieś razem wyrwać. W wakacje zwykle się rozjeżdżamy i nie ma okazji wyskoczyć gdzieś razem. To nasz ostatni wspólny rok, uznaliśmy, że trzeba to uczcić.

POLICJANT: Opowiedz mi, jak wyglądał ten dzień.

BLACHOWSKI: Od początku?

Chłopak wydawał się coraz bardziej poirytowany.

POLICJANT: Tak.

BLACHOWSKI: No więc rano wstałem, pościeliłem łóżko...

POLICJANT: Słuchaj, jeżeli wydaje ci się to zabawne, możemy przejść w mniej przyjazny tryb. Jak wolisz.

Śledczy zachował zimną krew. Lazar łapała się na tym, że gówniarz dawno wyprowadziłby ją z równowagi. Utrzymanie emocji na wodzy było w tej pracy przydatną umiejętnością. Andrzej nie chciał zniweczyć pracy całego zespołu.

BLACHOWSKI: No więc zjadłem coś i siedziałem w domu, oglądałem telewizję i grałem w *Contrę*. Nie chciało mi się wkuwać do egzaminu, do końca roku nie ma normalnych zajęć, oceny są już wystawione. Nie ten ogólniak, to inny. Przyszedł po mnie Siwy, wzięliśmy parę rzeczy i ruszyliśmy. Reszta miała czekać w wyznaczonym miejscu.

POLICJANT: Czyli gdzie?

BLACHOWSKI: Pod głazem niedaleko wejścia do lasu. Umawialiśmy się tam wiele razy. Mogę was tam zaprowadzić.

POLICJANT: Czekali na miejscu, gdy tam dotarliście? O której to było?

BLACHOWSKI: Tak. Nie pamiętam, gdzieś koło trzeciej.

POLICJANT: Wasi rodzice wiedzieli, że wybieracie się na noc do lasu?

Piętnastolatek uśmiechnął się i stłumił parsknięcie.

BLACHOWSKI: Pan żartuje? Mój stary nie interesuje się tym, co robię, gdzie bywam i co się ze mną dzieje. Zresztą gdyby tak było, siedziałby tu teraz ze mną, co nie?

POLICJANT: A pozostali?

BLACHOWSKI: Skąd mam wiedzieć? Musi pan ich zapytać.

POLICJANT: Pytam o Szymona.

BLACHOWSKI: Nie. Wcisnął mamie jakiś kit, że śpi u mnie, czy coś takiego.

POLICJANT: W porządku. Co było dalej?

BLACHOWSKI: Dotarliśmy na miejsce. Zaprowadziliśmy tam policjantów, jak się okazało, że Sulima zniknął. Rozbiliśmy namioty, zebraliśmy trochę drewna na ognisko, ogólnie urządziliśmy się tam. Mogę łyka wody?

DYREKTOR: Proszę.

Chłopak sięgnął po szklanekę i wypił duszkiem niemal całą zawartość. Otarł mokre usta rękawem bluzy i mówił dalej.

BLACHOWSKI: No więc, jak wszystko było gotowe, zaczęliśmy się wygłupiać, z nudów. Pograliśmy trochę w karty, w butelkę, piliśmy piwo, smażyliśmy kiełbasę i chleb. Nic szczególnego, jak to na ognisku.

POLICJANT: Skąd mieliście alkohol?

BLACHOWSKI: Wziąłem parę butelek piwa z chaty. Reszta też coś przyniosła, nie wiem, skąd mieli.

POLICJANT: Właściciel sklepu, do którego wstąpiliście po drodze, przyznał się, że sprzedał wam alkohol.

BLACHOWSKI: Tak, zapomniałem o tym. Siwy kupił wino.

POLICJANT: Jedno wino?

BLACHOWSKI: Dwa, te patykami pisane. Najtańsze.

POLICJANT: Jak zachowywał się tego dnia Szymon? Czy coś wskazywało na to, że może stać się coś złego? Miał ostatnio jakieś kłopoty, trudności w szkole?

Nastolatek się ożywił. Widać było, że starał się umiejętnie dobierać słowa.

BLACHOWSKI: Normalnie. Nie ścięliśmy się, jeżeli o to chodzi. Stary krótko go trzymał, to były żołnierz, więc pas nieraz szedł w ruch. Sam słyszałem, jak się chwalił, że gdy skończy osiemnaście lat, ulotni się z domu. Ale chyba każdy z nas ma jakiś powód, by tak gadać, co nie?

Lazar zwróciła uwagę, że teraz mówił o zaginionym koledze w czasie przeszłym.

POLICJANT: Co przez to rozumiesz?

BLACHOWSKI: Bo ja wiem? Żadnemu z nas w chacie się nie przelewa, ale Szymon ma w miarę dzianych starych. Mówił mi, że ojcu odbija po alkoholu, że wszystko ma chodzić w domu jak

w szwajcarskim zegarku. W szkole jakoś sobie radzi, nie wiem, co mu strzeliło do głowy z tą ucieczką.

POLICJANT: Zakładasz, że zrobił coś głupiego? Że uciekł?

Chwila milczenia.

BLACHOWSKI: Nie wiem. Tak tylko zgaduję. Skoro go nie ma? Może bał się wrócić na chatę.

Sięgnął po szklankę i wypił resztę wody.

POLICJANT: Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

BLACHOWSKI: Ściemniło się już. Dziewczyny narzekały, że gryzą je komary, i poszły spać do namiotu. Pogadaliśmy chwilę, zjedliśmy ziemniaki z popiołu i tyle.

POLICJANT: Która mogła być godzina?

BLACHOWSKI: Nie pamiętam. Było ciemno, nie chciało nam się dokładać do ognia, komary cięły jak szalone. No więc zebraliśmy się i poszliśmy spać. Druga, trzecia?

POLICJANT: Byliście pijani?

BLACHOWSKI: Ja nie. Wypiłem parę piw i trochę wina. Złapałem fajną fazę, ale nie ścięło mnie. Nie jestem już dzieckiem, które upija się, wączając korek.

POLICJANT: A pozostali?

BLACHOWSKI: Bo ja wiem.

POLICJANT: A jak ci się wydawało?

BLACHOWSKI: Dziewczyny się pilnowały. Nie piły za dużo, pewnie się bały, że coś odwalimy po pijaku. Smalec wypił najwięcej, słyszałem, jak rzygał przed namiotem, ale nikt nie nawalił się tak, żebyśmy musieli wносить go do środka czy coś takiego.

POLICJANT: A Szymon?

BLACHOWSKI: Wypił tyle co my, ale zachowywał się normalnie. Jak na niego.

POLICJANT: Co to znaczy?

BLACHOWSKI: Siwy to Siwy. On jest trochę zakręcony. Żyje w swoim świecie. Ma swoje jazdy, nic groźnego.

Policjant zamilkł i czekał, aż chłopak dokończy urwaną myśl.

BLACHOWSKI: Ciągłe chodzi spięty. Śmiały się, że to przez to, że jego stary trzyma w domu dyscyplinę, stąd jego napady paniki. Potrafi być kłębkiem nerwów. Obraża się o byle co.

POLICJANT: Opowiadał wam, co się dzieje w domu?

BLACHOWSKI: Nie bardzo. Nigdy nie powiedział, o co chodzi, ale dało się wyczuć, że się tego wstydzi. Kiedyś na wuefie nie chciał się przebrać, wpadł w szał i wybiegł z sali gimnastycznej. Pewnie wstydził się pokazać ślady po pasie. Raz miał prawie złamany nos.

POLICJANT: Kiedy zorientowaliście się, że go nie ma?

BLACHOWSKI: Rano. Myślałem, że śpi. Nikt go nie budził. Dopiero jak dziewczyny wlażyły mu do namiotu i zobaczyły, że jest pusty, zaczęliśmy się martwić.

POLICJANT: Nie mówił, że gdzieś się wybiera z rana?

BLACHOWSKI: Nie. Zostawił w środku wszystkie rzeczy. Uznałem, że gdyby się zawiązał, zabrałby je ze sobą. Potem wpadłem na to, że to niegłupi pomysł. Może od początku miał taki zamiar?

POLICJANT: Nie zdziwiło was to?

BLACHOWSKI: Zdziwiło. Zaczęliśmy go szukać, nawoływaliśmy po lesie, ale po dwóch godzinach daliśmy sobie spokój, to nie miało sensu. Opadliśmy z sił i uznaliśmy, że wrócił do domu. Zebraliśmy się i poszliśmy do siebie. Dziewczyny zawięły się wcześniej. Potem dowiedzieliśmy się, że Siwy przepadł na dobre.

POLICJANT: Co według ciebie mogło się z nim stać?

BLACHOWSKI: Pojęcia nie mam. Przysięgam.

Nastolatek z każdym słowem wydawał się coraz bardziej podenerwowany.

POLICJANT: Jak opisałbyś waszą znajomość?

BLACHOWSKI: Jesteśmy kumplami, znamy się od dziecka. Mam nadzieję, że się znajdzie.

Po raz pierwszy w jego głosie słychać było strach.

POLICJANT: A jakie były jego relacje z całą resztą?

BLACHOWSKI: Normalne. Siwy nie jest duszą towarzystwa, ale da się lubić. Na biwaku nie doszło do żadnej kłótni, nic złego się nie stało...

Wzdrygnął się i odruchowo spojrzął w prawo, gdzie musiał siedzieć dyrektor szkoły, po czym szybko się poprawił.

BLACHOWSKI: ...no oprócz tego alkoholu. I wygłupów.

DYREKTOR: To prawda, Sulima jest dobrym uczniem. Nigdy nie mieliśmy z nim problemów.

POLICJANT: Mówił kiedyś, gdzie się uda, gdyby udało mu się uciec z domu?

BLACHOWSKI: Nie. To znaczy mówił tylko, że go nie znajdą. W sensie jego starzy.

POLICJANT: Dziękuję. Możesz poprosić kolegę.

Po tych słowach dyrektor Stawisiński podniósł się z krzesła i zatrzymał nagranie.

Ola usłyszała szmer za drzwiami. Odruchowo zerknęła na zegarek i zorientowała się, że dochodzi północ. Wyłączyła odtwarzacz, kiedy w progu stanęła Maja. Miała na sobie piżamę Psiego Patrolu i przecierała rączką zaspane oczy.

– Co się stało, kochanie?

– Nie mogę zasnąć. Ciepło mi.

Lazar poprawiła włosy wpadające do oczu córki, chwyciła ją za rękę i zgasiła światło, prowadząc ją do dziecięcej sypialni. Zaczekała, aż mała się załatwi, i usiadła na łóżku, a następnie obserwowała, jak dziecko wraca z łazienki i mości się do snu. Ściągnęła ciepłą kołdrę. Uchyliła okno i oblekła w poszwę koc, który leżał na fotelu. Noc faktycznie była parna i ciepła.

– Teraz będzie dobrze – zapewniła córkę i pocałowała ją w czoło na dobranoc.

– A czemu nie śpisz?

– Muszę trochę popracować. Ale obiecuję, że zaraz skończę i położę się spać.

– Ze mną?

– Nie – zaśmiała się Ola. – Nie zmieściłabym się z tobą do łóżka.

– A czemu nie śpimy już wszyscy razem? To było takie fajne. Z tatą.

– Może kiedyś – skłamała Lazar.

Pogłaskała córkę po głowie, poprosiła, żeby zamknęła oczy, i opowiedziała jej bajkę, którą wiele razy słyszała od babci. Wraz z upływem czasu dostrzegła coraz więcej analogii pomiędzy swoim dzieciństwem i byciem za kogoś odpowiedzialnym. Niekiedy zastanawiała się, czy mama czuła się szczęśliwa w małżeństwie, jakie były relacje jej rodziców. Jak wiele ich błędów nieświadomie powielala. Nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania.

Maja położyła głowę na poduszce i po chwili zasnęła. Lazar poprawiła jej koc, zgasiła lampkę i przytknęła drzwi, przyglądając się córce. Była jej

odbiciem.

Wolała nie wyobrażać sobie, jak potworny ból musi towarzyszyć utracie dziecka.

Szymon miał prawie piętnaście lat, kiedy zaginął, i był starszy od jej córki, mimo to jego nieobecność wydrążyła bolesną ranę w sercach rodziców. Wszystko mogło ich dzielić, ale miłość do dziecka jest spoiwem, które łączy tę niestabilną konstrukcję w całość.

W jej przypadku to nie działało.

1996

Wpadanie na obcych ludzi w kuchni było krępujące, jednak zdążyłem do tego przywyknąć. Wstydziłem się schodzić na śniadanie w samej pizamie, bo nigdy nie wiedziałem, kogo tam spotkam. Ukradkowe spojrzenia, gra na wyczekanie; kto pierwszy się odezwie, wykona jakiś gest lub po prostu się uśmiechnie.

Schodząc po schodach, zobaczyłem drobną dziewczynę, która parzyła kawę w ekspresie przelewowym. Miała na sobie biustonosz i dżinsowe szorty. Normalny strój w taki upał, ale mój nastoletni umysł potrzebował czasu, by oswoić się z tym widokiem. Zrobiło mi się głupio, gdy uświadomiłem sobie, że ostatniego wieczoru nakryłem ją w sypialni taty.

Starąłem się wycofać, wrócić na górę rakiem, ale skrzypiące stopnie schodów wydały moje położenie. Kobieta wyglądała na równie zdeorientowaną jak ja.

Uśmiechnęła się nieśmiało, usiłując zniwelować dystans. Zrozumiałem, że jest za późno na odwrót. Pozostało mi udawać, że nic się nie stało.

– Cześć, jestem Paulina. Nie mieliśmy okazji się wczoraj poznać...

Może dlatego, że od razu wylądowałaś w łóżku mojego ojca, dopowiedziałem w myślach i burknąłem coś pod nosem. Sparzyłem się na ludziach i nie chciałem się spoufalać ani wiązać ze znajomymi taty w nadziei na kruchą stabilizację w naszym życiu. Ta drobna blondynka wkrótce odejdzie, w jej miejsce pojawi się inna; to jej krzyków będę słuchał w środku nocy, pod naporem jej ciała będą popiskiwać sprężyny. I to ją spotkam następnego dnia w kuchni, starając się nie zrobić z siebie większego głupka, niż byłem w rzeczywistości.

Blondynka wyciągnęła do mnie drobną dłoń. Była śliczna, krucha jak porcelanowa laleczka, która stała na komodzie u mamy. Pachniała czymś uzależniającym. Czymś, czego nie potrafiłem jeszcze nazwać. Gapiłem się na jej smukłe ciało stanowczo za długo.

– Zjesz coś? Zrobić ci jakieś śniadanie? – podsunęła, próbując przełamać lody.

– Nie trzeba. Wezmę tylko wodę. – Ominąłem ją, by napełnić butelkę pod kranem.

– Zasiedziałam się wczoraj i uznaliśmy z Wojtkiem, że zostanę u was na noc zamiast włóczyć się po okolicy.

Wiedziałem, że szuka usprawiedliwienia, ale jej nie przerywałem. Powinna się bardziej postarać, jeśli chciała, by ta wyssana z palca historia do mnie trafiła. Słyszałem ją zbyt wiele razy.

– Myślałem, że ktoś obcy kręci się po domu. Dlatego zajrzałem do sypialni.

– Nic się nie stało, naprawdę – zapewniła. – Zapomnijmy o tym. W końcu jesteś u siebie.

– Dobrze – odparłem i spojrzałem jej w oczy.

Co one widziały w moim starym?

Zakręciłem butelkę i chciałem iść na górę. Nie zdążyłem. Poczułem, że ktoś ciągnie mnie za ucho i zakłada chwyt na szyję. Odór papierosów osiadł mi na skórze.

Wstrzymałem oddech. Stojący za mną mężczyzna zwolnił uścisk i odwrócił mnie do siebie, tarmosząc za chuderlawe ramiona.

– Jak tam, młody? Widzę, że wdałeś się w ojca i zacząłeś już bajerować panienki.

– Gdybyś miał w sobie tyle uroku co on, może któraś by cię chciała – wtrąciła Paulina.

– Wyszczekana. Lubię takie – droczył się z nią Cypis, a kiedy go zlekceważyła i wyszła z kuchni, zwrócił się do mnie: – To co, kiedy wybierzesz się z wujkiem na ryby? Chyba nie gniewasz się ciągle o tego kundla? Jak chcesz, przywiozę ci inną przybłędę.

Chciałem odburknąć, że nigdy, jednak ugryzłem się w język. Nie znosiłem tego typu, czułem się dziwnie w jego towarzystwie i nie podobało mi się, że ojciec toleruje jego nieobliczalne zachowanie. Nie pozwalał o sobie zapomnieć. Jeździł z ojcem do pracy i wspólnie dorabiali na boku, naprawiając stare samochody, które zagracały podwórze. Szybko nauczyłem się, że jedyną formą obrony jest unikanie go. Rozjechanie Tytusa przelało czarę goryczy. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

Z jakiegoś powodu czułem podskórną, że przy nim powinienem się mieć na baczności. Skorzystałem z okazji, że sięgał do lodówki po piwo, i wymknąłem się na górę.

Spakowałem plecak. Wziąłem ze sobą kilka rzeczy; książki z biblioteki, kostkę Rubika, scyzoryk i gwoździe, które zwędziłem z szopy ojca. Zawsze się mogły przydać. Młotek i resztę narzędzi zostawiłem w bazie. Nie miałem zamiaru wciąż ich nosić, tym bardziej że dotarcie na miejsce zajmowało godzinę z okładem. To niedostępny teren.

Wyszedłem z domu i wsiadłem na rower. Kątem oka widziałem, że ojciec rozmawia z młodą kobietą; dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Nie chciałem psuć mu planów ani zrażać do niego przyjaciół. Wiele razy zastanawiałem się, czy nie odchodzą przede mną – pewnie żadna kobieta nie chciała pakować się w związek z wdowcem i jego gapowatym synem. Wciąż nie potrafiłem pogodzić się z myślą, że nic nie będzie jak dawniej. Tata miał prawo układać sobie życie z kimś innym. Pragnąłem tylko, żeby był szczęśliwy.

Zaginięcie Szymona odwracało uwagę od tych myśli. Wciąż się głowiłem, co mogło mu się przytrafić i czemu nie wrócił do domu. Poszukiwania nie przynosiły efektu, mimo wysiłków służb i zaangażowania ludzi. Śledczy nie posunęli się o krok w rozwiązywaniu zagadki. Siwy rozplynął się jak senna mara pod powiekami.

Jeżeli naprawdę uciekł, nie miałem prawa go oceniać; sielskie krajobrazy ukrytej między pagórkami wsi miały w sobie sporo lukru, pod jego grubą warstwą krył się zakalec ograniczonych możliwości, niespełnionych ambicji i zaściankowego myślenia. Im byłem starszy, tym trudniej było mi się spod nich wygrzebać. Nie pasowaliśmy tutaj. Obaj.

Właśnie dlatego znalazłem odskocznię, miejsce, w którym mogłem być sobą, z dala od oceniania i ludzkiej zawiści. Baza wciąż rozrastała się z dnia na dzień.

Plan na dziś był jasny. Zamierzałem wzmocnić drewniane stopnie, po których wspinałem się na górę. Badyle i listewki popękały, przez co ostatnio omal nie skręciłem nogi. Co środę jeździł po wsi dostawczak i przewoził gabaryty na wysypisko. Ludzie pozbywali się praktycznych rzeczy. Wstawiałem wcześniej i szukałem czegoś, co mogło się przydać. Ostatnio wykręciłem nogi od lakierowanych krzeseł. Wytrzymają, wystarczy przybić je do pnia drzewa.

Odłożyłem rower w pobliżu grzędzawiska – po deszczu koła zapadały się w mokrym gruncie – i resztę drogi pokonałem pieszo. Przymierzyłem gwoździe do nóg krzesła i uznałem, że powinny pasować. Zmartwiło mnie za to coś innego.

W nocy burza zerwała fragment poszycia, które skleciłem z dykty i przykryłem kawałkiem pokrytej mchem blachy falistej. Znalazłem go na dzikim wysypisku w lesie. Bałem się, że woda zalała wnętrze, więc wspinałem się na górę i upewniłem, że wszystko jest w porządku. Wiatr rozrzucił rzeczy, gwoździe spadły na trawę, lina gdzieś się zapodziała. A może ją zgubiłem wcześniej? Miałem zrobić huśtawkę, nawet przytaszczyłem starą oponę. Później tu posprzątam, stwierdziłem. Dykta wytrzymała, ale zdałem sobie sprawę, że czas pomyśleć o czymś stabilniejszym, odpornym na deszcz i wiatr.

Odetchnąłem z ulgą. Tygodnie ciężkiej harówki nie poszły na marne.

Wzmacniałem ścianki z desek, odganiając się od krążących wokół natrętnych much. Owady, komary i inne ohydztwo zaglądało tu coraz śmieiej, ale budując dom na drzewie, w pobliżu podmokłych terenów, musiałem się z tym liczyć. Za dnia zwykle nie uprzykrzały mi życia, ale po burzy, gdy wilgoć niemal kleiła się do ciała, ruch upierdliwych stworzeń wzrastał się i pojawiały się znikąd. Ostatnio było ich zatrzesienie.

Usiadłem na zbitej z desek posadzce i gapiałem się na mokradła. Miały w sobie coś kojącego i złowrogiego zarazem. Obejmowały w swoim

uścisku całą przestrzeń, odcinały ten urywek świata od lądu, na którym czułem się obco. Nikt nie był w stanie się do mnie przedrzeć.

Ale tego dnia uznałem, że coś się zmieniło, miałem nieodparte wrażenie, że ktoś tu był. Zeskoczyłem na ziemię i wszedłem głębiej w las, szukając śladów potwierdzających te obawy. Nie znając okolicy, trudno tu było trafić. Nie znałem nikogo, kto z własnej woli zapuszczałby się tak głęboko na podmokły teren. Nie dotarła tu nawet ekipa szukająca Siwego.

Niedaleko stąd, po drugiej stronie mokradeł, biegła ścieżka wykorzystywana tylko przez leśników. Odkąd tu przychodziłem, słyszałem ich raz, nie mogli wiedzieć, że ktoś kręci się w pobliżu. Gęste korony drzew i rosnące wokół chaszczce zasłaniały mnie przed ich wzrokiem. Wsłuchiwałem się w szczebiot ptaków i ciszę, która łaskotała bębni. Obchodziłem właśnie wodę, brodząc w wysokiej trawie, przekonany, że panikuję bez powodu, kiedy coś przykuło moją uwagę.

Zauważyłem pogniecione pędy traw i ślady opon z szerokim bieżnikiem. Zdałem sobie sprawę, że tylko terenowy samochód mógł dotrzeć tak daleko. Leśnicy jeździli pojazdem tego typu, uznałem, śledząc trasę, którą pokonała terenówka, żeby dotrzeć w to miejsce. Nagle rozległ się hałas – a może to ja znowu się przesłyszałem? Czy to możliwe, by ktoś tu był?

Rozglądałem się, ale nikogo nie widziałem w pobliżu. Las ucichł i byłem zdany wyłącznie na siebie.

Wracałem wolno w stronę bazy, czując wilgoć pod stopami. Ślady opon urwały się kilkadziesiąt metrów wcześniej, przed taflą wody. Widocznie kierowca się wystraszył, że przednie koła zapadną się w błocie i pojazd pójdzie na dno.

Wydawało mi się, że widzę w oddali zarys niewyraźnej postaci. Wynurzała się z wody i chowała pod powierzchnią na zmianę, jakby bawiła się ze mną w chowanego.

Nikogo tu nie ma, powtarzałem uparcie. Nikt o zdrowych zmysłach nie włóczy się po takim odludziu bez powodu. Wyobraźnia znów wystawia mnie na próbę, uznałem.

Wpatrywałem się w zieloną maź, rozlaną niczym osad pleśni na tafli grzęzawiska. Z trudem powstrzymałem się, by nie zwymiotować. Odór

dochodzący z wody przypominał woń gnijącego mięsa. Odganiałem się od much, wirowały jak w transie.

Wróciłem do bazy biegiem, prawie potykając się o własne nogi. Nie przeszkadzało mi, że w butach bulgotała woda, a spodnie kleiły się od błota do wysokości kolan. Najlepszą formą wyrzucenia z głowy natrętnych myśli było znalezienie sobie zajęcia. Sięgnąłem więc po młotek i zacząłem przybijać stopnie do drzewa.

Długo mocowałem się z wyrwaniem tych już wbitych do pnia, w końcu odpuściły. Nowe szczeble przytwierdziłem wyżej, w otworach po starych gwoździach nie utrzymałyby się długo. Zdjąłem czapkę z daszkiem i otarłem mokre czoło. Upał nie odpuszczał, a wilgotne powietrze sprawiało, że czułem się jak w tropikach.

Zrobiłem się głodny, uznałem jednak, że najpierw skończę pracę, wtedy będzie czas na przerwę. Z zaskórniaków starczyło mi na suchą bułkę i pasztet z kogutkiem. Gdy sięgałem do plecaka, poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciłem się raptownie, jakbym spotkał ducha, ale nikogo nie było w pobliżu.

Od strony wody docierał znajomy głos, przypominający chłopięcy śmiech.

– Coś ty taki wydygany?

Nie wierzyłem w to, co widzę. Kilka kroków ode mnie stał Siwy. Mogłem spojrzeć w jego czarne jak węgiel oczy. Zdawał się świetnie bawić moim kosztem.

– Co ty tu robisz? – zapytałem zmieszany. Tylko to przychodziło mi teraz do głowy.

– To samo co ty. Uciekam przed tymi zębami.

Stałem jak wryty. Miałem wrażenie, że jego głos odbił się echem między skrońmi, a kruche ciało zapadło się w wodzie. Cień Siwego zdawał się dryfować wzdłuż pokrytego dziką roślinnością grzęzawiska. Musiałem przetrwać ten obraz w głowie.

– Zdajesz sobie sprawę, że szuka cię pół cholерnej wsi? – wydukałem w końcu.

– I co z tego? Niech szukają, mam to gdzieś. Obiecuj, że nie piśniesz słowa. – Pogroził mi palcem. – Świetna baza, zamelinuję się tu na jakiś czas.

– Nie ma opcji. Nie po to uciekam na to odludzie, by wpakować się w kłopoty.

– Weź wyluzuj. Nikt mnie nie znajdzie. Przekibluję najgorszy okres i zmywam się z tej zabitej dechami dziury. Przy okazji pomogę ci się tu urządzić.

– Pogięło cię? Łażą od domu do domu i wypytują o ciebie. Jak mam udawać, że cię nie spotkałem? Jeżeli to się wyda, będę miał przerąbane. Zresztą ty też.

– Nic się nie wyda, kapujesz? Nawet jak mnie znajdą, nie puszczę pary, że się spotkaliśmy. – Sulima wykonał gest przypominający zamykanie ust na kłódkę.

– Nie, nie. Nie mogę tak ryzykować! – Złapałem się za głowę.

– Nic ci nie grozi, słyszysz? – parsknął. – To nie twoja wina. Wiesz, że nie mam po co wracać do domu. Ojciec spuści mi taki wpierdol, że się nie wyliżę. Nie widzieliśmy się, kapujesz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Domyślałem się, że łatwo nie odpuści.

Przegadaliśmy całe popołudnie, pomógł mi wzmocnić konstrukcję bazy i choć nie poznałem powodu, dla którego postanowił zniknąć dla świata, to rozumiałem jego decyzję. Nie odważyłbym się zrobić tego samego, ale byłbym hipokrytą, gdybym chciał go o to winić. Wracając do domu, przyrzekłem sobie, że nie zająknę się słowem, że go spotkałem. Bałem się, że ktoś odkryje nasz sekret. Swoją drogą, to była też ulga: w końcu mogłem z kimś pogadać i okazałem się komuś potrzebny.

2019

Czuła się nieswojo, podjeżdżając pod dom, którego wspomnienie zatarło się w pamięci. Od dnia biwaku nigdy tu nie była, odcięła się w ten sposób od dramatu sprzed lat. Zrozumiała, że decyzja dziadków, aby zerwać kontakty z jej dalszymi krewnymi, była słuszna; obwiniali ich o to, że pozwolili, by ich wnuczka włóczyła się nocą po lesie, piła alkohol i wpakowała się w tarapaty. Stracili córkę. Nie przeżyliby tego ponownie.

Ola rozumiała ich argumenty, ale zdawała sobie sprawę, że sposób myślenia młodych ludzi różni się od ich przewrażliwionych opiekunów. I tak zrobiłyby to, na co miały ochotę. Obarczanie najbliższych Marty odpowiedzialnością za głupie zachowanie nastolatek miało się z celem. Z drugiej strony nie zadała sobie trudu, żeby odbudować urwane relacje z kuzynką. Obie miały wiele okazji, aby zamknąć ten rozdział, ale żadna tego nie zrobiła. Okopały się w ruinach zadawnionych urazów.

Niepozorny budynek wydawał się nietknięty zębem czasu. Lazar wiedziała, że rodzice Marty nie żyją. Jej dzieci zobaczyła od razu po przyjeździe. Nie wiadomo, skąd się nagle wzięły, kiedy wysiadła z auta.

– Cześć. Czy rodzice są w domu? – spytała, starając się wzbudzić ich zaufanie.

Młodszy chłopiec wpatrywał się w nią bez słowa, cały czas przegryzając chrupki kukurydziane. Jego starsza siostra, dziewczynka najwyżej ośmioletnia, wydawała się bardziej zainteresowana i skłonna do pomocy.

– Mama jest. Tata pracuje u Niemców, rzadko siedzi w domu.

– Możesz zaprowadzić mnie do mamy? Chciałabym z nią chwilę porozmawiać.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Zapchała sobie usta lizakiem i ruszyła w stronę furtki prowadzącej przed sam dom. Kilkuletni chłopiec podążał za nią krok w krok.

Od strony ulicy dom prezentował się przyzwoicie. Gdy Lazar podeszła do drzwi, wiedziała już, że nie remontowano go od lat. Ledwo trzymały się w futrynie, tynk odchodził od ścian płatami. Ogród przypominał zarośniętą chwastami polanę.

Usłyszała, że dzieci zniknęły w środku i wołały coś do matki. Upłynęło trochę czasu, nim kobieta zareagowała, ale wreszcie stanęła w progu w rozciągniętych spodniach dresowych i z kilkunastokilogramową nadwagą. Lazar, zerkając jej w oczy, widziała jak na dłoni upływ czasu, którego kobieta nie starała się nawet spowolnić.

– Wszelki duch – zaczęła Marta. – Co cię przywiodło w moje skromne progi?

– Chcę porozmawiać. Zabiorę ci najwyżej dziesięć minut.

– O czym? Nie gadamy ze sobą od niepamiętnych czasów.

Obie doskonale wiedziały od kiedy.

– Wiesz, że pracuję w policji. Wróciliśmy do sprawy zaginięcia Sulimy. – Lazar nie lubiła gierki. Wyłożyła karty na stół, oszczędzając sobie czasu i nerwów.

– Nie obchodzi mnie to. W przeciwieństwie do ciebie dawno o tym zapomniałam. Przytoczę ci prośbę, którą miał do nas twój dziadek wieki temu: nie nachodź mnie, nie zaczepiaj mojej wnuczki i najlepiej zejdź mi z oczu. Pamiętasz? Mam ważniejsze sprawy na głowie – ucięła Marta.

– Znaleźliśmy kości, które przeleżały w lesie wiele lat. Nie musisz rozmawiać ze mną, zamiast tego pojawi się tu jeden z moich współpracowników. Możesz pofatygować się również na komendę, żaden kłopot. Nie robisz tego dla mnie. Rodzice tego chłopca czekają na prawdę od dwudziestu lat. Zasługują na nią, nie uważasz?

Dzieciaki precyzyjnie się między drzwiami i wybiegły na podwórko. Ola spodziewała się, że ten argument trafi do kuzynki. Sama była matką. Mogła bez trudu wyobrazić sobie, z czym się zmagali rodzice Szymona, dlatego mimo wszystko otworzyła szerzej drzwi i wpuściła ją do środka.

Usiadły w zaniedbanej kuchni. Zabudowa miała kilkanaście lat, blat rozkleił się i zniszczył, a drzwiczki zakurzonych szafek trzymały się na słowo honoru. Nieduży stół był przykryty klejącą się do rąk ceratą.

– Przesłuchałam nagrania rozmów, które odbyliście po zaginięciu Szymona – zaczęła Ola. – Trzymaliście się tej samej wersji, ja też święcie w nią wierzyłam. Jak się człowiek wsłucha w te taśmy, widać to bardzo wyraźnie. Problem w tym, że to wcale nie musiała być prawda – podkreśliła policjantka.

– Prawda jest jak dupa, każdy ma swoją – odparła kobieta, trzymając dystans. Obie wiedziały, że to forma ucieczki. – Nie mam sobie nic do zarzucenia.

Lazar zdawała sobie sprawę, że dopóki przedstawione przez uczestników wydarzeń wersje są zbieżne, nikt nie drąży, nie szuka na siłę dziury w ich tłumaczeniach. Problem pojawia się wtedy, kiedy ktoś się wyłamie z tego kręgu.

– Nie myślałaś o tym przez te wszystkie lata? Nie gryzło cię sumienie?

– Nie. Siwy po prostu zniknął. Nikt mu tego nie ułatwił, nie zrobił mu krzywdy. Policjanci chcieli doprowadzić do tego, aby ktoś z nas się przyznał albo zwał winę na innych, to się nie udało. Dziś robisz dokładnie to samo, właśnie tak działacie. Chcesz przypisać komuś winę, wyciągnąć coś ze mnie za wszelką cenę. Zamknąć sprawę i odtrąbić sukces.

Lazar prychnęła.

– Bzdura. Zależy mi na tym, by rodzice mogli go w końcu pochować i nie wracać do tego pieprzonego lasu. On wciąż we mnie siedzi, śni mi się po nocach. Nieważne, ile lat upłynie. Nigdy z niego nie wyjdziemy. Jesteśmy im to winne.

– Nikomu nic nie jestem winna – odparła bez ogródek Marta. – Nie mam czego żałować, bo nie zrobiłam nic złego, zrozum to wreszcie. Całe życie to się za mną wlecze, jak smród. Nasze relacje też się urwały dlatego, że jakiś mięczak postanowił zrobić coś głupiego. Nie widzisz tego? Ślepa jesteś?

– Jeżeli rzeczywiście to był wypadek, jesteśmy w stanie tego dowieść.

– To czego ode mnie oczekujesz? – Marta zapaliła papierosa i zaciągnęła się.

Zdjęła z parapetu słoik wypełniony po brzegi petami i strzepywała tam popiół.

– Że powiesz, jak było naprawdę. Obudziłam się w nocy w namiocie i pamiętam, że ciebie nie było. Nigdy nie zająknęłam się o tym słowem, pewnie ze strachu. Może to bez znaczenia, ale wciąż budzę się zrana potem. Myślę o tym, czy mogłam zrobić wtedy coś więcej, żeby temu zapobiec. – Głos Oli się łamał.

Marta spoglądała na nią w milczeniu, jakby układała w głowie linię obrony.

– Co chcesz usłyszeć? Że wydrapałam mu oczy, zrzuciłam go ze skarpy i zaciukałam nożem? Przecież to bzdury, wiesz o tym. Chodziłam z nim do szkoły, był mi obojętny, ale nie zrobiłabym mu krzywdy. Nie zalaż mi za skórę – syknęła.

– To dlaczego nie było cię wtedy w namiocie? – nie rezygnowała policjantka.

– Wyszłam się wysikać. Po co wyłazi się z namiotu w środku cholernej nocy?

– To zajęłoby ci kilka minut. Nie było cię dłużej. – Ola nie pamiętała ile, ale czuła, że warto podjąć ryzyko. – Nie chciałam cię wydać, bałam się, że mnie znienawidzisz. Ale teraz, po latach, widzę, że to był błąd.

Dzieciaki wbiegły do kuchni. Marta wlała im kompot do szklanek, licząc na to, że nie zrobią sobie krzywdy, wracając na podwórko. Domagały się czegoś do jedzenia; kromki z serkiem topionym idealnie trafiły w ich niewyrefinowany gust.

– Nie mam nic wspólnego z jego zaginięciem – odezwała się wreszcie, dopalając papierosa i sięgając po kolejnego. W przerwach między paleniem obgryzała paznokcie.

– Niczego takiego nie sugeruję.

– To skończmy tę rozmowę, która prowadzi donikąd, i wracaj, skąd przybyłaś.

Lazar czekała, aż kuzynka ochłonie.

– Przesłuchałam taśmy. Nikt nie wspominał o porąbanej akcji z Blachą. O tym, że gra w butelkę wymknęła się spod kontroli, i całowaniu się

z Siwym. Nikt nie zająknął się o tym słowem. Przeczytałam też swoją relację. Przemilczeliśmy to.

– Bo to były tylko gówniarskie wygłupy. Blacha miał swoje jazdy, ale dziś wyszedł na ludzi i nie widzę powodu, żeby bruździć mu w życiu tylko dlatego, że się wydurniał.

– Nikt z nas nie mógł wtedy wiedzieć, że jest gejem.

Marta spojrzała na nią, jakby zdradziła jakiś sekret. Zgasiła niedopałek w popielniczce ze słoika i wydmuchała kłęb dymu, nie spoglądając kuzynce w oczy.

– Kto ci to sprzedał?

– Kilka lat temu zgłosił się do nas student, który stwierdził, że Blachowski przystawiał się do niego w dyskotecce. Zaciągnął go do kibla i groził mu. Szliśmy tym tropem, kręciliśmy się po klubach, w których bywał, i rzeczywiście okazało się, że gustuje w facetach. Nie mam z tym problemu, dopóki nie robi niczego wbrew ich woli. Wtedy tak nie było. Niestety ze względu na swoją pozycję zdołał zamieść sprawę pod dywan. Zapłacił chłopakowi i ten wycofał zarzuty.

– Nie miałam pojęcia. Widać skrzętnie to ukrywał, bo nikt w okolicy o tym nie wie.

Lazar zmierzyła ją wzrokiem.

– Wiedzą, tylko nikt nie mówi tego na głos. Preferencje seksualne są jego prywatną sprawą, ale w przypadku zniknięcia Sulimy mogły odegrać istotną rolę.

Marta próbowała przenieść się myślami do lat dziewięćdziesiątych, do tej nieszczęsnej nocy, o której dawno powinna zapomnieć. Wpatrywała się w okno wychodzące na podwórze, jakby szukała odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

– Co mi grozi, jeśli do czegoś się przyznam? Obiecasz, że to, co powiem, zostanie między nami?

– Nie zależy mi na grzebaniu w brudach, tylko na znalezieniu odpowiedzi.

Marta odpaliła kolejnego papierosa. Widać było, że ręce drżą jej z nerwów.

– Nie było mnie wtedy w namiocie, bo w nocy umówiłam się z Emilem. Odeszliśmy kawałek od obozu. Uznałam, że strata dziewictwa w wieku piętnastu lat to dobry pomysł. Dziś wiem, że nic głupszego nie mogło mi wtedy przyjść do głowy.

– Każdy z nas popełnił w młodości wiele błędów.

Marta się skrzywiła.

– Do niczego nie doszło. Całowaliśmy się, rozpiął mi biustonosz i chciał czegoś więcej, ale ostatecznie nie uprawialiśmy wtedy seksu. To jedyny pozytywny akcent tamtej nocy.

Lazar nie przerwała jej. Zdawała sobie sprawę, że to nie jest koniec tej historii.

– Nie zrobiliśmy tego, bo ktoś nam przeszkodził. Widziałam Siwego, który rzygał za namiotem, i Blachę, który wszedł za nim głębiej w las. Położyliśmy się na ziemi i robiliśmy wszystko, żeby nas nie widzieli, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Usłyszeliśmy krzyki, a Smalec wciągnął gacie na tyłek i mnie zostawił – zakończyła zrezygnowana.

– Wiesz, co się tam stało?

– Nie. Smalec nigdy do niczego się nie przyznał, nie gadaliśmy ze sobą. Nie dziwi mnie to, był dobrym kumplem Blachowskiego. Wróciłam do namiotu i poszłam spać, resztę znasz. Dlatego rano byłam taka wściekła.

– Nigdy więcej do tego nie wracaliście?

– Nasza znajomość się urwała. Unikaliśmy się, skończyliśmy szkołę i każdy poszedł w swoją stronę. Zresztą z nami było podobnie, nie zaprzeczysz. Nikt nie chce wracać do traumatycznych wydarzeń, katować się wyrzutami sumienia.

Aleksandra obrzuciła ją baczny spojrzeniem.

– Jak sobie dziś radzisz?

– Raz lepiej, raz gorzej. Jak każdy. Nie myślę o tym. Staram się żyć normalnie.

Gdy tylko zeszły na prywatny grunt, rozmowa przestała się kleić. Lazar uświadomiła sobie, że mimo łączącego je pokrewieństwa nie miały sobie nic do powiedzenia.

W końcu podziękowała za rozmowę i zapewniła kuzynkę, że nic jej z tego powodu nie grozi. Wiedziała, że nie odbudują zniszczonych relacji, zbyt wiele bólu się z nimi wiązało. Ta gorąca czerwcową noc skrywała przed nimi wiele tajemnic. Czasem wygodniej odwrócić wzrok i uciec od odpowiedzialności niż stanąć twarzą w twarz z prawdą.

Spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej. Kiedy zorientowała się, co się stało, zaklęła pod nosem i ze złości zaczęła uderzać pięściami w kierownicę.

Zapomniała o akademii w przedszkolu – znów zawiodła osobę, na której najbardziej jej zależało. Własną córkę.

1996

Od tego piwa kręciło mu się w głowie. Blacha namawiał go, by wlał go w siebie więcej, ale po zmieszaniu tego w żołądku z winem, które zakupił w sklepie u Grubego, zbierało mu się na wymioty. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Podniósł się i zaczął nerwowo szukać latarki; gotów był przysiąc, że zostawił ją w nogach śpiwora.

Nigdzie jej nie było. Siwy słyszał dziwne pohukiwania, szelest wiatru poruszającego gałęziami drzew.

– Niech to szlag – zaklął pod nosem, kiedy znów poczuł rosnącą w gardle gulę.

Nie chciał zarzygać sobie śpiwora, w takim smrodzie nie dałoby się spać, dlatego rozsunał wejście do namiotu i wystawił głowę na zewnątrz. Zrobiło się naprawdę późno, ognisko żarzyło się ostatnimi kawałkami drewna.

Wszyscy byli schowani w namiotach. Żołądek znów mu się skurczył, czuł kwaśną treść wlewającą się do gardła, więc splunął, żeby pozbyć się żrącej substancji.

Wygrzebał się z namiotu, cicho, żeby nie obudzić reszty. Na zewnątrz w końcu dało się oddychać. Męczący upał zelżał, Sulima wyczuł na twarzy przyjemny powiew wiatru, nad koronami drzew rozciągało się bezchmurne, upstrzone milionami gwiazd niebo. Nigdy wcześniej nie oglądał go z takiej perspektywy.

Organizm przypomniał mu, dlaczego zerwał się w środku nocy, więc Siwy podreptał w wysokie krzaki za namiotem. Zgiął się wpół i zwymiotował. Poczuł krótką i intensywną ulgę, na wszelki wypadek został tu chwilę, by zebrać siły. Wytarł usta dłonią. Marzył o łyku wody, by zabić kwaśny smak. Następny skurcz zwiastował, że Siwy szybko nie powróci do

namiotu. Miał wrażenie, że za każdym razem zwraca kwas żołądkowy zmieszany z alkoholem. Wiedział, że póki nie pozbędzie się z siebie całego gówna, nie zaśnie.

Nadal kręciło mu się w głowie.

Przypomniał sobie ojca, który po zakrapianej imprezie zajmował ubikację, zalegając między progiem i toaletą, podczas gdy on z mamą musieli wychodzić za potrzebą na zewnątrz. Najgorzej, jeśli to była zima, a na podwórzu mróz niemal ścinał mocz w locie.

Wiele razy zapewniał sam siebie, że nie upodli się do tego stopnia, ale słowa są w stanie udźwignąć wszystko, gdy człowiek nie umie odmawiać. Zresztą nie chodziło tylko o alkohol. Na samo wspomnienie pocałunku z Blachą zrobiło mu się niedobrze.

Nagle wydało mu się, że usłyszał za plecami hałas. Odwrócił się, zapominając na moment o rewolucjach żołądkowych, ale niczego nie dostrzegł w pobliżu. Wokół rozciągał się mrok. Znowu musiał się przesłyszeć, był przewrażliwiony.

Nie zdążył się wyprostować i poczuł, że czyjaś dłoń zaciska się na przedramieniu. W ciemnościach z trudem rozpoznał niewyraźną twarz Blachowskiego.

– Nieźle się doprawiłeś, stary. – Chłopak śmiał się, poklepując go po plecach.

Szymon nie zareagował. Chciał wrócić do namiotu, walnąć się do śpiwora i odespać zarwaną noc.

– Nie sądziłem, że tak cię przeczolga – nie rezygnował Blacha, lecz nieskładny sposób, w jaki się wysławiał, wskazywał, że procenty krążyły także w jego krwi.

– Daj mi spokój, chcę iść spać. – Siwy zrzucił dłoń kolegi i spróbował go ominąć, ale Blachowski zagroził mu drogę. – Odsuń się, słyszysz?

– Gdy wsadzałem ci język do gardła, moja obecność ci nie przeszkadzała.

– Pieprz się! I nie przypominaj mi o tym, bo znów się porzygam. To było chore.

– Spodobało ci się – wytknął Blacha, ale barwa jego głosu zmieniła się, z żartobliwego przeszedł w poważne tony.

Był sporo wyższy i silniejszy od Szymona, który miał ochotę dać mu w pysk, ale wiedział, że nie zrobi to na koledze żadnego wrażenia. Mógłby sobie w ten sposób tylko zaszkodzić. Znów spróbował go ominąć, ale i tym razem nie miał na to szans. Za każdym razem Konrad wyrastał jak spod ziemi.

– O co ci chodzi? Puść mnie – zaprotestował Szymon, szarpiąc się z kumplem.

– W chuja to możesz robić całą resztę, ale ja widzę, że masz ochotę na więcej.

– Popierdoliło cię? – Sulima go odepchnął. – Nie jestem cholernym pedziem!

Blacha chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu rękę tak mocno, że Siwy opadł na ziemię i zawył z bólu. Kumpel schylił się nad nim i zaczął sapać mu do ucha:

– Myślisz, że tego nie widzę? Nie orientuję się, że na mnie lecisz? Co? Jestem, kurwa, ślepy czy upośledzony według ciebie? Nie lubię takich zniewieściałych pizd jak ty, ale wkurwia mnie, jak ktoś boi przyznać się do tego, kim naprawdę jest.

– Puść mnie. Nikomu nie powiem. – Szymon z trudem wypowiedział te słowa.

– Puszczę cię, jeżeli zrobisz to, na co mam ochotę.

Siwy usłyszał, jak Blacha drugą ręką rozsuwa rozporek. Na samą myśl o tym, czego żądał od niego kumpel, zrobiło mu się niedobrze. Na szczęście żołądek był pusty i oprócz skurczu nic więcej się nie wydarzyło, nie wymiotował mu pod nogi. Liczył, że ktoś się obudzi, zobaczy, co się tu dzieje, i wybawi go z opresji, ale tamci pewnie spali jak zabici, a on śnił koszmar na jawie.

– Nikt się nie dowie i nikomu nie powiem – zapewnił go Blacha, raz jeszcze zagrządzając mu drogę. – Wiem, że też tego chcesz. Po co udawać, że cię to nie kręci?

Szymon czuł, że chłopak delikatnie zwalnia uścisk, jakby chciał się przekonać, jak postąpi ofiara. Nie reagował więc nerwowo, nie wrywał się i nie starał się uciec. Pozwolił, aby Konrad nabrał pewności, że nie robi

nic głupiego. Milczał, jakby zgodził się na to, co zasugerował kolega. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że się w to wpakował.

Kłęczał na ziemi, czując ból w wykręconym ramieniu. Oddychał ciężko.

– Mówiłem ci, że nie zrobię niczego wbrew twojej woli – przekonywał Blachowski.

Szymon widział, jak opuszcza spodnie, cały czas bacznie przyglądając się jego reakcji.

– Zrobimy to na twoich warunkach. Jeśli uznasz, że nie dasz rady, skończymy.

Siwy zrozumiał, że nie może teraz spanikować, stracić przewagi, którą zyskał, więc odwrócił się i czekał na właściwy moment.

Blacha osunął niżej spodnie. Nie spodziewał się, że Sulima wyprowadzi cios. Tymczasem Siwy podniósł się i kopnął go między nogi, a następnie obserwował, jak kolega zwija się z bólu. Nie miał pomysłu, co robić dalej, więc zaczął uciekać w stronę wzniesienia. Kątem oka próbował dostrzec, czy Blacha leży na ziemi, ale wiedział, że nie może się teraz wycofać. Musiał uciec jak najdalej stąd, żeby tamten go nie dopadł. Zniknąć.

Wada wzroku sprawiła, że potykał się o swoje nogi. Wokół rozciągał się mrok.

Nagle poczuł, że ktoś skoczył mu na plecy. To niemożliwe, żeby to był Blacha. Przecież zostawił go kilkadziesiąt metrów dalej – leżał na trawie i trzymał się za klejnoty.

Upadli na ziemię. To Smalec ciągnął go za włosy i nie chciał puścić. Uderzył go w twarz łokciem i Szymon czuł, jak krew spływa mu z nosa.

Nie mógł się poddać. Z trudem zrzucił go z siebie i zdołał usiąść na nim okrakiem. Wiedział, że musi dostać się do biegnącej na dole drogi. Wystarczy pokonać kilometr, góra dwa, i jeśli będzie miał szczęście, ktoś wybawi go z opresji. Żałował, że zostawił latarkę w namiocie. W ciemności znacznie trudniej przemieszczać się po lesie.

– Zabiję cię, ty gnoju! – syczał Smalec, osłaniając się przed anemicznymi ciosami.

Malczewski nie dawał za wygraną, usiłując wyrwać się z klinczu. Szymon poczuł, jak coś ostrego wbija mu się w bok, ale adrenalina

zniwelowała ból. W oddali słyszał głos Blachy, który skamlał, by przyjaciel go nie puszczał. Siwy ostatkiem sił walnął napastnika w brzuch, zszedł z niego i sturlał się w dół wzniesienia. Wiedział, że nie może się zatrzymać, w przeciwnym razie skrócą dystans i go dopadną. Kręciło mu się w głowie.

Biegł po omacku.

Krew spływała mu z nosa. Oglądał się za siebie i sprawdzał, czy podążają jego tropem, ale widać po jakimś czasie odpuścili. Ich niewyraźne sylwetki zniknęły w ciemności, a on z trudem dochodził do siebie. Wiedział, że nie może tam wrócić, bo go zniszczą. Popełnił błąd, zgadzając się spędzić noc na tym cholernym odludziu.

Biegł w dół, patrząc pod nogi, by się nie przewrócić i nie wydać swojego położenia. Odruchowo dotknął bolącego miejsca pod żebrami i zorientował się, że cała dłoń klei się od krwi. Łzy płynęły mu po policzkach. Nie zatrzymywał się.

Gardził sobą i marzył, żeby zniknąć. Mieli rację. Był żalosnym mięczakiem.

2019

Zaraz się rozklei, wybuchnie. Wsiadła z samochodu i wypięła Maję z fotelika. Nie miała siły słuchać, że się nie da, że pas się zaciął, tego całego marudzenia córki, jej tłumaczeń. Jedną ręką na pewno, gdy w drugiej trzyma się gadającą figurkę Buzza Astrala. Były już spóźnione.

– Weź swój plecak i wysiadaj. Nie zdążysz na śniadanie. No już, już.

– I dobrze, nie lubię owsianki. Jest fuj – grymasiła pięciolatka, szukając czegoś w schowku przymocowanym do fotela pasażera. Aleksandra czuła, że mała gra na czas.

– Maja, proszę cię. Powinnam być już w pracy. – Powoli traciła cierpliwość.

– Kiedyś całą noc byłaś w pracy. Babcia mi mówiła.

– Tak. Wiesz, że mama ciężko pracuje. W nocy też.

Nie znosiła jej okłamywać.

– W nocy jest ciemno. Bandy ci uciekną.

– Maja. Spiesz mi się, słonko.

W końcu dziewczynka wygramoliła się z samochodu. Włożyła plecak z Myszką Miki i potruchtała w stronę furtki prowadzącej na teren przedszkola. Słońce nagrzewało metalowe elementy placu zabaw, sprawiając, że światło odbijało się od nich i skakało między drzewami.

Ola wzięła córkę za rękę i przyspieszyła kroku. W szatni zgłosiła jej obecność na zajęciach, zdjęła jej buty, zaprowadziła ją do szafki z uśmiechniętym liskiem i pomogła się przebrać.

– Przyjdiesz po mnie? – zapytała dziewczynka, patrząc na nią w taki sposób, że Lazar nie miała ochoty się z nią rozstawać. Nauczyła się już, że

będzie lepiej, jeśli zdusi te emocje od razu, z każdym słowem to stanie się coraz trudniejsze.

– Bardzo bym chciała. Jeśli tylko zdążę, przyjadę. Jeśli nie, odbierze cię tatuś.

– Zawsze tak mówisz. I po mnie nie przychodzisz. Na występ też nie zdążyłaś.

– Kocham cię, myszko. – Ola pocałowała córkę w czoło. – Zjedz śniadanie i baw się dobrze.

Nie zdążyła dokończyć, bo do szatni wszedł chłopczyk z grupy Mai, sporo mniejszy i drobniejszy od niej. Dziewczynka szybko zapomniała o wszystkim, o czym rozmawiały, chwyciła go za rękę i poszli do sali, śmiejąc się. Lazar zazdrościła jej tej zdolności odcięcia się od trudnych emocji i zastąpienia ich nową atrakcją. Żałowała, że z wiekiem tracimy tę umiejętność i zaczynamy wszystko rozgrzebywać.

Wolała skoncentrować się na pracy. Po drodze na spotkanie wstąpiła na stację BP i zamówiła kawę. Coraz gorzej znosiła zarwane noce.

Źle się czuła z tym, że ostatnio ma dla Mai mniej czasu. Nie wyobrażała sobie jednak, by mogła spełnić oczekiwania męża: rzucić pracę i zająć się domem. Nie umiała znaleźć złotego środka ani pogodzić ze sobą wykluczających się wizji małżeństwa.

Siedziała na krawężniku przy aucie i kończyła pić kawę, gdy zadzwonił telefon.

– Jestem już w firmie. Podzieliliśmy się dokumentami, tak jak prosiłaś, i zaraz wyruszamy w teren. Miejmy nadzieję, że uda się namierzyć część z osób, które są ujęte w aktach. Wstępnie je sprawdziliśmy. Niektórzy z nich nie żyją, inni wyjechali i trzeba się trzymać tego, co zweryfikujemy – tłumaczył Uryga.

– Nie spodziewam się, że coś sobie przypomnę, ale zawsze warto spróbować.

– Murawski rozmawiał już z rodzicami Janusza Zająca, chłopaka, który złapał stopa i słuch po nim zaginął. Z tego, co wiem, do dzisiaj nie dał znaku życia. Problem w tym, że może być wszędzie. Starzy nie chcą tego rozdrapywać, dla nich nie żyje od wielu lat – wyjaśnił policjant. Lazar

słyszała, że prowadzi auto. – Z Mamrotem jest trudniej. Jego bliscy nie żyją. Szukam punktu zaczepienia w papierach. Chcesz, żebym ci pomógł z Sulimą?

– Nie. U mnie bez przełomu, ale dam sobie radę – odparła. – Z niektórymi już rozmawiałam. Zamierzam złożyć wizytę Blachowskiemu. Jeżeli to nie był nieszczęśliwy wypadek, to musiał coś wiedzieć. Ludzie nie rozplývają się w powietrzu.

– Mogę tam z tobą pojechać.

– Nie, spokojnie. Róbcie swoje.

Umilkli, żadne z nich nie wiedziało, jak nawiązać do wydarzeń z ostatnich nocy.

– Zdzwonimy się później – odezwała się w końcu Lazar i przerwała połączenie.

Wsiadła do samochodu i wbiła w nawigację adres firmy, której prezesem był Konrad Blachowski. Włączyła się do ruchu, po czym odjechała spod stacji paliw. Jeśli szczątki Sulimy rzeczywiście przeleżały tyle lat na grzędawisku, to było małe prawdopodobieństwo, żeby ktoś inny odpowiadał za jego śmierć.

W zeznaniach utrwalonych na taśmach było sporo luk. Wtedy nie mogła ich zestawić, skonfrontować ze swoimi odczuciami. Wiedziała już, że o kilku wątkach nagrywani w ogóle nie wspomnieli. Świadomie? Czy ze strachu przed konsekwencjami?

Budynek firmy transportowej był skromny, ale urządzony z klasą. Oszklone wejście i zadbane plac przed siedzibą. Widać, że nie oszczędzano na materiałach i zbędnych dodatkach, co miało uświadomić klientom, że ich towary i produkty znalazły się w rękach profesjonalistów. Lazar zaparkowała na miejscu dla gości.

W portierni skierowano ją na pierwsze piętro. Gabinet prezesa znajdował się w centralnej części, prowadziły do niego wąski korytarz z imponującym akwariem i sekretariat, w którym za szeroką ladą siedziały dwie młode kobiety. Jedna z nich poprosiła policjantkę, by usiadła na stojącej przy oknie sofie, a sama poprawiła obcisłą spódnice i udała się do gabinetu szefa.

Lazar uśmiechnęła się na samą myśl o tym, ile trudu włożył w dbanie o pozory.

Sekretarka wróciła po chwili i zaprosiła ją do środka, przytrzymując jej drzwi.

Blachowski stał już w progu. Ucisnął dłoń policjantki i zaprosił, by usiadła przy biurku.

– Nie spodziewałem się, że spotkamy się ponownie w takich okolicznościach.

Zdażył przygotować się do rozmowy. Wyłożył karty na stół, przez co nie musiała się gimnastykować. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur i sporo błyskotek na nadgarstkach i szyi. Gdyby nie zdobiona tabliczka z nazwiskiem na drzwiach, w życiu nie powiązałaby go z tym porywczym, agresywnym nastolatkiem, którego poznała przeszło dwadzieścia lat temu na biwaku. Musiała być czujna. Nie chciała, by przejął kontrolę nad tą rozmową.

– Życie pisze najciekawsze scenariusze – odparła chłodno. – Skoro tyle pan o mnie wie, pominię przydługie wstępy i przejdę od razu do meritum. Szanujmy swój czas. Jak pan zapewne słyszał, znaleźliśmy w lesie kości, które mogą należeć do zaginionego przed laty Szymona Sulimy. To pozwala wykluczyć kilka opcji związanych z jego zniknięciem.

– Obiło mi się o uszy. Proszę nie dociekać skąd, mam swoje źródła. – Zaśmiał się. – Oboje byliśmy tej nocy w lesie, nie ma sensu tego ukrywać. Wszystko, co miałem do powiedzenia, wyjaśniłem wtedy, dziś niewiele pamiętam i nie chcę do tego wracać. Nie wiem, co się stało tamtej nocy z Sulimą. Z drugiej strony... – Nalał wody mineralnej do szklanki. – Trochę mi ulżyło. Skoro kości Szymona znaleziono w lesie, musiał ulec wypadkowi. Mówiłem to od początku. Za dużo wtedy wypiliśmy. Żałuję tego, ale czasu już nie cofnę. Wiem, że nie mieliśmy okazji się lepiej poznać, ale możemy przejść na ty? Jak przed laty?

Sprawdził, kim była, wiedział o niej więcej, niż powinien.

– Jak chcesz. Przeglądałam akta, rozmawiałam ze świadkami, sama też coś pamiętam. W trakcie przesłuchania nikt nie wspomniał, że zmusiłeś go do pocałunku i że pastwiłeś się nad Szymonem tamtej nocy.

Blachowski roześmiał się donośnie, jakby sprawiało mu to mnóstwo radości.

– Od razu pastwiłem. Mówimy o żalosnych, gówniarskich wybrykach. Przyznaję bez bicia. Piliśmy wtedy wino i piwo, to normalne, że procenty i buzujące hormony mogą uderzyć do głowy.

– Żadne z nas nie wspomniało o tym incydencie w trakcie składania zeznań.

– No właśnie. Żadne z nas. Ty również.

– Nawet go nie znałam. Widziałam was wtedy pierwszy raz w życiu. Nie chciałam nikomu zaszkodzić, tym bardziej że nie miałam pojęcia, co się z nim stało.

– Piękna postawa, wzruszyłem się – zadrwił Konrad. – Szkoda, że nie miałaś tyle taktu, gdy deptaliście moją prywatność i łaziliście za mną po klubach po kłamstwach tego szczyła – prychnął, nawiązując do oskarżeń studenta.

– To moja praca – odparła i przysunęła się bliżej, tak blisko, że niemal poczuła jego oddech. Ściszyła głos. – Miałeś szczęście, że prokurator nie wsadził cię do pierdła za to, co zrobiłeś temu chłopakowi. Ale co się odwlecze...

– Grozisz mi?

– Nie. Po prostu wiem, co ukrywaliście. I lepiej, gdybym usłyszała to od ciebie.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny, jakby wymazała go gumką. Rozłożył szeroko dłonie, czekając na wyjaśnienia. Widać, że był coraz bardziej zdenerwowany.

– Skłamaliście, mówiąc, że Szymon zaszył się w swoim namiocie i nie widzieliście go więcej. W nocy doszło między wami do sprzeczki.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur? Ten narkoman i alkoholik jest w stanie powiedzieć wszystko, byle dostać działkę lub parę złotych na wino. Jeżeli jego słowa traktujesz na równi z moimi, to nie mamy o czym rozmawiać.

Blachowski zagryzł dolną wargę i zacisnął pięści. Widać było, że policjantka nadepnęła mu na odcisk.

– Nie rozmawiałam z Malczewskim. Wolę zapytać u źródeł, bez pośredników.

– Nachodził mnie w biurze, ale zerwałem tę znajomość. Stoczył się i zatruwa życie schorowanej matce. Tamtej nocy poszliśmy spać, a rano Siwego już nie było w namiocie. To cała historia. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Coś jeszcze? Spieszę się.

– Masz żonę i dwójkę dzieci, zgadza się?

– Tak. A co to ma do rzeczy? – Niecierpliwił się. Poluzował kostkę krawata.

– Dlaczego kazałeś Siwemu się pocałować i wciskałeś mu język do ust?

– Kurwa, powtarzam, że to było dwadzieścia lat temu! Byłem młody i głupi.

Lazar westchnęła głośno, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie chce babrać się w brudach i sięgać po wątki osobiste, ale właśnie ją do tego zmusił.

– Od lat utrzymujesz relacje z mężczyznami. Dbasz o prywatność i skrzętnie to ukrywasz. To twoja sprawa, nic mi do tego. Ale to stawia w innym świetle incydent, który wydarzył się na biwaku.

– To nie ma żadnego związku z zaginięciem Szymona. – Blachowski był wściekły.

– Do czego doszło tej nocy? Wiem, że ścięliście się, kiedy wszyscy spali.

– Celowo nie wspomniała o tym, czego dowiedziała się od Marty.

Mężczyzna zmierzył ją zimnym spojrzeniem. Napił się wody.

– Zamierzasz postawić mi zarzuty? – Z trudem panował nad emocjami. – Jeśli nie, to nasza rozmowa właśnie dobiegła końca. – Wstał i wskazał jej drzwi.

Lazar nie dała się sprowokować. Spokojnie zeszła na parking. Blachowski dobrze się krył ze swoimi podbojami, oszukiwał rodzinę i bliskich, ale jego złość świadczyła o tym, że trafiła w czuły punkt. Został tylko jeden człowiek, który mógł pomóc jej dotrzeć do prawdy.

Musiała znaleźć Emila Malczewskiego, zanim jego stary kumpel zrobi to za nią.

1996

Tego dnia tata zabrał mnie do salonu gier. Słowo „salon” nijak się miało do drewnianego wagonu na kołach, który stanął niedaleko nieczynnego dworca, ale dla dzieciaków z okolicy to miejsce było jak drzwi do innego wymiaru; przed każdym z automatów i fliperów tworzyły się kolejki, już samo przyglądanie się temu, jak ktoś gra, było świetną rozrywką.

Grałem w *Mortal Kombat* na automacie, lecz nie radziłem sobie najlepiej z przyciskami, wzbudzając uśmieszek politowania na twarzach stałych bywalców. Wybierałem Scorpiona, licząc na to, że jako ninja poradzi sobie z przeciwnikami, i zwykle kończyłem rozgrywkę na Sub-Zero, nie umiałem go wykończyć. W pewnym momencie zobaczyłem, że tata stoi przy fliperze.

Grał we *Frankensteina*, automat trafił tu ledwie kilka tygodni temu z Niemiec. Odgłosy i krzyki wydobywające się z maszyny w trakcie rozgrywki były niepokojące. Lubiłem obserwować, jak odbija srebrną kulę, a atrapa Frankensteina śledzi każdy jego ruch, obracając głową i wyjąc bez opamiętania. Ojciec był mistrzem w tej grze; widziałem skupienie na jego twarzy, zaciśnięte mięśnie szczęki oraz emocje, które sprawiały, że na moment zapominał o wszystkim. Kiedy skończył, przytulił mnie do siebie, poczochnął po włosach rozgrzaną do czerwoności dłonią i zaprosił na lody do stojącej po sąsiedzku budy. Zawsze to robił i w takich chwilach żałowałem, że nie spędzamy ze sobą więcej czasu. Po lodach szliśmy do baru.

– Wiesz, że jesteś dla mnie najważniejszy, synek – zaczął bez uprzedzenia, siedząc w ogródku przy barze i pijąc zimne piwo. Dla mnie zamówił frytki i colę. – Nie chcę, żebyś myślał, że Cypis lub jakaś panna

więcej dla mnie znaczą niż własny syn. Muszę zarabiać na chleb, żyć, bo jeśli zacznę uważać się nad sobą i wspominać to, co się stało, to ściągnę nas obu na dno. – Upił łyk piwa.

– Wiem, tato – odparłem krótko. Nie zamierzałem go niepotrzebnie złościć.

– Nie jestem święty, mam diabła za skórą, ale nie pozwolę, by ktoś cię skrzywdził. Rozumiesz? Jeżeli ci gówniarze dalej będą cię gnębić, osobiście spuszczę im wpierdol, obiecuję – zapewnił mnie, unosząc butelkę. – Niech trzymają ręce przy sobie, bo im je ukręcę.

– Poradzę sobie, tato – zapewniłem go, chociaż nie wierzyłem samemu sobie.

– I to mi się podoba, nie pękasz, nie chowasz głowy w piasek jak pieprzony tchórz.

Wziął mnie pod ramię i raz jeszcze przytulił. Zalaływało od niego potem i alkoholem, ale w tej chwili czułem się najszczęśliwszym dzieciakiem na świecie. Wiedziałem, że to minie, że muszę czerpać z takich dni garściami. Wierzyłem w jego intencje, w słowa, które wypływały z jego ust, ale zdawałem też sobie sprawę, że nie mogę zawieść jego zaufania.

– Rozmawiałem z Cypisem o tym twoim psie. Twierdzi, że wskoczył mu pod koła, gdy podjeżdżał przed dom w nocy... – Ojciec nie dokończył, bo wszedłem mu w słowo:

– Tytus bał się aut, nie wybiegał na drogę i nie szczekał za każdym, kto zbliżał się do domu – powiedziałem, wyraźnie wzburzony.

– Niby dlaczego miał rozjechać go specjalnie? To był wypadek – upierał się ojciec.

– Nie wierzę mu! – Byłem bliski łez. – Zrobił mi na złość, on mnie nienawidzi.

– Nie pleć bzdur, synek. Kłócimy się w wielu sprawach, ale mogę na nim polegać. Włos ci przy nim z głowy nie spadnie, masz moje słowo – zapewnił mnie, dopijając piwo.

Rozumiałem, że nie ma sensu się z nim spierać – i tak nie zmieni zdania. Przełknąłem ślinę, z trudem zatrzymałem cisnące się do oczu łzy i umilkłem.

Wracając do domu, wstąpiliśmy do księgarni. Tata pozwolił mi kupić kilka komiksów, nie liczył się z pieniędzmi. Zapłacił, uśmiechnął się do mnie i obiecał, że to powtórzymy. Wiedziałem jednak, że nieprędko.

Wysadził mnie przed domem i odjechał. Nie tłumaczył, gdzie się zamierza podziewać przez resztę dnia, ja też przestałem go już o to pytać. Ważne, że miałem chatę dla siebie i nikt nie szwendał się po kuchni, a ja nie wpadałem na jego roznegliżowane panienki ani podchmielonych kumpli.

Siedziałem przed telewizorem i oglądałem jakiś film, a w zasadzie gapiłem się bezmyślnie w szklane pudło, licząc na to, że puszczą coś ciekawego. Burczało mi w brzuchu, ale lodówka tradycyjnie świeciła pustkami. Znalazłem w chlebaku trzy kromki chleba i wahałem się, czy nie podpiec ich na patelni z masłem i czosnkiem, lecz zielony nalot pleśni na spodzie wybił mi ten pomysł z głowy.

Do najbliższego sklepu miałem dwa kilometry. Stwierdziłem, że kupię coś po drodze do bazy, jak zawsze, o ile znajdę w tym bajzlu jakieś pieniądze.

Nie śmierdziałem groszem, ale znałem sposób, który przynosił pewne profity. Usiadłem w fotelu pod oknem; pamiętam, jak mama dotaszczyła go tu z auta, była strasznie dumna, że pasował do sofy, która stała w pokoju. W zagłębieniach między siedziskiem i oparciami zawsze walało się parę monet, które wypadły ojcu albo któremuś z jego kolegów z kieszeni. To jedyny pozytyw, który usprawiedliwiał ich obecność w tym miejscu.

Wsunąłem palce w zagłębienie. Udało mi się wygrzebać kilka złotych i kłęby kurzu. Przyzwyczailem się już do nowych monet i banknotów po denominacji, co ojcu dalej sprawiało kłopot. Wciąż posługiwał się starymi cenami i mylił je, przeliczając na nowe.

Wróciłem na sofę, miałem stąd o wiele lepszy widok na ciężki, kanciasty telewizor ustawiony na szafce pod ścianą.

Zdawało mi się, że słyszałem jakieś szmery – dopiero po chwili zorientowałem się, że coś uderzyło w szybę. Odsunąłem ciężką zasłonę i uniosłem firankę, zerkając na zewnątrz. Pod oknem stał Siwy i rzucał w nie kamyczkami.

Nie zastanawiając się, podbiegłem do drzwi i wypadłem wściekły na zewnątrz.

– Porąbało cię już do reszty? – wydzierałem się na niego, rozglądając się, czy nikogo nie ma w pobliżu. – Umawialiśmy się, że cię kryję, ale siedzisz w bazie! Będę miał przesrane, że nie powiedziałem nikomu o tym, gdzie się podziewasz. – Z każdym słowem brzmiałem coraz bardziej żałośnie.

– Weź wyluzuj, bo ci żyłka pęknie. Nikt mnie nie widział. Mieszkasz w totalnej dziurze.

– Skąd wiesz? Szuka cię pół pieprzonej wsi. Wpakujesz nas w niezłe bagno.

Wydawał się głuchy na moje argumenty. Ominął mnie, kierując się stroną drzwi wejściowych. Chwyciłem go za rękę, lecz szybko strącił moją dłoń.

– Jestem kurewsko głodny. Muszę wrzucić coś na ruszt, bo zaraz mnie skręci.

– Źle trafiłeś. Właśnie idę do sklepu po coś do żarcia. – Zagroziłem mu drogę.

– Dobra, to zaraz znikam. Tylko muszę się umyć, od kilku dni włóczę się po lesie jak dzikus.

Chciałem dotrzymać mu kroku, ale jakimś cudem znalazł się na ganku.

– Mój stary może wrócić na chatę w każdej chwili. Jak cię zobaczy, będzie kwas i nie daruje mi tego, że cię ukrywałem. – Staralem się zaklinać rzeczywistość.

– „Będzie kwas”? Skąd ty znasz te teksty? – Śmiał się. – Powiedz wprost, że spuści ci łomot. Jak wróci, dasz mi cynk i mnie nie ma. Rozpłynę się w powietrzu, kapujesz? – Siwy udał się w stronę schodów na piętro. – Macie tam łazienkę?

Nie było sensu protestować. Zostałem na dole i gapiłem się nerwowo w okno, sprawdzając, czy ojciec przypadkiem nie wpadł na pomysł, by wrócić na chatę.

Po kwadransie miałem dość tej szopki i zacząłem się dobijać do drzwi łazienki.

– Wyłaż, to nie jest śmieszne!

– Coś ty taki narwany, człowieku? – Siwy stanął w drzwiach w samych slipach i ręczniku. Jego ciało było sine, poznaczone krwiami. – Zamierzasz łączyć teraz za mną krok w krok i trzymać mnie za rękę?

– Nie wydaje ci się, że przeginasz pałę?

– Niby w czym?

Skrzywiłem się i zaśmiałem bezradnie. Szymon zachowywał się jak totalny dupek. Nie docierało do niego, że przez te szczeniackie wybryki narobimy sobie kłopotów. Irytował mnie swoim zachowaniem, ale był moim jedynym znajomym, bez względu na to, że nasze drogi dawno się rozeszły i znalazł sobie nowych kumpli.

– Daj mi pięć minut, narwańcu. Ogarnę się i znikam stąd na dobre, może być?

Czekałem na niego w kuchni. Obgryzałem paznokcie ze zdenerwowania, gapiąc się w okno.

Przez to, co wydarzyło się w ostatnich dniach, stawałem się kłębkim nerwów.

– Musimy zagrać. Przysięgam, że złożę ci tyłek! – Siwy wskazał na *comodore C64*. Nie zauważyłem, kiedy znalazł się w pokoju. Pojawiał się i znikał jak cień. – Włącz *Bubble Bobble*. Możemy w to przyciąć we dwóch. Gdzie masz drugi joystick?

– Miałeś się stąd ulotnić.

– Tylko raz, to zarąbista gierka. Dzięki mnie dostaniesz się na wyższy poziom. Jak twój stary zjawi się na podwórku, kończymy i znikam stąd. Nie ma po mnie śladu. Raz. Słowo harcerza. – Uderzył się w pierś i podpiął kabel od joysticka.

Nie miałem już sił walczyć. Siedliśmy na wersalce, włożyłem kasetę i czekałem, aż gra się załaduje, jednym uchem nasłuchując odgłosu silnika. Nic nie wskazywało na to, żeby ojciec miał w ogóle wrócić.

Gra się wczytała, wzięliśmy po joysticku w dłoń i zaczęliśmy rundę. Co jakiś czas słyszałem głośne pokrzykiwania Siwego, a ja powoli się odprężyłem. Nerwy wyparło radosne uczucie, że wreszcie nie jestem sam i mogę spędzić czas w towarzystwie żywej istoty. Za bardzo mi tego brakowało, tak bardzo za tym tęskniłem.

– No żryj to gówno! – wrzeszczał Szymon, a ja zaśmiewałem się do rozpuku.

Dobrze nam szło. Dotarliśmy do miejsca, w którym grając sam, zwykle kończyłem rozgrywkę. Postać przypominająca smoka zjadała po drodze owoce i zamieniała w mydlane bańki stwory, które stanęły nam na drodze.

Nagle usłyszałem, że ktoś podjechał pod garaż. To musiał być tata, poznałem warkot silnika. Zerwałem się i pobiegłem w stronę drzwi, chcąc zagrozić mu drogę, ale ojciec nie był sam. W drzwiach stał już Cypis. Uśmiechał się od ucha do ucha, przypominając jaszczurkę, której miałem ochotę nadepnąć na ogon.

– Coś się stało, synek? – Ojciec minął mnie w progu, a ja modliłem się o najniższy wymiar kary. Znów pragnąłem poczuć się przezroczysty.

Rozglądałem się nerwowo, licząc na to, że Siwy zdążył się ulotnić przez otwarte okno, jak obiecał. Na dywanie przed telewizorem leżały komputer i dwa joysticki, na ekranie wyświetlała się gra, ale jego nie było w pokoju. Zniknął.

Odetchnąłem z ulgą.

– Nic. Zastanawiałem się, kiedy wrócisz, bo chciałem wyjść z domu – wydukałem.

– A po chuj ci ta informacja? Książkę piszesz? – roześmiał się Cymański.

Wniósł do kuchni reklamówki pełne piw w puszkach i mocnych trunków. Uświadomiłem sobie, że jeśli zaczną imprezować tak wcześnie, to wieczorem zastanę tu zgliszcza. Znów będę świadkiem, jak jeden z kumpi ojca rzyga do zlewu albo zalega w łazience i będę musiał się odlać za domem, odganiając się od upierdliwych komarów.

Nie znosiłem tego oprycha, ale wiedziałem, że dla taty jest jak brat.

– Możesz iść, tylko wróć o przyzwoitej porze – odezwał się ojciec i wstawił alkohol do lodówki. Oprócz butelek i puszek na nic innego nie było w niej już miejsca.

Wiedziałem, że nie obchodzi go, o której zjawię się w domu, powiedział to tylko dlatego, że nie mógł mnie całkiem zlekceważyć. Gdzieś w tej pokrętej logice uznał, że to wyraz troski, że tyle wystarczy, bym poczuł się widzialny. Było mu wszystko jedno, gdzie się podziewam.

Zgarnąłem plecak z szafki w korytarzu.

– Znalazłbyś sobie jakąś laskę, zamoczył, może przestałbyś być taki sztywny i znerwicowany – droczył się ze mną Cypis. Piana z piwa osiadła mu na wąsach.

Nieźle się bawił moim kosztem. Gdy się przyjrzałem, przypominał mi typa, który grał w niemieckiej kapeli Scooter. Był wysoki, szczupły i miał ścięte na jeża blond włosy. Znałem ten zespół z RTL2, gdzie grali listę przebojów. Ojciec zamontował na dachu talerz anteny satelitarnej, a ta ściągała głównie niemieckie kanały. Oglądałem też azjatyckie kreskówki na Polonii 1. Były zabawne.

– Szkoda, że ciebie żadna nie chce – burknąłem i szybko ugryzłem się w język.

– Nie bądź taki do przodu, bo ci z tyłu braknie. – Pogroził mi palcem, pijąc piwo.

– Zejdz z niego, ma jeszcze czas spieprzyć sobie życie. – Ojciec stanął po mojej stronie. Zamknął lodówkę i zwrócił się do Cymańskiego: – Idź odpal grilla, nie będziemy pić na pusty żołądek. Zostań jeszcze chwilę, Bartek. Zjesz coś na ciepło.

– Nie jestem głodny – skłamałem. Nie miałem ochoty znów tego przerabiać.

Skorzystałem z okazji i postanowiłem się ulotnić. Stałem w korytarzu i szukałem butów. Te, w których chodziłem ostatnio, rozkleiły się i przemokły. Wyciągnąłem z szuflady pod ścianą trampki i włożyłem je, podpierając się o ścianę.

Moją uwagę zwrócił przedmiot, który znajdował się na ziemi. Wiedziałem, do kogo należał. Serce zabiło mi mocniej, kiedy uświadomiłem sobie, że to saszetka, którą Siwy nosił zawsze przy sobie; przezroczysta torebka na sznurku, z płynem przypominającym coca-colę. Wieszal ją na szyi i nosił w niej legitkę i zaskórniaki.

Odetchnąłem z ulgą, że tata i ten prostak jej nie znaleźli. Nie powiązali faktów, w innym wypadku zorientowaliby się, że coś kręcę. Siwy w pośpiechu o niej zapomniał.

Wziąłem ją i wrzuciłem do plecaka, uznałem, że zwrócę mu ją w bazie. Wcześniej tylko złoję mu skórę, bo o mały włos nie wpakował nas w tarapaty.

2019

– Musimy znaleźć tego człowieka. – Lazar rozdała śledczym skan zdjęcia Emila Malczewskiego. Zdjęcie zostało wykonane jedenaście lat temu i przedstawiało młodego mężczyznę, tuż przed trzydziestką.

Nie przerywali jej. Odprawa zaczęła się z samego rana i wspomagali się kawą.

– Malczewski ma dziś prawie czterdzieści lat, ale nie zdobyłam dokładniejszej fotografii. Zdążyłam porozmawiać z jego matką przez telefon, nic więcej, kobieta jest... – długo szukała pasującego określenia – specyficzna. Potwierdziła tylko to, co podejrzewałam od początku: że jej syn jest klasycznym wrzodem na dupie. Nie pracuje, objija się z kolegami, zatruwa jej życie. Skarb.

– Skoro wszyscy wiedzą, że facet sprawia kłopoty, to może trafił w tym czasie do aresztu, złapał jakieś punkty karne albo wdał się w bójkę? Musi figurować w jakiejś bazie danych – myślał na głos Karol Murawski, wpatrując się w fotografię.

– No właśnie nie. Jest zameldowany u matki, od ukończenia szkoły nie zhańbił się uczciwą pracą, cały czas na jej garnuszku. Włóczy się bez celu jak lump i trudno go namierzyć. Jeśli kobieta nie kłamie, to nie ma nawet komórki, nie opłaca rachunków. Boję się, że odszukanie go będzie graniczyć z cudem.

– A co innego ma mówić? – odparł przytomnie Uryga. – Nie znam matki, która nie poszłaby w ogień za swoim dzieckiem. Skąd pomysł, że ma coś wspólnego ze śmiercią Sulimy? – dopytywał. – Chcesz powiedzieć, że śledczy popełnili błąd? W końcu był tej nocy razem z nim, musieli to sprawdzać – dodał.

– Niczego nie sugeruję. Rozmawiałam z każdym, kto spędził noc na ognisku. Brakuje mi tylko jego wersji – ucięła temat i zwróciła się do policjantki: – Przekaż te dane innym wydziałom, w razie gdyby ktoś go namierzył, poproś o kontakt. Matka twierdzi, że musi kręcić się gdzieś w okolicy. Co kilka tygodni zgłasza się do niej po kasę na jedzenie, zostawia brudne ciuchy, a ona zwraca mu uprane. Twierdzi, że to alkoholik, i sądzę, że ją leje, ale za każdym razem, kiedy się pojawia, matczyne serce mięknie i synalek pomieszkują kątem u staruszki.

– Aż do kolejnych pijackich wybryków, kiedy kobieta znów wyrzuca go z domu – dokończyła Sylwia Rosińska. – To jak zakłęte koło. Widziałam, jak się kręci, wiele razy.

Młoda policjantka przyznała się kiedyś, że pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny, lecz nie chciała do tego wracać. Ojciec z upodobaniem sięgał po alkohol, a pięści szły w ruch stanowczo za często. Lazar była niemal pewna, że właśnie dlatego wstąpiła do policji.

– Nie zgłosiła tego? Nie założyli mu niebieskiej karty? – dopytał Błazej.

– Twierdzi, że nie było takiej potrzeby. – Ola westchnęła. – Za każdym razem, gdy wspominała mu o tym, ulatniał się i obiecywał, że to się nie powtórzy. To patologiczna relacja.

– Wybierasz się do niej?

– Tak. Po odprawie.

– W razie czego mogę podskoczyć tam z tobą.

– To formalność. Nie spodziewam się, by sobie o czymś przypomniwała – odparła Lazar, nie rozwijając wątku. – Co znaleźliście na temat reszty zaginięć z tego okresu?

– Niewiele. Przekopałem archiwum i znalazłem parę kwitów na Witka Mamrota. Zanim przepadł, trochę rozrabiał; jakieś bójki, drobne kradzieże, ludzie w okolicy się go bali, ale śledczy nie mieli nic, aby go posadzić. Są zeznania, w których ludzie oskarżają go o włamania, ale skoro wówczas za to nie beknął, trudno mi uwierzyć, żeby ktoś przypomniwał sobie o tym dzisiaj. Warto podpytać jego kumpli, podobno obracał się w nieciekawym towarzystwie. Tyle papiery. Trudno stwierdzić, ile z tego okaże się prawdą,

a ile dośpiewali sobie po jego zaginięciu. W każdym razie nikt po nim specjalnie nie rozpaczał – podkreślił Uryga.

– W pozostałych sprawach też nic nowego?

Zerkała na Sylwię, a ta wzruszyła ramionami. Zdawali sobie sprawę, że grzebią po łokcie w dochodzeniach, które prowadzono ćwierć wieku temu. Nie musieli się spieszyć, zwłaszcza że wciąż nie mogli być pewni, że jest zgodność pomiędzy materiałem genetycznym pozyskanym z ujawnionych na mokradłach kości i tym pobranym od rodziców Szymona. Poruszali się po omacku, a każdy trop mógł okazać się ślepym zaułkiem.

Lazar nie czekała, aż coś spadnie jej z nieba. Każdy wiedział, co ma robić, doceniała to, że nie musi prowadzić ich za rękę.

*

Dom Jadwigi Malczewskiej sprawiał wrażenie niewidzialnego. Jego frontową ścianę oplatał bluszcz, jakby budynek usiłował się schować przed wzrokiem wścibskich gapiów. Od strony ulicy oddzielały go wąski chodnik, zardzewiałe ogrodzenie i niewielki pas zieleni przed wejściem. Okna niemal zlały się z gałęziami modrzewia. Ktoś zasadził to drzewo w latach osiemdziesiątych i wciąż tam tkwiło.

Lazar zadzwoniła do drzwi. W progu pojawiła się energiczna siedemdziesięciolatka, umalowana i wystrojona, jakby wybierała się na potańcówkę w klubie seniora.

Zaprosiła policjantkę do środka, a nim ta zdążyła ją o coś zapytać, zniknęła w kuchni znajdującej się obok pokoju gościnnego. W tle słychać było gramofon i głos piosenkarki popularnej na długo przed tym, nim Lazar przyszła na świat.

Fascynowała ją igła gramofonu i brzmienia wydobywające się z archaicznej maszyny. Ostatni raz słuchała takiej w domu u dziadków, w szkole podstawowej. Dźwięki przeniosły ją w dawno zapomniane miejsca.

Kobieta wróciła z talerzem kruchych ciasteczek i filiżankami z herbatą.

– Mam nadzieję, że się pani na mnie nie pogniewa – powiedziała, uśmiechając się serdecznie. – Mam tylko zieloną herbatę. Proszę wybaczyć, nie mieszkam gości.

Policjantka zastanawiała się, czy ten słodko-mdlący spektakl nie jest wstępem do festiwalu uników, zaprzeczeń i kłamstw. Zasłoną dymną dla winy jej syna.

– Nic się nie stało. Nie zabiorę pani dużo czasu.

– Ach, nie przyszło mi do głowy, by mieć do pani pretensje – odparła kobieta, podniosła leżący na fotelu koc i usiadła wygodnie. – Na pewno trudno w to uwierzyć, ale kiedyś ten dom tętnił życiem. To paradoks, prawda, bo dziś nie mam z kim zamienić słowa. Oprócz mojej najśłodszej pieszczoty. No chodź do mnie, Pusi, chodź do pańci.

Lazar przyglądała się, jak na kolana staruszki wskakuje miniaturowy pies, który trząsał się z nerwów, jakby jej wizyta miała doprowadzić go do palpitacji serca. Umościł się na kolanach Malczewskiej i zdawał się przysłuchiwać rozmowie.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani syna? – Ola wolała mieć to już za sobą.

– Ostatni raz widziałam go, gdy wychodził do tego przekłętego lasu na biwak, dwadzieścia trzy lata temu – odparła oschle, jakby w gardle zalegały jej żyletki. – Ktoś, kto z niego powrócił, nie był już moim dzieckiem. Przepraszam, szybko się rozklejam, ale to prawda. Straciłam go bezpowrotnie. – Zrobiła pauzę i wytarła zażawione oczy. Lazar nie ponaglała jej. – Pani pyta pewnie o to, kiedy był tu ostatnio? No więc wpada od czasu do czasu, jak czegoś potrzebuje, chce się ogrzać albo przebrać. Nie mam serca, by wyrzucać go na bruk. W końcu to moje dziecko. A przynajmniej ktoś, kto kiedyś nim był.

– Wie pani, gdzie mogę go teraz znaleźć? Chcę tylko porozmawiać, nic więcej.

– Nawet nie chcę wiedzieć. Kiedyś oddałabym wszystko, żeby mu pomóc. Szukałam go po okolicy, włóczyłam się po pustostanach i melinach, bez powodzenia. Za każdym razem wierzyłam, że wyciągam go na prostą, a za chwilę znów wracał do rynsztoka. Opuściłam. Bywa u mnie, śpi na

górze, a potem znika jakby nigdy nic. Szlaja się to tu, to tam. Proszę zaczekać. – Zwinnym ruchem ściągnęła psa z kolan, nie zdążył zaprotestować.

Zwlekła się z fotela i przeszła do drugiego pokoju. Przyniosła stary album z wklejonymi zdjęciami.

– Przyzna pani, że był uroczym dzieckiem. Zadziorny, energiczny i bystry. Zupełne przeciwieństwo mojego świętej pamięci Wiktora – dodała z rozrzewnieniem.

Ola zerknęła na fotografię i czuła, że robi jej się cieplej. Coraz trudniej było udawać, że nie miała nic wspólnego z feralną nocą, w której trakcie zaginął Sulima. Obrazy sprzed lat powróciły, gdy dostrzegła uśmiechniętego chłopca w wytartych jeansach i ciasnej koszulce. Czas tak szybko leci. Tak wiele zmienia.

– Tak, to prawda – wydusiła, otumaniona całą sytuacją. – Ma pani jego aktualne zdjęcie? Coś, dzięki czemu bylibyśmy w stanie go zidentyfikować?

– Nie, ale on się prawie nie zmienił. – Wskazała na kolejne zdjęcie, na którym chłopak miał góra dwadzieścia lat. – Gdyby nie to wszystko, w co się wplątał, jego życie ułożyłoby się inaczej. Jestem o tym przekonana. Wie pani, że Emil był uzdolniony muzycznie? Grał Chopina bez nut, miał niesamowity słuch.

Lazar się uśmiechnęła. Zaczynało do niej docierać, że ta wizyta nie ma sensu. Czuła się niczym owad w bursztynie, który przeleżał w kącie tego domu kilkadziesiąt lat. Świadomość tego, co stało się w lesie, odebrała jej pewność siebie. Nie mogła usiedzieć w miejscu, atmosfera gęstniała z każdą sekundą.

– Ale to ciekawe, że tu dziś pani przyszła, bo nie jest pani pierwszą osobą, która o niego ostatnio pyta. – Ola wyłowiła to zdanie z potoku słów, który wylewał się z ust staruszki. Wiedziała, że czas się skupić, w innym razie straci wątek.

– Nie rozumiem.

– Wczoraj odwiedził mnie jeden z jego szkolnych kolegów, elegancki mężczyzna. Prowadzi firmę, ale proszę mi wybaczyć, nie pamiętam, czym

się zajmuje. Zaskoczył mnie, bo zarzekał się, że był winien Emilowi sporą sumę pieniędzy. Syn prosił, by zwrócił je mnie. Mąż, świeć Panie nad jego duszą, zostawił mnie z długami. Te pieniądze pozwolą mi zadbać o przyszłość – tłumaczyła kobieta. – Widzi pani, Emil mimo wszystko pamięta o schorowanej matce.

Lazar domyślała się, kim był ten człowiek. Nie wierzyła w jego dobre intencje.

– Mówił, za co był mu winien te pieniądze?

– Nie. A ja wolałam nie pytać, jeszcze by się rozmyślił. – Kobieta machnęła ręką.

– Rozumiem. Czy mogę zobaczyć pokój pani syna? – Śledcza zmieniła temat.

– Oczywiście. Nic tam nie ruszam, nie chcę niczego zepsuć. Przejadę tylko czasem odkurzaczem i nawet tam nie zaglądam. Emil wraca, na kilka dni lub tydzień, aż znów czegoś nie wywinie. To dobre dziecko, tylko się pogubił – powtarzała do znudzenia, nie odwracając wzroku od zdjęć i uśmiechając się pod nosem. – Jego pokój jest na końcu korytarza na górze. Pójść z panią? Coraz trudniej wspinać się po schodach w tę i we w tę. Nawet sypiam już na dole, byle tam nie wchodzić. – Zaśmiała się, wertując kartki albumu.

– Nie trzeba. Poradzę sobie, to nie potrwa długo – zapewniła ją policjantka.

W powietrzu niósł się zapach psiej karmy i smród lakieru do włosów. W korytarzu zalatywało zepsutym mięsem. Lazar odwróciła się i przelękła. Twarz staruszki przypominała rozciągniętą w uśmiechu maskę. Cała sytuacja, zatrzymany w kadrze z lat dziewięćdziesiątych dom i odklejona od rzeczywistości kobieta, przypominały śledczej kadr z teledysku do *Black Hole Sun*. Lubiła ten klip, będąc nastolatką.

Prowadzące na piętro schody skrzypiały przy każdym kroku, wydając z siebie denerwujący pomruk. Z każdym stopniem robiło się ciemniej; nie działała wisząca nad głową żarówka, zasłony w oknie były zasunięte. Tapety w popularne pół wieku temu wzory wybrzuszyły się nienaturalnie, jakby czas wsiąknął w zatęchłe mury.

Z parteru dochodził stłumiony dźwięk gramofonu; ślizgał się po drewnianych stopniach i osiadał na rozciągniętej wzdłuż korytarza wykładzinie. Pokoje na piętrze były zamknięte, widać, że nikt od dawna tu nie zaglądał, mimo to dało się wyczuć jakąś dziwną aurę. Coś nierzeczywistego przechadzało się w tej klaustrofobicznej przestrzeni i szeptało Oli do ucha.

Uchyliła drzwi do pierwszego z pokoi i zajrzała do środka; małżeńskie łoże przykryte idealnie ułożoną różową pościelą z koronką. Do tego masa bibelotów na szafkach, komodzie i grube firany zupełnie odcinające dopływ światła.

Zapach przypominał jej mieszankę perfum i stęchlizny, oblepiał skórę i drażnił nozdrza. Zamknęła drzwi i szła na koniec korytarza. Bała się, co tam zastanie.

Na drzwiach naklejony był wypłowiasty plakat z reprezentacją Polski i tabliczka z napisem „Wściekły pies”. Mogłaby przysiąc, że w środku mieszkał nastoletni dzieciak. Zwróciła uwagę na kilka much siedzących na futrynie. Wydawały z siebie ten obrzydliwy dźwięk.

Ola chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi, czując już od progu nieprzyjemny zapach rozkładu. Zasłoniła nos przedramieniem i wstrzymała oddech. Pchnęła drzwi do środka, ale nie chciały odpuścić.

Coś ciężkiego zagrodziło jej drogę, zablokowało je od wewnątrz. Wstawiła stopę między próg i drzwi, napierając na nie z całej siły. Zauważyła zaciągnięty wokół klamki sznur i bezwładne, martwe ciało leżące na dywanie w pokoju.

Odrzuciły ją unoszący się w środku fetor rozkładu i krążące nad zwłokami muchy. Malczewski musiał popełnić samobójstwo najwyżej kilkadziesiąt godzin temu. Lazar z trudem powstrzymała odruch wymiotny, wycofała się i chwyciła pod boki, starając się utrzymać równowagę na schodach prowadzących na parter. Zakręciło jej się w głowie. Kątem oka zobaczyła radosną twarz staruszki.

Kobieta pośliniła opuszkę palca i przełożyła stronę w albumie z fotografiami. Uśmiechała się do swoich wspomnień. Przeglądała się w ich niewyraźnym odbiciu.

1996

Śniło mi się, że rozmawiam z mamą. Siedziała na brzegu łóżka i śmiała się z moich żartów. Nie były szczególnie ambitne, trudno zakładać, by zasłyszane na przerwie kawały miały drugie dno, ale mój entuzjazm i gestykulacja rozbawiły ją i przywołały uśmiech na jej piękną twarz.

Często śniła mi się w ten sposób; szczęśliwa, rozpromieniona, jakby w jednym momencie zapomniała o wszystkich złych chwilach, które odcisnęły piętno na jej życiu. Straciła mamę równie wcześnie jak ja, na jej barkach spoczęło utrzymanie sypiącego się domu i opieka nad niedołącznym ojcem. Musiała szybko dorosnąć. Jeśli nie liczyć wieczorów, gdy zapominała o tym i dopadała ją głupawka, była bardzo poważna, w odróżnieniu do taty – on nigdy nie dorósł.

Nie przyznała się do tego, ale mogę dać sobie rękę uciąć, że nie miała nikogo, nim go poznała. Zakochała się w nim bez pamięci, zapewnił jej środki do życia i dom, za którym tak tęskniła. Nie zastanawiała się, czy zasługuje na lepsze życie. Na pewno nie zasłużyła na śmierć, ale świat to festiwal niespełnionych ambicji i szalona loteria, w której najczęściej wypadają tandetne fanty.

Rzadko widywałem ją szczęśliwą. Nie wiem, jak pojmowała te ulotne migawki, przeplatające się z nawrotami melancholii. Mam przed oczami jej zamyśloną, pogrążoną w zadumie twarz, jakby dotarło do niej, że uciekła do wyśnionego świata z człowiekiem, który nie chce dorosnąć, z żalonym Piotrusiem Panem.

Ojciec był jak ten wieczny chłopiec, który zostawia cię na ścianie, lecz ciałem jest daleko stąd. Zdradzał ją, oszukiwał i zapewniał, że to nieznaczące epizody. Wracał z naręczem kwiatów, był szarmancki

i przysięgał, że żałuje swoich błędów. Nabierała się na ten spektakl – a może pragnęła w to wierzyć?

Wybierał dobrą zabawę, a mama zaczęła się dusić w tym związku. W końcu coś w niej pękło. Pewnego dnia w przedpokoju stały spakowane walizki. Patrzyłem w jej zapłakane oczy, obiecała, że wyjedziemy stąd i ułożymy sobie życie od nowa. Bez taty. Wiedziałem, że zaklina rzeczywistość.

Znów zamydlił jej oczy.

Strach przed utratą tej atrapy bezpieczeństwa i zaniżona samoocena pozbawiały ją wiary w siebie. Bała się porzucić coś, co знаła, zacząć od nowa. Z czasem zrozumiałem, że ten lęk przed odrzuceniem i samodzielnością musiał płynąć w naszych żyłach. Byliśmy do siebie tacy podobni.

Usłyszałem na schodach czyjeś kroki i zerwałem się z łóżka. Włożyłem rzucone na podłogę spodnie, nie było czasu zmienić przepoconej koszulki. Odgłos kroków się wzmaczał. Wsunąłem pod materac świerszczyki, które znalazłem, włócząc się po okolicy w poszukiwaniu części do rozbudowy kryjówki, i usiadłem przy biurku, udając, że składam model, który leżał niedokończony od tygodni. To był radziecki Tu-144, bałem się, że w takim tempie złożę go na święta.

Zdążyłem wziąć do ręki drobny element kadłuba, kiedy w progu stanęła Paulina. Jej długie włosy i krótkie szorty sprawiły, że znów poczułem się nieswojo.

– Wiem, że nie przepadasz za towarzystwem, ale zrobiłam więcej kanapek i pomyślałam, że przyniosę ci kilka na górę – zaczęła, uśmiechając się.

Była naturalna, nie robiła tego na siłę, co sprawiło, że jej zaufałem. Sięgnąłem po talerz z kanapkami z serem, pomidorem i szynką. Odkąd zjawiała się w życiu taty, zacząłem jeść śniadania i nie burczało mi w brzuchu, co w szkole było jednym z powodów do drwin. O ile coś mogło przebić rude włosy i piegi.

– Dzięki. Od dawna nie śpię, po prostu byłem zajęty – odparłem zawstydzony, uciekając wzrokiem od jej ciała. Burza hormonów, która

przetaczała się przez mój nastoletni umysł, była trudna do ujarzżenia.

Nie myśl o tym, to pułapka.

Spodziewałem się, że dziewczyna wróci na dół i da mi spokój, ale najwyraźniej miała inne plany. Weszła do pokoju i rozejrzała się po ciasnym, nieuprzątniętym wnętrzu. Nie przywykłem do wizyt, nikogo nie zapraszałem do swojego świata.

Podeszła do okna i stanęła do mnie tyłem. Rozglądałem się nerwowo po sypialni. W kącie rosła sterta ciuchów. Przyklejone taśmą do ścian i mebli plakaty i chwiejąca się na gwoździu plastikowa atrapa kosza były oznaką niedojrzałości, ale dawały wrażenie, że jestem normalny, co wcale nie było oczywiste.

– Nie wiedziałam, że masz stąd taki piękny widok. – Zamyśliła się, odeszła od okna i przysiadła na łóżku, oglądając książki z biblioteki, które leżały na szafce nocnej, obok lampy.

Zastanawiałem się, ile miała lat. Mogła być kilka lat starsza ode mnie, ale równie dobrze dobijać do trzydziestki. Na pewno była sporo młodsza od mojego ojca. Nie wiem, jak to robił, że nabierały się na te tanie sztuczki. Widać kobietom imponuje niedojrzałość.

– Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce, ale tej nie znałam. – Wertowała w rękach *Księżyc* Jamesa Herberta. – Opowiesz mi, o czym była, jak skończysz?

Skinąłem głową, jakbym zapomniał języka w gębie. Dotarło do mnie, że jak sparaliżowany siedzę z plastikowym elementem modelu w dłoni i gapię się na nią. Z zażenowania wybawił mnie dźwięk klaksonu, który rozległ się przed domem.

– Muszę lecieć. Jedziemy nad wodę, ale nie chciałam, żebyś cały dzień chodził głodny. Może wybrałbyś się gdzieś z nami? – Powiedziała to w taki sposób, że nie miałem złudzeń, jak powinna brzmieć odpowiedź. Zagalopowała się, a ojciec byłby wściekły, gdybym zepsuł mu plany. I tak tylko mu zawadzałem.

– Nie, mam masę roboty. Dziękuję za kanapki. – To żenujące, ale nie umiałem wydusić z siebie niczego sensownego.

Obserwowałem, jak wstaje z łóżka, a spod materaca wysuwa się jedna z gazet z gołymi panienkami i ląduje na podłodze. Czułem się tak, jakby coś wpadło mi do gardła i zatkało tchawicę. Może miałem nadzieję, że tak się stanie. Skóra swędziała mnie z nerwów, twarz na pewno zrobiła się purpurowa ze wstydu.

Paulina zobaczyła magazyn, ale nie skomentowała tego, litościwie nie wbiła mi gwoździa do trumny, tylko ruszyła w stronę drzwi i zatrzymała się w progu.

– Szkoda. Może następnym razem. – Znów ten uśmiech.

Miałem ochotę rozpląnąć się w powietrzu, a kiedy wyszła, rzuciłem się na łóżko i zacząłem walić w nie ze złości pięściami.

Byłem kompletnym durniem, powtarzałem w kółko, skretyniałym troglodytą. W jej oczach musiałem wyjść na przygłupiego zbrojeńca.

Zszedłem na dół dopiero wtedy, gdy odjechali. Miałem nadzieję, że nie natknę się na nią do końca życia, w przeciwnym razie zapadnę się ze wstydu pod ziemię. Przeplukałem gardło zimną wodą i wróciłem na górę po kanapki, zjadłem je i odłożyłem talerz do zlewu. Przed wyjściem musiałem go umyć – ojciec nie znosił, gdy zostawiałem po sobie bajzel. Zwykle kończyło się tak, że myłem naczynia po nim i jego wesołej ferajnie, imprezującej do późna w ogrodzie.

No właśnie, ogród.

Wyszedłem przed dom i zastałem tam istne pobojowisko. Wróciłem po worki, spakowałem do nich butelki oraz puszki po piwach, resztki jedzenia z grilla, paczki po fajkach i inne śmieci. Zniosłem wszystko do koszy stojących przed garażem. Gdyby ktoś przejrzał ich zawartość, pewnie trafiłbym do bidula.

Nagle ktoś złapał mnie za kark. Znów straciłem czujność.

– No, co tam, młody, orientuj się – rzucił kumpel ojca. Jego zimne dłonie sprawiły, że przeszedł mnie dreszcz. Z trudem udało mi się wyswobodzić z uścisku. – Gdzie się podziewa twój stary?

– Nie wiem. Pojechał gdzieś – odparłem.

Nie chciałem ułatwiać mu zadania. Byłem przekonany, że Cypis wybrał się nad wodę z nimi, ale widać woleli być sami.

– Coś ty taki tajemniczy? Słyszałem, że w szkole spuszcza ci niezły wpierdol.

– Radzę sobie. – Nie przypominałem mu, że są już wakacje.

– Właśnie widzę. To limo pod okiem zrobiłeś sobie, sięgając po coś do szafki? Jak raz pozwolisz sobie wejść na głowę, to masz przechłapane. Będą cię gnębić do usranej śmierci. Lepiej dać sobie obić pysk niż stracić jaja. Uwierz mi, wiem, co mówię.

Nie miałem ochoty wdawać się w dyskusję z tym błaznem.

– Uderz mnie – zasugerował i stanął bliżej, z szeroko rozłożonymi rękami czekał na mój ruch. – No, wal. Zobaczymy, czy umiesz się bronić. Nauczę cię paru sztuczek, młody. Ze mną nie zginiesz.

– Nie – odpowiedziałem, ale mężczyzna doskoczył do mnie, wykręcił mi rękę i stanął za plecami, sycząc do ucha:

– Nie bądź cipą. Musisz się odgryźć, inaczej nie dadzą ci żyć. Jak tego nie zrobisz, do końca życia będziesz mięczakiem. – Zwolnił uścisk.

Czułem ból w wykręconej ręce, ale nie mogłem okazać słabości.

– No wal, bracie. Zaskocz mnie! – zachęcał znajomy ojca. – Pokaż, że masz jaja. Ostatnio niezłe mnie rozbawiłeś, machając tymi grabiami. To było żałosne.

W pierwszym odruchu chciałem odpuścić, ale zacisnąłem zęby i odwróciłem się na pięcie. Słyszałem, że mężczyzna idzie za mną, policzyłem do trzech i błyskawicznie uderzyłem go łokciem w twarz. To za Tytusa, dodałem w myślach. Upadł na trawę i wytarł dłonią zakrwawioną górną wargę. Wstał, otrzepał się z trawy i uśmiechając się ironicznie, pokiwał z uznaniem głową, wskazując na mnie palcem.

– I o to chodzi! Brawo, nie jesteś taką pizdą, za jaką bierze cię ojciec. Jeszcze będą z ciebie ludzie, młody. Jak wróci do domu z tą swoją lalunią, przekaz mu, że wpadnę wieczorem. Dostałem zaliczkę na nową fuchę, trzeba to opić – dodał i odszedł, śmiejąc się pod nosem.

Nie byłem pewien, co oznacza jego dziwny wyraz twarzy, ale domyśliłem się, że lepiej się mieć na baczności.

1993

Rzędy znoszonych garniturów, pożółkłe od nikotyny zęby i pot wsiąkający w źle wyprasowane koszule. Czułem, że wszyscy przyglądali mi się ukradkiem.

Zlali się w moich oczach w szarą masę; smolistą, klejącą się do siebie jak zepsute mięso. Stałem w zatęchłej kaplicy i wahałem się, czy złapać tatę za rękę. Trzymać się kogoś, kto z powodu więzi rodzinnych powinien być mi bliski, bliższy niż ta zbieranina mniej lub bardziej bezimiennych osób? Wieko trumny było uchylone, mogłem ostatni raz spojrzeć na bladą twarz mamy; jej długie włosy i sukienkę w kwiaty, której nie zdążyła nigdy włożyć. Pamiętam, jak wyciągała ją z szafy i szykowała na specjalną okazję. Gorszej nie mogła sobie wyobrazić.

Oddałbym wszystko, by znów przyjść do jej łóżka, wtulić się w ciepłe ramiona i zaczekać, aż przegoni koszmary schowane pod powiekami. Patrzyłem na jej pogrążone we śnie ciało; leżało obok, dzieliło mnie od niego wyciągnięcie dłoni. Była taka spokojna.

Nie słuchałem słów kapłana. Jego głos odbijał się od sklepienia kaplicy i krążył wśród zgromadzonych w środku osób. Oprócz ojca nie znałem nikogo, z kim łączyłaby mnie jakaś więź, do kogo mógłbym się odezwać; nie mieliśmy bliskich krewnych, dziadkowie zmarli dawno temu. Zrozumiałem, że wszystkim, co mi zostało, był ten rosły facet w podniszczonym garniturze z wesela, który stał obok i nie zwracał na mnie uwagi. Zawiódł mnie tyle razy, ale czułem, że w razie potrzeby skoczy za mną w ogień. Ja za nim także.

Wracałem myślami do tego ranka. Słyszałem, że rodzice się kłócą, co zdarzało się coraz częściej, odkąd ojciec zaczął znikać na całe noce i nie

przykładał się do obowiązków. Wciąż słyszałem, jak mama go strofuje, stawia do pionu, widziałem jej pełne pretensji i żalu spojrzenia przy kolacji, zmęczenie odciskające się na skórze. Nie rozumiałem ich zaburzonych relacji.

Będąc dzieckiem, trudno wnikać w świat dorosłych.

Pamiętam ojca leżącego na kanapie w podkoszulku i z butelką piwa w ręce. Gapił się w telewizor i skakał po kanałach, jakby nic ciekawszego nie przychodziło mu do głowy. Mama poprosiła go, żeby pojechał do sklepu, który znajdował się na końcu wsi. Pokonanie tej odległości na nogach zajmowało pół godziny w jedną stronę; przygotowywała coś w kuchni, nie chciała tego przerywać.

W końcu nie wytrzymała. Zwykle tak robiła, po prostu odpuszczała. Przywykła do tego, że jej argumenty odbijają się jak od ściany. Wyszła więc z domu, trzaskając drzwiami, i wsiadła do auta. Nienawidziła starych rżechów, które tu przywoził, remontował i sprzedawał, a następnie inwestował w kolejne graty zżerające hektolitry paliwa. Może wierzyła, że ryk silnika obudzi w nim poczucie winy? Że jak zobaczy w oknie tylne światła odjeżdżającego samochodu i kurz, który za sobą wzbija, coś do niego dotrze? Nigdy jej o to nie zapytałem. Nie zdążyłem.

Po pewnym czasie ojciec nagle wybiegł z domu i wsiadł do jeepa, przy którym dłużył od miesiąca, licząc na dobry zysk. Odjechał.

Miałem złe przeczucia. Wsiadłem na leżący na podjeździe rower i zjechałem ze skarpy na skróty. Mama odjechała autem należącym do kolegi ojca, słyszałem, jak obiecał mu, że zrobi coś ze światłami; nie działały, jak wiele innych rzeczy. Nabrałem rozpędu i pognałem w stronę centrum wioski. To była najkrótsza droga.

Wiedziałem, że nie zdołam go dogonić. Śledziłem zarys auta na serpentynach wijących się wokół wzniesień i pedałowalem tak szybko, jak tylko umiałem. Z daleka dostrzegłem smugę dymu unoszącą się w dolinie, a gdy znalazłem się naprawdę blisko, poczułem w gardle żrącą substancję. Złe przeczucia nie odpuszczały mnie na krok. Zwolniłem przy krawędzi lasu, starając się złapać oddech.

Za plecami rozległ się dźwięk klaksonu. Odwróciłem się i zobaczyłem wygrażającego mi pięścią staruszką. Nie mogłem się wycofać, nie obchodziło mnie, co wykrzykuje. Zjechałem w dół wzniesienia, słysząc w oddali zawodzącą syrenę nadjeżdżającej karetki. Bałem się, że coś złego stało się na przejeździe kolejowym. Z tej wysokości widać było tylko sznur aut, które utknęły w miejscu. Zator zaczynał się na długo przed przejazdem.

Szlaban był wyłamany. Ktoś nie zatrzymał się na mrugających światłach i wjechał w niego z impetem. Widok zmiażdżonego auta i pracujących na miejscu strażaków sprawił, że nogi zrobiły mi się jak z waty. To niemożliwe...

To był wóz, przy którym pracował tata, rozpoznałem go bez trudu. Szukałem wzrokiem mamy wśród zgromadzonych na przejeździe ludzi, wypatrywałem jej w stojącej przy drodze karetkce; nie było jej tam, nikt nie spieszył z pomocą, nie opatrywał ran. Policjanci kręcili się wokół miejsca wypadku. To zła wróżba. Odsuwałem najgorsze myśli.

W końcu wypatrzyłem w tłumie ludzi ojca. Widziałem, jak przeciska się przez policyjne zasieki, rozpycha łokciami, usiłując znaleźć się bliżej rozbitego auta. Był oszołomiony. Stałem za daleko, ale wyobraziłem sobie, że w takich chwilach żyły pulsują mu na skórze, kreślą na niej gęstą pajęczynę wściekłości i strachu.

Bałem się podjechać bliżej. Czułem, że słabnę, nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Odłożyłem rower, usiadłem na trawie i się rozplakałem. Zeszło ze mnie całe ciśnienie. Tama puściła, przestałem kontrolować napływ łez, obaw i lęku, które paraliżowały ciało. Wciąż się oszukiwałem, choć podświadomie czułem, że stało się coś złego; coś, co zburzy iluzję spokoju i przebiję bańkę, w której przechowywałem złudny obraz swojej rodziny.

Tego dnia straciłem mamę. Widziałem, jak ojciec się miota, wygraża przypadkowym ludziom, jakby to oni byli winni jej śmierci. W końcu odjechał w radiowozie. Jego twarz za szybą przypominała maskę.

Miesiąc później dowiedzieliśmy się, że przyczyną kolizji z rozpedzonym pociągiem były niesprawne hamulce. Zabrakło ułamka sekundy, by mama wyszła z tego cało, jakaś cyniczna siła postanowiła mi ją zabrać.

Czułem obecność tej siły w zimnej, cmentarnej kaplicy, była przy mnie, kiedy ciało mamy spoczęło pod ziemią. Wraz z jej odejściem poczułem, że będzie mi towarzyszyć już zawsze.

2019

Brakowało mu takich wyjść. Możliwości, jakie daje życie w mieście, adrenaliny nocnego upojenia i pokus, które prowadzą do zakazanych miejsc albo szemranych zaułków. Lubił pracę pod przykrywką, zarywanie lub odsypianie nocy w przypadkowych miejscach, relacje bez zobowiązań.

Przeniósł się tu, by z tym skończyć. Zapłacił najwyższą cenę za błędy, nie zdołał oprzeć się pokusie i w porę się wycofać, kiedy miał jeszcze taką możliwość.

Przyszła pora, żeby przełknąć gorzkość porażki i zacząć wszystko od zera, uznał.

Bezbarwna miejscowość, w której zamieszkał, zawieszona w pół drogi między biedą i nijakością, nie oferowała niczego więcej poza ciasną kawalerką na wynajem, sklepem spożywczo-monopolowym i barem, który przypominał mordownię w starym stylu. Źle oświetlony, zasnuty tytoniowym dymem lokal był wszystkim, czego oczekiwał na tym etapie życia. Całą resztę zdążył stracić.

Uryga czuł się tu obco. Mijane w drodze do domu twarze lustrowały go od góry do dołu. Zaczął doceniać anonimowość dużego miasta, pęd zabieganych ulic, ich obojętność. Nie identyfikował się z tym miejscem. Nie czuł się na tyle pewnie, by zdjąć maskę. Wolał nie rzucać się w oczy. Nie spoufalać. Nie ściągać na siebie kłopotów.

Był zmęczony. Oględziny związane z samobójstwem Malczewskiego okazały się formalnością. Lazar została na miejscu, on z zespołem techników dotarł tam później. Widział, ile ją to kosztowało, i nie chciał zostawiać jej z tym samej.

Zabezpieczono ślady, jednak nic nie wskazywało na to, aby ktoś przyczynił się do śmierci mężczyzny. Powiesił się w domu matki, która nie wiedziała nawet, że w nim przebywał. W pokoju ujawniono list, a wstępne porównanie charakteru pisma wskazywało, że Malczewski napisał go sam. Jego treść była pełna sprzeczności. Nie przyznał się do zabójstwa Sulimy, tłumaczył, że miał wyrzuty sumienia w związku z jego zniknięciem i żałował, że w przeszłości nie powiedział całej prawdy. Właśnie zabrał ją ze sobą w zaświaty.

Błażej siedział na krześle w kącie baru. Spod czapki z daszkiem wystawały zaczesane za uszy pasma jasnych włosów. Sącył piwo i gapił się na rzędy skrzącego się na półce szkła oraz ekran telewizora na sąsiedniej ścianie.

Leciał jakiś mecz. Nie interesował się piłką nożną, a koszykówki, którą trenował w młodości, nikt tu nie traktował serio; to sport dla czarnuchów, twierdzili. O tej porze ligi i tak miały przerwę. Błażej śledził jedynie plotki transferowe na Twitterze, szczególnie te związane z drużyną MKS Dąbrowa Górnicza. Grał w niej w niższych ligach. Wciąż pamiętał atmosferę parkietu, doping trybun i smak sportowej rywalizacji. Tam też nie planował na razie wracać. Wolał nie kusić losu.

W pubie zalatywało starą fryturą i fajkami. Grupa młodych ludzi grała w darta, inni wrzeszczeli z za bilardowego stołu, uginającego się od kufli z piwem. Na zielonym suknie wykwitły plamy po wylanym alkoholu, zaschnięte i cuchnące.

Dochodziła dwudziesta trzecia. Błażej zamierzał wypić jeszcze jedno piwo i pójść do domu.

Szukał informacji związanych z zaginięciem Witolda Mamrota. Przejrzał akta i rozmawiał z ludźmi, którzy go pamiętali. Zdobył namiar na człowieka, z którym łączyły go ponoć szemrane interesy. Uryga miał kontakty w policji i udało mu się zlokalizować go na Śląsku. Wybierał się do niego jutro z rana.

Zwykle upijał się w czterech ścianach wynajętego mieszkania, ale gdy miał wolne, zdarzało mu się tracić kontrolę i pić, aż urwie mu się film.

Budził się na podłodze, z przyschniętą w kącikach ust śliną i pustą butelką na wyciągnięcie ręki. Wolał tego uniknąć.

Przesuwał granice, aby wyłączyć projektor w mózgu i nie zadrećzać się pytaniami, na które znał jedną odpowiedź; był winny wszystkiego, co się stało. Nie przepracował traumy, nie uważał się nad sobą. Chciał zerwać relacje łączące go z poprzednim życiem. Oprócz jednej, na której mu naprawdę zależało.

Z córką.

Spędzał czas w barze, by nie stracić kontroli. Żeby nie odcięło mu prądu. Potrzebował przebywać wśród ludzi, słuchać, jak rzucają mięsem, kibicują i wygłupiają się podczas konkursu karaoke. Był zwierzęciem stadnym, a odkąd tu trafił, czuł się, jakby zamknęli go w klatce. Na własne życzenie.

Z zamyślenia wyrwał go głośny śmiech grupy mężczyzn. Weszli do środka i zamknęli za sobą ciężkie drzwi. Nie musiał zerkać w ich stronę, by wiedzieć, że tego typu ludzie zwiastują kłopoty. Znał to z autopsji.

Stanęli przy ladzie i rechotali z żenujących żartów. Jeden z nich skinął na barmana i zamówił kolejkę, witając się z klientami baru „U Brody”. Właściciel nie rzucał słów na wiatr, zapleciona w warkocz broda sięgała mu niemal do piersi.

Błażej spokojnie sączył piwo. Czuł na sobie wzrok mężczyzn. Najwyższy z nich w końcu nie wytrzymał i odezwał się, przekrzykując muzykę płynącą z wiszących nad barem głośników.

– Widzę cię w okolicy któryś raz. Ale ni chuja nie kojarzę. – Przysunął się do Urygi i uśmiechnął półgębkiem. Przypominał mu gada czającego się na ofiarę.

Błażej nie odpowiedział. Sięgnął po telefon i zastanowił się, czy zamówić taksówkę. W tej dziurze czas oczekiwania był zbyt długi. W pół godziny dowlecze się do domu piechotą. Zamierzał tu coś zjeść, ale oferta gastronomiczna pubu ograniczała się do burgerów z podeszwy i frytek na starym oleju. Odpuścił. Na rogu jest turek, weźmie kebab na wynos i zje u siebie, jeśli będzie otwarte.

– Mówię do ciebie – nie rezygnował młody, wytatuowany byczek. – Głuchy?

Uryga rozumiał, że tamten nie odpuści. Odwrócił się i spojrzał mu w oczy. Musiał zachować spokój. Każdy ruch, nawet tik nerwowy, będzie go słono kosztować.

– Mieszkam tu od kilku miesięcy. Wpadam od czasu do czasu napić się piwa.

– Skąd jesteś, ziomuś?

– Znikąd. Wynajmuję tu mieszkanie.

– Znikąd? Nie znam. To musi być zajebista miejscówka. – Mężczyzna zaśmiał się, ale Urygi ten żart nie rozbawił. – Za to powiem ci, że z daleka czuć od ciebie psa. Czaisz? Pierdolonego psa.

– Skończę piwo i już mnie nie ma – odparł Błażej. Wolał go nie prowokować.

Barman postawił przed mężczyzną kufle, przyjął płatność gotówką i zagadał, jakby czuł, co się za chwilę może wydarzyć, i usiłował rozładować napięcie. Ale facet nie rezygnował. Uniósł kufel w kierunku Urygi i czekał na jego ruch. Błażej stuknął swoim kuflem w szkło nieznanego, nie dając mu powodu do agresji.

– Zdrowie!

– Zdrowie – powtórzył tamten.

Policjant widział, że jeden z kumpli szepnął coś mężczyźnie na ucho, ten skinął, że zaraz przyjdzie do stolika pod ścianą, przy którym reszta właśnie się rozsiadała.

Uryga dopił piwo, zwrócił kufel i ruszył w stronę wyjścia. Nieznajomy zagroził mu drogę. Był niższy od Błażeja o kilka centymetrów, ale napompowany od koksu i suplementów. Wciąż żuł gumę, poruszając nerwowo szczękami.

– Zapamiętaj, że nie lubimy tu jebanej psiarni – syknął, prawie dotykając czołem nosa Urygi. – Ani pierdolonych konfidentów, jeżeli wiesz, o czym mówię.

Błażej nie wdawał się w pyskówkę. Ugryzł się w język i wziął głęboki wdech.

– Jeśli jakiś się tu pokaże, przypomnę mu o tym. – Ominął mężczyznę i naciągnął kaptur na czapkę z daszkiem. Wyszedł z baru, słuchając rechotu

przerośniętego typu i jego kompanów.

W poprzednim życiu złapałby go za fraki i użył pięści, by wybić mu z głowy te kretyńskie teksty. Ale dawnego Urygi nie było. Przestał przeglądać się w starych błędach, patrzeć wstecz i rozpamiętywać porażki. Cały się z nich składał.

Z rękami w kieszeniach szedł chodnikiem i starał się nie myśleć o przeszłości. Wisiała nad nim jak burzowa chmura i ani dostęp do alkoholu, ani obicie komuś gęby nie były w stanie jej przegnać.

Turek był zamknięty. Znów miał pić na pusty żołądek.

Wrócił do kawalerki i wszedł do kuchni. Wyjął z lodówki resztkę whisky, usiadł w fotelu i włączył telewizor. Czekał, aż procenty zmieszają się z krwią, by mieć odwagę zrobić to, o czym myślał od dawna. Opróżnił butelkę i poszedł do przedpokoju. Sięgnął po słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu i wybrał numer.

Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim ktoś się odezwał.

– Słucham – rozległ się wyprany z emocji kobiecy głos.

– Mówi Błażej. Chciałbym porozmawiać o córce, ustalić, kiedy mogę ją zabrać na parę godzin lub przynajmniej odwiedzić. – Z trudem panował nad nerwami.

Cisza. Zaskoczył ich. Wcześniej dzwonił z komórki, jednak zablokowali numer. Wiedział, że to jego ostatnia szansa, jeśli teraz zawali, teściowie odetną go od Mileny.

Rozumiał ich. Nie zdążył być wzorowym ojcem. Zawiódł ją i siebie.

– Wiesz, która jest godzina?

– Przepraszam. Pracuję do późna – skłamał.

– Skonsultujemy się z prawnikiem i damy ci znać – stwierdziła oschle kobieta.

– Nie możemy załatwić tego normalnie, jak dorośli ludzie? Znacie mnie, wiecie, jak bardzo zależy mi na Milenie. Zgodziłem się na wszystko, co zasugerowaliście, nie walczyłem z decyzją o przyznaniu wam praw do opieki nad moją córką...

– Naprawdę chcesz do tego wracać? Licytować się na to, kto cierpiął bardziej?

– Nie. Chcę się tylko spotykać z dzieckiem. Na niczym innym mi nie zależy.

– Poinformuję cię o naszej decyzji. Mamy twój numer.

– Tak jak ostatnio? – nie wytrzymał. – Kontaktujesz się ze mną od ponad roku. Widziałem ją ledwie kilka razy.

– Ta rozmowa nie ma sensu, Błażej. Wiesz o tym.

– Mam prawo zobaczyć się z córką, tak trudno to zrozumieć? – Podniósł głos, czując, że emocje zaczynają brać górę nad instynktem samozachowawczym.

– Nie utrudniaj swojej sytuacji jeszcze bardziej – stwierdziła kobieta i nim zdążył coś powiedzieć, w słuchawce rozległ się dźwięk przerwane połączenia.

Błażej zacisnął zęby i usiadł przy ścianie, na wycyklinowanym parkiecie. Oddychał przez nos, z trudem powstrzymując wściekłość.

Zacisnął mocno palce na plastikowej słuchawce i zaczął walić nią z całej siły w ścianę. Fragmenty czerwonego plastiku odrywały się i spadały na podłogę.

Nie czuł bólu. Krew spływała mu po dłoni i opadała ciężkimi kroplami na ziemię. Nie przestawał ciskać kikutem słuchawki o ścianę, jakby zamierzał ją skruszyć.

Wreszcie wypuścił ją, schował twarz w dłoniach i poczuł, jak łzy płyną mu po twarzy rozgrzanej od wściekłości. Brzydził się słabością, źle znosił porażki, ale wiedział doskonale, że to jego wina. Że stracił żonę, bo na to pozwolił. Przez niego jego córeczka została u dziadków, a on zgodził się na ograniczenie kontaktów.

Dla jej dobra. Pragnął ją w ten sposób ochronić, przede wszystkim przed sobą i głupimi wyborami, ale nie przewidział, jaką cenę będzie musiał za to zapłacić.

Niszczył wszystko, co znalazło się na jego drodze. Wiedział, że największą przeszkodą jest on sam, dlatego przeniósł się do tej zabitej dechami dziury. Tu nikogo nie skrzywdzi.

Wrócił do kuchni po czteropak piwa i znów topił smutki, zasypiając przed telewizorem. Wyłączyć mózg. Podrzeć na strzępy te pieprzone obrazy, które

podsuwała mu wyobrażenia. O niczym innym nie marzył. O nic nie prosił.

2019

Jazda w ciemności wymagała skupienia. Oślepiające światła mknących z przeciwka pojazdów sprawiały, że odruchowo mrużył oczy i gubił z pola widzenia zasnutą mrokiem szosę. Na ułamek sekundy. Pogodził się z tym, że z roku na rok jego wzrok się pogarsza, a siedzenie przed laptopem przyspiesza ten proces. Jechał wzdłuż brzegu lasu; mimo późnej pory wciąż było gorąco, temperatura nie schodziła poniżej dwudziestu stopni. Szmer klimatyzacji, zagłuszany przez prezentera wiadomości, sprawiał, że zaczął robić się senny.

Usłyszał dźwięk telefonu i przełączył się na zestaw głośnomówiący.

– No cześć, stało się coś? – zaczął, ściszył głos i poluzował kostkę krawata. Na najbliższej stacji planował zmienić przepoconą koszulę. Po męczącej jeździe i całym dniu w upale kleiła się do pleców. Wcześniej musiał wydostać się z tego przeklętego lasu.

– Dzwonił Mierzwiński. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale dostaniemy ten kontrakt. Jesteś, kurwa, pieprzonym cudotwórcą!

– Nie przesadzaj. Nasze rozwiązania są po prostu najlepsze, nie pamiętasz?

– Taki kit to możesz na infolinii wciskać. Ważne, że udało ci się do niego trafić, stary. Gratuluję. Wracasz już do domu?

– Zostały mi dwie godziny za kółkiem. Jestem w połowie drogi. – Ułożył głowę na zagłówku; czuł, że bolą go plecy. Sprawdził na mapie, gdzie jest najbliższa stacja. Musiał zatankować i napić się kawy. W zasięgu wzroku nie widział niczego poza linią drzew, która rozlewała się z obu stron jezdni jak szkic drogi w zaświaty.

– Dobra, nie zawracam ci gitary, pewnie padasz na pysk. Ale w piątek trzeba będzie to koniecznie oblać.

– Dopóki przelew nie wpłynie na konto, sugeruję wstrzymać się ze świętowaniem – zastrzegł, śledząc, jak wyprzedza go czarne bmw.

Pokręcił głową. Nigdy nie rozumiał, jaki jest sens ścigania się w lesie w środku nocy, ale wiedział, że frustratów nie brakuje, a im mniej szarych komórek, tym większa skłonność do ryzykownych akcji. Może z nim było coś nie tak? Nie tęsknił za adrenaliną.

– Zawsze musisz tak zrzedzić? Trochę wiary w siebie – roześmiał się współnik.

– Znów mi to wypominasz. Ktoś musi ściągać nas na ziemię. Widzimy się jutro.

– Szerokości. I jeszcze raz gratuluję.

Rozłączył się, a z głośnika znów popłynęły spokojne, klasyczne dźwięki. Mężczyzna wahał się, czy zadzwonić do żony; była w siódmym miesiącu ciąży, na pewno spała, nie chciał jej niepotrzebnie budzić. Opowie wszystko przy śniadaniu. Budował firmę dziesięć lat i trud włożony w rozwój zaczął przynosić w końcu efekty. Nie chciał zapeszać. Sparzył się wiele razy, więc wolał dmuchać na zimne.

Wjechał głębiej w las. Droga wiła się niczym serpentyna wzdłuż łagodnych wzniesień; opadała albo wznosiła się na zmianę, jakby nie mogła się zdecydować, w którą stronę zmierzać. Z lasu wypęzła mgła; na początku przezroczysta, przypominająca osiadającą nad jezdnią smugę dymu, z czasem gęstniała niczym kozuch mleka nad spękany asfaltem. Mężczyzna włączył światła przeciwmgielne i wyteżył wzrok. Trzymał się rozrysowanych na jezdni niewyraźnych linii.

Zerknął na wyświetlacz telefonu. Według nawigacji las przerzedzi się za kilka kilometrów, czekało go parę krętych wiraży, dlatego musiał zachować czujność. Zobaczył przed sobą zarys czerwonych świateł snującego się w górę pojazdu i trzymał się ich niczym zahipnotyzowany. Nie chciał go wyprzedzać. Nie szukał wrażeń, wielogodzinne negocjacje solidnie go zmęczyły.

W oddali słyszał pomruk skradającej się burzy, a za chwilę przednią szybę zrosiły krople deszczu, jeszcze bardziej ograniczając widoczność. Wycieraczki nie nadążały zgarniać wody. Deszcz wystukiwał na masce niezrozumiałą opowieść. Mężczyzna zwolnił do sześćdziesięciu, usiłując dostrzec coś zza zaparowanych szyb.

Zaklął pod nosem. Marzył jedynie o tym, żeby wydostać się z tego przeklętego lasu. Telefon zawibrował i szybko zgasł, jakby ktoś puścił sygnał i liczył, że kierowca oddzwoni. Wczytał listę połączeń, a kątem oka dostrzegł niewyraźną sylwetkę na środku jezdni. Powinien zachować czujność. Gotów był przysiąc, że ta ciemna plama wypełzła zza krawędzi lasu i zatrzymała się kilkadziesiąt metrów przed maską; odruchowo złapał za kierownicę.

Z naprzeciwka jechał w jego kierunku samochód ciężarowy. Dźwięk klaksonu otrzeźwił go i mężczyzna odbił kierownicą w prawo, uświadamiając sobie, że za chwilę uderzy w stojącą na drodze postać. Dlaczego wciąż tam była? Czemu nie zeszła z jezdni? Wcisnął hamulec do podłogi, ale mimo to nie zdołał uniknąć uderzenia; pasy błyskawicznie się napięły, maska zachrząściła, a prawy reflektor rozbił się, skruszył i zgasł. Siła uderzenia sprawiła, że postać, w którą uderzył, przeleciała na drugą stronę jezdni. Bał się zgadnąć, czym naprawdę była.

Deszcz nie przestawał padać. Mężczyzna widział wygiętą do góry maskę i wydobywający się spod niej dym. Serce biło mu tak mocno, że czuł je przez materiał koszuli. Wciągał powietrze i wypuszczał je na zmianę; w szoku zdążył włączyć światła awaryjne. Wyskoczył z samochodu i mrużył oczy od rzęsistego deszczu. Czuł jego chłodny dotyk na skórze, ale ciekawość znieczulała go na zimno i ból.

Przed oczami stanęła mu noc, którą wymazał z pamięci. Niewyraźna migawka przeżyć, które zepchnął poza granice świadomości. Stojący na poboczu samochód, skąpana w deszczu szosa i leżące na niej truchło. Ślady krwi. Strach.

Wyczuwał je pod podeszwą butów; kleiły się do nich, utrudniając stawianie kroków w dorosłość. Deszcz spijał je zachłannie, karmił się nimi. Sprawiał, że krew zastygła na asfalcie, wsiąkała w jego strukturę, żeby po

chwili spłynąć wzdłuż jezdni, szukając ujścia. Znowu tu była; gęsta, niemal czarna, jak mrok, w którym mógł się teraz przejrzeć.

To wspomnienie stało się żywe, jakby odkrył je wśród zdjęć upchniętych na dnie szuflady i przypomniał sobie jego smak.

Bartosz Adler upadł na kolana i oddychał z trudem. Bał się spojrzeć w głąb siebie przez spękania w skorupie pamięci. Serce biło mu tak mocno, że miał wrażenie, jakby chciało rozerwać mu skórę.

Znów widział zniekształconą sylwetkę ofiary, martwą, opuchniętą twarz. Przypomniał sobie teatralnie wykrzywione nogi, zadrapania na skórze twarzy i zmierzwione, sklejone od deszczu i krwi włosy. Zaczął płakać, łkał, jakby pragnął wydrzeć sobie płuca z trzewi. Czuł się bezsilny. Przywidzenie, które nosił pod powiekami, nie było wytworem jego wyobraźni; okazało się zbyt bolesne i wyraźne.

Odżyły wspomnienia, które przez lata zalegały głęboko w podświadomości.

Adler otworzył oczy. Tym razem przed maską samochodu leżało truchło dzika.

2019

Ból panoszył się między skrońmi, pulsował i nie pozwalał myśleć trzeźwo. Błażej bał się obudzić; promienie światła rozlały się na powiekach. Wiedział, że kiedy je otworzy, wypalą mu źrenice.

Ocknął się na kanapie w nienaturalnie skrzyżowanej pozycji, czując, że zdrętwiała mu ręka. Wysunął ją spod ciała i zrzucił leżącą obok butelkę, która sturlała się na podłogę, robiąc przy tym tyle hałasu, że musiał przystawić dłoń do uszu, aby nie rozsadziło mu czaszki. Kwaśny smak alkoholu rozsiadł się na podniebieniu.

Przypomniawszy sobie, że dzwonił do teściów i prosił ich o możliwość kontaktu z Mileną. Coś musiało pójść nie tak, skoro leżał skacowany i bolał go każdy miesiąc. W tle rzeźbił telewizor, za oknem kawalerki ujadał jakiś upierdliwy kundel.

Błażej z trudem zwłóknął się z łóżka. Czuł, że pulsowanie w głowie nasila się z każdym krokiem. Stał przed lustrem w łazience i wpatrywał się w opuchniętą twarz. Długie włosy opadały na policzki, a wychudzone ciało domagało się wartości odżywczych. Zmizerniał, zbladł, alkohol wyciągał z organizmu wszystko, co trzymało go przy życiu. Uryga przypominał szkielet. Czasem miał wrażenie, że znalazł się w czyścicu i prędzej zwariuje, niż uda mu się wrócić do żywych.

Wziął dwie tabletki i szybki prysznic, dzięki czemu ból głowy ulotnił się jak zły duch w kontakcie z wodą święconą. Nie mógł stracić tej pracy, wiele wysiłku kosztowało go przeniesienie, a obiecał sobie, że zacznie wszystko od nowa. Służba w policji była jedynym zajęciem, które sprawiało mu satysfakcję, pozwalając zapomnieć o zmarnowanym życiu. Pogodził się

z tym, że może być po jednej albo drugiej stronie barykady, innego wyjścia nie ma. Nie wyobrażał sobie znowu zawieść.

Wrócił do pokoju, podniósł butelkę z podłogi i przechylił ją, zbierając językiem ostatnie krople gorzkiego trunku. Mało. Wciąż za mało.

Znalazł telefon i spojrzął na wyświetlacz. Dwanaście nieodebranych połączeń. Wszystkie od Oli.

– Gdzie ty się podziewasz? – To pierwsze, co usłyszał, kiedy do niej oddzwonił.

– Rozładował mi się telefon. Jestem w drodze do jednego z kumpli Mamrota. Wiem, gdzie się zamelinował, ale to kawał drogi. Trochę mi zejdzie. – Delikatnie mijał się z prawdą.

– Dzwonię do ciebie od rana. Zgłosił się do nas człowiek, który twierdzi, że wie, co się stało z Sulimą. Chciałam, żebyś pojechał za mnie do Malczewskiej, załatwił formalności. Ja porozmawiam z tym facetem.

– Mam się wrócić? Zrobiłem już spory kawałek.

Lazar zamilkła. Szukała najlepszego rozwiązania.

– Dobra, rób swoje. Jest ze mną Sylwia, poradzimy sobie jakoś. Tylko odbieraj łaskawie ten pieprzony telefon. – Ola się rozłączyła.

Ból głowy wrócił i utrudniał zebranie myśli. Błżej wyszedł z domu, musiał się przewietrzyć. I wziąć w garść. Nie mógł jej zwodzić w nieskończoność.

Znalezienie miejsca, w którym przebywał Piotr Cymański, okazało się prostsze, niż sądził, ale powrót w okolice, które do niedawna dobrze znał, kosztował go wiele nerwów. Szopienice, jedna z dzielnic Katowic, graniczyły z Sosnowcem, w którym pracował przez ostatnie lata. Kiedy spakował swoje rzeczy i zakończył służbę w wydziale kryminalnym, nie spodziewał się, że tak szybko przyjdzie mu wrócić w te strony.

Ktoś spuścił uśpione koszmary ze smyczy. Uryga znowu słyszał ich warczenie.

Stojące wzdłuż drogi okazałe kamienice straszyły złuszczoną elewacją i wybitymi szybami w witrynach. Skrywały w sobie masę tajemnic, mieszały się z peerelowską zabudową i relikdami dawnego przemysłu. Szopienice zdawały się czekać na drugą szansę; uśpione, skupione na

niekończącym się tańcu z przeszłością. Ten kontrast uderzał po oczach, a po zmroku wyciągał łapy po więcej.

Uryga wszedł na wewnętrzny dziedziniec kamienicy i rozglądał się za tabliczką z numerem. Wolał się upewnić, że trafił pod właściwy adres. Ludzie mieszkający w takich miejscach nie mieli zaufania do obcych i strzegli swojej prywatności.

Zobaczył grupkę wyrostków. Siedzieli na ławce i pili piwo. W bluzie i kapturze naciągniętym na czapkę z daszkiem nie przypominał śledczego, jednak nie był stąd, co wyłapią bez pudła i co nie było tu mile widziane.

Wsunął ręce w kieszenie bluzy i szedł w stronę klatki schodowej. Nie zamierzał ich prowokować.

– Kaj tam leziesz, mordo? – usłyszał.

Błażej odwrócił się do grupki młodych mężczyzn i popatrzył im odważnie w oczy. Tylko w ten sposób mógł zyskać ich szacunek.

– Szukam Piotra Cymańskiego, Cypisa. Kilka dni temu zmarł mi ojciec, byli kuzynami. Nie mogę się do niego dodzwonić, wpadłem poinformować, kiedy pogrzeb. Dawno nie był w rodzinnych stronach.

Spoglądali na intruza z nieufnością. Nieprzypadkowo wspomniał, że człowiek, którego szukał, nie pochodził stąd – to uprawdopodobni jego wersję zdarzeń. Jeden z mężczyzn wskazał mu okna na drugim piętrze i wtrącił coś po śląsku, jednak Uryga niewiele z tego rozumiał. Kiwnął głową i udał się w stronę klatki schodowej; wciąż czuł na sobie ich podejrzliwy wzrok.

W środku zalatywało moczem i zwietrzałym alkoholem. Ściany były odrapane i umazane sprayem, a na suficie wykwitł grzyb. Na każdym piętrze znajdowały się dwie pary drzwi, te na dole były w opłakanym stanie i z trudem trzymały się w zawiasach. Niektóre wyglądały tak, jakby ktoś potraktował je z buta, z innych ze starości odchodził lakier. Na parapetach i schodach walały się puste małpki, w powietrzu niósł się smród kapusty kiszonej. Błażej odwiedził wiele takich miejsc w trakcie służby i niewiele było w stanie go zaskoczyć.

Miał kaca. W takich momentach był wyczulony na zapach. Odbiło mu się.

Zapukał do oklejonych dyktą drzwi i usłyszał, że ktoś idzie. Chwilę później w progu stanął facet przed sześćdziesiątką, w wymiętej koszuli i ze zwisającym z kącika ust papierosem.

Piotr Cymański przyglądał się nieznajomemu, zanim się odezwał.

– Coś się stało? – wycharczał.

Błażej zdawał sobie sprawę, że wymyślona historyjka nie trzyma się kupy, dlatego wyjął policyjną legitymację i pomachał nią gospodarzowi przed nosem.

Cymański nie wyglądał na zaskoczonego. Podrapał się po szczeciniastym, siwym zaroście i zniknął w korytarzu, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

Mieszkanie, wbrew obawom policjanta, nie przypominało chlewu. Może dlatego, że było praktycznie puste. W pokoju stały wąskie łóżko i stara szafka, w kuchni zlew, lodówka i blat z wyraźnymi śladami po przypaleniach. Do tego rząd butelek po piwie pod oknem i kwadratowy, nakryty ceratą stół. Nic więcej. Minimalizm w czystej postaci.

Usiedli na starych taboretach.

– Czemu zawdzięczam tę nagłą wizytę, panie władzo? – Słowa mężczyzny były zaprawione jadem. Nie przestał palić papierosa. Zaciągnął się i wypuścił obłok dymu pod sufit. Popielniczka ugięła się od popiołu i zgaszonych petów.

– Z tego, co wiem, ostatnio jest pan wzorowym obywatelem. To się chwali. Ja w innej sprawie. Wpadłem pogadać o zaginięciu Szymona Sulimy, wieki temu.

– Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Nawet nie pamiętam gówniarza.

– Jest pan pewien? Może warto odświeżyć sobie pamięć.

– Z ręką na sercu, panie władzo.

– Witka Mamrota też pan nie kojarzy? Chłopak przepadł w tym samym czasie.

Błażej wiedział, że strzelił w dziesiątkę. Cymański szukał właściwych słów, żeby ukryć zakłopotanie, ale nic nie przyszło mu do głowy. Mowa ciała była bezwzględna.

Odkaszlnął zalegającą w gardle flegmę.

– Nie bardzo rozumiem, w czym rzecz. Przychodzisz pan tu i zawracasz mi gitarę. Ci ludzie przepadli w chuj lat temu, skąd pomysł, że coś o tym wiem? – syknął gospodarz.

– Witold Mamrot zgłosił się na posterunek i chciał złożyć zeznania dotyczące włamań i kradzieży z lat osiemdziesiątych, w których miał brać udział. Jest na to kwit sporządzony przez funkcjonariusza, który przyjął zgłoszenie. Zastanawiam się, czemu nie zrobił tego od razu, tylko zaczekał z tym tyle lat. Z notatki wynika, że w ostatniej chwili się wycofał. To trochę dziwne. Jakby tego było mało, jakiś czas później po prostu przepadł.

– A co ja mam do tego? Nie będę ściemniał, że jestem czysty jak łąza, ale chciał nam wtedy zrobić koło pióra. Zmyślił wszystko. Był wściekły, że Adler nie wstawił się za nim i wywalili go z roboty. Nie dziwię mu się, ciągle przychodził najebany. Nie złożył zeznań, te kwity, o których pan mówisz, wypłynęły po tym, jak przepadł. Dobrali się do nas i nic nie znaleźli. Skąd pewność, że ten gliniarz tego nie podłożył?

– Mamrot twierdził, że wraz z panem i wspomnianym Wojciechem Adlerem włamywał się do domów w okolicy. Wynosiliście cenne rzeczy, biżuterię i pieniądze. – Błażej zlekceważył sugestię, że zeznania Mamrota mogły zostać sfabrykowane.

– Pierdolenie! – warknął Cymański. – To bzdury. Gdy się zorientowali, że przepadł, trzepali nas dobrych kilka godzin, wpadli na chatę i wywalili wszystko do góry nogami. Nic nie znaleźli. Słyszysz mnie pan? Ani, kurwa, złamanego grosza. Nic. Zero.

– Od ostatnich włamań minęło wtedy dziesięć lat. Zapewniał, że sprzedawaliście fanty zaufanym pośrednikom. – Uryga wiedział, że nie zdobyli wówczas żadnych dowodów, które potwierdzały tezę Mamrota. Ale czuł, że ten gość kręcił.

– Żaden z nich tego nie potwierdził. Nie wiem, co mu strzeliło do tego pustego łąba, ale pieprzył od rzeczy. – Cymański zaśmiał się i odpalił kolejnego papierosa.

– W takim razie co skłoniło go do tego, by przyjść z tym na komisariat?

– Nie mam bladego pojęcia. Wiem tyle co pan. Możliwe, że chciał się odgryźć na Wojtku za to, że się za nim nie wstawił. Poza tym nie ma

żadnego dowodu na to, że w ogóle był na komisariacie. To wasza wersja. Wiem, że wsiadł do pekaesu i tyle go widzieli, koniec pieśni – podsumował z satysfakcją i zgasił tłącego się papierosa.

– Przyjrzałem się tym włamaniom. – Błazej nie połknął haczyka i nie dał się zbić z tropu. – W połowie lat osiemdziesiątych w okolicy doszło do serii. Był też pożar, w którym zginęli młodzi ludzie, osierocili czteroletnie dziecko. Niektórzy podejrzewali podpalenie.

– Nawet jeśli tak było, to jaki to ma, kurwa, związek z włamaniami, a tym bardziej ze mną? – przerwał mu Cymański, a na jego twarzy rysowała się wściekłość. – Wrzuca pan wszystkie pierdolone nieszczęścia, z zaginięciem tego gówniarza i pożarem włącznie, do jednego wora i próbuje ubrać w to przypadkowych ludzi. To jebana farsa.

Błazej chciał coś powiedzieć, ale mężczyzna wszedł mu w słowo.

– I o jakim podpaleniu pan mówisz? – warknął, gdy nieco ochłonął. – To był pożar.

Uryga nie chciał mu przerywać. Miał zgagę. Ból głowy spowodowany piciem, brakiem snu i śmieciowym żarciem ograniczał jego możliwości trzeźwego myślenia. Zbierało mu się na wymioty, ale wiedział, że musi zachować kamienną twarz i wyciągnąć z tego faceta coś więcej niż suche zaprzeczenia.

– Szkoda, że nie potraficie tak dobrze weryfikować siebie. To jest pierdolone polowanie na czarownice. Nie wpuścisz mnie pan w kanał, nie dam się w to ubrać, o nie. Pana przełożona szuka kozła ofiarnego, którego mogłaby obwinić o śmierć rodziców, ale nikt nie wie o zaginięciu tego chłopaka więcej niż ona. Była w tym lesie tej nocy, kiedy to się stało. A z tego, co wiem, było z niej w tym czasie niezłe ziółko. – Cymański pokręcił głową. – Zaczynjcie sprzątanie od siebie, a później nękać innych. To wszystko, co mam do powiedzenia. – Oparł się wygodnie w fotelu i zapalił kolejnego papierosa. Widać było, że emocje buzują mu we krwi.

– Twierdzi pan, że nie ma nic wspólnego z włamaniami ani śmiercią Mamrota. – Uryga się zawiesił, informacja o Lazar wybiła go z rytmu. – Skąd pan wie w takim razie, kim jest moja przełożona? – spytał przytomnie.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówisz. I szczerze? Gównu mnie to obchodzi – uciął Cymański. – Skąd pewność, że Mamrot nie żyje? Znajdźcie go i wtedy możemy pogadać. Mam swoje źródła. Nie jestem głupi, a na tym zadupiu wszyscy mnie kojarzą.

Błazej podniósł się i ruszył w stronę drzwi. Był wściekły, czuł się naiwny jak dziecko.

Nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, kim byli ludzie, którzy spłonęli w pożarze. Skoncentrował się na zaginięciach sprzed lat. Wiedział też, czemu Ola tak zaangażowała się w ustalenie prawdy dotyczącej zaginięcia Sulimy. Nawet jeśli rozumiał jej intencje, to musiał przyznać, że zachowała się dziwnie.

Znał ją za krótko, najwyraźniej seks i pożądanie były jak klapki na oczach. Uświadomił sobie, że tak naprawdę nic o sobie nie wiedzą. Stroszyli przed sobą kolorowe pióra, żadne z nich nie przyznało się do błędów przeszłości.

Wbrew pozorom byli sobie bliżsi, niż mogli sądzić.

1996

Tej nocy budziłem się kilka razy i z trudem zasypiałem, ale nocne wybryki ojca i jego kumpli nie miały z tym nic wspólnego. Po tym, jak nakryłem go z Pauliną, zrobiło się pod tym względem spokojniej i zyskałem trochę więcej swobody.

Przewracanie się z boku na bok nie pomagało. Wstałem, usiadłem w fotelu i gapiłem się w rozgwieżdżone niebo, z naiwną wiarą w to, że mama jest gdzieś wysoko, a gdybym zwątpił, da mi jakiś znak, gwarancję, że kiedyś znowu się zobaczymy.

Naprawdę w to wierzyłem. Wróciłem do łóżka, położyłem głowę na poduszce i próbowałem zasnąć. Sen nie przychodził, za to po głowie krążyły miliony myśli.

Jutro miałyby urodziny. Ostatnie przed wypadkiem spędziliśmy we dwoje, tata wciąż był zajęty. Wstałem wcześniej i zaniósłem jej śniadanie do łóżka; lekko przypalone jajka sadzone i pokrojony w plastry pomidor z cebulą nie były szczytem kulinarnej fantazji, mimo to upierała się, że lepszych nie jadła. Wiedziała, jak mnie podejść. Z ostrożnością przyjmuje pochwały. Dużo prościej podciąć mi skrzydła.

Leżeliśmy w łóżku. Była jedyną osobą, która naprawdę słuchała, co próbowałem jej powiedzieć. Nie z obowiązku ani dlatego, że była moją mamą i nie chciała sprawić mi przykrości, w przerwach między ciągłym gadaniem, jak tata, tylko w skupieniu, ciszy.

Nawet teraz, gdy nie było jej przy mnie, mogłem powiedzieć jej o wszystkim, ale tej nocy do mnie nie przyszła. Nie dała mi znaku, na który czekałem, może dlatego tak pragnąłem zasnąć? Zmusić organizm do kartkowania wspomnień.

Czytałem, słuchałem radia, zwykle Trójki – lubiłem głos prowadzącego audycję i nostalgiczną muzykę, którą puszczał w środku nocy. Zawieszałem się i zapominałem, że czas płynie i nie ogląda się za siebie. Liczyłem barany, wierciłem się w łóżku i zmieniałem pozycję, odkrywałem się bądź przykrywałem kołdrą.

Zasnąłem tuż przed wschodem słońca i obudziłem się dwie godziny później.

Oczy szczypały ze zmęczenia. Ziewnąłem i poczułem się tak, jakby ktoś odciął mi dopływ tlenu. Stwierdziłem, że skoro jestem już na nogach, szkoda tracić czas na wylegiwanie się. Ubrałem się, umyłem zęby i zszedłem na dół, na tyle cicho, żeby nie obudzić taty, o ile spędzał tę noc w domu.

Wsiadłem na rower, a po drodze na cmentarz zebrałem z łąki bukiet chabrów. Lubiłem ich niebieski kolor. Przypominały mi barwę jej oczu.

Brama prowadząca na teren cmentarza była zamknięta, co nie stanowiło dla mnie wyzwania. Wchodziłem na cmentarz przez ułamaną barierkę od strony nieużytków, to była najkrótsza droga prowadząca do jej grobu. Przepchnąłem rower na drugą stronę i wcisnąłem się za ogrodzenie. Byłem chudy jak patyk, wiedziałem, że jeśli przejdzie głowa, z wsunięciem reszty nie będzie kłopotu.

Szedłem wzdłuż płotu i stanąłem przy skromnym grobie. Mama powtarzała, że chce, by rosły na nim kwiaty. Często mówiła o śmierci, mimo że była taka młoda. Może coś przeczuwała? Byłem szczęśliwy, gdy tata spełnił jej prośbę. Przymykałem oko na fakt, że nie dbał o to, by oprócz ziemi i chwastów, które zajmowały całą przestrzeń, wyrastało na nim coś więcej.

Przyjeżdżałem tu kilka razy w tygodniu, usuwałem chwasty, podlewałem i sadziłem kwiaty, chciałem sprawić jej w ten sposób przyjemność. Wiem, to się może wydać głupie, ale potrafiłem spędzić tu kilka godzin, mówiąc do kogoś, kto nie żył od trzech lat. Chciałem się wygadać, a nikt nie słucha tak jak zmarli.

Oparłem rower przy drzewie i położyłem kwiaty obok tablicy nagrobnej z jej czarno-białym zdjęciem; uśmiechała się na nim, jakby życie, które

urwało się przedwcześnie w tragicznych okolicznościach, było wszystkim, na co naprawdę zasługiwała.

– Wszystkiego najlepszego, mamó – zacząłem i siadłem na skrzypiącej ławce, którą wkopaliśmy z tatą obok grobu. – Przepraszam, że nie odwiedzam cię od paru dni, ale odkąd przepadł Siwy, bez przerwy coś się dzieje. Teraz, gdy skończyła się szkoła, znajdę więcej czasu, by to nadrobić. Obiecuję. – Mówiłem do niej lub obok niej, nigdy nie wiedziałem, w którą stronę powinienem patrzeć.

Tak jak w przypadku modlitwy, kiedy jeszcze ją odmawiałem. W kościele lub w pokoju krzyż pomagał skupić wzrok, gadanie do marmurowej tabliczki wydało mi się głupie, dlatego rzucałem słowa w przestrzeń, wybierając jakiś punkt na horyzoncie. Nie zastanawiałem się, co myślą ludzie, którzy mnie mijali. Byłem dla nich ofiarą losu, niegroźnym dziwolągiem, którym nie wypada zaprzętać sobie głowy. Odpowiadało mi to.

– Pamiętasz Szymona, prawda? Kilka razy był u nas. W pierwszych klasach się kolegowaliśmy, potem jakoś to się rozeszło. Znalazł sobie nowych znajomych, a ja trzymam z innymi – dopowiedziałem szybko, jakbym się bał, że wychwyci kłamstwo. Nie miałem przyjaciół, ale mamie, żywej lub nie, wstyd było się do tego przyznać. – Wciąż go szukają. Spędził noc na biwaku, ślad po nim zaginął. Nie wrócił do domu i zaczęło się piekło. Wybacz, nie powinienem tak mówić. W każdym razie go nie ma, to znaczy poszukiwania trwają, ale nikt nie wie, co się z nim dzieje. – Miałem wrażenie, że robi mi się gorąco. Dziwne uczucie, źle się czułem, oszukując własną matkę.

Przez moment wahałem się, czy wyznać jej prawdę.

Spojrzałem na jej zdjęcie, daty narodzin i zgonu wyryte na tablicy nagrobnej i dotarło do mnie, że ona nie żyje, bez względu na to, jak mocno zaklinam rzeczywistość.

– To znaczy chciałem ci się do czegoś przyznać, bo nie mogę paplać o tym na lewo i prawo. Wiem, gdzie jest, pomagam mu się ukryć. Ale mamó, uwierz mi, to nie był mój pomysł, sam mnie o to prosił. Jego ojciec jest byłym żołnierzem. Znałaś go, krótko go trzyma i leje wojskowym

pasem. Siwy od dawna usiłował uciec, wyjechać, zniknąć. Nie mogę go wydać, obiecałem mu to. W końcu ma prawo decydować o swoim życiu, zawsze mi tak mówiłaś. Każdy ma do tego prawo. Nie chcę go bronić, po prostu tak wyszło... – tłumaczyłem nieudolnie.

Zorientowałem się, że w stronę kaplicy zmierza proboszcz. Z daleka widziałem czarną sutannę i biret. Skuliłem się na ławce i liczyłem na to, że mnie nie pozna, ale wydał mnie oparty o drzewo rower. Przeżegnałem się i raz jeszcze obiecałem mamie, że będę do niej zaglądał częściej. Ksiądz szedł w moją stronę, nie dał mi szans na ucieczkę.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – wydukałem cicho.

– Na wieki wieków. To godne pochwały, że modlisz się za duszę mamy – zaczął. – Ale martwi mnie, że nie chodzisz na mszę, nie służysz Bogu przy ołtarzu z taką gorliwością jak dawniej. – Wyraźnie się zasapał.

– Odkąd nie ma mamy, przybyło mi obowiązków... – tłumaczyłem się. – Pomagam tacie, no i muszę się uczyć, chcę pójść do dobrej szkoły, coś osiągnąć. Sam ksiądz rozumie, teraz jeszcze to zaginięcie Szymona...

– Bóg nie lubi wymówek. Jestem przekonany, że znajdziesz czas, by wpaść na mszę. Pod koniec wakacji jedziemy z ministrantami do Alwerni, zamieszkamy w klasztorze ojców bernardynów. Zrobimy ognisko, jakiś turniej w tenisa stołowego, coś dla ducha i dla ciała, jak to mówią. Chcę, byś wrócił do wspólnoty, znów był bliżej Boga. Tylko on może sprawić, że wszystko się ułoży. Wysłucha cię, jeśli go o to poprosisz.

Miałem ochotę odpowiedzieć, że bliżej Boga niż na cmentarzu już nie będę, w końcu rozmawiam ze zmarłymi. Powstrzymałem się jednak i skinąłem głową, dodając, że się postaram.

Wstałem i zacząłem prowadzić rower w stronę bramy.

– Ach, zapomniałbym – rzucił ksiądz, ale sądząc po tonie jego głosu, czułem, że od początku właśnie to chciał powiedzieć. – Przypomnij tacie, że nie opłacił grobu. Niech się zgłosi do mnie po mszy, zaradzimy. Z Bogiem, chłopcze. Z Bogiem.

Odczekałem, aż zniknie mi z pola widzenia, wsiadłem na rower i wróciłem do domu.

Na podejździe stał jakiś samochód. Nie znałem go i domyśliłem się, że tata ma gości. Odstawiłem rower i słuchałem, z której strony bezpieczniej dostać się do środka, by im nie przeszkadzać. Źle się czułem wśród obcych ludzi.

Z tyłu od strony lasu zobaczyłem Paulinę. Opalała się w kostiumie kąpielowym i w okularach przeciwsłonecznych. Nie zauważyła mnie i złapałem się na tym, że gapię się na jej półnagie ciało. Z odrętwienia wyrwał mnie wzburzony ton głosu taty, który przypominał kłótnię. Docierał sprzed garażu.

Przyczałem się i podszedłem bliżej, nasłuchując. To Cypis przyjechał nową furą, stał obok taty i gestykulował niespokojnie. Przyłgnałem do ściany domu i zbliżyłem się dwa kroki, by mnie nie widzieli. Zastanawiałem się, o co im chodziło.

– Opchniesz tego gruchota, tak jak obiecałeś, nie chcę go tu więcej widzieć. Rozumiesz? Masz na to jebane dwa dni, skoro nie potrafisz po sobie sprzątać. Zdajesz sobie sprawę, co się stanie, jeśli to gówno wypłynie? Myślałeś o tym?

Dawno nie widziałem go tak wściekłego, a nie było tajemnicą, że podpalał się z byle powodu. Z satysfakcją słuchałem, jak skaczą sobie do gardeł. Dziwiłem się, że ojciec nabierał się na tanie sztuczki Cypisa. Facet zawsze ściągał go na dno, wracał jak rachunek do opłacenia. To były słowa mamy. Wciąż go prosiła, by skończył tę znajomość i odciął się od Cymańskiego. Na próżno.

– Daj mi chwilę, pracuję nad tym. Nic ci z tego powodu nie grozi, o co to całe pierdolenie? Popełniłem błąd i biorę to na klatę, kurwa! Nie pierwszy raz i nie ostatni. Zresztą posprzątałem po sobie. Nie jestem pierdolonym dzieckiem.

– Wpieprzyłeś mnie w niezłe bagno. I wyciągniesz mnie z niego.

– Nas. Jeśli już, to nas – powtórzył Cymański. – Obaj w tym siedzimy.

Miałem wrażenie, że tata rzuci się na niego z pięściami. Po cichu na to liczyłem.

– Jakich, kurwa, nas? Pierz swoje brudy z dala ode mnie! Bałeś się, że cię wydam? Że strzelę z dupy? Za kogo ty mnie masz, jebany tchórze? –

wściekał się ojciec.

– Jeden z nas robi rozpiardol, sprzątamym razem. Wcześniej ci to nie przeszkadzało. Mam ci przypomnieć kilka posranych akcji, z których razem wyszliśmy? Chcesz tego? – nie odpuszczał Cymański. – To najbezpieczniejsza z opcji, zaufaj mi w końcu. Nikt się nie dowie.

Zobaczyłem kątem oka, jak zaciągał się papierosem i wypuszczał kłęby dymu.

– Opchnę go, wyluzuj. Jestem jak jebany kot. Zawsze spadam na cztery łapy – dodał.

– Naprawdę chcesz się licytować, kto częściej nawalał? Wtedy nie było wyboru, trzeba było z tym skończyć – warknął tata. – W przeciwieństwie do ciebie miałem rodzinę, odpowiadałem za jej bezpieczeństwo. Obiecałeś zamknąć ten rozdział i koncertowo to spierdoliłeś.

– Nie z takich opresji wychodziliśmy. Co chcesz usłyszeć? Naruchałem kupca, podjedzie odebrać brykę i będzie po temacie. Przyniosę ci tę forszę w zębach.

– Mam w dupie twoją forszę. Chciałeś mieć pewność, że to wszystko zostanie między nami? Że obaj tkwimy w gównie po uszy? Sprzedasz to jebane auto i znikniesz mi z oczu. Masz się, kurwa, rozpląnąć w powietrzu jak duch, rozumiesz? – Ojciec z trudem panował nad emocjami. Krążył wokół wściekły jak osa.

Zastanawiałem się, co mogło ich tak poróżnić.

Cypis nie odpowiedział. Zgasił peta podeszwą buta, wszedł do wozu i odjechał z piskiem. Naprawdę łudziłem się, że więcej nie wróci. Z czasem przekonałem się, jak bardzo byłem naiwny. Byli na siebie skazani. Łączyło ich wiele tajemnic.

Przyglądałem się tacie. Stał w bezruchu, jakby o czymś myślał, wreszcie napił się piwa i poszedł za dom utopić smutki w alkoholu i objęciach młodej kochanki.

2019

Lazar usiadła naprzeciwko mężczyzny. Pokój przesłuchań przypominał ciasną kłitkę, w której mieściło się ustawione pod ścianą biurko i dwa krzesła. W razie potrzeby kolejne trzeba było zorganizować na własną rękę. Od lat prosił się o odmalowanie, jak całe piętro, jednak zawsze wypadało coś pilniejszego.

Przyglądała się uważnie nieznanemu, który dwie godziny wcześniej zjawił się na komendzie, twierdząc, że ma informacje związane ze znalezionymi w lesie szczątkami. Zastrzegł przy tym, że chce rozmawiać tylko z nią, co samo w sobie było zastanawiające. Lazar nie przypominała sobie, by wcześniej się spotkali.

Byli w podobnym wieku, ale jego nazwisko nic jej nie mówiło. Intrygowało ją, dlaczego nalegał, by to właśnie ona się z nim spotkała. Musiała być ostrożna.

– Otrzymałam wiadomość, że zgłosił się pan na komendę i prosił o rozmowę ze mną. Skąd taki pomysł? – zaczęła powściągliwie. Nie powinna go płoszyć.

– Dziękuję, że się pani zgodziła. To dla mnie bardzo ważne – odparł, wpatrując się w ułożone na blacie ręce. Wydawał się rozbity, zawstydzony, jakby wahał się, czy dobrze zrobił, przychodząc tu. – Nazywam się Bartosz Adler. Chciałbym się do czegoś przyznać. Pani na pewno mnie zrozumie, stąd ta prośba. Proszę mi tylko obiecać, że zanim wyda pani wyrok, najpierw mnie wysłucha – zaczął.

– Nie zajmuję się ferowaniem wyroków. Proszę powiedzieć, o co panu chodzi.

– Zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmie, ale muszę to w końcu z siebie wyrzucić. Świadomość tego, co się wydarzyło, zżera mnie od środka – tłumaczył Adler.

Policjantka milczała. Doskonale wiedziała, że kolejne pytania odciągną uwagę mężczyzny od tego, z czym przyszedł. Dała mu czas, by nabrał pewności siebie.

– Jakiś czas temu wracałem od klienta. Pogoda była tragiczna, rozpadało się. Rozmawiałem ze współnikiem, z tego, co kojarzę, została mi do pokonania połowa drogi, dwie godziny za kółkiem. – Lazar słyszała, że zaschło mu w gardle. Upił kilka łyków wody z butelki. – Chciałem mieć to z głowy. Wrócić do domu, walnąć się do łóżka i odespać ciężki dzień. Udało mi się zdobyć kontrakt, lecz nie miałem siły, by świętować. – Wziął głęboki wdech i ukrył twarz w dłoniach.

Widać było, że jest przejęty. Pocierał o siebie dłonie, jakby usiłował się ogrzać.

– Pamiętam światła jadącej z przeciwka ciężarówki, wszystko działo się tak szybko – kontynuował. – Wydawało mi się, że wjeżdża na mój pas, odbiłem w prawo. Wtedy zobaczyłem na drodze przed maską ciemną postać. Wystraszyłem się. Byłem pewien, że kogoś rozjadę, i działałem odruchowo, tym bardziej że to coś nie schodziło z jezdni. Wbiłem hamulec, ale nawierzchnia była śliska i nie zdążyłem się zatrzymać. Uderzyłem w coś i natychmiast wyszedłem z auta, by sprawdzić, co leży pod kołami. Ulżyło mi, gdy zorientowałem się, że to dzik, a nie człowiek. Zwierzę odrzuciło aż na krawędź lasu. – Mężczyzna brzmiał na coraz bardziej przejętego.

Lazar wciąż nie miała pojęcia, dlaczego przyszedł z tym akurat do niej. O co mu chodziło?

– Jeżeli potrzebuje pan więcej czasu, zostawię pana na chwilę i wrócę za kilka minut – podsunęła, widząc rosnące zdenerwowanie mężczyzny.

– Nie. Nie trzeba, po prostu nie wiem, jak zacząć. – Adler pokręcił głową i złożył ręce jak do modlitwy, by w końcu schować w nich twarz. – W tamtej chwili przypominałem sobie coś, co wróciło do mnie po latach. Zdaję sobie sprawę, że to może brzmieć idiotycznie. Nie wiem jak, ale

wyrzuciłem to wspomnienie z głowy, a w chwili wypadku wróciło, coś jak *déjà vu*. Wie pani, o czym mówię?

– Nie bardzo rozumiem. Przypomniał pan sobie podobny wypadek?

– Nie, nie. To znaczy tak, tylko ja nie prowadziłem wtedy samochodu. Widziałem, jak doszło do wypadku. Właśnie dlatego poprosiłem o rozmowę z panią.

– Dlaczego akurat ze mną? – Kobieta wydawała się coraz bardziej zaskoczona.

– Bo pani też tam była.

Lazar zaczęła się zastanawiać, czy ma do czynienia z kolejnym wariatem. Tego typu rewelacje były na porządku dziennym. Ludzie wydzwaniali i przychodzili na policję z absurdalnymi teoriami. A śledczy tracili czas, weryfikując je. Zwykle okazywały się wyssane z palca. W źrenicach tego mężczyzny czaił się paraliżujący lęk.

– Gdzie według pana byłam? Też uczestniczyłam w tym wypadku? – podjęła.

– Nie. Przepraszam, źle się wyraziłem. To z nerwów. Była pani na tym biwaku, w którego trakcie zaginął Szymon Sulima. Tuż przed wakacjami w dziewięćdziesiątym szóstym roku. Znam pani kuzynkę, wciąż pamiętam ten dzień – uściślił.

Gdyby stała, ugięłyby się pod nią nogi. Zachowała spokój, to było jedyne wyjście.

– Skąd pan o tym wie i jaki to ma związek z wypadkiem, o którym pan mówił? – Lazar zaczynała się niecierpliwić, nie widziała związku między zdarzeniami.

– Chodziłem z nim do klasy i brałem udział w poszukiwaniach. Zналиśmy się od dziecka. Poczulem się tak, jakbym wyparł to wspomnienie ze świadomości, a gdy stałem na tej drodze, nad truchłem tego zwierzęcia, ten obraz do mnie wrócił.

– Co to znaczy? Jaki obraz? – niecierpliwiła się policjantka.

– Jeden slajd animuje kolejne, jak ciąg przewróconych kostek domina. Przed oczami znów stanęła mi ta noc. Wracalem z mojej bazy na mokradłach. – Musiał się zorientować, że policjantka nie ma pojęcia,

o czym mówił, bo rozwinął wątek. – Wiosnę i lato spędziłem w lesie. Zbudowałem tam sobie coś w rodzaju fortu na drzewie. Nie byłem specjalnie towarzyski, zrobiłem to z nudów. W każdym razie gdy wracałem, zaczął padać deszcz, zdążyłem zmoknąć, chociaż osłaniały mnie korony drzew. Wiem, jak to brzmi, ale nie umiem tego wyjaśnić racjonalnie – tłumaczył się. – W trakcie wypadku znów poczułem go na skórze; miałem wrażenie, jakby ściekał mi po włosach. Zrobiło mi się duszno, koszulka przykleiła się do ciała. Wspomnienia wróciły.

Lazar nie chciała wybijać go z rytmu, choć historia zdawała się niedorzeczna.

– Wzdłuż krawędzi lasu stał samochód. Gdy o tym myślę, przypominam sobie, że przed laty byłem na wzniesieniu i obserwowałem wszystko z góry. Wracałem do domu i po prostu natknąłem się na tę scenę przypadkowo. Kierowca śmiertelnie potracił człowieka. Na początku nie przyszło mi do głowy, że to mógł być Sulima, zresztą nie wiedziałem jeszcze, że zginął. Było ciemno, widziałem, jak ktoś wrzuca ciało na pakę samochodu i odjeżdża. – Z każdym słowem stawał się bardziej przejęty.

Pozwoliła mu ochłonąć i napić się wody.

– Ten obraz powrócił do pana, gdy potracił pan dzika? Dobrze zrozumiałam?

– Nie wiedziałem, w co uderzyłem. Wiem, jak to brzmi, ale właśnie tak było. Czułem ten sam strach co wtedy. Wysiadłem z auta i znalazłem na drodze zakrwawione truchło. Przed oczami stanęła mi tamta noc, wróciły obrazy zalegające głęboko w podświadomości. Stałem na wzniesieniu i oglądałem to wszystko niejako z odtworzenia.

– Przez dwadzieścia trzy lata nie pamiętał pan o tym wypadku? Skąd pomysł, że to właśnie Sulima mógł zginąć na tej leśnej drodze? – dopytała policjantka.

– Dwa dni później dowiedziałem się, że Szymon nie wrócił do domu. Brałem udział w jego poszukiwaniach, z całą szkołą. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi absurdalnie, po prostu wyrzuciłem te obrazy z głowy, jakby się nigdy nie wydarzyły. Staram się pojąć dlaczego. Może ze strachu, bałem się wtedy jak diabli.

– Skoro włączył się pan w poszukiwania kolegi, dlaczego nie zgłosił pan wypadku? Skąd pomysł, żeby zachować to dla siebie? Przemilczeć?

– Mówiłem już. Ze strachu.

– Ze strachu przed czym?

Widziała, jak drżą mu ręce. Mówił o przeszłości, jakby zaplotła wokół szyi ciasne macki i nie wypuszczała go z uścisku. Ola niemal widziała, jak wychodzą gardłem.

Mężczyzna z trudem przełknął ślinę.

– Ze strachu o kogoś. Znałem ten pojazd. Wiedziałem, do kogo należał. Świadomie odrzucałem myśl, że mogły w nim być czyjeś zwłoki. Chyba... zrobiłem to tak skutecznie, że wyparłem ten obraz z głowy na lata. Nie spodziewałem się, że powróci.

– W takim razie czyj to był samochód? – Lazar uczepliła się jedynej informacji, która nie brzmiała jak spowiedź szaleńca. Musiała mu zaufać, wysłuchać go.

Słyszała o mechanizmie wyparcia. Znała przypadki, że ktoś przypominał sobie o czymś po latach, tworząc wokół siebie szczelny kokon i chroniąc siebie albo bliskich przed konsekwencjami złych wyborów, błędów, dramatów i traum.

Ale nie słyszała, żeby dotyczyło to tak dramatycznych wydarzeń i tak głęboko ingerowało w życie wielu osób.

Czy w to wierzyła? I tak, i nie. Nawet psychiatrzy spierali się, analizując to zjawisko.

– Samochód należał do mojego ojca – odparł szybko Bartosz, jakby chciał rzucić z siebie ciężar odpowiedzialności.

Policjantka robiła, co mogła, by ukryć zaskoczenie.

– Skąd ta pewność? Wspominał pan, że to działo się w nocy, na nieoświetlonej drodze w pobliżu lasu. Wyobraźnia mogła pana zawieść.

Adler roześmiał się nerwowo, jakby chciał w ten sposób rozładować emocje.

– Sprawdziłem to później. Odnalazłem w lesie ślady bieżnika, przypominały te, które należały do tego auta. Pamiętam, że ojciec naprawiał ten wóz, widziałem wygięty zderzak i byłem pewien, że znalazłem w nim

ślady krwi. – Zawiesił się i z trudem przełknął ślinę. – Kilka lat wcześniej zginęła mama. Wiem, że to głupie, ale nie mogłem go stracić i zostać sam, nigdy więcej nie wracałem do tej sytuacji. Wyparłem ją. To się stało podświadomie, nie miałem na to wpływu.

Lazar nie wiedziała, co powiedzieć. Spoglądała na roztrzęsionego mężczyznę i zastanawiała się, ile z tego, co mówił, było prawdą, a ile zasłoną dymną, którą przed nią roztaczał. Nie spotkała nikogo, kto zbudował wokół siebie tak szczelny pancierz, chroniący przed prawdą i jej konsekwencjami. Adler najwyraźniej zniekształcił rzeczywistość tylko po to, by chronić kruchą stabilizację, jaką było życie u boku sprawcy zbrodni.

– Mój ojciec zabił Szymona – wydukał. – Nie potrafiłem żyć z tym piętnem.

Śledcza poczuła, że kręci jej się w głowie. Mężczyzna otworzył się przed nią, lecz żadne szkolenia i kursy nie były w stanie przygotować jej na taki przebieg rozmowy. Nie wiedziała, jak zareagować, do jakiego stopnia mu wierzyć.

Milczała, obserwując, jak mężczyzna gaśnie, zapada się w sobie.

Podziękowała mu za szczerość i zasugerowała, aby odpoczął. To nie był dobry moment na drażnienie w tej historii, wybebeszanie jej.

Zapewniła mu opiekę psychologa i obiecała, że wróci do tematu, gdy będzie na to gotowy. Nie powinna wyciągać pochopnych wniosków. Nie gonił jej czas. Nie miała żadnych dowodów poza relacją Adlera. Nie chciała popełnić błędu.

Praca w policji nauczyła ją, że ludzkie wybory i decyzje są trudne do zaakceptowania i wytłumaczenia. Ojciec mężczyzny, który siedział naprzeciwko niej w ciasnej, policyjnej sali, mógł śmiertelnie potraćić dziecko i pozbyć się zwłok na mokradłach, starając się uniknąć w ten sposób odpowiedzialności lub kary.

Ale nie musiał tego zrobić. Sąd kapturowy był najgorszym z możliwych uchybień.

2019

Od rana myślał tylko o tym, by napić się kawy. Wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Widział podkrążone oczy, tłuste włosy i przekrwioną twarz. Musiał skończyć z piciem. Sam doprowadził się do tego stanu i sam się z tego bagna wygrzebie.

Opłukał twarz zimną wodą, chciał rozbić to zniekształcone oblicze.

W drodze na komendę podjechał na stację. Zjadł hot doga i wziął dużą kawę.

Wybierał czarną i gorzką jak życie. Zastrzyk kofeiny był niezbędny, żeby Uryga zdołał dowlec wychudzone ciało do biurka i zmusić je do działania. Starał się nie myśleć o córce i zrobieniu czegoś, czego będzie żałował. Przerabiał to za często.

– Zbieramy się. Jak nie musisz, nie idź nawet na górę. Bajor wysłał nas w jedno miejsce – zaczepił go Murawski, wychodząc z ubikacji w korytarzu komendy.

– Mówił, o co chodzi? – Błażej uściśnął mu dłoń. Nie przywiązywał się do ludzi, ale zdążył się nauczyć, że nie warto palić za sobą mostów.

– Powiem ci wszystko po drodze. Sylwia zgarnie nas spod komendy.

– Nie dacie rady skoczyć tam sami? Ustawiłem się z kimś na mieście.

Karol nie wyglądał na zaskoczonego.

– Jeśli masz coś pilnego, to jedź. W razie czego powiem, że byłeś w terenie i nie było sensu cię ściągać.

– Dzięki. Dostałem od Lazar zamiar na byłego policjanta. Chcę z nim pogadać.

– Jeśli to Młynarczyk, to się dogadacie, to równy gość. Działaj. Ja spadam. – Murawski klepnął go w ramię i wyszedł przed budynek.

Uryga dopił kawę i wyrzucił tekturowy kubek do kosza. Czuł cierpki smak na języku. Nie znosił papierkowej roboty, ale tego dnia czuł się jak ściera i jedyne, na co miał ochotę, to wyciągnąć długie nogi pod biurkiem i zdrzemnąć się. Wiedział, że to pobożne życzenia.

Zwłókł się po schodach i wszedł do samochodu. Skoro wszyscy pracowali dziś w terenie, nie było sensu iść na górę.

Poczuł wibracje komórki w kieszeni. Dzwoniła Ola.

– Co tam? – zaczął.

– Nie było okazji pogadać. Spotkamy się dzisiaj tam, gdzie zwykle?

– Jasne. Ogarnę kilka tematów i się zdzwonimy. Wszystko w porządku?

– Tak. Na pewno słyszałeś, że zgłosił się do nas Bartosz Adler i chciał ze mną rozmawiać.

Nie przerywał jej. Jeden z dyżurnych zdążył mu już o tym powiedzieć.

– Jego historia wciąż we mnie siedzi, ciągle o niej myślę – kontynuowała śledcza. – Brzmi niewiarygodnie, ale nie możemy jej wykluczyć. Facet twierdzi, że widział, jak jego ojciec potracił Szymona Sulimę, wrzucił ciało na pakę i odjechał. Dasz wiarę?

– I przypomniał sobie o tym po tylu latach?

– Też ciężko mi w to uwierzyć.

– Nie ma sensu działać pochopnie. Nigdzie nam się nie spieszy. – Zdziwił się, że namawiał ją do ostrożności. Czyżby zmądrzał i uczył się na błędach?

– Znamy finał tej sprawy. Wystarczy iść ostrożnie po śladach, tylko w ten sposób niczego nie przeoczymy.

Musiła przyznać mu rację.

*

Ostatni typ. Kurs był zenująco niski, ale on nie szukał ryzyka. Praca w policji nauczyła go, że nie warto stawiać wszystkiego na jedną kartę, to prosta droga do porażki. Sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. Po przejściu na emeryturę brakowało mu adrenaliny związanej z prowadzeniem śledztwa. Wiedział, że obstawianie meczy nie zrekompensuje mu tego, jednak dawało przynajmniej namiastkę wrażeń.

Młynarczyk zapisał typ na kartce i podszedł do okienka. Położył banknot dziesięciozłotowy i słuchał wystukiwanej na klawiaturze melodii. Kobieta za ladą wydrukowała kupon. Sprawdził, czy wszystko się zgadza, i włożył go do portfela.

Wyszedł przed punkt zakładów bukmacherskich i rozejrzał się po utwardzonym parkingu. Jeden z pojazdów zamrugał w jego kierunku światłami. Mężczyzna zszedł po schodach, otworzył drzwi i siadł w fotelu pasażera. Kierowca wyłączył radio i przywitał się z Młynarczykiem uściskiem dłoni.

– Błażej Uryga. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

– Andrzej, a nie żaden pan. To po pierwsze. Nie bierz tego do siebie, ale zrobiłem to tylko z sympatii do Aleksandry. – Zaśmiał się i rozsiadł wygodniej w fotelu.

– Przyznaję, że ma dar przekonywania. Podzieliliśmy się robotą i ten wycinek tortu przypadł akurat mnie. Zapewniała, że warto z tobą pogadać, stąd ten telefon. – Uryga nie miał problemu ze skracaniem dystansu.

– Widziałem się z nią jakiś czas temu.

– Wspominała o tym. Rozmawialiście o zniknięciu Sulimy, mnie interesuje Witek Mamrot. Facet przepadł mniej więcej w tym samym czasie. I słuch po nim zaginął. Zastanawiałem się, czy przyszło wam kiedyś do głowy łączyć te fakty.

– Na początku nie. Nikt nie zgłosił, że facet przepadł, nie wiedzieliśmy o tym. Nie będę ściemniał, jestem na emeryturze i nie muszę się chować za procedurami, ale to dwa różne światy. Szymon był nastolatkiem, a Mamrot dorosłym facetem, do tego sprawiał problemy. Nic ich nie łączyło. Byli jak ogień i woda. Przyznaję, interesował nas przede wszystkim Sulima. W przypadku Mamrota nie mieliśmy pewności, że to rzeczywiście zaginięcie. Mógł wsiąść w pekaes i po prostu wynieść się z tej dziury. Nikogo to nie dziwiło – wyjaśnił zgodnie z prawdą Młynarczyk.

– Przepadł po tym, jak zgłosił się do was, twierdząc, że wraz ze znajomymi włamywał się do domów w okolicy. Nie wzbudziło to waszych podejrzeń?

– Nie. Bo mówił o tym funkcjonariuszowi na dyżurce, na umówione spotkanie nie przyszedł. Nie wiem, stchórzył, ruszyły go wyrzuty sumienia, to nieistotne. Może się rozmyślił, tym bardziej że włamania, o które mu chodziło, ustały kilka lat wcześniej. Poza tym w chwili, gdy zjawiał się na komisariacie, był pod wpływem alkoholu. Mógł pleść, co mu ślina na język przyniesie. – Emerytowany śledczy z każdym słowem zdawał się bardziej poirytowany.

– Nie ma o tym ani słowa w papierach.

– Nikt nie zbadał go na obecność alkoholu we krwi. Tak twierdził dyżurny. Jest tylko jego notatka, nic więcej.

– Jeżeli Mamrot nie ściemniał, jednym z jego współników był wówczas Wojciech Adler. Ojciec faceta, który zgłosił się do nas, zapewniając, że wie, co się stało z Sulimą.

Młynarczyk słuchał tego i gapił się w szybę. Starał się panować nad emocjami.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? Że daliśmy ciała i nie potrafiliśmy złożyć tych klocków w całość? Kleisz pourywane wątki, w tamtym czasie nie było między nimi żadnej zależności. Gdyby ten gówniarz przyszedł z tymi rewelacjami do nas od razu, nie siedziałbym tutaj. Nie dziw się, że nie ufam tym wymysłom. Bez dowodów nic nie mogłem zrobić – dodał po chwili.

Uryga uważnie dobierał słowa.

– Nie spotykam się z tobą po to, by wyrzucać ci błędy sprzed lat. Chcę zrozumieć, co mogło się stać z Mamrotem. Jak na to patrzysz z perspektywy czasu?

– Moim zdaniem w grę wchodzi każde rozwiązanie. Ale wciąż nie widzę związku między jego zniknięciem i śmiercią młodego Sulimy. Chyba mogę tak mówić, skoro obaj wiemy, że kości chłopaka znaleziono w tym przeklętym lesie – zdenerwował się Młynarczyk.

Widać było, że pomimo upływu lat wciąż to w nim siedziało.

– Widziałem się z Cymańskim, ponoć działali wówczas w trójkę. Nie dziwiłbym się, gdyby Mamrot miał rację.

– Kiedy okazało się, że Mamrot rzeczywiście przepadł, przetrzepaliśmy ich. Pewnie zrobiliśmy to za późno, ale notatka dyżurnego nie była żadnym

dowodem. Wsadziliśmy ich na dołek, przeszukaliśmy domy pod kątem skradzionych rzeczy i niczego nie znaleźliśmy. Nie mieliśmy złudzeń. Jeśli włamywali się do domów w okolicy i to, co ukradli, przehandlowali, nie było szans dobrać im się do skóry po tylu latach. Pamiętam, że wpadliśmy do dziupli, gadaliśmy z paserami i żaden nie puścił pary z ust. Wszyscy wiedzieli, że Cymański to kawał skurwysyna, ale nie mieliśmy wtedy nic, by go posadzić.

– Nic oprócz słów Mamrota.

– Powtarzam ci, że były gównno warte i łatwo je było podważyć.

– Przekopałem archiwum. W pożarze jednego z domów w latach osiemdziesiątych zginęli rodzice Oli – zmienił temat Uryga.

– Tak, ale to nie było włamanie. Nic wtedy nie zginęło. Nie mieliśmy podstaw, by łączyć te sprawy, tak samo w przypadku Szymona. Jaki sens miało zabicie nastolatka? Za cholerę nie widzę związku z włamaniami. No i skąd pewność, że młody Adler mówi prawdę? Miał czas przyjść z tymi rewelacjami dawno temu, dziś naprawdę może pleść, co mu ślina na język przyniesie. Dziwisz się, że nie wziąłem na serio pijackiego bełkotu Mamrota?

– Nie, po prostu szukam rozwiązania. Wciąż jest wiele niewiadomych.

– Na tym polega nasz kłopot. Musimy udowodnić tezy, które wydają się oczywiste. Ale potrzebujemy twardych kwitów, nikt nie uwierzy nam na słowo. A tym bardziej sąd – burknął Młynarczyk.

– To prawda, że Lazar była na biwaku, kiedy zaginął Szymon?

– Ją zapytaj – odparł emerytowany śledczy, po czym otworzył drzwi i wysiadł z auta.

– Adler jest przekonany, że Szymona zabił jego ojciec – rzucił tylko Błazej, a Młynarczyk przystanął na moment, jakby coś do niego dotarło. Nie odwrócił się jednak.

Uryga przyglądał mu się, gdy szedł wolno w stronę zaparkowanego niedaleko auta. Sprawiał wrażenie pogodzonego z losem, z upływającym czasem i świadomego, że nie cofnie go, nie zwróci życia ludziom, którzy odeszli w trakcie jego służby.

Najwyższa pora, by Uryga też się tego nauczył. I uniknął jego błędów.

2019

Zatrzymała się przed niskim, parterowym budynkiem, w którym do niedawna działał sklep z meblami. Jakiś czas temu splajtował i w jego miejscu powstała sala zabaw dla najmłodszych z przytulną cukiernią, w której można było kupić kawę z ekspresu i ciasto.

– Niczego nie zapomniałaś? – wołała się upewnić Ola, odwracając się do córki.

– Tatuś mnie spakował – odparła rezolutnie pięciolatka.

– Te nieślizgające się skarpetki też?

Nie otrzymała odpowiedzi. Gdy podjechały na parking, Maja rozpięła pas i usiłowała się wygramolić z fotelika.

– Zaczekaj, aż wysiądę – przypomniała jej Ola. Wyłączyła silnik i spojrzała w lusterko. – I zawsze się rozglądaj, czy nic nie jedzie. No chodź, droga wolna.

Przebrała córkę w szatni i kupiła bilet wstępu na dwie godziny, po czym zapięła jej papierową opaskę na nadgarstku.

– Pobawisz się ze mną? – zapytała Maja, przebierając nóżkami przed wejściem na salę.

– Oczywiście, kochanie. Wypiję tylko kawę i zadzwonię w jedno miejsce. Pobaw się chwilkę sama i przyjdź po mnie, jak będziesz się nudzić, dobrze? – zaproponowała Lazar, a Maja uśmiechnęła się i pobiegła do sali z dmuchańcami i torem przeszkód.

Ola zamówiła cappuccino i usiadła przy stoliku w kącie sali. Wybrała numer do Anity Brandt, psycholożki, z którą konsultowała przypadek Bartosza Adlera.

– Przepraszam, że oddzwaniam dopiero teraz, urwanie głowy – zaczęła.

– Nic nie szkodzi, mam akurat przerwę.

– Dostałam twojego maila. Wczytałam się w linki, które mi podesłałaś, i wydaje mi się, że w tym przypadku sprawa jest trudniejsza. Wierzę, że ten mężczyzna mógł pod wpływem stresu wyrzucić z pamięci szczegóły wypadku, a nawet o nim zapomnieć, ale on przecież funkcjonował w tej społeczności, brał udział w poszukiwaniach, wiedział o zaginięciu kolegi z klasy. Zresztą sam to potwierdza...

– Potrzebuję więcej czasu, aby przeanalizować ten przypadek dokładniej – podkreśliła Brandt. – Ludzie mogą wypierać pewne wspomnienia, ale także tworzyć fałszywe. To mechanizm obronny, nasza pamięć ma wiele warstw, wspomnienia są zapisywane na różnych poziomach. Zdarza się, że nie przywołujemy rzeczywistych wspomnień, tylko je zniekształcamy, dobudowujemy z nowych szczegółów, z relacji innych osób, ich sugestii. W przypadku tego człowieka bodźcem, który uruchomił lawinę, mógł stać się wypadek, o którym wspominałaś. Zdarzyło ci się, że jakiś zapach lub dźwięk automatycznie przywoływał wspomnienia?

Lazar zmarszczyła brwi.

– Jasne, że tak. To działa w podobny sposób?

– Zgadza się. Wyparcie jest procesem nieświadomym, na który nie mamy wpływu. Musisz pamiętać, że to działa też w drugą stronę. Czasem przypominamy sobie zdarzenia, które w rzeczywistości nie miały miejsca, tworząc w ten sposób fałszywe wspomnienia.

– Sami je tworzymy? Po co?

– Niekoniecznie. Często sugerujemy się relacjami innych, budując wspomnienia na ich podstawie. Nie możemy do końca ufać naszej pamięci – podsumowała kwaśno Anita. – Ona często zmienia się na przestrzeni lat, dojrzeła wraz z nami, bywa odbiciem naszych potrzeb i usprawiedliwieniem życiowych decyzji. Musiałabym porozmawiać z tym mężczyzną, dowiedzieć się o nim czegoś więcej, postarać się go zrozumieć – podkreśliła.

Wzrok Oli padł na czekającą przy stoliku Maję. Podziękowała psycholożce za rozmowę i uśmiechnęła się do córki.

– Coś się stało, kochanie?

- Obiecałaś, że się pobawimy – wytknęła Maja, wyraźnie zmartwiona.
- No to chodźmy.

Chwyciła dziewczynkę za rękę i zdjęła sportowe buty.

- Nie masz specjalnych skarpetek – upomniała ją córka.
- Ciii. Nikt nie musi wiedzieć – zaśmiała się Ola i przeszły do sali zabaw.

Lazar dawno tak dobrze się nie bawiła. Na chwilę zapomniała o pracy, kłopotach z mężem i tym wszystkim, co działo się w ostatnich dniach. Wygłupiała się z córką, skacząc wraz z nią na trampolinach i goniąc ją na dmuchanym torze przeszkód. Na koniec urządziły sobie miniprzyjęcie w plastikowym zamku i ułożyły labirynt z wielkich plastikowych klocków. Ola nie zwracała uwagi na czas, a kobieta z obsługi machnęła ręką na półgodzinne spóźnienie.

Brakowało jej takich chwil. Gdy wracały do domu, Maja była wykończona i drzemała w foteliku. Lazar przyglądała się zmęczonej córce w lusterku nad kierownicą.

Odprowadziła ją do domu i wróciła do auta. Starła się unikać Artura, wiedziała, że nie uwierzy, że musi wracać tak późno do pracy, a za pół godziny miała spotkać się z Urygą.

Właściwie miała dość okłamywania się i udawania, że łączy ją z Błażem tylko niezobowiązujący seks w zaparkowanym na odludziu aucie, z dala od spojrzeń i ocen innych. Czuła, że kolega z pracy znaczy dla niej coraz więcej.

Gdy to robili, nie zastanawiała się, czy jest matką i żoną, a w przypadku Urygi jego szefową. Skrupuły odzywały się po fakcie, ale zmęczyła się rozbijaniem każdej decyzji na czynniki pierwsze i życiem według ułożonego za nią schematu.

Po wszystkim Błaż podał jej kawę w tekturowym kubku, kupioną na stacji.

– Nie masz czasem wrażenia, że zachowujemy się jak rozpieszczone bachory?

– Nie. Zresztą co z tego? – odparł i upił łyk. – Nie przeszkadza mi to.

– Nie przeszkadza ci to, że pieprzymy się pod lasem, spotykamy ukradkiem i szukamy miejsca jak napaleni licealiści, których starzy siedzą

na chacie? Robimy swoje, spuszczaamy parę i wracamy do codziennej rutyny – wyliczała.

– Wiesz, że to nie jest pytanie do mnie? – Uśmiechnął się. – Nie wiem, czemu ze mną jesteś. Co sprawia, że spędzamy razem czas. I nie każ mi się za to winić. Nie zrezygnuję z tego.

– Moje życie jest bezpieczne, przewidywalne, ludzie marzą o uczciwej relacji. Ale w każdym związku jest coś, czego ci brakuje. I wtedy zjawiasz się ty i wypełniasz tę lukę, jakbyś czytał w moich potrzebach. Z jednej strony nie chcę stracić tego, co zbudowałam przez te wszystkie lata. A z drugiej tęsknię za czymś świeżym, co pozwoli mi wyrwać się z tej przewidywalności. – Zamyśliła się. – Możesz powiedzieć, że jestem kompletną idiotką.

– Nie chcę wchodzić w to, co łączy cię z mężem, ale nie wydaje ci się, że niepotrzebnie to komplikujesz?

– Pytałam, czy tobie to nie przeszkadza. – Brzmiała coraz bardziej stanowczo. Ściszyła radio, jakby spodziewała się długiej wymiany zdań. Przerzucała na niego swoje rozterki. Wiedziała, że nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji i on nie podejmie żadnej decyzji za nią.

Uryga westchnął, poprawił opadające na oczy włosy i oparł się wygodniej w fotelu. Zamknął oczy i unikał jej spojrzenia. A może po prostu się bał, że dostrzeże w jej źrenicach kogoś, kogo bezpowrotnie stracił?

Pierwsze, o czym pomyślał, to fakt, że jeszcze niedawno był po drugiej stronie; minęło ledwie kilkanaście miesięcy, a jego życie posypało się jak domek z kart.

– Nie każ mi decydować za ciebie. Nie chcę spieprzyć ci życia ani zaszkodzić w pracy. W takich sytuacjach po dupie dostają zwykle kobiety – powiedział Uryga. – Nic na to nie poradzę.

– Całe życie po niej dostajemy – odparła stanowczo. To nie była jego wina.

– Zależy mi na tobie. Ale chcę, by to się działo na twoich zasadach, zresztą sama o to prosiłaś. Nie dlatego, że jestem tchórzem. Po prostu w przeciwieństwie do ciebie nie mam nic do stracenia. Mam wrażenie, że

sama nie wiesz, czego chcesz od życia. Że się miotasz, jakby ktoś złapał cię w sidła.

Trafił w punkt, ale nie przyznała mu racji. Milczeli, dopijając kawę. Gdzieś w oddali przejechał pociąg towarowy.

– Powiesz kiedyś prawdę, dlaczego się tutaj przeniosłeś? – Bezpieczniej było zmienić temat, ale szybko pożałowała tych słów. – Nikt normalny nie chce mieszkać w takiej dziurze.

Wahała się, czy powinna go o to pytać, skoro sam nie zająknął się na ten temat słowem. Kilka miesięcy temu komendant po prostu zakomunikował jej, że do zespołu dołączy doświadczony śledczy. Nic więcej. Nie wracali do tego.

Kątem oka śledziła jego reakcję. Widziała, jak zacisnął żuchwę i przełknął ślinę.

– Nie miałem wyboru. Mogłem stracić pracę albo się przenieść, tak naprawdę nie mogę mieć o to do nikogo pretensji. Zdziwiłem się, że wyszli z taką propozycją i dostałem drugą szansę. Przeniesienie nastąpiło z urzędu, najpierw mnie zawiesili, ale czynności sprawdzające się zakończyły. Wlepili mi nadzór komendanta, muszę się pilnować. Praca w policji jest wszystkim, co potrafię, nie nadaję się do niczego innego. Dostałem cynk, że tu jest wakat, oto cała historia.

Lazar nie wracała do tematu przeniesienia. Zamyśliła się, ale sam jej przerwał.

– Straciłem żonę. Naraziłem na niebezpieczeństwo ją i naszą córkę, przez własną pychę, egoizm i brak hamulców. Nie naprawię tego błędu, nie odzyskam tego, co zepsułem. – Mówił spokojnie, ale widziała, jak wiele kosztuje go to wyznanie. Bał się spojrzeć jej w oczy. W jego głosie słychać było rezygnację. – Miała na imię Ola. Tak jak ty.

Zaskoczył ją tym, co powiedział, i wyrzucała sobie, że to z niego wyciągnęła. A może była tak skupiona na sobie i swoich rozterkach, że nie zadała sobie nawet trudu, by dostrzec zza nich problemy innych? Miał córkę. Ta informacja dotarła do niej z opóźnieniem i wciąż nie wiedziała, jak do niej nawiązać.

– Zostawiłem córkę w dobrych rękach, nie chcę, by żyła w ciągłym zagrożeniu – uspokoił ją. – Jedyne, na czym mi zależy, to kontakt z nią. Potrzebuję go bardziej niż ona.

– Gdzie teraz jest?

– U dziadków. Nie mogłem liczyć na to, że ktoś przyzna mi opiekę.

Pytania same cisnęły jej się na usta, ale wiedziała, że nie powinna drażnić. Nawet nie zauważyła, że przegadali dobrą godzinę.

– Możemy już jechać? – Głos Urygi wyrwał ją z zamyślenia. – Jestem padnięty.

– Tak – odparła odruchowo i uruchomiła silnik. – Wiesz, że...

– Wiem. I dziękuję ci za to – uciał.

Zrobiło się ciemno. Postanowiła odwiedzić go do domu i wrócić do siebie. Była zmęczona, ostatnie dni mocno dały im w kość.

Wjechali w las. Cienie rozłożonych nad głową gałęzi kładły się na masce i szybach, jakby zamierzały wdrzeć się do środka, zapleść macki wokół szyi i przebić im gardło, a następnie zapaść korzenie w trzewiach. Ola czuła, że zaschło jej w gardle.

– Rozmawiałem z Piotrem Cymańskim. – Głos Błażeja rozbił zalegającą w środku ciszę. – Nie przyznaje się, że miał coś wspólnego z zaginięciem Witolda Mamrota.

Streścił jej przebieg spotkania.

– Chcesz powiedzieć, że potwierdził jego wersję i przyznał się do tego, że okradali wtedy okoliczne domy? – Nie odrywała wzroku od szosy.

Skupiła się na jeździe, bała się, że Błażej coś wyczyta w jej oczach.

– Nie. Zaprzeczył wszystkiemu. Twierdzi, że Mamrot chciał się za coś odegrać na Adlerze. Mężczyzna, z którym rozmawiałaś, jest jego synem. Witold przyszedł z tym na komisariat, dyżurny przyjął zgłoszenie i kazał mu czekać na funkcjonariusza, który z nim o tym porozmawia. Facet rozmyślił się i później przepadł na dobre. Według Cymańskiego zrobił to celowo – wyjaśnił Uryga.

– Celowo ich wrabiał czy celowo przepadł? Cymański wie, co się z nim stało?

– Twierdzi, że nie. Wsiadł do pekaesu i ślad po nim zaginał, tak brzmi wersja, którą wszyscy wałkują od lat. Za to powiedział mi, że byłaś jedną z osób, które tamtej nocy były w lesie. – Zgniół tekturowy kubek po kawie i zacisnął go w dłoni, jakby pragnął dać upust niezdrowym emocjom, które nim targały. – Teraz już wiem, dlaczego odsuwałaś nas od tej sprawy.

Zaskoczył ją. Przeczowała, że im dłużej będzie milczeć, tym gorzej to wybrzmi.

– I co z tego? Nie mam ochoty spowiadać się całemu światu – odparła oschle.

– Całemu światu nie. Ale tworzymy zespół, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nie masz do nas zaufania?

Miał rację. Mimo to wołała brnąć w mętne tłumaczenia. Pograżać się dalej.

– To nie tak. Jakiś czas temu dostałam informację z zakładu medycyny sądowej. Szczątki, które ujawniliśmy na mokradłach, należą do Sulimy. To zamyka temat, chociaż czekam na powtórzenie jednego badania. Pozostaje pytanie, w jaki sposób się tam znalazły, ale nie łudzę się, że góra wznowi sprawę. To, że tam wtedy byłam, niczego nie zmienia. Wolałabym wyrzucić to z głowy, nie wracać do tego po latach. Wyszło, jak wyszło. Nie powiedziałam wam o tym, byśmy mogli skupić się na konkretach. Pójść z tym do przodu, a nie babrać się w domysłach. – Wbiła kierunkowskaz i podjechała pod kamienicę, w której Błażej wynajął mieszkanie. – Chciałam zamknąć ten rozdział i więcej do tego nie wracać.

– Zamierzałaś w ogóle to zrobić? – Uryga nie rezygnował. – Zacząłem grzebać przy włamaniach i natknąłem się na pożar, w którym zginęli twoi rodzice. Są tam zeznania twojego dziadka, który upierał się, że to nie był nieszczęśliwy wypadek. Nie chcę, żebyś się niepotrzebnie nakręcała, niczego nie można wykluczać, ale założmy, że miał rację. Sposób działania włamywaczy był podobny, korzystali z nieostrożności właścicieli, by dostać się do środka. A może popełnili błąd, zastali ich w domu i spanikowali? Co ciekawe, po śmierci twoich rodziców włamania ustały. Nie dziwi cię to?

– To o niczym nie świadczy. Dziadek za wszelką cenę chciał znaleźć winnych.

– Nie. Ale sprawia, że wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach. Rozmawiałem o tym z twoim znajomym, Andrzejem Młynarczykiem. Jest tak samo uparty jak ty.

– Idź już – przerwała mu, jakby nie była w stanie dłużej tego słuchać.

– Jeżeli nie chcesz, żebym w tym grzebał, po prostu powiedz. Zostawię to.

Lazar się nie odezwała.

Zamknęła drzwi. Obserwowała, jak idzie z rękami w kieszeniach w stronę klatki schodowej. Potrzebowała więcej czasu, aby dojść do siebie. Może specjalnie odrzucała wnioski – nie chciała, by okazały się prawdą? Zbyt wiele ją kosztowały.

Odjechała, licząc na to, że warkot silnika i gonitwa myśli pozwolą jej odpędzić wiszące nad głową pytania. Bała się zajrzeć za te drzwi, miała nadzieję, że będą zamknięte, a czas, który upłynął, zarygluje je od środka i będzie strzegł schowanych w środku tajemnic. Była naiwna.

Pół godziny później zaparkowała pod domem i długo nie wysiadała. Światło tliło się jedynie w salonie, pewnie Artur oglądał jakiś serial albo pracował do późna z laptopem na kolanach. Nie chciała mu przeszkadzać. Weźmie szybki prysznic i położy się spać.

Nie zauważyła mężczyzny siedzącego w samochodzie zaparkowanym wzdłuż jednej z sąsiednich alejek. Wcześniej jechał za nimi, nie rzucał się w oczy. Wykonał z nawiązką zleczone zadanie. Straciła na chwilę czujność, a on zrobił użytek z leżącej na fotelu pasażera lustrzanki. Obrabiał zdjęcia na ściskanym w dłoniach tablecie. Rozjaśnił je, żeby nikt nie miał wątpliwości odnośnie do osób i zdarzeń rozgrywających się w tle.

Zrobił, co do niego należało. Pierwszą partię zdjęć zdążył wysłać na wskazany adres, gdy pieprzyli się w pobliżu przejazdu kolejowego dwie godziny temu. Te w lepszej jakości obrabiał dla zleceniodawcy. Reszta go nie interesowała.

1996

Wielki Adler. Facet, który trzęsie okolicą. Zaciekły imprezowicz, kobieciarz i kumpel, z którym można konie kraść. Tyle w teorii. Nawet ja, nastolatek, którego nikt nie traktował serio, wiem, że to ściema. Nie nauczył mnie pływać ani jeździć na rowerze, nie znalazł na to czasu, za to dał mi inną ważną lekcję.

Każdy z nas ma dwa oblicza: to, w którym wychodzimy do ludzi, przylegające do skóry ciasno niczym frak, i drugie, które staramy się przed światem ukryć. Miałem wrażenie, że ubierał się w strój galowy i rzucał się w wir życia, żeby zapomnieć.

Stałem w drzwiach jego sypialni i wsłuchiwałem się w dźwięki kasety magnetofonowej, którą katował zawsze, gdy miał doła. *Blood sugar sex magik*. Nie umiałem rozszyfrować tej słownej szarady ani nazwy zespołu, która brzmiała równie dziwacznie, ale jemu to nie przeszkadzało. Ustawił głośność na cały regulator.

Siedział do mnie tyłem, zgarbiony, wpatrzony w podłogę, jakby nie miał sił się poruszyć. Wydawał się bezbronny jak dziecko, które nie umie zareagować na atakujący go zewsząd natłok wrażeń. W takich chwilach wydawało mi się, że wszystko to, co dzieje się wokół, jest na pokaz, że tak naprawdę zginął wraz z mamą na tym głupim przejeździe.

Tak bardzo chciałem wyrwać się z tego koszmaru, że stworzyłem równoległą przestrzeń, w której łatwiej się ukryć. Tata tego nie potrafił. Miał takie chwile, że mógł przesiedzieć cały dzień w stołowym, wałkować w kółko jedną kasetę i nie ruszać się o milimetr w swoim bólu, rozczarowaniu, apatii. Było mi go szkoda.

Nie przeszkadzałem mu, zresztą nawet mnie nie zauważał. Wolałem zejść mu z drogi, ten widok ranił mi serce. Wielki Adler. Wielki i silny. Samotny w tłumie przypadkowych ludzi. Nie zmieniły tego kolejne romanse, nowo poznane kobiety. Nie były w stanie zasypać pogłębiającej się wyrwy, którą spowodowało odejście mamy.

Przyglądałem się temu, stałem z boku i w jakimś sensie byłem z niego dumny.

Za każdym razem się otrząsał, udawał i grał, chociaż ta iluzja życia, w którą się wplątał, coraz bardziej go pochłaniała. Każdy kolejny dół był głębszy i więcej sił kosztowało go wygrzebanie się na powierzchnię. A co, jeśli tak po prostu wygląda dorosłość?

Stałem w progu i obserwowałem tę walkę z demonami. Zrozumiałem, że jej nie wygra. Jej nie dało się wygrać. Można ograniczyć straty. I znieczulać rany.

Na zewnątrz zrobiło się chłodno. Wiedziałem, że dziś już nikt do nas nie przyjdzie. Nie pozwoliliby na to, żeby ktoś oglądał go w takim stanie. Nie tolerował słabości.

Wiatr szarpał gałęziami, rzucał nimi we wszystkie strony, w rytm upiornej choreografii. Ścisnąłem w dłoniach saszetkę, która należała do Siwego.

Była ubłocona i poplamiona jakąś mazią.

Nie mogłem mu jej zwrócić, bo Siwy znów przepadł. Odkąd wpadł do mnie bez zapowiedzi, nie spotkałem go więcej.

Zszedłem do garażu po schodach od strony korytarza. W głośnikach wciąż dudnił głos Anthony'ego Kiedisa.

Zapaliłem światło. Zaskoczył mnie widok, który tam zastałem. Z garażu zniknęły wszystkie sprzęty, które tata gromadził od lat; części rozebranych urządzeń i walające się w każdym kącie rupiecie. Pozostały tylko metalowe regały z narzędziami i zamknięte w puszkach farby. Wszystko, co mogło mu się przydać.

Całe dni spędzałem na grzędawisku, widocznie nie zauważyłem, że rzeczywiście postanowił tu posprzątać. Garaż zacznie w końcu przypominać miejsce, w którym można zostawić na noc samochód, a nie

rupieciarnię i skład rzeczy znalezionych. Domyślałem się, że musiał mieć powód, żeby to zrobić. Był zbyt leniwy.

Samochód lśnił wyszorowany, a zderzak nie miał śladu wgnieceń, nie było widać, jak wiele przeszedł. Wszystkie zadrapania i rysy tata umiejętnie zakrył.

To jego firmowa sztuczka. Wiedziałem, że wkrótce wóz znajdzie nowego właściciela. Właśnie dlatego stał w garażu – żeby zapowiadana burza nie zostawiła na lakierze zacieków. Zajrzałem przez szybę do środka. Na tapicerce nie było choćby grama kurzu. Wysprzątane na błysk. Zastanawiałem się, dlaczego ojciec chce sprzedać wóz, który tak lubił i który idealnie nadawał się do pracy?

A może chciał z tym wszystkim skończyć?

Obszedłem samochód z każdej strony i spojrzałem na pakę. Wciąż miałem przed oczami rdzawe zacieki, przylegające do błotników grudki piachu i ślady przypominające krew, które znalazłem w środku.

A co, jeśli to nie była krew i jestem przewrażliwiony? Moich uszu dobiegł warkot silnika na zewnątrz i zrozumiałem, że nie zdążę wrócić na górę. Dźwięk klaksonu rozległ się kilka razy i jakiś pojazd zatrzymał się przed bramą garażu.

Zauważyłem smugi światła wpadające do środka przez szczelinę nad podłogą. Usłyszałem kroki taty na schodach w korytarzu. Wcisnąłem się za regał i kucnąłem przyklejony do ściany. Miałem nadzieję, że tak łatwo mnie nie znajdą.

– Zaraz, na litość boską, możesz dać sobie na wstrzymanie? – Ojciec marudził pod nosem, podchodząc do bramy. Kierowca na zewnątrz nie mógł go słyszeć, ale najwyraźniej rozumieli się bez słów, skoro przestał uparcie trąbić.

Gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłem zarys sylwetki Cypisa. Stał przy aucie, opierał się o maskę i palił papierosa. Ojciec ochrzanił go, żeby zgasił światła, i podszedł bliżej. Skuliłem się i słuchałem, schowany w kącie.

– Pojechało cię? – skarcił go ojciec. – Chcesz postawić na nogi całą pierdoloną wieś? – Wyciągnął dłoń i poprosił, by kolega poczęstował go papierosem. Odpalił go i się zaciągnął.

– Wszystko załatwione, nie masz się o co wściekać. Daj mi papiery, przyjadę za parę dni, pogadamy i wypijemy coś z tej okazji. Zejdzie z ciebie cały wkurw.

– Papiery są w środku, zapasowe kluczyki też. Ty to zjechałeś i ty to naprawisz. Nie mieszaj mnie w to, tym bardziej że mam sentyment do tego samochodu.

– To tylko wóz, załatwisz sobie nowy. Dostałem za niego więcej, niż jest wart. – Wrócił do auta i wyjął z bagażnika reklamówkę. – Możesz przeliczyć, jak mi nie ufasz. Jest tyle, na ile się umawialiśmy. Co do pieprzonej złotówki.

– Zabieraj go i załatw to, jak trzeba, nie chcę, by kręcili mi się koło dupy – uciał.

Cymański poklepał go po ramieniu i wszedł do garażu. Obejrzał auto z każdej strony. Pokiwał z uznaniem głową i wszedł do środka, a następnie opuścił nisko szybę.

– Ty się marnujesz w tej budowlanec. Wóz lśni jak psu jaja – zaśmiał się Cypis.

– Nie wkurwiał mnie i nie narób chlewu, jak wrócisz po swoją furę. – Ojciec nie pozwolił się sprowokować. Odwrócił się i ruszył w stronę domu.

– Pomyśl o tym, jak sprzątnąć to całe gównno, które po sobie zostawiłeś. Wiesz, o czym mówię.

Czekałem, aż obaj znikną z pola widzenia. Śledziłem czerwone światła, które rozmywały się na horyzoncie. Wziąłem kilka głębokich wdechów i wyszedłem przed dom, upewniając się, że taty tu nie ma. Nie zamknął bramy, widać było, że jest mu wszystko jedno. Domknąłem drzwi od zewnątrz i wróciłem do siebie.

W nocy długo o tym myślałem. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale wiedziałem, że ich relacje się pogorszyły. Zauważyłem to w ich zachowaniu, w tym, jak się do siebie odnosili; w zdenerwowaniu, które biło z twarzy ojca. Czuję, że czasem lepiej nie znać prawdy. Łatwiej żyć złudzeniami.

Nad ranem obudził mnie hałas. Chwilę to trwało, zanim doszedłem do siebie.

Miałem czujny sen, a dziś nie spodziewałem się ekscesów, dlatego nie wcisnąłem do uszu kłębków waty. Usłyszałem jednak kroki na parterze lub coś, co je przypominało. Po ostatniej wpadce z Pauliną przyrzekłem sobie, że nie popełnię drugi raz tego błędu.

Przewracałem się z boku na bok, coś nie dawało mi spokoju. Zaczynałem wierzyć, że to ze mną jest coś nie tak.

Stałem w oknie i wyjrzałem na zewnątrz, ale nikt nie kręcił się w pobliżu domu.

Noc rozsiadła się na horyzoncie i wpatrywałem się w jej melancholijne oblicze jak urzeczony. Uwielbiałem ciszę, która jej towarzyszyła. Wsłuchiwałem się w jej melodię, odławiałem ukryte w strukturze mroku dźwięki. Nasiąkałem nimi.

Z zamyślenia wyrwał mnie niewyraźny cień, który prześlizgnął się pod oknem.

Światło wiszącej nad gankiem lampy rozciągnęło rozmazaną postać, jakby poruszała się na szczudłach. Wystawiłem głowę za okno w chwili, gdy plecy taty znikają w drzwiach do starej szopy z narzędziami, niszczejacej na tyłach domu.

Wiele razy zarzekał się, że w końcu ją rozbierze, ale na deklaracjach się kończyło. Chciałem wierzyć, że przypominała mu chwile, w których był szczęśliwy i spędzał w tym miejscu beztroskie wakacje. A może powód był inny, prozaiczny i ojciec po prostu nie znalazł na to czasu w natłoku zajęć? Dawno powinien był to zrobić.

Zawahałem się, czy wrócić do łóżka i nie zaprzętać sobie tym głowy, czy wręcz przeciwnie, posłuchać intuicji i sprawdzić, o co chodzi. Zerknąłem na zegarek, dochodziła trzecia dwadzieścia. Noc była ciepła, mimo to włożyłem bluzę z kapturem na górę od pizamy. Jeśli mnie nakryje, powiem, że nie mogłem zasnąć i wstąpiłem do kuchni po coś do picia. Kiepska wymówka, ale zawsze jakaś.

Zszedłem ostrożnie po schodach i nasłuchiwałem, czy przypadkiem nie wraca. Na zewnątrz było zupełnie cicho, wszystko wskazywało na to, że ojciec był w szopie.

Wyszedłem przed dom i skradałem się w jej stronę, upewniając się na każdym kroku, że nie natknę się na tatę w pół drogi. Obszedłem dom i zobaczyłem światło, które tliło się w środku i przebijało przez niewielkie, zakurzone szyby.

Zastanawiało mnie, co tu robi w środku nocy. Co nie mogło zaczekać, aż wstanie dzień? Podszedłem do uchylonych drzwi i usłyszałem dziwny dźwięk. Przypominał skrzypienie wiszącej na gałęzi huśtawki. Pamiętam, że zrobił mi taką na podwórku, gdy byłem młodszy. Bujałem się na niej godzinami i nie reagowałem na nawoływania mamy, która próbowała mnie ściągnąć na obiad.

Znałem ten dźwięk. To był odgłos wrzynającej się w gałąź liny; wpijała się milimetr po milimetrze, wydając z siebie denerwujący jęk. W mojej głowie rozległ się alarm, kiedy dotarło do mnie, co to znaczy.

Wbiegłem do szopy i rozejrzałem się za tatą. Stał na pniu z zaciągniętą wokół szyi pętlą. Pniak zachwiał się, ale nim ojciec stracił przyczepność, podbiegłem do niego, złapałem go wpół i spróbowałem unieść. Był znacznie cięższy ode mnie. Spodziewałem się, że długo nie wytrzymam. Podtrzymałem stopą pień, który ślizgał się po ziemi, walczyłem o to, żeby się nie przewrócił.

Przez chwilę zdawało mi się, że to nie tata. Że spogląda na mnie twarz Siwego.

Mówiłem coś. Krzyczałem, usiłując dodać sobie otuchy. Nie pamiętam już co.

Zobaczyłem, że otwiera oczy, ściska sznur palcami wokół szyi i luzuje uścisk.

Wyśliznął mi się w ułamku sekundy. Zdażyłem znów złapać go wpół, poprawić pień, na którym rąbał drewno. Jego twarz miała siną barwę, słabł z każdym oddechem; rozejrzałem się, czułem ciepło rozlewające się po ciele. Szukałem czegoś ostrego, czym mógłbym odciąć linę. I uratować mu życie.

Znalazłem leżącą na ziemi siekierę. Jedną nogą wdrapałem się na drewniane przepierzenie, za którym tata składował węgiel, i waliłem z całych sił w belkę podtrzymującą strop, a w zasadzie w owiniętą wokół

niej linę. Zauważyłem, że ta naprężyła się, ojciec z trudem oddychał, charczał, starał się poluzować uścisk i złapać więcej powietrza. Po kilku próbach odciąłem ją, a tata zachwiał się i spadł na ubitą glebę. Ostatkiem sił zdjął sobie pętlę z szyi i się zakrztusił.

Obserwowałem, jak wciąga łapczywie powietrze i pluje skulony niczym embrion.

Dotarło do mnie, co się stało, i zacząłem płakać. Położyłem się za plecami ojca i wtuliłem w jego szerokie barki. Pragnąłem tylko poczuć jego ciepło i bliskość.

Słyszałem jego urywany oddech, czułem go przez koszulę zalatującą potem i ścinkami drewna. Sięgnął ręką za plecy, objął mnie, z mniejszą siłą niż zwykle. Ręka zadrżała mu, jakby dźwigał w niej ciężar. Byłem szczęśliwy, że jest ze mną. Że mnie nie opuścił.

Obiecałem mu to samo. Byliśmy na siebie skazani.

2019

Przekręciła klucz w drzwiach, rzuciła plecak na krzesło w kuchni, otworzyła lodówkę i sięgnęła po butelkę wody. Było późno, domyśliła się, że Artur pracuje w sypialni, a Maja śpi, ale odkąd przekroczyła próg, nie opuszczały jej złe przeczucia. A może była przewrażliwiona i wszędzie doszukiwała się problemów?

Zwykle, gdy wracała późno, wchodziła na górę i zaglądała do pokoju Mai. Siadała na łóżku i przyglądała się, jak córka śpi; wsłuchiwała się w jej oddech. Tego wieczoru pociągnęła ostrożnie za klamkę i zajrzała do środka przez szczelinę pomiędzy futryną a krawędzią drzwi. Łóżko córki było pościelone. W pomieszczeniu panował chłód, który sprawił, że jej serce zaczęło bić szybciej.

Coś było nie tak i nie potrafiła tego nazwać. Musiała zachować spokój.

Pewnie poszła do taty. Oglądali coś do późna, zasnęła, a on nie miał odwagi przenieść jej do łóżka. Ola niepotrzebnie się zamartwiała. Przyspieszyła kroku i weszła do sypialni, z nadzieją, że ich tu zastanie. Nie było w niej ani córki, ani Artura.

„Uspokój się” to pierwsze, co przychodziło jej do głowy. Nie pomagało. Zbiegła po schodach i zaglądała do pomieszczeń na dole, nawoływała, jednak nikt nie odpowiadał. Czuła się niewidzialna. Otwarte drzwi szafy w korytarzu powinny ją zaniepokoić, ale nie wierzyła, że mogli wyjechać. To niedorzeczne. Głupie.

Sprawdziła wszystkie miejsca, w których mogli przebywać, ale nigdzie ich nie było. Czuła, że jej skóra robi się wrażliwa, nabiera kolorów i piecze od wewnątrz. Rozpłynęli się w powietrzu?

Instynkt kazał jej się rozglądać w poszukiwaniu śladów, mimo to odrzucała niepokojące myśli. Nic złego nie mogło im się przytrafić, powtarzała niczym mantrę. Tak brzmi zaklinanie rzeczywistości.

Telefon. Sięgnęła do kieszeni po komórkę i wybrała numer Artura. Jeden, dwa sygnały. Czas dłużył jej się w nieskończoność. Wreszcie denerwujący dźwięk ustał i wsłuchiwała się w zalegającą po drugiej stronie ciszę. I oddech Artura.

– Gdzie jesteście? – Nic mądrzejszego nie przyszło jej w tej sytuacji do głowy.

– U rodziców.

– Coś się stało? Mam po was przyjechać?

Cisza. Milczenie się przedłużało. Ola czuła, że lęk drąży w niej dziurę i przelewa się przez nią. Wiedziała, że emocje biorą górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Nie. Nie zamierzam wciąż wysłuchiwać twoich kłamstw.

– O czym ty mówisz? – Lazar przestała nad sobą panować. – Czemu jesteście u rodziców? Zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

Wydawało jej się, że słyszy kroki. Musiał przejść z jednego miejsca do innego.

– Idź do kuchni i spójrz na pieprzony blat. – Ściszył głos, widocznie nie chciał, by ktoś usłyszał ich rozmowę. Znów przeszedł do innego pokoju. Ukrywał się?

Wróciła do kuchni z komórką przy uchu. Na blacie dostrzegła laptop.

– Co się dzieje, Artur? – zapytała dezorientowana. Drżały jej dłonie, mrowienie schodziło z grzbietu w dół kręgosłupa. Znów wróciły zawroty głowy. Zamknęła oczy, które piekły teraz żywym ogniem.

– Znasz hasło. Włącz laptopa i otwórz folder, który jest na pulpicie, w prawym dolnym rogu – instruował ją.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? Dlaczego mam to zrobić? – Nie zdążyła dokończyć, bo mąż wszedł jej w słowo. Nogi zrobiły jej się miękkie jak z waty.

– Po prostu to zrób, do jasnej cholery, i nie zadawaj głupich pytań!

Miała ochotę go zwymyślać i powiedzieć, by jej nie rozkazywał, ale ugryzła się w język. On teraz dyktował reguły.

Uruchomiła laptop. Na tapecie wyświetliło się zdjęcie Majki. Miała na nim trzy latka i była ubrana w kucharski fartuch i czapkę, robiła z tatą naleśniki.

Ola znalazła folder oznaczony ciągiem cyfr. W środku znajdowało się kilkadziesiąt zdjęć. Kliknęła na pierwsze z nich i zaczęła, aż wyświetli się podgląd. Po chwili oczom policjantki ukazała się niewyraźna fotografia.

Wpatrywała się w ekran. Nie wiedziała, czy to, co widzi na zdjęciu, jest prawdą czy sprytną manipulacją. Obraz był nieostry, kadr przypadkowy. Wrażenia artystyczne były nieistotne; rozpoznała samochód i poczuła ukłucie między żebrami. Zrozumiała, że była w środku z Urygą. Wczytała kolejne zdjęcia; ktoś zrobił im całą sesję w chwili, kiedy uprawiali seks. Dwie godziny temu. Zła jakość jej nie wybroni. Nie zdoła się z tego wykręcić.

– Jeśli wydaje ci się, że znowu wciśniesz mi jakiś kit, to daruj sobie. Nie jestem aż tak naiwny. – Głos Artura wyrwał ją z letargu. Zapomniała, że został na linii.

– Spotkajmy się. Maja nie ma z tym nic wspólnego, to sprawa pomiędzy nami.

– Zdecydowałeś za nas, pieprząc się z tym frajerem. Podjęłaś decyzję. Moją rolą jest zadbanie o dobro córki, skoro jej matka zachowuje się jak nieodpowiedzialna, puszczańska suka.

– Nie waż się tak do mnie mówić – stwierdziła stanowczo. Zdała sobie jednak sprawę, że czekał, aż da mu argument, by móc się rozłączyć. Nie mogła pozwolić sobie na zbytnią szczerłość. – Jesteśmy dorośli. Odstawmy na bok emocje dla dobra naszej córki... – zmieniła temat, usiłując odwrócić uwagę od swojej winy.

– O czym ty mówisz? – Zapieklił się. Nie pozwolił jej skończyć. – To twoje życie, zrozum to w końcu. Jesteś dorosła i dokonujesz wyborów, za które pora wziąć odpowiedzialność. Znudziło mi się nadszkakiwanie, zabieganie o uwagę i przymykanie oczu na ciągłe wymówki. Naprawdę rzygam już twoimi kłamstwami.

– Wróc do domu z Mają – wycedziła przez zęby. Z trudem panowała nad nerwami. – Wszystko ci wytłumaczę. To nie jest powód, aby wszystko zniszczyć...

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz...

Usłyszała sygnał urwanego połączenia. Zadzwoiła raz jeszcze, ale Artur wyłączył telefon. Miała ochotę wykrzyknąć mu w twarz całą złość, wiedziała jednak, że to droga donikąd. Usiadła na podłodze i schowała twarz w dłoniach. Oddychała głęboko. Czuła, że łzy same cisną się jej do oczu.

Minęli się. Musieli wyjechać tuż przed jej przyjazdem, wzięli tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Kusiło ją, by tam pojechać, wyciągnąć go za fraki z domu teściów, zabrać Maję i przywieźć ją z powrotem. Przytulić do piersi i nie wypuszczać z rąk.

Przypomniała sobie rozmowę z Błażem. Ona wciąż dostrzegała światło w tunelu. Nie zdążyła spalić za sobą mostów i wierzyła, że zdoła ocalić to, co najcenniejsze. Zrozumiała, jak bardzo on cierpiał. Była egoistką, myśląc tylko o sobie. Gdy ochłonęła, napisała mężowi wiadomość z prośbą, by się spotkali i porozmawiali o tym wszystkim, co między nimi zaszło.

Maja była w dobrych rękach, zdarzało się, że sypiała u dziadków. Artur należał do rozsądnych ludzi, na pewno nie przeniósł na nią negatywnej energii, a Ola nie mogła wpaść tam w środku nocy i zaburzyć jej poczucia bezpieczeństwa.

Musiała zająć czymś myśli. Praca. Jedyne remedium, jakie знаła. Rozłożyła na podłodze w pokoju dziesiątki zdjęć, wycinków z gazet i kserokopii dokumentów. Fizyczny, namacalny kontakt z aktami pozwalał poczuć, że są prawdziwe, w przeciwieństwie do wirtualnych plików przewijanych kursorem w laptopie.

Zaczynała rozumieć, ile wyrzeczeń kosztowało Bartosza Adlera przyjscie na komendę.

Złożył zeznania, które stawiały w fatalnym świetle własnego ojca. Od tych wydarzeń minęło wiele lat, a on wciąż mierzył się z ciężarem przeszłości i zdecydował się położyć na szali dobro rodziny i prawdę, która zawsze ciąży najmocniej. To wymagało odwagi i wielkiej determinacji.

Pomijając tę feralną noc, w której trakcie zginął Szymon Sulima, Ola wspominała lata dziewięćdziesiąte jako najlepszy okres w życiu. Czas płynął wówczas innym rytmem. Mieli szansę popełniać błędy i czas, aby się na nich uczyć. Świat ograniczał się do najbliższej okolicy. Nikt nie miał odwagi sięgać dalej. Ich horyzont wyznaczało to, czego mogli dotknąć lub co zobaczyć.

Sylwia zdobyła dla niej wydania gazet z tego okresu; w ogólnopolskich dziennikach temat zaginięcia zaistniał śladowo. Za to dziennikarze prasy lokalnej przez kilka tygodni towarzyszyli bliskim w poszukiwaniach Szymona. Żyli tą sprawą. Angażowali się w nią.

Ojciec Szymona obwinia jego przyjaciół. Tak brzmiał tytuł jednego z artykułów. Dziennikarka nakreśliła ramy, w których poruszali się śledczy, a w dalszej części materiału wyciągnęła z ojca chłopca wyznanie, że prawda o zaginięciu syna wciąż tkwi w tym lesie. Wyniki badań, które wykazały, że znalezione na mokradłach kości należą do Sulimy, udowodniły, że słowa jego ojca były prorocze. Wciąż jednak nie mieli pewności, w jaki sposób nastolatek stracił życie.

Teorii dotyczących zaginięcia było wiele, każdą trzeba było sprawdzić. Większość skłaniała się ku ucieczce z domu. Prześledzono sytuację rodzinną, wojskowe nawyki ojca, rozpytano sąsiadów. Każdy miał coś do powiedzenia, a śledczy kręcili się w kółko. W końcu sprawa ucichła, odłożono ją na półkę ze względu na brak dowodów. Znalazły się nowe tematy, które skupiały uwagę mediów.

Jedna rzecz wciąż ją trapiła. Relacja Bartosza Adlera wychodziła poza ramy domysłów, wskazywała okoliczności, których nie znalazła w ówczesnej prasie.

Zgłębiła temat wypartych wspomnień, na które się powoływał. Wszystkie wątpliwości, które wynikały z ich interpretacji, mogły stanowić okoliczność łagodzącą.

Nie chciała bawić się w psychologa i kwestionować zjawisk, które wymykały się zdrowemu rozsądkowi. Było wiele przypadków, które uprawdopodobniały tezę, że mózg człowieka w sytuacji stresu potrafi wyprzeć się oczywistych faktów, zmagazynować je i wrócić do nich

w najmniej oczekiwanym momencie. To swoisty mechanizm obronny; skorupa, która pozwala przetrwać. A może Anita Brandt miała rację i na przestrzeni lat opakował je w informacje, które zniekształciły ich obraz, tworząc fałszywe wspomnienia.

Położyła się na podłodze, patrzyła w sufit i zastanawiała się, w jakim celu Adler miałby to wszystko zmyślić. Dlaczego milczał przez tyle lat. Pragnął chronić ojca? To pierwsze, co przyszło jej do głowy, ale chroniąc go, zaprzeczał faktom, świadomie odrzucał jego winę. Czy człowiek jest w stanie kochać kogoś tak bardzo, że uparcie zaprzecza prawdzie, tworzy alternatywny świat, wtapia się w niego i neguje rzeczywistość? Nie wyobrażała sobie większej miłości, większego oddania. Zastanawiała się, czy ludzki mózg byłby w stanie zaakceptować iluzję tylko po to, żeby chronić bliskich.

Jeśli tak, to chłopak musiał zapłacić za to wysoką cenę.

2019

Czarna kula z trupią czaszką toczyła się po torze. Odkąd wypuścił ją z ręki, czuł, że zbije strike'a. Intuicja go zawiodła. Dziewięć kręgli przewróciło się od razu, ostatni chwiał się i zatańczył jak zamroczony bokser przy linach. Ustał, wzbudzając pomruk rozczarowania Urygi i ryk triumfu rywali. Błażej dobił ostatni kręgiel w drugiej próbie i usiadł na sofie, wściekły, że nie wyprowadził drużyny na prowadzenie. Źle znosił porażki.

– Jeśli tak ci łapa drży pod ciężarem kuli, to strach ci dawać broń do ręki, stary.

Jeden z rywali poklepał go po ramieniu. Błażej miał ochotę wykręcić mu dłoń w nadgarstku. Liga bowlingowa miała pomóc mu się odnaleźć w nowym otoczeniu. Stanowiła ostatnią, oprócz wizyt w barze, formę kontaktu z ludźmi, a mimo to wyzwalala w nim złe emocje. Upił łyk piwa, starał się nie reagować na zaczepki.

Uznał, że nie warto się podpalać. Faceci ciągle sobie dogryzają, wciąż rywalizują, to naturalne. Problem w tym, że nie znosił tego nadętego typu i kręgle nie miały tu nic do rzeczy. Gdy jesteś gliną i trafiasz do takiej dziury, trudno o normalnych znajomych. Wybór jest ograniczony. Pozostaje trzymać się tych z pracy i sprawiać pozory, że ci na nich zależy. Ale nie potrafił udawać.

– Udało mi się porozmawiać z gościem, który pracował wtedy w straży pożarnej. Tak jak chciałeś, prosiłem, aby to zostało między nami – zaczął Jacek Kasprzak, policjant z drogówki, z którym Błażej znał się ze szkoleń w policji. Wpadli na siebie na parkingu przed komendą niedługo po tym, gdy Uryga tu trafił.

– Od ustalenia przyczyn pożaru są biegli, ale z tego, co mówił, nikt nie brał pod uwagę, by ktoś celowo podpalił dom. Zwłoki znaleziono w łóżku, nie były całkiem zwęglone, a ogień nie ułatwiał oględzin. Nie znaleziono śladów świadczących o tym, by małżeństwo zginęło w inny sposób albo przyczyniły się do tego osoby trzecie. Mówimy o latach osiemdziesiątych, nikomu nie przyszło do głowy doszukiwać się w tej sprawie drugiego dna. Ogień ich zaskoczył, nie zdążyli uciec. Uduślili się i prawdopodobnie zginęli we śnie, nie wiedząc nawet, że wybuchł pożar. Nie znaleziono żadnych śladów włamania, nic nie zginęło, drzwi były otwarte. Nikt ich nie skrupował, na ciałach nie ujawniono ran, które doprowadziły do zgonu. Skąd pomysł, by to w ogóle kwestionować, po tylu latach? – spytał, usiłując przebić się przez płynącą z głośników muzykę.

– Ojciec kobiety, która zginęła w pożarze, od początku twierdził, że doszło do włamania. Tłumaczył to tym, że ofiary nie miały na palcach obrączek.

Kasprzak powstrzymał się od komentarza. Z szacunku do zmarłych.

– W garażu nie było ich auta – dodał Błażej, ale znajomy wszedł mu w słowo.

– Znaleziono je na parkingu pod szkołą, w której pracowała kobieta. Możliwe, że coś jej wypadło i wróciła do domu pekaesem albo pieszo, to niedaleko. Weź poprawkę na to, że to jej ojciec. Ludzie po utracie bliskich gotowi są uwierzyć w absurdalne teorie, byle wytłumaczyć ich odejście. Z domu nic nie zginęło. Mówię o wartościowych przedmiotach, trudno zweryfikować utratę gotówki i biżuterii. Mogli gdzieś schować obrączki – myślał na głos. – To żaden dowód. Zamek w drzwiach wydawał się nietknięty, sprawdzili to. Właściciele nie mieli wrogów, dlaczego ktoś miałby pozbawić ich życia?

Błażej nie chciał się z nim sprzeczać, tym bardziej że sprawa była skomplikowana. Wszystko działo się ponad trzydzieści lat temu, trudno kwestionować zaangażowanie osób, które nad nią pracowały, skoro część z nich już nie żyła. Jeśli popełnili błędy, nikt ich już nie udowodni.

Podziękował za uzyskane informacje, a po swojej kolejce, gdy zamyślony zbił ledwie siedem kręgów, wyszedł przed budynek zapalić. Zauważył

światła samochodu, który wjeżdżał na parking, i zerknął na zegarek. A więc się nie spóźniła.

Sylwia Rosińska wysiadła z auta. W mętnym świetle wiszącej nad wejściem lampy jej sylwetka była zamglona, ale zauważył, że dziewczyna rozpuściła włosy. Gdy stanęła obok, zdziwił się, że były długie i kręcone. Opadały do ramion, sprawiając, że jej smukła twarz się zaokrągliła. Jechała z siłowni, była w legginsach i bluzie.

– Nie mogłeś poczekać z tym do jutra? – zapytała go, wsuwając rękę w kieszenie bluzy.

Rozpadało się i choć na zewnątrz wciąż było ciepło, nie chciał, żeby zmokła. Schowali się pod plastikowym daszkiem przed wejściem do kręgielni.

– Jestem niecierpliwy. Męczyłbym się z tym całą noc. – Obrócił sytuację w żart.

– Sprawdziłam te włamania. Zaczęły się na początku lat osiemdziesiątych i po kilku latach ustały, nagle. Długo nikt nie traktował ich serio, dopiero z czasem, gdy zaczęły się powtarzać, powiązano je ze sobą. Zdarzały się najwyżej kilka razy w roku. Wszystkie miały miejsce w okolicy i wyglądały podobnie, ale dochodziło do nich sporadycznie. Sprawcy znali teren, zwyczajnie mieszkających w tych domach ludzi. Sposób działania był prosty. Nie wybijali szyb i nie wyłamywali zamków. Wchodzili do środka przez otwarte drzwi, bramę od garażu, uchylone okno w piwnicy. Wynosili sprzęt, biżuterię; korzystali z nieobecności właścicieli. Czekali na okazję, by dostać się do środka i się obłowić.

– Zdarzyło się, że zastali gospodarzy w domu? Albo ktoś ich spłoszył?

– Nie. Nikt tego nie zgłosił. Działali bardzo ostrożnie, przygotowywali się. To nie były spontaniczne akcje. A przynajmniej nic na to nie wskazuje.

Uryga wydmuchał nikotynowy dym i zgasił niedopałek na pokrywie kosza na śmieci. Z jakiegoś powodu czuł, że te włamania mogły mieć coś wspólnego ze śmiercią rodziców Oli. Z drugiej strony jej dziadkowie mogli trzymać się tej wersji, żeby przerzucić na kogoś odpowiedzialność za śmierć córki i zięcia.

Nie wierzył w to, że sprawcy zmienili *modus operandi* i zaryzykowali, aby obrabować dom, w którym przebywali właściciele. To zbyt lekkomyślne.

– Zamek w drzwiach nie był wyłamany. Mogli bez trudu dostać się do środka.

Sylwia patrzyła na niego z pobłażaniem. Zwykle to jej zarzucał łatwowierność.

– Według ciebie nie sprawdzili, czy ktoś jest w środku? Wcześniej robili to za każdym razem. Poza tym nie zginęło nic cennego, nie ryzykowałiby na darmo.

– Nie wiem – myślał na głos. – Zastanawia mnie, czemu po pożarze włamania ustały. Sama twierdzisz, że było ich po kilka rocznie. Mamrot przepadł, kiedy zamierzał się do nich przyznać. To ciekawe, że sumienie ruszyło go dopiero po latach.

– Włamania ustały, bo milicja zaczęła węszyć, a ryzyko rosło z każdym kolejnym. Mogli zmienić teren, wpaść na czymś innym, jest wiele możliwych wyjaśnień. Mam wrażenie, że uparcie trzymasz się słów tego człowieka, choć sam twierdzisz, że ludzie po takiej tragedii ją sobie racjonalizują – wtrąciła przytomnie Sylwia.

– To brzmi za pięknie, by było możliwe. To jak nałóg, zastrzyk adrenaliny.

– Nikt nie odpowiedział za te włamania. Ale Wojciech Adler został przesłuchany na tę okoliczność. To nie jest tak, że dochodzeniowcy nic nie zrobili. Zanim zdążyli się rozkręcić, włamania ustały. Wystarczyło, że zaczęli pytać, ruszyli tyłki zza biurka i od razu były efekty. Może to ich wystraszyło?

– Nie mówię, że tak nie jest. Ale trzeba brać pod uwagę inne opcje. Jak dotarli do Adlera? Jego syn zgłosił się na komendę i rozmawiał z Olką. – W końcu do niego dotarło, że sieć powiązań i zależności zagęszcza się z każdym dniem.

– Trudno wiązać go z błędami ojca. Wojciech Adler sprowadzał auta z zagranicy, naprawiał je i puszczał w obieg. Samochody były zajeżdżone, kupował je za bezcen. Na początku lat osiemdziesiątych sprzedał wóz,

w którym nowy właściciel znalazł zegarek. Uznał, że należy do żony, ale ona wszystkiemu zaprzeczyła. Stwierdził, że został w aucie, i zawiózł go Adlerowi. Co ciekawe, podobny zegarek zginął w trakcie jednego z włamań. Adler wyparł się wszystkiego, zapewniał, że zegarek należy do jego znajomej. Kobieta potwierdziła tę wersję, znalazł się sprzedawca i sprawa ucichła.

– Kim był facet, który znalazł ten zegarek?

Sylwia głęboko westchnęła. Czowała, że odpowiedź tylko namiesza mu w głowie.

– To ojciec Szymona Sulimy.

– Zgrywasz się?

– Niestety nie.

– Odkąd tu jestem, mam wrażenie, że brodzę w jakimś cholernym grzęzawisku. Wszyscy są umoczeni po łokcie. Jeden fałszywy krok i już cię nie ma. Idziesz pod wodę.

– I myślisz, że to lokalna specyfika? – zakpiła.

Nie odpowiedział. Musiałby przyznać jej rację. W milczeniu obserwował, jak koleżanka wsiada do samochodu i wyjeżdża z parkingu.

Wrócił do kręgielni, dokończył rozgrywkę, ale z kolejki na kolejkę szło mu coraz gorzej. W normalnych okolicznościach wypiłby parę piw i zażądał rewanżu, jednak miał na głowie większe zmartwienia.

Wrócił do siebie, wziął prysznic i odgrzał pizzę w mikrofalach. Źle spał tej nocy.

Zwykle, gdy nie mógł zasnąć, sięgał po alkohol i zalegał w fotelu do rana, oglądając na YouTube stare mecze koszykówki i odmóżdżające filmy. Oparł się o drzwi lodówki i dopił resztki zalegające na dnie butelki. Suszyło go, sięgnął po wiszącą na krześle bluzę. Sklep monopolowy znajdował się kilka minut drogi stąd. Uznał, że czas uzupełnić zapasy.

Śledził swój cień w rozlanych przy drodze kałużach. Nie zwracał uwagi na padający deszcz. Przed wejściem zauważył grupę wyrostków; pili piwo ze stojących na murku puszek. W zaparkowanych wozach dudniły basy.

Ominął ich i wszedł do nocnego. Wziął zgrzewkę żywca i tanią whisky. Na kilka godzin, które pozostały do świtu, musi wystarczyć. Odkąd tu trafił,

czuł na sobie wzrok miejscowych. Ich zaczepki przestały robić na nim wrażenie.

– Wypierdalaj stąd, jebany leszczu – słyszał za plecami.

Powstrzymał się, by nie wdać się w pyskówkę, choć marzył o tym, by zetrzeć im te tępe uśmiechy z twarzy. Wiedział, że to droga donikąd. Uczył się panować nad emocjami. Po serii wyzwisk naciągnął kaptur i odszedł w stronę znajdującego się po drugiej stronie ulicy parku. Był trędowaty. Bezradny. Stawał się karykaturą siebie samego – to bolało najbardziej.

W drodze do mieszkania zdążył wypić piwo. Zgniół puszkę i rzucił ją za siebie.

Pozostałe wypił, gapiąc się w szklane pudło telewizora. Nie obchodziło go, co w nim leci. Ścisnął w dłoni kluczyki od samochodu i bił się z myślami, czy nie wsiąść za kółko i nie pojechać pod dom teściów. A potem wejść bez słowa do środka i wrócić z córką. Krążący w żyłach alkohol nie wygrał ze zdrowym rozsądkiem.

Zrozumiał, że w ten sposób tylko się pograży. Musiał odpuścić. Zapić potrzebę konfrontacji. Wygłuszyć lęk i złość pulsujące w żyłach. Upodlić się. I zniknąć.

1986

W aucie panowała kompletna cisza, za to w powietrzu buzowało od adrenaliny.

Adler czuł się jak aktor wchodzący na scenę, chociaż zdawał sobie sprawę, jak żałośnie brzmi to porównanie. W końcu włamywali się do czyichś domów. Brukali cudzą prywatność. Deptali marzenia, nie licząc się z konsekwencjami.

Wiedział, skąd się wzięło to skojarzenie. Przed każdą akcją był zdenerwowany i czuł treść, mimo że mieli na koncie wiele włamań. Musieli zachować czujność, nie mogli popełnić drobnego błędu, w przeciwnym razie wylądują w pierdłu. Oddychał przez nos. Wdech. Wydech. Starał się uspokoić galopujące tętno.

Cypis siedział za kółkiem, Mamrot na tylnym siedzeniu. Samochód stał schowany w zatoczce przy lesie, kilkaset metrów od domu, który z tej perspektywy zdawał się tonąć we mgle. Wypełzała z lasu i sąsiadujących z nim pól. W oknie na parterze paliło się światło. Duży pokój. Kuchnia znajdowała się po przeciwległej stronie. Rozciągał się stamtąd widok na przylegający do domu las i nieużytki.

W okolicy nie było zbyt wielu sąsiadów, cel wydawał się w ich zasięgu. Zachowanie domowników wskazywało na to, że włamanie nie stanowiło ryzyka. Lokalizacja okazała się atutem. W ciągu dnia trudno się było tu schować, ale w nocy nieoświetlona droga i późnojesienna aura odwracały uwagę przypadkowych świadków.

W domu mieszkali trzy osoby, dwoje dorosłych i dziecko. Rzadko wychodzili i nikt z wyjątkiem dziadków do nich nie zaglądał. Mamrot od dłuższego czasu kręcił się w pobliżu, usiłował poznać rozkład zajęć rodziny

– to było jego zadanie przed każdą większą akcją. Potrafił wtopić się w tło. Zniknąć.

– Jesteś pewien, że dziecka nie ma w domu? – zapytał Cypis, paląc papierosa. Wydmuchał dym przez szybę. Nie ryzykował i nie wyszedł na zewnątrz.

– Chyba nie jestem idiotą? – zachnął się chłopak.

– Możecie przestać skakać sobie do gardeł i skupić się na robocie? – upomniął ich Wojciech Adler. Nie odrywał wzroku od niepozornego budynku. Z tej trójki ryzykował najbardziej; jego syn był niemal rówieśnikiem córki właścicieli domu. Odsuwał tę myśl.

Przed domem stał czerwony fiat 125p. To znak, że wciąż byli w środku. Mamrot milczał, ale martwił się, że wszystko trwa za długo. Zwykle, gdy wychodzili, uwijali się szybko i wracali koło północy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Zaniepokoił się, że nic z tego nie będzie. Co, jeśli źle odczytał sygnały?

– Czekamy jeszcze piętnaście minut i zwijamy się stąd – uprzedził ich Adler.

– Ostatnio odwalamy same puste przebiegi. Pora zmienić miejscówkę lub odpuścić na jakiś czas. Ludzie zaczęli się pilnować, nie są głupi – marudził Cypis.

– Oddali dzieciaka dziadkom, sam widziałem. Muszą mieć plany na wieczór. – Mamrot trzymał się uparcie sprawdzonej wersji, chociaż przestał już wierzyć, że się uda. Chciał coś dodać, lecz zauważył gasnące światło w pokoju na dole.

– Cicho! – upomniął ich Adler i cała trójka w milczeniu obserwowała sytuację.

Nad gankiem zapaliła się żółta lampa i drzwi się otworzyły. Mężczyźni skulili się w fotelach. W mroku, zalegającej nisko mgły i mętym świetle odległej latarni widzieli zarys wsiadających do auta postaci.

Rozległ się warkot silnika, zabłyśły tylne światła, a po chwili pojazd zniknął na drodze prowadzącej w głąb lasu. Wiedzieli, że powinni być cierpliwi. Zdarzało się, że ludzie w ostatniej chwili wracali po coś do domu.

Raz niemal złapano ich na gorącym uczynku; na szczęście zdążyli schować się w przylegającym do posesji garażu.

Tym razem nic takiego się nie zdarzyło i mogli przystąpić do akcji.

Włożyli kominiarki i wyszli z auta. Od razu się rozdzielili. Mieli wszystko przemyślane w najdrobniejszych szczegółach. Jeden z nich zostawał na czatach, drugi obchodził dom i sprawdzał, czy nikogo nie ma w pobliżu, wtedy ostatni szedł w stronę głównego wejścia.

Gdy plan zawodził, a drzwi były zamknięte, szukali innej możliwości dostania się do domu. Wchodzili przez garaż, uchylone okno, dostawali się przez piwnicę. Witek zapewniał ich, że niewielkie okno zawsze było niedomknięte.

Cymański chwycił za klamkę drzwi. Zdziwił się, jak łatwo odpuściła. Skinął na Adlera, że mogą wchodzić do środka. Mamrot został na czatach. Miał zadbać o to, by nikt im nie przeszkadzał. Przedpokój przypominał pozbawioną światła kryptę.

Adler wymacał włącznik, ale ten nie działał; gotów był przysiąc, że w domu wybiło korki. Sięgnął po latarkę i oświetlił sobie drogę. Skinął głową, że idzie na górę, a Cymański miał przeszukać parter, a w zasadzie duży pokój i przylegającą do niego kuchnię.

Szedł ostrożnie, na każdym kroku upewniając się, czy stopnie nie skrzypią pod naporem stóp. Miał wrażenie, że czuje w nozdrzach dziwny fetor, i nie wiedział, co mu przypominał. Kominiarka miała wycięcia na oczy, więc oddychał przez przylegający do nosa materiał. Szedł na górę.

Staął w wyłożonym boazerią korytarzu na piętrze. Zobaczył przed sobą rząd pokoi i zastanawiał się, gdzie zajrzeć najpierw. Na końcu musiały być łazienka i ubikacja, oba pomieszczenia miały białe, lakierowane drzwi. Włącznik światła tu także nie zadziałał, więc uchylił ostrożnie pierwsze z nich. W oknach zaciągnięto zasłony. Mrok rozlał się na korytarz i oblepiał skórę. Adler poruszał się niemal po omacku.

Obrzucił pokój stróżką światła latarki. Widział wirujące w powietrzu drobinki pyłu; unosiły się i osiadały na brzegu łóżka. Przesuwał się wzdłuż ściany jak ślepiec, który za pomocą dotyku usiłuje oswoić złowrogą przestrzeń.

Zaczął wysuwać szuflady i sprawdzać, czy znajduje się w nich gotówka. Ludzie trzymali forszę w dziwnych miejscach; w szafce z bielizną, między ręcznikami, w skrytce pod szufladą.

Zatrzymał się na stojącej przy ścianie komodzie i znalazł szkatułkę z biżuterią. Nasłuchiwał. Cisza skrzypiała mu w uszach, pęczniała i odbijała się echem od ścian. Otworzył kasetkę i chciał wsypać zawartość do plecaka.

Nagle się wystraszył, bo usłyszał dochodzący z parteru hałas. Zastanawiał się, czy schodzić, czy próbować wydostać się przez okno. Wrócił do drzwi i wyrzwał na korytarz, wysuwając nos za futrynę. Oddychał coraz szybciej. Otaczała go cisza. I gęsty mrok.

Nikt nie kręcił się po domu, Adler nie słyszał odgłosu rozmów ani szarpaniny. Wrócił do środka i podszedł do okna, znacząc sobie ślad wiązką światła. Na zewnątrz dostrzegł rozmytą sylwetkę Mamrota. Wydawało mu się, że kolega macha do niego, ale wołał nie zgadywać, o co mu chodziło. Odwrócił się i wyczuł coś miękkiego między łóżkiem i oknem. Dotknął tego częścią uda. Wreszcie oświetlił miejsce latarką i odruchowo cofnął się, wpadając na parapet.

W łóżku leżały dwie osoby. Ręka jednej z nich zwisała bezwładnie poza ramę. Sztywne palce dotykały podłogi.

Adler zamarł. Czy to możliwe, by mieli tak twarde sen i nie obudził ich, kręcąc się po sypialni? Skierował strumień światła na ich sine twarze. Wsiąkało w ich mętne źrenice. Nie zmrużyli oczu, w ich gardłach ugrzązł oddech. Byli martwi?

Sprawiali wrażenie pogrążonych w letargu. Śmierć przyszła nagle i rozsiała się im na powiekach. Absurdalne wrażenie. Musieli stracić życie niedawno, a ich ciała nie nosiły jeszcze śladów rozkładu. A może wciąż żyli, tylko wyobraźnia spletała mu figła?

To bez znaczenia. Wiedział, że czas się stąd wydostać. Nie chciał, by ktoś zastał go z dwoma trupami; olać rabunek, w tej sytuacji powinni zatroszczyć się o bezpieczeństwo.

Adler pobiegł do drzwi i wypadł na zewnątrz. W korytarzu wyczuł swąd spalenizny.

Czarny dym snuł się jak wąż nad schodami. Wojciech zakrył usta i nos zgięciem w łokciu i zbiegł na dół, obserwując, jak ogień wdziera się do środka przez szczelinę między drzwiami do piwnicy i garażem.

Nie było czasu do stracenia. Zatrzymał się przy kuchni i upewnił, że Cypis zdążył wydostać się z pułapki. Biegł dalej, gdy zauważył jego sylwetkę w drzwiach wejściowych. Ogień trawił wszystko, co stało mu na drodze, i błyskawicznie wdzierał się do kolejnych pomieszczeń. Adlerowi przeszło przez myśl, że powinni zadzwonić po straż pożarną, ale wiedział, że w ten sposób przyznają się do próby kradzieży i wystawią milicji, która powiąże ich z serią włamań w okolicy. A może nawet wrobi w podwójne zabójstwo.

– Nawet o tym nie myśl. – Cymański wybił mu ten pomysł z głowy i wyciągnął go z domu za rękę. – Musimy spierdalać, kapujesz? Wynośmy się stąd, i to migiem!

Adler wydawał się oszołomiony i mimowolnie zrobił to, co zasugerował kumpel.

Z tyłu głowy wciąż kołatała mu myśl, że ci ludzie mogli jeszcze żyć. Że powinien to sprawdzić. Był pewien, że z ich ust nie wydobywał się oddech, a oczy przypominały mętne, szklane kule. Ale co, jeśli się pomylił? Nie był przecież lekarzem.

Nie powinien zostawiać ich na pastwę losu. To działo się za szybko. Widział języki ognia wdzierające się do domu; płynęły po drewnianej podłodze, rozlewały się na niej jak gęsta, lepka breja. W kłębach czarnego dymu widział światła samochodu, który stał przed bramą. Mamrot krzyczał, żeby się pospieszyli.

Cypis otworzył tylne drzwi i pchnął go na kanapę. Sam usiadł z przodu i ruszyli.

W trakcie jazdy żaden z nich się nie odzywał. Stanęli w zakolu rzeki, przy lesie.

Wozili ze sobą ciuchy na zmianę, dbali o to, by nie zostawiać śladów. Rozebrali się do bielizny i wrzucili do rzeki przesiąknięte dymem ubrania, kominiarki i buty. W milczeniu przyglądali się, jak płyną z nurtem i znikają w oddali.

Adler usiadł na trawie nad wodą. Nie chciał tak żyć, ale nie zdołał uwolnić się od pokusy łatwych pieniędzy i adrenaliny, które oplatały go tłustymi mackami i wciągały w grzędawisko grzechu. Z trudem łapał oddech, jakby nie miał siły walczyć z potrzebą wydostania się na powierzchnię. Bał się, że utknie na dnie. I pociągnie za sobą bliskich.

2019

Z trudem otworzyła oczy. Wiedziała, że coś się zmieniło. Zasnęła w spodniach od dresu i koszulce. Pracowała do późna i nie miała sił się przebrać. Ale to nie nieświeże ubrania sprawiły, że zaczęła się martwić. Lazar poczuła ból w lewym oku i obraz się rozmył.

Zamknęła oczy i ścisnęła powieki. Miała nadzieję, że to wrażenie zniknie i obraz się ustabilizuje.

Nic takiego się nie stało. Uniosła powieki, ale ból gałki ocznej nie ustąpił, utrudniając widzenie. Dotarło do niej, że jest w domu sama, bez męża i Mai. Musiała przestać się nad sobą uzalać. Zrzuciła to na karb stresu. Zbagatelizowała.

Sięgnęła do szuflady po bieliznę i weszła do łazienki. Prysznic pomoże jej zebrać myśli, rozpędzi czarne chmury lęku, który zalał się pod skórą.

Woda spływała po ramionach, pozwalała się odprężyć i nie myśleć o wszystkim, z czym przyszło jej się zmagać. Ola umyła włosy, nie otwierając oczu – bała się podrażnić je szamponem. Opłukała twarz wodą i wytarła ją ręcznikiem. Wyszła z kabiny i stanęła przed lustrem wiszącym nad umywalką. Nic się nie zmieniło.

Wpatrywała się w lustro. Wciąż czuła ból w lewym oku. Wcześniej nie uskarżała się na podobne dolegliwości. Zaczęła szukać w szafce pod umywalką kropli. Maja miała niedawno zapalenie spojówek, powinny gdzieś tu być, myślała. Może to zaraźliwe? Przekopała całą zawartość, wystawiła na ziemię plastikowe koszyki z kosmetykami, ale kropli do oczu nie znalazła. Była wściekła, chciała rzucać pojemnikami o ścianę, mimo to wzięła głęboki wdech. Zacznie się martwić, jeśli ból nie ustąpi.

Najważniejsze to nie wpadać w paranoję.

W kuchni wsypała garść kulek zbożowych do miski i zalała je mlekiem.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Artura. Tak jak się spodziewała, nie odebrał, więc w książce adresowej w telefonie znalazła numer do dyrekcji przedszkola.

– Dzień dobry. – Robiła, co mogła, żeby zabrzmieć przyjaźnie i nie dać po sobie poznać, że jest kłębkim nerwów. – Chciałabym się dowiedzieć, czy córka dotarła już do przedszkola. Mężowi rozłądował się telefon i nie ukrywam, że trochę się martwię. Z pewnością niepotrzebnie – skłamała i zaśmiała się nienaturalnie.

– Oczywiście. Mogę prosić o nazwisko córki? Sprawdzę na liście obecności.

– Maja Lazar. Z grupy Zajączków.

– Proszę o chwilę cierpliwości. – Ola usłyszała, że kobieta idzie na korytarz. W tle słychać było niewyraźne echo rozmów, a szum w słuchawce się nasilił. – Tak, córka jest już w swojej grupie, właśnie jedzą śniadanie. Zawołać ją?

– Nie, nie trzeba. Dziękuję i przepraszam za kłopot – odparła i się rozłączyła.

Odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że Artur jest odpowiedzialnym facetem, ale nie mogła być pewna, jak się zachowa po tym wszystkim, co się stało.

Zjadła płatki i odstawiła miskę do zlewu. Uczesała się, przebrała i sięgnęła po wiszącą w korytarzu bluzę. Wsiadła do samochodu i wpisała adres w wyszukiwarce. Nie myśl o bólu, powtarzała do znudzenia, to nic poważnego.

Artur pracował zdalnie, ale w razie potrzeby jechał do firmy i spodziewała się, że skoro wyniósł się z domu, właśnie tam go teraz znajdzie.

Przeszklony budynek w kształcie klasycznej kostki zbudowano w szczerym polu, by ograniczyć koszty. Nawigacja głupiała, prowadząc w to miejsce, ale firma większość zleceń realizowała w sieci, więc lokalizacja nie miała znaczenia. I tak nikt tu nie zaglądał.

Na skrzyżowaniu stała na światłach i wpatrywała się w sygnalizację; miała wrażenie, że czerwona i zielona barwa wyglądają inaczej niż zwykle,

ale nie miała czasu się nad tym zastanowić, bo jakiś kretyń poganiał ją klaksonem. Nie reaguj, upomniała się.

Zatrzymała się na niewielkim parkingu i wbiegła po schodach do recepcji. Poprosiła jedną z sekretarek, by zadzwoniła do Artura i powiedziała mu, że ma gościa.

Minął kwadrans, zanim zjawił się na dole. Zasugerował, żeby usiedli na skórzanej sofie w recepcji. Ola uznała, że to kiepski pomysł, i wyszli przed budynek.

– Co tu robisz? Ustaliliśmy, że nie mieszamy życia prywatnego z pracą – zaczął, ale szybko się zreflektował, że to pobożne życzenia. – Szkoda, że tylko ja trzymam się zasad – mruknął i zapalił papierosa. Był wyraźnie rozżalony.

– Ten skurwiel odgrywa się na mnie za to, że grzebię w sprawie, za którą może pójść siedzieć. Zrobi wszystko, żeby uniknąć odpowiedzialności. Rozumiesz? Dlatego wysłał ci te pliki.

– Nie obchodzi mnie to. Dostałem zdjęcia, na których moja żona stuka się z kolegą z pracy. Mam gdzieś, kto je zrobił i w jakim celu. Obchodzi mnie tylko to, co na nich widzę – odparł Artur i ściszył głos. Nie chciał, by ktoś ich usłyszał.

– Wróć do domu z Mają. Rozwiążemy to między sobą, nie wciągajmy jej w to.

– Nie wydaje ci się, że jest za późno na takie pieprzenie? Trzeba było myśleć o tym, zanim zaczęłaś z nim sypiać. Nie poznaję cię, to tak cholernie żalosne, że nie chce mi się nawet o tym gadać. – Zgasił papierosa i ruszył w stronę drzwi wejściowych do siedziby firmy.

– Jak chcesz to rozwiązać, skoro nie zamierzasz nawet ze mną rozmawiać? – nie wytrzymała.

– Maja zostaje ze mną. Jesteśmy u moich rodziców, o wszystkim wiedzą i nie ingerują w to, co między nami zaszło. Podjadę po nasze rzeczy, nie było czasu się porządnie spakować. Potem coś wynajmę, nie chcę wrywać jej ze środowiska, w którym czuje się bezpieczna. W przeciwieństwie do ciebie staram się myśleć z wyprzedzeniem, i to nie tylko o sobie. – Wbił jej

szpilę. – Zresztą jak wyobrażasz sobie opiekę nad nią, skoro ciągle jesteś w pracy?

Miał rację. Wiedziała, że najgorsze, co mogli zrobić, to przenieść frustracje i pretensje na dziecko. Najwyższy czas odpuścić, zapłacić za podjęte decyzje.

– Chcę ją odwiedzać, odbierać z przedszkola. Nie utrudniaj mi tego. Dopóki nie podejmiemy decyzji, co dalej, powinniśmy opiekować się nią na zmianę.

Wiedziała, że ma ochotę zmieszać ją z błotem, ale mimo to ugryzł się w język.

– Zabierzesz ją na weekend. Wytlumaczę jej, że mama ma dużo pracy i jest zajęta. Wciąż to słyszy, zdążyła się przyzwyczaić – stwierdził i nie czekając na jej reakcję, odwrócił się i odszedł.

Ola przypomniała sobie, dlaczego za niego wyszła. Imponował jej spokój, poczucie bezpieczeństwa, które jej zapewniał. Byli przeciwieństwami, przyciągali się na zasadzie kontrastów; sama była roztrzepana, nie wiedziała, czego chce od życia, a jego pragmatyzm i opanowanie pozwalały jej twardo stąpać po ziemi.

Spróbowała zrobić rachunek zysków i strat. Wiedziała, że relacja z Urygą jest błędem, że wiele ryzykuje, wchodząc w to, ale brakowało jej tych emocji, które w niej rozpałał. Ich decyzje były spontaniczne, nie analizowali, do czego prowadzą, nie myśleli o konsekwencjach. Zastanawiała się, czy warto tak wiele poświęcić, aby choć przez moment poczuć się szczęśliwą.

Spojrzała w lusterko nad kierownicą. Obraz był niewyraźny, ból gałki ocznej nie ustąpił. Robiła wszystko, by zbagatelizować problem, ale wiedziała, że nie jest w stanie działać normalnie. Odsuwanie diagnozy w czasie niczego nie zmienia.

Znalazła w sieci prywatny gabinet okulistyczny. Zadzwoiła i umówiła się na wizytę prywatną. Licząc na konsultację w ramach NFZ, zdążyłaby oślepnąć.

Gdy siedziała w poczekalni i czekała na swoją kolej, odebrała telefon od Urygi.

– Cześć, kiedy będziesz w firmie?

– Jutro. Dziś się nie wyrobię – odparła, starając się nie wzbudzać podejrzeń.

Przedłużająca się cisza zabrzmiała niczym zaproszenie do rozwinięcia wątku.

– Pracuję w terenie, muszę podskoczyć jeszcze w parę miejsc – zbyła go.

– W sali przesłuchań czeka na ciebie Bartosz Adler. Ponoć byliście umówieni.

Lazar zakłęła pod nosem. Zapomniała o spotkaniu i nie mogła przewidzieć, że zwali się na nią tyle nieszczęść. Adler się przed nią otworzył – powinna być na miejscu, wysłuchać go ponownie. Stan zdrowia nie pozwoliłby jej się jednak skupić ani uciec z poczekalni, tym bardziej że lekarka w białym kitlu stanęła w progu i zaprosiła ją do gabinetu.

– Postaraj się coś z niego wyciągnąć. Jeśli nie będzie chciał rozmawiać, zatrzymaj go u nas. Zrobię swoje i przyjadę, ale nie wcześniej niż za godzinę, dwie.

– Wszystko w porządku? – dopytał Błażej. Nie podejrzewała go o to, że umie czytać w myślach, ale najwyraźniej go nie doceniała. Znał ją lepiej, niż mogła przypuszczać.

– Tak, ale muszę kończyć. Przepraszam. – Rozłączyła się i weszła do gabinetu.

Usiadła na krześle przy biurku. Podała swoje dane, wyjaśniła, co ją sprowadza, i poddała się serii badań. Zaczęło się od odczytania cyfr na przeciwległej ścianie. Była skołowana, nigdy wcześniej nie miała podobnych objawów.

Najbardziej nieprzyjemne okazało się badanie ciśnienia w oku, aż ją odrzuciło, kiedy powietrze rozlało się na gałce ocznej. Lekarka poprosiła ją, żeby usiadła. Nic nie mówiła, prócz suchych komunikatów dotyczących poszczególnych badań. Siedziała i pisała coś na klawiaturze. Dźwięk działał policjantce na nerwy.

– Kiedy pojawił się ból w gałce ocznej, o którym pani wspomina?

– Dziś rano. Obudziłam się i od razu czułam przeszywający ból w lewym oku.

– Ma pani jakieś inne dolegliwości związane ze wzrokiem?

– Nie. Raczej nie – odparła Ola, ale zawahała się, czy nie wspomnieć o tak przyziemnych sprawach jak pieczenie, kiedy zbyt długo siedziała przy komputerze. Martwiła się, że to może być coś poważnego i zlekceważyła problem. Klasyczny mechanizm obronny, nikt z nas nie dopuszcza do siebie najgorszych myśli. – Wydaje mi się, że jakoś inaczej widzę barwy. Szczególnie czerwoną i zieloną.

– W trakcie badania stwierdziłam u pani nieprawidłowości typowe dla pozagałkowego zapalenia nerwu wzrokowego. Wiem, że nic to pani nie mówi, ale przyczyną zmian chorobowych nerwu wzrokowego może być proces demielinizacyjny. – Lekarka podniosła wzrok znad klawiatury i spojrzała na policjantkę, unosząc okulary, jakby chciała upewnić się, czy ta coś zrozumiała z tego wyvodu.

Lazar nie miała jednak pojęcia, co oznacza ta diagnoza; nie przerywała jej.

– Objawy powinny ustąpić w ciągu kilku tygodni. Jeśli będą utrzymywały się dłużej, proszę tego nie zlekceważyć i wrócić do mnie. Nie chciałabym niepotrzebnie pani niepokoić, ale pozagałkowe zapalenie nerwu wzrokowego może być jednym z symptomów stwardnienia rozsianego. Właśnie dlatego zalecam dalszą diagnostykę i wizytę u neurologa. Sugeruję oddział neurologii, gdzie zrobią pani szczegółowe badania.

Okulistka powiedziała to w taki sposób, że Lazar nie wyczuła ani grama emocji w jej głosie. Wieloletnia praktyka wyleczyła ją z empatii i pozwalała skupić się na podaniu suchej diagnozy.

– Proszę tego nie zaniedbać – dotarło do niej, gdy już stanęła w progu. – Nie chcę niczego przesądzać, ale im wcześniej zostanie wdrożone leczenie, tym większa szansa na spowolnienie ewentualnej choroby.

„Spowolnienie”. To słowo brzmiało jak wyrok.

Nie pamiętała, jak znalazła się na parkingu przed gabinetem. W jej głowie kłębiły się tysiące myśli. Stwardnienie rozsiane. Nazwa schorzenia obijała jej się o uszy, ale nie miała pojęcia, z czym wiąże się ta choroba. Nie знаła nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać.

Wsiadła do auta. Miała ochotę wpisać to hasło w wyszukiwarke, ale wiedziała, że korzystanie z porad internetowych znachorów jest najgorszym z możliwych rozwiązań. To jeszcze nic pewnego, stwierdziła.

Wizyty u specjalistów muszą poczekać. Nie użalała się nad sobą. Wiedziała, że wyczerpała już limit pecha, i zmieniła plany. Uryga da sobie radę z przesłuchaniem Adlera. Najwyższy czas, aby porównać jego wersję zdarzeń z relacją ojca mężczyzny.

2019

Zaparkowała tuż za niewielkim wzniesieniem, wpatrując się w strumień deszczówki płynący w dół drogi i wsłuchując się w szum pracujących wycieraczek.

Zgarniały z szyby nadmiar wody, zagłuszały płynące z głośnika dźwięki muzyki.

Lazar odsuwała tę wizytę, bała się konfrontacji z przeszłością, która wyciągała do niej śliskie łapska i dopominała się o uwagę. Relacja Adlera wydawała się tak bolesna, że nie chciała nurkować pod taflę, przeglądać się w niewyraźnym odbiciu i konfrontować tych wyobrażeń z prawdą. Odwracała wzrok od wspomnień.

Pozostałą część drogi pokonała pieszo. Szła wzdłuż spływającej wodą szosy, mokra i zziębnięta, jakby próbowała się w ten sposób ukarać za błędy, które doprowadziły ją do tego miejsca. Jej życie przypominało ciągle balansowanie na krawędzi niedopasowania.

Wciąż czuła ból w lewym oku, jednak wiedziała, że ma zadanie do wykonania.

Adrenalina sprawiała, że nie zaprzętała sobie głowy diagnozą. Wizyta u neurologa była ostatnią rzeczą, o której teraz myślała, mimo że z tyłu głowy czaiły się obawy.

Ani przez sekundę nie winiła Artura o to, że odszedł. Bała się tylko, że straci córkę. Nie mogła dać się sprowokować, wyprowadzić z równowagi. Wściekłość była w takich sytuacjach fatalnym doradcą. Musiała rozegrać to na chłodno.

Czuła, że deszcz spływa jej po włosach i wsiąka w skórę. Marzyła, aby zmieszał się z krwią i wypłukał z organizmu toksyny, które osiadły na dnie

i zatykały jej żyły.

Uczyła się działać jak automat, pozbawiony uczuć i wad zimnokrwisty cyborg, który przełącza się na jeden z zaprogramowanych trybów.

Dom, w którym mieszkał Wojciech Adler, przypominał nieremontowaną od lat, sypiącą się rudere. Przed garażem walały się rozrzucone śmieci, nikt nie dbał o teren przylegający do posesji. Lazar podeszła do drzwi i wcisnęła dzwonek. Nie działał. Nie rozległ się żaden dźwięk, czuła tylko, jak zimne krople deszczu wpadają jej za kołnierz. Zapukała do drzwi, mając nadzieję na to, że ktoś jest w środku.

Wydawało jej się, że w kuchni tliło się światło. Nie zrezygnowała po kilku próbach. Po jakimś czasie usłyszała odgłos zamka. W progu pojawił się wreszcie mężczyzna siedzący w wózku inwalidzkim.

Nic nie mówił. Spoglądał na kobietę nieobecny wzrokiem.

– Dzień dobry – przywitała się. – Podkomisarz Aleksandra Lazar, jestem policjantką wydziału kryminalnego komendy powiatowej. Mogę wejść? Nie zabiorę panu wiele czasu.

– Skoro pani musi – odparł i nie czekając na reakcję, odwrócił się i pojechał w stronę kuchni.

Szła za nim, obserwując jego muskularne ramiona. Poruszał się na wózku od kilku lat, a ciało szybko przystosowało się do ciągłego wysiłku.

Mimowolnie rozglądała się po domu. Odłóżka od ścian farba, zatęchły, niecyklinowany parkiet i meble przypominające wycięte z katalogu wnętrzarskiego z lat dziewięćdziesiątych, wrzucanego do skrzynek przed domem, sprawiły, że Lazar wróciła myślami do tamtych czasów.

Usiadła przy stole i przyglądała się gospodarzowi. W kuchni walały się butelki po piwach, leżały na ziemi i pod oknem. Wszędzie zalatywało stęchlizną, na meblach znalazła zacieki tłuszczu. Adler stracił kontrolę nad swoim życiem, nie dbał o to, w jakich warunkach żyje.

– Co panią do mnie sprowadza?

– Chciałabym porozmawiać o pana synu, Bartoszu.

Uśmiech na twarzy Adlera świadczył o tym, że nie traktował jej słów poważnie.

– Zgłosił się do nas jakiś czas temu i stwierdził, że przypomniał sobie o czymś, co wydarzyło się wiele lat temu, o sprawie z pana udziałem. – Kontrolowała się, by nie powiedzieć za dużo. Interesowało ją, jak zareaguje na takie wprowadzenie. Zawiodła się, bo nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Zaśmiał się tylko sarkastycznie i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Zamieniam się w słuch. Ciekaw jestem, co tym razem o mnie naopowiadał.

– Pamięta pan zaginięcie jego kolegi, Szymona Sulimy?

– Kojarzę tylko, że do niego doszło. Ale nigdy mnie specjalnie nie obchodziło.

– Dlaczego? Chłopak był w wieku pana syna. Chodzili razem do klasy.

– I co z tego? Miałem swoje sprawy i nie zaprzątałem sobie głowy jakimiś gówniarzami.

– Musieliście o tym rozmawiać. Zaginięciem żyła wtedy cała wieś – drążyła Lazar.

– Bo ja wiem. Kiedy to się stało? – zapytał, wyraźnie zirytowany, ale sam sobie odpowiedział. – Ze dwadzieścia lat temu, jak nic. Nie wiem, co jadłem wczoraj na śniadanie, to jak mam pamiętać, o czym gadałem z synem, kiedy był w podstawówce?

– Zgłosił się na komendę, twierdzi, że przez cały ten czas odsuwał tę myśl od siebie, wyrzucał ją z głowy. Po latach nie chce się dłużej okłamywać – dodała.

Adler pokręcił głową. Podjechał do lodówki, sięgnął po butelkę zimnego piwa, otworzył ją i upił kilka łyków. Gdy skończył, wytarł usta dłonią.

– Jestem pieprzonym kaleką – odezwał się. – Moje życie stało się żalonym żartem, a pani ma czelność przyjeżdżać tu z jakąś naciąganą historią i liczyć na to, że przypomnę sobie, co stało się w tej dziurze wieki temu? Wstyd się przyznać, ale Bartek był mazgajem i nie potrafił postawić się kolegom. Stara się usprawiedliwić swoje życiowe porażki, a najłatwiej to zrobić, zwalając winę na zniedołężniałego ojca.

– Skąd pewność, że o coś pana obwinia?

– Bo go znam. Nie umiałem sprawić, żeby przestał się nad sobą użalać i wziął odpowiedzialność za dorosłe życie. Nie ma jaj, żeby powiedzieć mi to wprost.

– Pana syn twierdzi, że wie, kto stoi za zaginięciem i śmiercią Sulimy. Wskazał na pana.

– Powiedział, że to ja go zabiłem? – Zaśmiał się, ale widać było, że potrzebuje czasu, by to przetrawić. Milczał, gapiąc się w stół. – To niedorzeczne.

Ola mu się przyglądała. Zamiast złości widziała rezygnację.

– Przypomniał sobie, że widział, jak wrzucał pan jego zwłoki do auta na drodze pod lasem. Twierdzi, że był tej nocy w okolicy, zobaczył pana samochód, a potem upewnił się, że to nie była pomyłka – wyjaśniła Lazar, choć nie powinna mu zdradzać szczegółów.

Wojciech Adler nie wyglądał na kogoś, kto przejąłby się tymi zarzutami, wręcz przeciwnie, słowa policjantki po nim spływały. Dopił piwo, uśmiechając się pod nosem.

– Wstyd się przyznać, ale wychowałem życiowego kalekę. Już pani mówiłem: zmyśla i chce obarczyć mnie winą za to, jak wyglądało jego dzieciństwo. Długo zwlekał z tymi rewelacjami. Szkoda, że nie był taki wylewny, kiedy to się stało.

Lazar zdawała sobie sprawę, że trudno będzie skłonić go do zwierzeń, tym bardziej że nie mieli dowodów. Słowo przeciwko słowu, nic więcej. Ale nie mogła pozwolić, by wciągnął ją w swoje brudne gierki. Musiała zachować spokój.

– Ujawniliśmy kości, które należały do tego chłopca. Wersja, której trzyma się pana syn, wydaje się wiarygodna w kontekście dotychczasowych ustaleń – skłamała. Postanowiła wyciągnąć z niego wszystko, po co tu przyszła.

– Z tego, co wiem, kości odnaleziono w środku pieprzonego lasu. Jak to się ma do bredni mojego syna?

Widziała, jak pracuje żuchwa mężczyzny. Był wściekły.

– To prawda. Zapewnia, że miał pan samochód terenowy przystosowany do jazdy po trudnym podłożu. Dojazd w to miejsce był niedogodny, ale

możliwy – zaznaczyła.

– Nie zabiłem tego chłopaka. To stek pierdolonych bzdur! – Adler zacisnął palce na kołach wózka. – Według niego miałem wywieźć jego zwłoki i wrzucić je do tego bagna? Po co? To pieprzony absurd.

Lazar zauważyła, jak spod skóry przebijają mu nabrzmiące żyły.

– Znał pan matkę Szymona Sulimy.

Adler patrzył na nią w taki sposób, że nie miała wątpliwości, o czym pomyślał.

– Znałem. Z widzenia. Mieszkam na tym zadupiu od lat. Ona też.

– Słyszałam, że w latach osiemdziesiątych miała przez pana kłopoty.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Sprzedał pan samochód jej mężowi. Bogdan znalazł w nim drogi zegarek, a Marzena nie przyznała się do zguby. Ciekawa sprawa, bo podobny zegarek należał do osoby, która zgłosiła włamanie do domu i kradzież kosztowności. Swoją drogą, w tamtym czasie w okolicy podobnych włamań zdarzyło się co najmniej kilka.

– Zegarek należał do mojej znajomej – wszedł jej w słowo. – Udowodniła to.

– Przeczą temu słowa pana znajomego, Witka Mamrota, który kilka lat później zgłosił się na policję. Przyznał się do włamań i twierdził, że pan też brał w nich udział. Wszystkie sprawy zdają się ze sobą łączyć. Nie sądzi pan? On też miał bujną fantazję? Kłopot w tym, że przepadł, nim zdążył złożyć zeznania.

– To też moja wina? Nie zabiłem tego chłopaka i nie wiem nic o włamaniach. Tej nocy, w trakcie której zaginął, nie miałem nawet samochodu. Pożyczyłem go kumplowi. – Zagalopował się. Uświadomił to sobie, gdy powiedział ostatnią myśl na głos.

– Przed chwilą mówił pan, że nie pamięta zaginięcia Szymona Sulimy.

– Nie pamiętam szczegółów i nie obchodziły mnie poszukiwania, ale wiem, że nie szlajałem się wtedy po nocach. Większość czasu spędzałem z nową znajomą. Pamiętam ten dzień, bo naprawiałem tę furę pół dnia, a ten kretyn oddał mi wóz w takim stanie, że z trudem doprowadziłem go do porządku. – Pokręcił głową.

– Komu w takim razie pożyczył pan wtedy auto?

– A jakie to ma teraz znaczenie?

– Proszę spytać o to matkę chłopaka. Do dziś nie wie, co stało się z jej synem. Nawet jeżeli nie była panu wtedy bliska, to zasługuje na prawdę – podkreśliła.

– Autem jeździł wtedy mój znajomy, Piotr Cymański. To zabawne, że wierzycie komuś, kto przychodzi prosto z ulicy i wciska wam takie głodne kawałki. Nie utrzymuję relacji z synem od lat. Nie wiem, czemu próbuje mnie oczernić, wpakować w tarapaty. Może wini mnie o utratę matki, choć nie miałem z jej wypadkiem nic wspólnego.

– Nie interesuje mnie, dlaczego to zrobił. Chcę wiedzieć, co się stało z Sulimą, kto odpowiada za jego śmierć i czemu przez te wszystkie lata pozostał bezkarny. Gdzie jest Witek Mamrot i komu miały zaszkodzić jego zeznania.

Lazar wiedziała, że Adler zna odpowiedź przynajmniej na część z tych pytań.

– Nie zamierzam robić za klauna w tym cyrku – szedł w zaparte. Zagryzł wargi, zacisnął palce i zdusił w sobie złość. Zdawał sobie sprawę, że jest przykuty do wózka i nie zdoła uciec. – Niech się pani stąd wynosi i nie zwraca mi głowy.

Policz do trzech, upomniała się w myślach. Zrób to, nim powiesz coś, czego będziesz żałować.

Zaklinanie rzeczywistości nic nie dało. W końcu wyrzuciła to z siebie.

– W pożarze domu pod lasem zginęli moi rodzice. Przez te wszystkie lata wierzyłam, że odeszli we śnie, że nikt nie wysłał ich na tamten świat. Wolałabym wierzyć, że między ich śmiercią i tymi cholernymi włamaniami nie było żadnego związku. Jeżeli było inaczej, znajdę sposób, żeby znaleźć winnych i ich ukarać. Przysięgam. – Wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

Wiedziała, że mężczyzna nie był z nią szczery, i domyślała się, ile kłamstw i zaprzeczeń będzie musiała przeświecić, by dotrzeć do prawdy. Adler schował się za nimi. Zbudował wokół siebie szczelny mur, a jego strategia przetrwania opierała się na oszukiwaniu samego siebie.

Lazar bała się, że sama robi dokładnie to samo.

1996

Zostawiłem rower przed wejściem do biblioteki. Czasem miałem wrażenie, że nikt tu nie zagląda.

Bibliotekarka, tęga kobieta w drucianych okularach, była znajomą mamy. Miałem wrażenie, że gdy mnie widziała, w jej oczach odbijał się cały smutek tego świata. Wybrałem dwie książki i jakiś komiks, poprosiłem też o gazety z ostatnich dni. Interesowało mnie, co piszą na temat poszukiwań Szymona.

Usiadłem w czytelni. Biblioteka była na tyle niewielka, że nawet z całym księgozbiorem, który zajmował większość powierzchni, zmieściłaby się w sali gimnastycznej w naszej szkole.

Pani Zosia przyniosła plik gazet, zapytała, jak się miewa tata, a gdy zapewniłem ją, że jakoś się trzyma, uśmiechnęła się i wróciła do swoich zajęć. Lubiłem ją.

Przeglądałem gazety, szukając informacji o Siwym. W ogólnopolskich dziennikach ukazały się ledwie wzmianki, i to kilka dni temu. Temat szybko ucichł.

Więcej szczegółów znalazłem w gazetach regionalnych. Dziennikarze prześcigali się w tworzeniu scenariuszy, rozmawiali z bliskimi Szymona, z nauczycielami i sąsiadami. Wszystkie tropy prowadziły na biwak, na który wybrał się ze znajomymi.

Zakończenie roku szkolnego sprawiło, że przepływ plotek i domysłów został przerwany. Nie miałem znajomych, z którymi mógłbym o tym pogadać. Ojciec powtarzał, że jestem odludkiem – miał rację. Uznałem, że skoro uczestnicy biwaku byli na wolności, nie przyczynili się do zaginięcia Siwego. W przeciwnym razie mieliby kłopoty. Zresztą tylko ja wiedziałem,

co naprawdę się stało z Sulimą. Przynajmniej do czasu, gdy nie zniknął na dobre.

Pamiętałem, że ojciec trzymał go krótko, Siwy znalazł wreszcie okazję, by wyrwać się z domu. Dziennikarze sugerowali także, że ktoś celowo mógł zrobić mu krzywdę, wskazywali podobne sprawy, w których winnym okazywał się ktoś z bliskich ofiary.

Zasiedziałem się i nie zauważyłem, że zrobiło się późno. Bibliotekarka stała w drzwiach i czekała, aż skończę. Zwróciłem gazety, pożegnałem się i wsiadłem na rower. Jeżeli chciałem nadrobić trochę czasu, powinienem wybrać drogę przez przejazd kolejowy. Wolałem nadłożyć kilka kilometrów przez las, byle nie wracać myślami do tego przeklętego wypadku.

Latem dzień był długi, nie bałem się, że pobłądzę, ale zachmurzyło się i zanosilo na burzę. Chmury przykryły niemal całe niebo, w oddali groźnie pohukiwało. W połowie drogi zachciało mi się sikać. Zsiadłem więc z roweru i wszedłem głębiej w las.

Nie chciałem pozwolić na to, aby ktoś nakrył mnie z rozsuniętym rozporkiem.

Z daleka zauważyłem zarys pojazdu, który stał na leśnym dukcie, z dala od ulicy. Byłem pewien, że to jest samochód taty. Obiło mi się o uszy, że Cypis miał go sprzedać, tak wynikało z podsłuchanej rozmowy, ale widać jeszcze tego nie zrobił.

Zasunąłem rozporek, sprowadziłem rower w dół niewielkiej skarpy i ruszyłem w stronę polanki. Już z daleka wyczułem, że coś jest nie tak. Nikt nie kręcił się w pobliżu. Zaszedłem od tyłu i zajrzałem do środka pojazdu przez boczną szybę.

W fotelu kierowcy siedział Cymański, z rękami zaplecionymi wokół karku. Gdy mnie zobaczył, poderwał się nerwowo; dopiero wtedy zauważyłem, że obok niego siedzi Paulina. Robiła mu dobrze – nie byłem aż tak naiwny, aby nie domyślić się, czemu wciska głowę między jego uda. Odskoczyłem od szyby – dotarło do mnie, że nie powinno mnie tu teraz być. Czułem, jak wali mi serce, i pierwsze, o czym pomyślałem, to żeby wsiąść na rower i zapomnieć o tym, co zobaczyłem. Wyrzucić to z głowy. Zniknąć.

Nie zdążyłem. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi, i drogę zagroził mi Cymański. Wyciągnął pojednawczo rękę, uśmiechając się głupio.

– Wszelki duch. Podwieźć cię gdzieś? – Troska w jego głosie była udawana.

Starąłem się nie patrzeć mu w oczy. Dostrzegłem wpatrzoną w szybę Paulinę. Widziała, że się jej przyglądam, miałem wrażenie, że chce zapaść się ze wstydu pod ziemię.

– Wsiadaj, podrzucę cię do domu. Robi się późno i zaraz będzie lało – zasugerował Cymański.

– Nie trzeba. Dam sobie radę.

– Nie wygłupiaj się. – Spodziewałem się, że nie odpuści. Poczułem, jak wyrwał mi rower i wrzucił go na pakę samochodu. – Wskakuj. Zresztą i tak mam do pogadania z twoim starym. Podrzucimy po drodze Paulinę i zawiozę cię na chatę.

Stałem jak wryty. Nie miałem zamiaru nigdzie z nim jechać, z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że i tak podjął decyzję za mnie. Milczałem.

– Wsiadaj, mówię – powtórzył zdecydowanie, dając mi do zrozumienia, że nie czas na żarty. – Nie będziesz wracał po ciemku. Jeszcze ci kto wpierdol spuści.

Usiadłem z tyłu. Paulina nie odezwała się słowem, jakby chciała mi w ten sposób dać do zrozumienia, że nigdy jej tu nie było. Że jest wytworem mojej wyobraźni. Całą drogę nikt nic nie mówił, niezręczną ciszę przerywał tylko jazgot radia, które co chwila gubiło zasięg lub dla odmiany dudniło na cały regulator.

Cypis odezwał się dopiero wtedy, kiedy dziewczyna wysiadła z auta. Wolałem nie patrzeć w lusterko. Nie chciałem spoglądać w jej zakłamanie oczy. Kolejny raz dałem się nabrać, uwierzyłem, że tata znalazł kogoś, na kogo zasługiwał. To trwało zbyt krótko i brzmiało zbyt naiwnie, by mogło okazać się prawdą.

– Nie boisz się tak szlajać po lesie? – zagadnął. – To niebezpieczne, ale bez obaw, nie sprzedam cię staremu. – Cypis mówił sam do siebie, rozumiałem dlaczego. – Najlepiej będzie, jak obaj zapomnimy o tym, co się dzisiaj wydarzyło – dodał. – Co ty na to, mistrzu?

– Zawsze wracam tędy do domu. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, bezpieczniej było trzymać język za zębami. – Mam prawie piętnaście lat, nie potrzebuję niańki. – W lusterku nad kierownicą zauważyłem, że Cypis gotuje się z wściekłości. Milczał. – Nie jestem ślepy. Ani naiwny jak dziecko.

Wreszcie miałem na niego haka. Posuwał dziewczynę mojego ojca. Nawet ja, chłopak, który nigdy się z nikim nie całował, wiedziałem, że w męskim świecie takie akcje nie uchodzą płazem. Łudziłem się, że to moja karta przetargowa.

Wysiedliśmy pod domem, zrobiło się ciemno. W żadnym z pomieszczeń nie paliło się światło i zdążyłem się domyślić, że taty nie ma w domu. Wiedziałem, że to najgorszy z możliwych scenariuszy, więc robiłem dobrą minę do złej gry.

Cymański stał przed autem i palił papierosa, był zdenerwowany. Nie chciałem go sprowokować, więc udałem się do siebie. Usłyszałem za plecami jego głos.

– Spróbuj pisnąć słowo o tym, co widziałeś w lesie, a spuszczę ci taki wpierdol, że będziesz do końca życia jadł przez słomkę. Nie żartuję.

Nie byłem głupi, wiedziałem, że jeśli powiem o tym ojcu, ich relacje dodatkowo się skomplikują, i to była kusząca perspektywa. Nienawidziłem tego psychopaty, dlatego przemilczałem jego groźby i ruszyłem w stronę drzwi. Zgniółł niedopałek butem.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – Wydawał się coraz bardziej zdenerwowany.

– Pierdol się – burknąłem na tyle cicho, aby to do niego nie dotarło.

Nagle poczułem, jak zagradza mi drogę. Starąłem się strącić jego rękę z barku, nim złamie mi kości.

– Spróbuj mnie tknąć, a wszystko powiem tacie.

– Straszysz mnie? – Śmiał się, ale nie zwolnił uścisku. – Myślisz, że popuszczę w gacie przed takim pierdolonym smarkaczem jak ty? Nie rozśmieszaj mnie.

Spróbowałem się wyrwać, ale byłem za słaby, żeby zrobić mu krzywdę. Przeszywający ból rozlał się wzdłuż ciała i zdrętwiało mi ramię.

– Puść mnie! Wiem, co stało się tamtej nocy, i nie ujdzie wam to na sucho! – wściekłem się. – On nie żyje. Widziałem jego zwłoki i krew w aucie...

Nie zdążyłem dokończyć. Wyrwałem się. Próbował mnie złapać, ale zrobiłem unik i pobiegłem w stronę lasu. Odwróciłem się, widziałem wściekłość w jego oczach.

Była tam zawsze. Uspiona czekała na sposobność, żeby wyjść z ukrycia i rzucić mi się do gardła. Zdążyłem przebiec kilkadziesiąt metrów, kiedy Cypis znowu wyrósł jak spod ziemi i przewrócił mnie na wilgotną od deszczu trawę.

– Urwę ci jaja przy samej dupie, jeśli piśniesz słowo. Kapujesz? – Szarpał mnie za włosy i docisnął głowę do gleby. – Twój stary nie jest żadnym pierdolonym harcerzykiem, jak ci się wydaje. Obaj mamy na sumieniu parę złych decyzji. I uwierz mi, nie chciałbyś, żebym się z nich wypowiadał. Mam dla ciebie propozycję, młody. Zamkniesz ryj na kłódkę albo skończysz jak ten twój kumpel.

Zamarłem. Czuję zimny dotyk błota na skórze. Czy to możliwe, że Siwy naprawdę nie żył? A może miał na myśli kogoś innego?

Przestałem się ruszać. Zaczekałem, aż zwolni uścisk, i uderzyłem go łokciem w żebra. Miałem nadzieję, że zdążę wstać i biec dalej, ledwo dźwignąłem się na kolana.

Mocny cios w plecy ściągnął mnie do parteru. Cymański złapał mnie i podniósł z ziemi, burcząc coś pod nosem. W końcu popchnął mnie w stronę garażu z taką siłą, że z trudem zdołałem utrzymać się na nogach i nie wywinąłem orła.

Nie miałem szans na ucieczkę. Przestałem walczyć i czekałem, co będzie dalej, licząc się z tym, że w razie nieposłuszeństwa połamię mi kości.

Nie ponowił ataku, pozwolił, bym wstał z ziemi, odwrócił się i patrzył mu w oczy. Obserwowałem jego niewyraźną sylwetkę, śledziłem każdy krok. Strach ulotnił się i jego miejsce zajęła surowa kalkulacja.

– Wyprowadziłeś mnie z równowagi – odezwał się i uniósł ręce, pokazując, że nie ma złych intencji. Szedł w moją stronę ostrożnie, aby mnie nie spłoszyć. – Nie wiem, co widziałeś tamtej nocy, ale nie mam nic

wspólnego ze śmiercią twojego kolegi. Przysięgam. Musiało ci się coś przywidzieć – oświadczył.

– W takim razie skąd wiesz, że nie żyje? – odparłem przytomnie. – Policjanci wciąż go szukają, nie ma pewności, że zginął.

– Masz rację, zagalopowałem się. Nawet go nie znam, nie mam pojęcia, co się z nim stało, ale z doświadczenia wiem, że takie sytuacje nie kończą się dobrze. Nie zabiłem go i nie wiem, gdzie się podziewa. Jasne? Jeżeli nie powiesz ojcu o tym, co widziałeś dziś w lesie, zapomnimy o sprawie i dam ci spokój. Masz moje słowo.

Nie wierzyłem w jego zapewnienia. Musiałem rozegrać to w taki sposób, żeby go nie sprowokować. Przesuwałem się do tyłu, ostrożnie, wreszcie poczułem, że dotarłem do ściany. Dystans między nami się zmniejszał i rozumiałem, że jeżeli wykonam choć jeden fałszywy ruch, znów zaatakuje i mnie obezwładni.

Z trudem panowałem nad przyspieszonym oddechem. Ręce drżały mi z nerwów, mięśnie paliły żywym ogniem. Adrenalina spowodowała, że nie zwracałem na to uwagi i działałem jak automat. Przykleiłem się do ściany i wyczułem za plecami znajomy przedmiot. Garaż był otwarty; zresztą nie miało tu co zginąć. Wszedłem do środka. Wnętrze oświetlały jedynie reflektory samochodu. Odruchowo zacisnąłem palce na drewnianym trzonku.

– Nic nie powiem, jeśli sam się przyznasz. – Nie wiedziałem, czemu to powiedziałem.

Cypis zaśmiał się bezradnie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– Mam się przyznać twojemu staremu, że jego panna poszła ze mną w tango?

Nie słyszałem, co mówi, byłem zbyt skupiony na obmyśleniu kolejnego ruchu.

Czekałem, aż podejdzie bliżej, a kiedy znalazł się na wyciągnięcie ręki, zacisnąłem kłykcie na trzonku łopaty i zamachnąłem się. Zrobił unik, jednak metalowa część uderzyła go ostrą krawędzią w ramię. Na jego

twarży pojawił się grymas bólu. Odskoczył do tyłu. Rzuciłem łopatę i starałem się go ominąć.

Uciekając, zahaczyłem barkiem o stojący pod ścianą regał. Zawyłem z bólu. Z półek pospadały przedmioty i rozsypały się po podłodze. Prawie udało mi się wybiec z garażu, lecz mimo bólu podciął mnie i runąłem z impetem na betonową posadzkę.

Usiadł mi na plecach, złapał za włosy i docisnął twarz do ziemi, nachylając się tak nisko, że poczułem smak tytoniu w wydychanym przez niego powietrzu.

– Jeszcze jeden taki numer i cię zatłukę! – syczał, a jego ślina osiadała mi na skórze. – Skończysz jak trup, którego kości leżą dwa metry niżej, zalane betonem. Czujesz, jak się rozkłada? Jak gnije od środka? Piśnij ojcu słowo i własnymi rękami wykopiesz sobie grób, skurwielu.

Czułem pył i drobinki piasku osiadające na języku. Nie miałem pojęcia, czy to, o czym mówił, było prawdą, ale wiedziałem, że jest do tego zdolny. Przez lata pode mną znajdował się kanał. Wiele razy obserwowałem, jak ojciec naprawia w nim samochody. Od niedawna nie było już po nim śladu, a posadzka była twarda i równa.

Usiłowałem zrzucić Cymańskiego, ale był za silny i za ciężki, bym zdołał to zrobić. Wyciągnąłem przed siebie ręce, szukałem przestrzeni, by móc złapać oddech.

– Myślisz, że kto go zajebał? – nie odpuszczał. – Puść tylko parę, a twój stary pójdzie siedzieć za pogrzebanie tego skurwysyna w garażu. Masz moje słowo. Zakopałem go tu, by nie przyszło wam do głowy zrobić mnie w jakieś gówno! – zaśmiał się.

W pewnym momencie dotknąłem rączki śrubokrętu, który spadł z regału, gdy próbowałem uciec. Wyciągnąłem dłoń najdalej, jak umiałem, i przysunąłem go do siebie. Zacisnąłem wokół niego palce, ostatkiem siły zrobiłem zamach. Wbiłem mu go w udo. Musiało porządnie zboleć, bo ucisk wokół szyi natychmiast zelżał.

Zdołałem wydostać się spod cielska Cypisa, wyczołgać z garażu i pobiec przed siebie. Nie odwracałem się, strach paraliżował mi ruchy.

Wyczułem pod nogami grząską nawierzchnię, woda wlewała mi się do butów. Deszcz przybierał na sile i przemoknięte ubrania stanowiły dodatkowy balast, utrudniając mi ucieczkę. Mimo to nie poddałem się. I biegłem ile sił w nogach.

Nie pamiętam, kiedy dotarłem na mokradła. Wiem tylko, że włosy kleiły mi się do skóry, ubrania były jak przemoczone szmaty i nadawały się do wykręcenia.

Byłem wyczerpany i zziębnięty. Słyszałem kołatanie serca, które uderzało pod skórą jak oszalałe. Dopiero tu, w miejscu, które budowałem własnymi rękami, poczułem się bezpieczny. Wydawało mi się, że zrzuciłem z pleców ogromny ciężar, ale potrzebowałem więcej czasu, by uciszyć sumienie. Wiedziałem, że spędzę tę noc na mokradłach. Bałem się wrócić do domu.

Usiadłem na drewnianym podeście i się rozplakałem. Łzy same cisnęły mi się do oczu, nie potrafiłem ich powstrzymać. Mieszały się z deszczem, ogrzewały skórę twarzy. Nie miałem siły, by walczyć z tym wszystkim. Zszedłem na dół i stąpałem wzdłuż brzegu grzęzawiska. Znałem teren na pamięć, ale ostrożnie stawiałem stopy, bo padający od kilku godzin deszcz rozciągnął jego kontury.

Wytarłem ręką załzawione oczy i zerkałem na zimną taflę rozbijaną spadającymi z drzew kroplami wody.

Grzęzawisko rozciągało się pomiędzy drzewami, wchłaniało zalegającą wokół roślinność, wysysało z niej życiodajne soki. Wystające spod powierzchni fragmenty złamanych gałęzi przypominały kikuty wołających o pomoc topielców.

Pragnąłem wierzyć, że to, co widzę, jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Podkreconej przez zalegającą wokół szarówkę, utkanej z deszczu i mgły, zbudowanej na lęku i niepewności, które towarzyszyły mi przez całe dzieciństwo.

Wiedziałem, że to iluzja. Wygodne tłumaczenie, ucieczka przed odtrąceniem.

Przez moment wydawało mi się, że twarz Siwego wyłania się spod świeżego betonu i oklejona szarą masą próbuje przebić się na zewnątrz. To tylko złudzenie, nie było go w zalany kanale. Wiedziałem, jak wystaje

teraz spod zielonkawej rzęsy na tafli wody; nieobecny, wpatrzony w punkt na mapie nocy. Byłem pewien, że kilka dni temu w jego szklisto białych oczach dało się dostrzec smutek, tęsknotę za utraconym przedwcześnie życiem. Dziś zerkwały ku niebu puste oczodoły, pozbawione gałek ocznych i resztek nadziei.

Twarz Szymona była sina i opuchnięta, nabrzmiała, jakby napił się wody i zmagazynował ją w każdej komórce. To był upiorny widok. Wiedziałem, że Siwy jest martwy. Że był martwy od pierwszego dnia, kiedy go tu spotkałem, mimo moich rozpaczliwych prób tchnięcia w niego życia. A może wcale nie chodziło o niego? Może tak bardzo bałem się wracać do żywych, że wolałem towarzystwo zmarłych?

Cypis miał rację. Wstydzilem się przyznać, że moje życie jest ułudą.

Wyparłem trudną prawdę i napisałem tę historię od nowa. Uwierzyłem w nią.

2019

Komendant Grzegorz Bajor przypominał naczelnika więzienia w Shawshank z ekranizacji opowiadania Stephena Kinga. Miał w sobie coś śliskiego i odpychającego. Wsunął to i zaprasował w idealnie dobraną poszetkę.

Uryga zdawał sobie sprawę, że musiał grać według jego zasad i nie wychylać się za bardzo, jeśli nie chciał zaprzepaścić szansy, na którą nawet nie zasłużył.

– No więc jak się panu u nas pracuje? – zaczął chłodnym tonem komendant i aż dziw, że nie dopytał, gdzie Błazej widzi siebie za pięć lat, jak ci żenujący kadrowcy z korporacji.

Uryga nie miał wielu zalet – gdyby się postarał, zliczyłby je na palcach jednej ręki – mimo wszystko cenił w sobie to, że nie bawi się w tanie gierki, tylko wyklada prawdę na stół. Kłopot w tym, że nie dla wszystkich to był atut.

– W porządku. Nie mogę narzekać. – Zawahał się, ale to wyczerpywało temat.

– W porządku – powtórzył komendant, bawiąc się paskiem zegarka. Złożył dłonie jak do modlitwy i oparł na nich brodę. – Nie jest pan specjalnie wylewny.

– Wolę być rozliczany z efektów pracy, a nie z gadania o niej.

– Słuszne podejście. Ubolewam, bo ludzie mają tendencję do gadania, jak pan to ujął. I tak się składa, że to paplanie, mniej lub bardziej wiarygodne, różnymi kanałami do nas trafia. Nie myliłbym tego z szacunkiem. Z perspektywy czasu wiem, że to nie wynika z troski, ale raczej chęci zrobienia drugiemu pod górkę.

Uryga milczał. Domyślił się, dlaczego komendant go tu wezwał i do czego pije.

– No więc ludzie gadają – ciągnął Bajor. Wyraz jego twarzy niewiele zdradzał. Maską wciąż sztywno przylegała do twarzy. – Domyśla się pan pewnie o czym.

– Nie.

– Wiem, że do tego trzeba się przyzwyczaić, bo praca w dużym mieście różni się od lokalnej specyfiki. Może się wydawać, że jest pan anonimowy, ale proszę mi wierzyć, ludzie pana kojarzą, poznają, wypytują sąsiadów o to, kim jest młody człowiek, który wynajął mieszkanie. Tu ściany mają uszy, panie Błażeju. A ludzie oczy dookoła głowy.

– Będę o tym pamiętał – odparł Uryga. Uważał, żeby nie powiedzieć za dużo.

– Wspaniale – ożywił się komendant. Przejechał opuszkami palców po idealnie ułożonych, przyprószonych siwizną włosach. Dał mu w ten sposób do zrozumienia, że nad wszystkim panuje. – Proszę pamiętać także o tym, że może pan pociągnąć za sobą na dno inne osoby. Znam pana trudną historię i nie chciałbym, by się powtórzyła. – Wstał i uścisnął policjantowi dłoń. Miał zimną, delikatną skórę i Błażej poczuł się tak, jakby żegnał się z kimś przez rękawiczkę.

Skinął głową i wyszedł na korytarz. Umiał czytać między wierszami i zastanawiał się, ile przełożony wie, a ile stara się z niego wyciągnąć. Sięgnął po komórkę i odebrał wiadomość od Murawskiego. Oddzwonił, zatrzymując się pomiędzy piętrami.

– Powiedziałeś mu, że Lazar dziś nie będzie?

– Tak. Cały czas powtarza, że byli umówieni. Wydaje się dziwnie roztrzęsiony.

– Wiem, rozmawiałem z nią o tym – odparł Uryga, wciąż rozpamiętując dziwną pogawędkę z komendantem. Mówił o Oli. Musiał dowiedzieć się o ich relacji, choć robili wszystko, żeby ją ukryć. – Nic nie poradzę na to, że coś jej wypadło. Przytrzymaj go, zaraz tam będę. – Policjant rozłączył się i zbiegł po schodach.

Gdy wszedł do sali przesłuchań, Murawski siedział obok młodego mężczyzny. Bartosz Adler był niewiele starszy od Urygi. Żaden z nich się nie odzywał, w pomieszczeniu panowała dziwna aura, a napięcie osiadało na skórze tłustą warstwą.

Błażej skinął głową na kolegę, ten ustąpił mu miejsca i stanął w drzwiach, obserwując sytuację. Dobrze wiedzieli, że muszą działać ostrożnie, by nie zniechęcić świadka.

– Nazywam się Błażej Uryga. Jestem w zastępstwie podkomisarz Lazar, z którą widział się pan ostatnio – tłumaczył się. Nie mógł go spłoszyć.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać – odburknął Adler.

– Przeciwnie. Proszę pamiętać o tym, że pracujemy w zespole. Rozmawiałem z nią o pana zeznaniach. Weryfikujemy je w kontekście zaginięcia Szymona Sulimy.

Adler wpatrywał się w twarz śledczego. Szukał wątpliwości, oznak zawahania.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – odparł po krótkim namyśle i podniósł się.

– Proszę zaczekać – uspokoił go Błażej i skinął na Murawskiego, by zostawił ich samych. Gdy drzwi się zamknęły, przysunął się i kontynuował:

– Wiem, co pan czuje, i domyślam się, ile trudu kosztowało pana przyjscie z tym na policję.

– Nic pan nie wie. Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi – wzburzył się Adler.

– Kilkanaście miesięcy temu straciłem żonę, ponieważ byłem tak cholernie zapatrzonym w siebie dupkiem. Każdego pieprzonego dnia wyrzucam sobie, że to przeze mnie. Więc dobrze rozumiem, co znaczy utrata kogoś bliskiego. Znam strach, który ściska gardło i wbija tysiące szpilek w poduszkę, nie pozwalając nawet zmrużyć oka. Gdybym mógł, cofnąłbym czas i zrobił wszystko, by temu zapobiec. Ale to niemożliwe. Panu musiało być jeszcze trudniej, był pan tylko dzieckiem – zakończył.

Bartosz Adler długo milczał. Nie spodziewał się tak szczerego wyznania.

– Nikomu o tym nie mówiłem – uściślił Błażej. – Nie użalam się nad sobą, chcę jedynie powiedzieć, że nie jestem tu po to, żeby pana oceniać.

Tylko wysłuchać i jeśli to możliwe, znaleźć odpowiedzialnych za śmierć Sulimy. To moja praca.

Mężczyzna chwilę milczał, ale gdy się odezwał, słowa same płynęły z jego ust.

– Nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią, ale dziś, po latach, czuję się winny. Gdy jest się dzieckiem, widzi się otaczający świat z innej perspektywy. Po śmierci mamy byłem samotny i czułem, że nie poradzę sobie z utratą ojca. Odsuwałem od siebie bolesną prawdę, chroniłem go przed konsekwencjami złych wyborów. Zdolność odróżniania dobra od zła była w moim przypadku zaburzona, nie widziałem wad w człowieku, który tyle dla mnie znaczył. Wmówiłem sobie, że Szymon żyje, rozmawiałem z nim jak z przyjacielem, nie przyjmowałem do wiadomości, że ojciec zrobił mu krzywdę. – Widać było, że po latach wciąż trudno mu się do tego przyznać. – Spędzałem z nim czas, wizualizowałem sobie, że dobrze się bawimy. Z czasem po prostu w to uwierzyłem – uciał zrezygnowany. – Nie wiem dlaczego. Im dłużej o tym myślę, tym więcej mam wątpliwości, czy to w ogóle się wydarzyło.

– Wyparł pan bolesne fakty i stworzył parawan, za którym mógł się ukryć. To naturalny mechanizm obronny. Każdy z nas inaczej reaguje na traumatyczne przeżycia, wypiera bolesne doświadczenia, obrazy i fakty. Bał się pan, że zostanie sam – podkreślił Uryga. – Albo dobudowywał pan tę historię na przestrzeni lat, zniekształcając ją w ten sposób.

– Naprawdę w to uwierzyłem. Jakbym przechował to wszystko na dniem pamięci i przypominał sobie o wszystkim podczas wypadku. Będąc dzieckiem, nie rozumiałem, co się wokół mnie działo. Nie dostrzegałem prostych sygnałów, nie połączyłem ich w spójny obraz. Mój ojciec wciąż żyje i chociaż nie utrzymujemy kontaktu, trudno mi o tym mówić. – Adler schował twarz w dłoniach, potem przejechał nimi od brody aż po kark. – Teraz wiem, że tamtej nocy widziałem, jak wrzuca ciało Siwego do auta i odjeżdża. Gdy znalazłem je w lesie, a ślady opon i krwawe zacieki na pace samochodu potwierdziły moje obawy, wmówiłem sobie, że to nieprawda, a Siwy wciąż żyje. Wyobraziłem go sobie, rozmawiałem z nim. Było tylko

odsunąć myśl o tym, że zabił go mój ojciec. Zepchnąłem ten obraz głęboko do podświadomości. I tkwił tam do teraz.

– Jakiś czas temu w lesie niedaleko stąd znaleziono ludzkie kości. Teraz wiemy już, że należały do Sulimy – odezwał się Błazej, choć zdawał sobie sprawę, że Adler o tym wiedział. Pytanie tylko, czy ten fakt skłonił go do wizyty na komisariacie, co zdawało się bardziej prawdopodobne niż jego naciągana opowieść.

– Od początku tam były. Cały czas się zastanawiam, czy gdybym o tym wtedy powiedział, coś by to zmieniło? Na pewno ulżyłoby w cierpieniu jego bliskim, ale nie zwróciłoby mu życia. Ojciec nie był kryształowy, dziś widzę go w innym świetle. W tym czasie był dla mnie oparciem i przymykałem oko na jego występki. Byłem za młody, aby zrozumieć, czym się przez lata zajmował. Składałem jego obraz z fragmentów wspomnień, rozmów, i to, co widzę, sprawia mi ból – stwierdził.

– Załóżmy, że pana ojciec potracił Sulimę. Czemu wywiózł jego zwłoki i zostawił je na grzędawisku, zamiast zgłosić wypadek i przyznać się do wszystkiego?

– Byłem tej nocy w lesie. Widziałem, jak wrzuca ciało na pakę auta i odjeżdża. – Wydawało się, że Bartosz z początku nie usłyszał pytania, tkwił w jakimś marazmie. – Znałem ten samochód, nie mogłem się mylić. Ale teraz widzę to wszystko wyraźniej. Dlaczego to zrobił? Nie wiem. Do dziś mnie to gryzie.

– Która mogła być wtedy godzina?

– Nie umiem sobie przypomnieć. Wróciłem do domu późno w nocy.

– Zdaje pan sobie sprawę, że nie ma żadnych dowodów oprócz pana zeznań? Ślady opon mogły należeć do podobnego auta. W takich warunkach trudno to stwierdzić. Zacieki w samochodzie wcale nie musiały oznaczać krwi – powiedział spokojnie Błazej.

Adler zamilkł i spuścił nisko głowę. Wahał się, czy wrócić do urwanego wątku, czy zmienić temat. Widać było, że bije się z myślami i nie wie, jak z tego wybrnąć.

– Mój ojciec odpowiadał za śmierć Szymona. Teraz jestem tego pewien i długo się oszukiwałem, że jest inaczej. Co więcej, pozbawił życia kogoś

jeszcze.

Teraz to śledczy milczał, czekając na dalszą część historii. Nie chciał naciskać.

– Nie miał nosa do ludzi. Jego najbliższym kumplem przez lata był człowiek, którego się po prostu bałem. Był kompletnym świrem, ale ojciec nie zwracał na to uwagi. Pewnego dnia nakryłem go z partnerką taty. Dorwał mnie i wybił mi z głowy pomysł, by zdradzić ten sekret ojcu. Zagroził, że jak to zrobię, wpakuje go do więzienia. Zarzekał się, że zabili niewinnego człowieka – uciął.

– Skąd pewność, że mówił prawdę?

– Wiem, że gdy byłem dzieckiem, włamywali się do domów w okolicy. Nawet po latach garaż był pełen łupów, nie miałem pojęcia, skąd się tam wzięły, ale im byłem starszy, tym szybciej łączyłem fakty. Piotr Cymański docisnął mnie do posadzki i powiedział, że w garażu, pod warstwą betonu, znajdują się zwłoki. Wciąż zastanawiam się, czy mówił wtedy prawdę, czy chciał mnie tylko nastraszyć – dodał i widać było, ile nerwów go to kosztuje. Głos mu się łamał i ręce drżały ze zdenerwowania.

– Wspomniał, kim był ten człowiek?

– Nie. A ja nie miałem odwagi, by o to spytać. Byłem dzieckiem, ciężko żyć ze świadomością, że najbliższa ci osoba odpowiada za śmierć niewinnych ludzi. Zrozumiałem, że zakopał go tam, by nic głupiego nie przyszło ojcu do głowy. Zaszantażował go w ten sposób.

– Nawet jeśli naprawdę to zrobił, to nie pana wina.

Adler zaśmiał się bezradnie. Zdawali sobie sprawę, że słowa tego nie zmieniają.

– Wie pan, że naszym obowiązkiem jest to zweryfikować – wyjaśnił policjant.

– Wiem. Nie umiem dłużej żyć ze świadomością, że chronięm mordercę. Nie chcę do końca życia tkwić w iluzji, którą było moje dzieciństwo. Pora się uwolnić, zwrócić pamięć ofiarom. Bez względu na koszty.

Uryga zapewnił go, że zrobią wszystko, aby sprawdzić wersję dotyczącą zabetonowanych w garażu zwłok. Oględziny wymagały specjalistycznego

sprzętu, a przede wszystkim zgody prokuratora, więc Błazej obiecał mężczyźnie, że gdy będą gotowi, powiadomi go. Uścisnęli sobie dłonie.

Adler wyszedł przed budynek i zapalił papierosa. Był roztrzęsiony, jakby stres zadziałał z opóźnionym zapłonem, rozlał się po ciele i sparaliżował mu ruchy.

Zaciągnął się tytoniowym dymem, chcąc zapanować nad drżeniem rąk i galopującym tętnem. Wydał własnego ojca. Ta myśl wnikała do świadomości, krążyła wokół niego jak natrętna mucha. Nie żałował, że znalazł w sobie odwagę, by to zrobić. Ubolewał, że zrobił to tak późno.

Gdy się uspokoił, ruszył w stronę zaparkowanego po drugiej stronie ulicy auta. Spojrzał w górę i odetchnął głęboko. Wraz z pierwszymi kroplami deszczu, które osiadły na skórze, poczuł ulgę.

A potem silne uderzenie w tył głowy. Stracił przytomność i osunął się na ziemię.

2019

Dbanie o pozory pochłaniało wiele czasu i środków. Ale nie miał wyboru, jeśli nie zamierzał rezygnować z ustabilizowanego życia i nie chciał stać się tematem plotek w miejscowości, w której się wychował i założył firmę. Poświęcił wiele energii, by stworzyć swój wizerunek, a każda rysa na tej nieskazitelnej fasadzie generowała koszty. Był lokalnym filantropem, wspierał klub piłkarski, dołożył się do remontu sali gimnastycznej w szkole, do której chodzili jego synowie, i sfinansował dach dla miejscowej parafii. Wyciągnął wnioski z błędów, które popełnił w młodości, i nie chciał znów trafić na języki.

To, że gustował w młodych mężczyznach, nie wpisywało się w obraz, który misternie budował. Niewiele zabrakło, by ten gówniarz, z którym widział się kilka razy, zniszczył jego reputację, wszystko, na co ciężko pracował. Uzgodnili, że zapłaci za jego studia, lecz tamten wciąż podbijał stawkę, żądając pieniędzy na wynajem mieszkania i rozrywki.

Gdy Blachowski odmówił, zgłosił się na policję i gliniarze zaczęli przy nim węszyć. Zapłacił za wycofanie zarzutów, ale smród został i ciągnął się za nim. Musiał zachować czujność, staranniej dobierać partnerów.

*

Po kolacji w hotelu zamówił nowemu znajomemu ubera, wymeldował się i zjechał na parking podziemny. Wsiadł do auta, zdjął marynarkę i spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Jeśli się pospieszy, za godzinę powinien być w domu. Szybki prysznic, rano śniadanie z żoną i dziećmi i znów w drogę.

Wyjechał z parkingu i szybciej niż zwykle wyostał się z Krakowa. Miasto o tej porze było przejezdne, w godzinach szczytu utknąłby w korku. Przy wylocie zjechał z głównej drogi w stronę lasu. Włączył audiobooka – brakowało mu czasu na książki, w trakcie jazdy nadrabiał braki w lekturze. Słuchał *Króla Szczepana Twardocha*. Lubił język, którym operował autor, i chociaż interpretacja lektora nie do końca przypadła mu do gustu, to historia wciągnęła go na tyle, że droga do domu przestała się dłużyć. Nie miał nic przeciwko jeździe nocą. Czas płynął wtedy wolniej.

Wjechał głębiej w las, wpatrując się w skąpaną w mroku szosę. Do pokonania pozostało mu kilkadziesiąt kilometrów, ale już myślał o tym, co czeka go jutro.

Prowadził inwestycje w całej Polsce. Zdobył kontrakt w Łodzi, a jego flota wymagała odświeżenia. Musiał zainwestować, by się rozwijać. Od realizacji dzieliły go formalności, ale nikt nie dopnie inwestycji za niego. Wolał się tam stawić osobiście.

Droga wiła się między nierównościami terenu. Docisnął pedał gazu, by trochę podgonić, i w ostatniej chwili zauważył, że dwieście metrów przed nim wyrósł radiowóz. Stał w zatoczce pod lasem i choć Blachowski jechał tą trasą setki razy, to nigdy nie widział tu kontroli. Zaklął pod nosem. Najważniejsze to zachować spokój.

Prędkość nie była największym problemem, przekroczył ją ledwie o trzydzieści kilometrów na godzinę w terenie niezabudowanym; przyjmie mandat i dostanie parę punktów karnych, mógł sobie na to pozwolić. Bał się za to, że skoro wypił wieczorem kilka lampek wina, alkomat to wykaże.

Policjant stojący na jezdni skinął ręką, by zjechał na pobocze, co Blachowski posłusznie uczynił.

– Dobry wieczór, sierżant Łukasz Jasiński, wydział ruchu drogowego – przedstawił się policjant, gdy opuścił szybę. – Powodem kontroli jest przekroczenie prędkości. Proszę o przygotowanie dokumentów. Jechał pan trzydzieści trzy kilometry na godzinę szybciej, niż pozwalają na to przepisy. W ramach kontroli sprawdzimy zawartość alkoholu.

Blachowski zdawał sobie sprawę, że tylko sobie zaszkodzi, jeżeli będzie szedł w zaparte. Wręczył policjantowi prawo jazdy i dmuchnął w ustnik

alkomatu.

Policjant spojrział na wyświetlacz.

– Odczyt wskazuje na prawie pół promila. Będziemy musieli powtórzyć badanie, by ustalić, czy mamy do czynienia z wykroczeniem, czy przestępstwem. – Jasiński pokazał kierowcy odczyt alkomatu. – Pił pan?

– Najwyżej dwie lampki wina do kolacji. Nic więcej – stwierdził Blachowski.

– Proszę zaczekać. – Policjant przeprosił go na chwilę i udał się do radiowozu.

Blachowski zaklął pod nosem. Zastanawiał się, co zrobić w tej sytuacji, i pierwsze, co przyszło mu do głowy, to telefon do prawnika. Nie mógł stracić prawa jazdy, liczył, że uda się to jakoś odkręcić.

Sięgnął po komórkę, ale nie zdążył wybrać numeru. Policjant wrócił i poprosił, by wyszedł z auta i przesiadł się do radiowozu. Blachowski włożył marynarkę, otworzył drzwi i rozejrzał się, czy nic nie jedzie. Odkąd tu go zatrzymano, minęło ich najwyżej kilka aut. To nie była ruchliwa trasa.

– Proszę wsiadać. – Funkcjonariusz wskazał miejsce z tyłu radiowozu, ale sam nie zajął miejsca w środku.

Blachowski posłusznie wsiadł, zamknął drzwi i zobaczył, że w samochodzie nie ma nikogo więcej oprócz kobiety, która siedziała obok na tylnej kanapie.

– Nie przypuszczałam, że znowu się spotkamy, i to w takich okolicznościach – zaczęła Lazar, nie spoglądając nawet na swojego rozmówcę. – Kojarzysz ten tekst?

– Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? – zdenerwował się Konrad.

– O nic. Przekroczyłeś dozwoloną prędkość, a do tego kierujesz w stanie nietrzeźwości. Możesz trafić na dołek albo na izbę wytrzeźwień. Sąd zadecyduje, czy stracisz prawo jazdy i będziesz podlegał karze pozbawienia wolności.

– Wiem, co mi grozi. Pytam, po co ta cała szopka?

– Znaleźliśmy zwłoki Malczewskiego. Powiesił się w domu matki. Rozmawiałam z nią i przyznała, że zanim to zrobił, postanowiła ich odwiedzić i zwrócić pieniądze, które ponoć byłś mu winien.

– To stare długi. Smalec pracował kiedyś dla mnie i chciałem mu jakoś pomóc.

– Szlachetny gest, ale oszczędź mi tego pieprzenia i powiedz, o co chodzi. Malczewski zostawił list, w którym tłumaczy swoją decyzję. Nie przyznaje się do zabójstwa Sulimy wprost, ale twierdzi, że czuł się winny, że przez was chłopak opuścił biwak w środku nocy. Po co ci ta podkładka, skoro nic mu nie zrobiłeś?

– Byłem mu winien forszę i uznałem, że czas się rozliczyć. Powtarzam po raz ostatni, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Szymona. Nie wyznałem przed laty całej prawdy, biję się w pierś, w nocy faktycznie doszło między nami do sprzeczki, szarpaniny. Szymon zdołał się wyswobodzić i uciec, potem słuch po nim zaginął. – Z każdym słowem schodziło z niego ciśnienie. Widać było, że mimo pozorów i grubej skóry wciąż to w nim siedziało. – Nic mu nie zrobiłem. Przysięgam.

– Po co kazałeś Malczewskiemu wziąć to na siebie i zapłaciłeś, by się przyznał?

– A po co miałbym to robić? To jakieś pierdolenie – odparł stanowczo, wyraźnie poirytowany. – Poza tym Smalec naprawdę mógł zrobić mu krzywdę, był zdrowo popieprzony. Byliśmy tam we trzech, nie wiem, do czego był zdolny.

– O co poszło?

– O nic. Szczeniackie zaczepki. Byliśmy pijani, możliwe, że powiedziałem coś głupiego. Chciałem, żeby zrobił mi dobrze, i od słowa do słowa zaczęliśmy się szarpać. Sulima się wyrwał, Emil do niego doskoczył i zaczęli się bić. Było ciemno, wróciłem do namiotu, a rano Malczewski stwierdził tylko, że tamten uciekł. Uznaliśmy, że zapomnimy o wszystkim. Przyznał się, że dźgnął go scyzorykiem. Widziałem, jak wyciera zakrwawione ostrze w trawę. Mimo to Szymon zdołał uciec – dodał.

– Dlatego wpadłeś na pomysł, by wrobić w to dawnego kumpla?

Błachowski prychnął.

– Nie jest moim kumplem. Nie kazałem mu się wieszać, tylko zgłosić na policję i powiedzieć prawdę, że wtedy spuścił Siwemu wpierdol, byście się ode mnie odpieprzyli. Nawet to spierdolił.

Lazar zrozumiała, że nic więcej z niego nie wyciągnie. Nie miała dowodów, że to on stał za śmiercią kolegi, a oskarżenie zbudowane na poszlakach od razu trafiłoby do kosza, tym bardziej że mężczyznę stać na opłacenie najlepszych prawników. Nie mogła zniweczyć wysiłku śledczych i podłożyć się jak dziecko.

– Teraz mnie posłuchaj. Badanie na zawartość alkoholu we krwi zostanie powtórzone. Przyjmiesz mandat, skończy się na wykroczeniu i zadbasz o to, aby dowlec się jakoś do domu. Nie będziemy wchodzić sobie w drogę, odpieprzysz się ode mnie i mojej rodziny. Pozbędziesz się zdjęć, które dostał mój mąż, i tych, które masz w zanadrzu. Nigdy więcej nie powtórzysz tego błędu. Uwierz mi, że mogę zatruć ci życie.

Blachowski długo milczał, jakby analizował zapisy ważnego kontraktu. Wreszcie chwycił za klamkę i podniósł się, wysiadając z auta. Odwrócił się do Lazar i burknął, że się zgadza.

Źle się z tym czuła. Ale wiedziała, że dotrzyma danego słowa.

Miała większe zmartwienia na głowie. Ból w lewym oku nie ustępował, a zanim tu trafiła, odebrała telefon od szefa zespołu techników. Pogodziła się z tym, że nigdy nie zyskają stuprocentowej pewności, co się stało z Szymonem. Szczegóły ujawnione na miejscu znalezienia kości i opinia z zakładu medycyny sądowej układały się w ciąg zdarzeń, który mógł doprowadzić do tragedii. Wciąż trudno jej było jednak w niego uwierzyć.

1996

Żałował, że zgłosił się na policję, to przecież niczego nie zmieni. Nie tak wyobrażał sobie dorosłe życie. Ciężar odpowiedzialności go przygniótł, a kiedy skończyły się pieniądze i fałszywi przyjaciele odeszli, został sam. Nie licząc długów, zranionych ambicji i uczucia, że zasługuje na coś więcej, niż ma.

Siedział na przystanku autobusowym pod lasem i czekał na ostatni pekaes. Ktoś wypalił papierosem dziurę w rozkładzie jazdy naklejonym na tabliczce i w miejscu godzin rozlała się czarna plama. Zresztą nikt z niego nie korzystał, wszyscy wiedzieli, że autobus przyjedzie albo nie. Nic pewnego.

Mamrot opróżnił kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy. Uznał, że z tego, co ma, starczy na bilet i coś do zjedzenia w barze mlecznym, gdy dotrze na miejsce. Był czas, kiedy miał górę forsy, ale przepuścił wszystko na imprezy, alkohol lub panienki. Dziś te wszystkie banknoty i tak nie byłyby dużo warte, więc nie żałował tego.

Nie pogodził się z tym, jak go potraktowali. Po tej nieszczęsnej akcji z pożarem wiele razy prosił ich o zabranie go na jakąś fuchę, ale z czasem zrozumiał, że stał się dla nich ciężarem. Czarę goryczy przelała wizyta, którą złożył niedawno w domu Adlera. Poprosił go o pożyczkę i pomoc w ogarnięciu pracy, tłumacząc, że wpakował się w długi.

Wojtek kazał mu się wynosić i nie pokazywać więcej na oczy. Wtedy coś w nim pękło. Nie chodziło jedynie o kasę – w ostatnich latach przepuścił wszystko, co zostało po matce, i wszystkie zarobione w czasie włamań pieniądze – chodziło o zasady. Czuł się upokorzony, potraktowany jak śmieć, rzecz, która przestała komuś służyć i mogła wylądować w śmietniku.

Do głosu doszły wyrzuty sumienia. Źle się czuł z myślą, że mogli pozbawić życia niewinnych ludzi, że strawił ich ogień, a oni tchórzliwie, dbając o swoje bezpieczeństwo, uciekli stamtąd jak szczury.

Przez lata, w ferworze niekończącej się zabawy, zwyczajnie o tym zapominał. Gdy w końcu wytrzeźwiał, pękł i zgłosił się na policję. Chciał tylko, żeby zaczęli przy tym grzebać. By dobrali im się do dupy. Zasiał ziarno i zniknął. Zasłużyli na to. Był naiwnym dzieciakiem, którego w to wmieszali. Minęło tyle lat, a on wciąż to rozpamiętywał.

Zdjął flanelową koszulę i przewiązał ją wokół pasa. Było już późno, ale upał nie ustępował, czuł, jak pot spływa mu po czole, dlatego schował się w cieniu pod drzewem.

Zobaczył jadący z przeciwka samochód. Kierowca zwolnił, minął go i zatrzymał się przy drodze. Mamrot rozpoznał człowieka, który wysiadł z auta i szedł w jego stronę. Nosił okulary przeciwsłoneczne i wymiętą koszulę, włosy lśniły od żelu. Z jego stylu bycia biła pewność siebie. Niewymuszony luz.

– Co ty tu robisz? – zapytał Cymański, podchodząc bliżej.

– A co według ciebie można robić na przystanku autobusowym?

Cypis nie dał się sprowokować. Wyjął paczkę papierosów i pomachał mu nią przed nosem. Witek odmówił, nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Cymański osłonił płomień przed wiatrem, zaciągnął się i niewzruszony zapytał:

– Podrzucić cię gdzieś? Nie masz chyba zamiaru tu nocować.

– Nie, dzięki. Zaraz przyjedzie pekaes – skłamał Mamrot. Jak znał swoje szczęście, autobus przyjechał pewnie, zanim on pojawił się na przystanku, ale wolał to przemilczeć. Słońce schowało się już za horyzontem, nie chciał utknąć tu na dobre.

– Nie wygłupiaj się. Ten cały rozkład to pic na wodę, chuja przyjedzie. Wypalę do końca i podwiozę cię, dokąd trzeba. Nie spieszy mi się – zapewniał go Cypis.

Miał w sobie coś odrażającego. O ile z Adlerem dało się pogadać, o tyle w jego przypadku każda próba przedstawienia swoich argumentów

kończyła się porażką. Nic nie wskazywało na to, żeby policja zaczęła wokół nich węszyć. Byli zbyt pewni siebie.

Witek westchnął i ruszył za Cymańskim w stronę samochodu. Usiadł w fotelu pasażera.

Cypis dopalił papierosa i wyrzucił niedopałek przez okno. Cuchnął tytoniem.

– To dokąd jedziemy? – zapytał obojętnie.

– Możesz odstawić mnie na dworzec?

– Wybierasz się gdzieś na dłużej?

– Nie wiem, zobaczę. Szukam roboty. Byłem z tym u Wojtka, miał pogadać z szefem i wręcić mnie do ekipy, ale ostatecznie mnie spławił.

– Obiło mi się o uszy. O której masz ten pociąg?

– Nie wiem dokładnie. Późno. Kupię bilet na miejscu i spadam stąd – odparł krótko.

Cymański zamilkł. Jechali wzdłuż lasu. Upał zelżał, powietrze zrobiło się rześkie i długi czerwcowy dzień zmierzał do końca. Witek ocknął się, kiedy wóz odbijał w prawo i zjechał z głównej drogi. Znał tę okolicę i miał złe przeczucia.

– To nie jest droga na dworzec – zwrócił uwagę ze ściśniętym gardłem.

– Nie jest. Ale skoro ci się nie spieszy, uznałem, że trzeba wrzucić coś na ruszt.

– Nie jestem głodny – odparł zdecydowanie Mamrot. – I trochę mi się jednak spieszy.

– Niby dokąd? Weź wyluzuj. Zjemy coś, pogadamy i spierdolisz stąd na dobre.

Cymański włączył radio i podkreślił głośność, kneblując mu usta. Alanis Morissette przekonywała, że wszystko w jej życiu brzmi jak ironia, i Mamrot czuł, że miała rację. Podobnie jak ona nie słuchał dobrych rad. Nie zakładał, że mogą mu się kiedyś przydać.

Stanęli przed restauracją stylizowaną na góralską karczmę. Spotykali się tu kiedyś po akcji. Lokal zmienił właściciela, a ich drogi zdążyły się rozejść. Mieli tu dawniej stałe miejsce na piętrze i mogli bez przeszkód rozmawiać o interesach. Mamrot czuł się wtedy królem życia.

Teraz wysiadł z auta i szedł za Cymańskim. Zwykle lokal był oblegany, ale tuż przed zamknięciem na parkingu stało ledwie kilka aut. Większość klienteli stanowili kierowcy tirów. Zatrzymywali się na trasie, by odpocząć i zjeść ciepły posiłek.

Mężczyźni usiedli przy drewnianej ławie w ogródku. Zrobiło się ciemno, ale oświetlała ich stojąca obok lampa.

– Co ci zamówić? – Z zamyślenia wyrwał Mamrota głos kumpla.

– Nic. Nie jestem głodny.

– Witek, przestań pierdolić. Nie puszczę cię nigdzie z pustym żołądkiem. Stawiam.

Mamrot nie chciał się z nim spierać. Wziął żurek w chlebie i piwo. Uznał, że dzięki temu zaoszczędzi na jedzeniu, a każdy grosz się przyda, nim znajdzie jakąś robotę.

Cymański wrócił i usiadł naprzeciw niego. Z jego twarzy nie schodził uśmiech. Witold zastanawiał się, co siedzi w jego głowie. Facet przypominał aligatora, który czekał na właściwy moment, by móc rzucić się ofierze do gardła.

Nie ufał mu.

– Myślałeś już, co zamierzasz robić? – zagadnął go Cypis, ściągając z sąsiedniej ławy szklaną popielniczkę. Zapalił papierosa i puścił smugę dymu przez nos.

– Nie. Zobaczysz się. Mam dwie ręce, umiem o sobie zadbać – odparł Mamrot.

– W to nie wątpię. Chcesz, to pomówię z Adlerem, może da ci drugą szansę i wkręci do ekipy.

– Mówiłem ci, że byłem już u niego. Powiedział, że mam się pierdolić, więc łaski bez.

– Dziwisz mu się? Nie raz przyciąłeś w chuja.

– Byłem młody. Wybawiłem się za wszystkie czasy. Nie chcę wisieć na czyimś pasku i całe życie płacić za błędy, które popełniłem lata temu. Dam sobie, kurwa, radę.

Kelnerka przyniosła do stolika zamówienie. Cypis uśmiechnął się i odprowadził ją wzrokiem na zaplecze. Napił się piwa i zabrał się do

szaszłyka. Zagryzł go papierosowym dymem i popił alkoholem. Witek pochylił się nad żurkiem i mlaskał, wsuwając łyżkę do ust. Zatrzymał ją w pół drogi, gdy poczuł coś twardego na udzie. Domyślał się, co to może być, i ostrożnie odłożył łyżkę na ławę.

– Słyszałem, że wybrałeś się ostatnio w jedno miejsce i zaczęłeś chlapać jęzorem. – Witek chciał się poprawić, ale Cymański docisnął mu lufę pistoletu do skóry. – Siedź spokojnie, bo odstrzelę ci jaja.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Mamrot, czując, że zaschło mu w gardle.

– Zła odpowiedź. Nie pogrywaj ze mną, bo będziesz zbierał wydmuszki z ziemi.

– Popełniłem błąd. Ale więcej tam nie wróciłem, nie złożyłem zeznań.

– Sporo tych błędów masz na koncie. Nie uważasz? Chuj z tym, jak za nie płacisz, nic mi do tego. – Cymański zgasił papierosa, dogniatając go do ścianek popielniczki. – Problem pojawia się wtedy, gdy podpierdasz Bogu ducha winnych kumpli.

– Nikogo nie... – Witek nie skończył, bo Cypis wszedł mu w słowo.

– Stul pysk. Przestań pierdolić i posłuchaj mnie, bo nie zamierzam się powtarzać.

Mamrot miał ochotę mu wygarnąć, że działali wówczas wspólnie i robił tylko to, co mu kazali, ale szybko zrozumiał, że z lufą między nogami lepiej milczeć.

– Zjesz ten żurek, wytrzesz ryj w serwetę i dźwigniesz tę chudą dupę do auta. Odwiozę cię na dworzec, wsiądziesz w jakiś pociąg i rozpląniesz się w powietrzu, jakbyś nigdy nie istniał. A jak cię znajdą i spytają o to, co działo się w okolicy lata temu, to zamkniesz ryj na kłódkę, połkniesz pierdolony klucz i nie piśniesz słowa, kapujesz? Odjebało ci, wymyśliłeś tę bajkę, by usprawiedliwić to, że jesteś żalonym nieudacznikiem. Nie znasz mnie ani Adlera. Nasze nazwiska nic ci nie mówią, rozumiesz? – Zimna lufa przesuwiała się wzdłuż nogi.

Mamrot skinął głową. Znał Cymańskiego na tyle dobrze, aby zdawać sobie sprawę, że nie blefuje.

– No, to teraz możemy jeść – podsumował Cypis, schował broń i ugryzł kawał mięsa.

Witek stracił apetyt. Przyglądał się dawnemu wspólnikowi, starał się panować nad rozpędzonym tętnem. Nie mógł dać po sobie poznać, że naprawdę się boi.

W drodze powrotnej Cypis kazał mu usiąść z tyłu. Puścił kasetę. Elektroniczne rytmy dudniły w uszach, rozbiegały się po tapicerce niczym uciekające przed światłem pająki. Mamrot nie odzywał się, nie chciał go prowokować. Wiedział, że facet jest nieprzewidywalny. Nie zamierzał narażać się na jego wściekłość.

Wpatrywał się w szybę i klejącą się do niej ciemność. Nic nie mówił, przez moment się zawiesił.

Po chwili zorientował się, że Cymański odbił z głównej drogi i zmienił kurs.

Wjechali na szosę biegnącą przy lesie. Zły znak, stwierdził Witek. Wahał się, co robić.

Cymański ściszył muzykę. Kilkadziesiąt metrów dalej, w zatoczce pod lasem, stał policyjny radiowóz. Policjant rozmawiał z kierowcą, ściskając w ręce druk mandatu. Mamrot dostrzegł go w ostatniej chwili i zrozumiał, że to może być jego szansa. Zaryzykował.

Zerwał się i zacisnął palce na szyi kierowcy. Zamierzał zwrócić w ten sposób uwagę policjantów. Cymański nie spanikował jednak i jakimś cudem utrzymał wóz na drodze. Sięgnął ręką za zagłówek, drugą co pewien czas stabilizował kierownicę.

Starał się oderwać palce napastnika od szyi, złapać trochę tlenu, choć czuł, że nabrzmiałe żyły pęcznieją pod skórą. Oddychał przez nos, a gdy policyjny radiowóz zniknął w tyle, wypuścił kierownicę i odsunął fotel, sprawiając, że uścisk nieco zelżał. Błyskawicznie się odwrócił i uderzył Mamrota łokciem.

Obaj czuli, że samochód zjeżdża z drogi, na zakręcie wypada z niej, a następnie ląduje na poboczu i o centymetry unika zderzenia z drzewem. Auto skoczyło na nierównej nawierzchni i zatrzymało się gwałtownie. Mamrot uderzył głową w boczną szybę.

Cypis miał więcej szczęścia, a pasy uratowały go przed obrażeniami.

Błyskawicznie sięgnął po pistolet, wysiadł z auta i wyciągnął Mamrota za fraki.

Rozejrzał się, czy nic nie jedzie z przeciwka, i stanął nad nim okrakiem. Witek był zamroczony. Starał się doczołgać do drogi, liczył na to, że ktoś ich zobaczy, usłyszy hałas i powstrzyma obłąd, który tlił się w oczach dawnego współnika.

Cymański odkaszlnął flegmę, jakby chciał wykrztusić wyrzuty sumienia, które utknęły w gardle. Zaklął pod nosem i zamierzał pociągnąć za spust. Zastanawiał się, czy las stłumi odgłos strzału. Przypomniawszy sobie, że kilkaset metrów wcześniej, za zakrętem, stoi policyjny radiowóz. Za duże ryzyko. Kopnął dawnego kolegę z całej siły w brzuch, a gdy Mamrot zwinął się w kulkę, wyprowadzał kolejne ciosy, tym razem w głowę. I nie przestał, dopóki twarz mężczyzny nie przypominała zakrwawionej papki.

*

Bartosz Adler usłyszał hałas i zwolnił na leśnej ścieżce nad szosą, szukając jego źródła. Widział pojazd, który wypadł z drogi, i rozlaną w mroku postać. Pochylała się nad ziemią. Oświetlały ją reflektory pojazdu. Śledził, jak dźwiga coś ciężkiego z ziemi i wrzuca to na pakę, a potem przykrywa plandeką. Ciało? Czy to możliwe, by wrzucał do auta czyjeś zwłoki?

Przełknął ślinę, zostawił rower i podszedł do krawędzi skarpy. Nieznajomy na dole obszedł samochód i zaczął rozkopywać ziemię i ściółkę na poboczu, jakby czegoś szukał. Zasypał ją uschniętymi liśćmi i wszedł do auta, z trudem nawrócił i zniknął na horyzoncie. Krew. Zacierał ślady? Bartek odpędzał od siebie złe myśli. Nie przewidział się, ale do końca nie chciał uwierzyć w to, czego był świadkiem.

To był samochód taty. Nikt w okolicy takim nie jeździł. A skoro tak, to jedyny człowiek, dla którego coś znaczył, pozbawił życia niewinną osobę i zamierzał wywieźć gdzieś jej ciało.

Bartosz zamknął oczy, usiłując wykasować ostatnie obrazy z pamięci. To nieprawda, powtarzał uparcie. To zły sen, z którego zaraz się wybudzisz.

2019

Za każdym razem, kiedy tędy przejeżdżała, miała wrażenie, że dom, w którym wychował się Szymon Sulima, gasł w jej oczach i zapadał się w sobie. Bała się, że wraz z zamieszkującymi go ludźmi pewnego dnia zniknie, rozsypie się niczym zamek z piasku, pod ciężarem przenikającego zmurszałe mury bólu i na skutek ciągłego oddychania przeszłością.

To kolejna z sentymentalnych podróży, które Lazar odbyła w ostatnim czasie.

Marzena Sulima ściągała rozwieszzone w ogrodzie pranie i układała części garderoby na dnie miski. Lazar przyglądała się jej, nie wychodząc z auta. Klimatyzacja nie nadążała zbijać panującej w aucie duchoty. Zbierało się na deszcz.

Nie chciała robić przedstawienia. Podeszła do furtki i czekała, aż ich spojrzenia się spotkają. Kobieta odwróciła się, uśmiechnęła i nagle spoważniała. Dotarło do niej, z czym wiązała się niezapowiedziana wizyta policjantki.

– Jeśli mam być szczerą, to liczyłam na to, że pani nie przyjedzie. – Zmusiła się do kolejnego uśmiechu i otworzyła jej furtkę, przekładając w rękach miskę. – Proszę wybaczyć szczerłość, człowiek ciągle się łudzi. Zaniosę tylko pranie i już do pani wracam. Zaczeka pani na werandzie? To nie potrwa długo – dodała.

Policjantka usiadła w ratanowym fotelu i podziwiała idealnie zadbane ogród. Mąż kobiety lubił, gdy wszystko było w należyтым porządku. Nawyki z wojska trudno wyplenić.

Sulima wróciła do niej z karafką wody i szklankami, starała się nie myśleć o powodach wizyty śledczej. Jej drżące ręce i zaciśnięte szczęki

zdradzały, że to trudniejsze, niż mogła przypuszczać.

– Domyślam się, że ma pani wyniki badań – rzuciła niepewnie, starając się nie wychodzić z roli. Wlała do szklanek wodę z miętą i upiła łyk, grając na czas.

– Niedawno otrzymałam potwierdzenie. Wszystko wskazuje na to, że udało się rozwiązać tajemnicę zaginięcia pani syna. Mamy już pewność, że to jego szczątki znaleźliśmy na mokradłach zaledwie kilka kilometrów stąd – zaczęła Ola, chcąc ukryć rosnące zdenerwowanie. Ćwiczyła ten tekst wiele razy, zanim tu trafiła, ale emocje okazały się nadspodziewanie silne.

– Dziękuję. Wiem, źle to brzmi, jednak nie jestem w stanie inaczej tego wyrazić. To sytuacja, której obawia się każdy rodzic. Z jednej strony ulga, bo wiem, co się stało z moim dzieckiem, z drugiej kotłujące się w głowie myśli i gasnąca z każdym dniem nadzieja, że może zdarzył się cud. – Z każdym wypowiedzianym słowem nikła, traciła siły, zaczynało docierać do niej, że to koniec. – Nie zasłużył na to, co go spotkało.

– Wiem, jak trudno się z tym pogodzić. Sama straciłam rodziców, będąc dzieckiem. Wciąż nie potrafię się z tym oswoić, mimo że nie zdążyłam ich dobrze poznać – odparła Lazar i uświadomiła sobie, że nie powinna do tego wracać. Czas nie leczy ran. Prawda knebluje usta fałszywym podszeptem, które karmią nas złudną nadzieją. To krok naprzód zamiast spadania w przepaść zaprzeczania. Bardzo chciała w to wierzyć.

– Nic pani nie rozumie. – Te słowa zabrzmiały jak oskarżenie. Wyraz twarzy kobiety zmienił się, sprawiała wrażenie wycofanej. – Utrata dziecka to najgorszy dramat, jaki może nas spotkać. Nie życzę tego najgorszemu wrogowi – ucięła zdecydowanie.

– Nie chcę licytować się na ból. Źle się czuję w roli posłańca złych wiadomości.

Ola nauczyła się, że każdy inaczej reaguje na konfrontację z prawdą.

– Przepraszam. To przecież nie pani wina – zreflektowała się kobieta.

– Wciąż nie mamy stuprocentowej pewności co do przyczyny śmierci Szymona i obawiam się, że jej ustalenie po latach będzie trudne. Miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z panią i z pani mężem, uspokoić go –

zmieniła temat Lazar. – Ale może łatwiej będzie mu się z tym oswoić, kiedy dowie się wszystkiego od pani.

Spojrzenie, którym uraczyła ją Sulima, było nieprzyjemne. Usiłowała przewiercić ją na wylot. Ola domyśliła się, że ona także odsuwała ten moment w czasie.

– Nie ma go. Wyjechał rano, nie mówił mi gdzie i po co. Rzadko to robi. Przekażę mu wszystko, kiedy wróci do domu. Podobnie jak ja spodziewa się, jak to się może skończyć.

– Jakim ojcem był dla Szymona? – Lazar obserwowała reakcję Sulimy, zaskoczenie rysujące się na jej twarzy.

– Wspaniałym – oparła automatycznie. – Zasadniczym i wymagającym. Chciał dla syna najlepiej i sporo od niego oczekiwał, ale jak sam twierdził, nie było innej drogi.

– Z relacji jego znajomych wynikało, że Szymon się go bał. Że był bity i karany za nieposłuszeństwo.

– Bzdura! – uniosła się. – Mąż trzymał dyscyplinę, stawiał granice, był żołnierzem i wiedział, jak postępować z młodymi ludźmi. Oni kłamali, by chronić siebie. Nie widzi pani tego? – Z każdym słowem gasła, jakby sama w to nie wierzyła. – Bogdan kochał Szymona.

– Dlatego go lał? I panią też? Tak wygląda ta rodzicielska miłość?

– Kto pani naopowiadał takich głupot? Wymagał posłuszeństwa, nic więcej.

Lazar nie przyznała się, że całą drogę myślała o tym, jak przekazać werdykt, który złamie Sulimie serce. W takich sytuacjach docierało do niej, że nigdy nie nauczy się odstawiać emocji na bok i koncentrować na suchym komunikacie.

– Badania dowiodły, że szczątki odnalezione na mokradłach należały do pani syna – powtórzyła obojętnie, czując drapanie w gardle. – Ale wykazały też, że nie ma takiej zależności w przypadku pani męża. Dlatego tak długo to trwało.

Jej reakcja była zaskakująca. Nie zaprzeczała, nie uniosła się emocjami, długo milczała, jakby chciała wrócić myślami do wydarzeń i błędów sprzed wielu lat.

– To niemożliwe. Musiała zająć jakąś pomyłkę.

– Przykro mi. Szymon nie był synem Bogdana – stwierdziła stanowczo Lazar.

Nie wchodziła w szczegóły. Wiedziała, że kluczem do rozwikłania zagadki jest twarde obstawanie przy faktach. Nie wycofała się choćby o milimetr. Czekwała.

– Nawet jeśli, to jakie to ma znaczenie? – zirytowała się Sulima. – To nie zwróci mu już życia.

– Nie. Ale może nam pomóc ustalić, w jaki sposób je stracił.

– To nie ma nic do rzeczy. Mój mąż jest zasadniczym człowiekiem, gdyby dowiedział się, że Szymon nie był jego synem, spakowałby się i odszedł. Nawet teraz. Tego pani chce? Zniszczyć nam życie? – Jej głos zaczynał się łamać, była bliska łez. – Popełniłam błąd, wdałam się w nieznaczący romans. Zachowałam się jak naiwna idiotka. Usiłowałam o tym zapomnieć, ale nie miałam pewności, kto jest ojcem. Z czasem przestało to mieć znaczenie. Kochałam Szymona, chciałam dla niego jak najlepiej. Bogdan też. Dlatego nigdy więcej do tego nie wracałam.

– Nie przyszło pani do głowy, że to mogło mieć związek z jego zaginięciem?

– Jaki związek? Przecież nikt oprócz mnie nie miał o tym pojęcia – upierała się.

– Wie pani, kim jest biologiczny ojciec Szymona? – nie odpuszczała Ola.

– Nikim. Mam świadomość tego, jak wielką krzywdę wyrządziłam naszej rodzinie. To był incydent, nieznaczący wyskok, który zakończył się ciążą. – Zaśmiała się bezradnie. – To brzmi żałośnie. Trzeba mieć pecha, żeby się tak urządzić.

Lazar nie ponowiła pytania. Wiedziała, że kobieta prędzej czy później sama to powie.

– Ojcem Szymona jest Wojciech Adler. Jego syn uczęszczał z nim do klasy. To była krótka relacja, wiem, że miał w tym czasie wiele kobiet, ale nie zdołałam mu odmówić. Poza tym miał żonę. Nigdy nie przyznałam się, że Szymon i Bartek mogli być przyrodnimi braćmi. Są takie sytuacje

w życiu, gdy lepiej milczeć. Dla dobra wszystkich – ucieła, nie patrząc policjantce w oczy.

– Nikt oprócz pani o tym nie wiedział?

– Nikt.

– Wojciech Adler nie miał zatem powodu, by chronić własną rodzinę i pozbyć się niechcianego dziecka – myślała na głos Ola.

– Nie. Szybko zerwaliśmy kontakt. – Sulima zamilkła i o czymś sobie przypomniała. – Mój mąż jest bardzo surowy. Gdyby dowiedział się, że go zdradzałam, miałabym poważne kłopoty. Na początku nawet nie zakładałam, że ojcem Szymona może być Adler, ale z czasem, przyglądając mu się, widząc, jak bardzo różni się od Bogdana, zaczęłam mieć wątpliwości. To były inne czasy, nie było takich możliwości zweryfikowania przypuszczeń. Żałuję, że tak to się skończyło.

Lazar miała wrażenie, że w tej sprawie wciąż więcej jest pytań niż odpowiedzi.

– Jest pani pewna, że Adler nie mógł się domyślić, że Szymon jest jego synem?

– Nie mógł, bo sama nie dopuszczałam tej myśli do siebie. Ta wiadomość wywróciłaby nasze życie do góry nogami. Był taki moment, gdy wahałam się, czy to sprawdzić, ale po śmierci żony Wojtka stwierdziłam, że nie warto do tego wracać.

– Mąż nie miał pojęcia o waszym romansie?

– Myślę, że nie. Wojtek miał powodzenie u kobiet, ani przez chwilę nie łudziłam się, że coś dla niego znaczę. – Spuściła nisko wzrok, a Lazar wiedziała, że to tylko pancierz, za którym pragnie się ukryć. – Po latach tłumaczę sobie złe decyzje, życiowe porażki i błędy. Nikt nie chce do końca swoich dni żyć w ich cieniu i roztrząsać ich w nieskończoność. Z czasem zaczynamy wierzyć we wszystkie naciągane teorie, zaprzeczać faktom i odkształcać wspomnienia. Albo tworzymy swoją wersję zdarzeń, które nie zaistniały.

– Chyba nie do końca tak było, skoro Adler podarował pani drogi zegarek. – Mówiąc to, obserwowała uważnie twarz Marzeny Sulimy. – Musiało was coś łączyć, naraził się przez to na poważne problemy.

– To nie tak – zachnęła się. – Byliśmy ze sobą za krótko, by zdążyć się przekonać, że do siebie nie pasujemy. Zakazany owoc smakuje najlepiej, ten stan bywa uzależniający. Przeszkadzało nam ciągle ukrywanie się. Wojtek zapewniał mnie, że odejdzie od żony i wyjedziemy stąd, zaczniemy od nowa. Żałosne gadanie, powinnam była się domyślić, że mnie zwodzi. Wręczył mi zegarek, gdy chciałam zerwać tę znajomość. Wygarnęłam mu, że mnie okłamuje, wabi perspektywą, która się nie ziści. Wtedy wyjął go z kieszeni, powiedział, że kupił go dla mnie i chciał mi go dać w jakiejś restauracji, ale skoro nie wierzę w siłę jego uczuć, zrobi to teraz.

– Pani mąż znalazł ten prezent w aucie. Nie przyznała się pani, że go dostała.

– Gdybym to zrobiła, wszystko wyszłoby na jaw. Bogdan pytał mnie o ten zegarek. Skłamałam, że widzę go pierwszy raz w życiu i musiał należeć do poprzedniej właścicielki samochodu. Wojtek jakoś z tego wybrnął, ale po tym incydencie nasza znajomość urwała się definitywnie. Nie mogliśmy tak ryzykować.

– Nie zastanawiała się pani, skąd mógł mieć drogi zegarek?

– Nie. Wojtek był ambitnym facetem. Ściągał auta z zagranicy, reperował je i odsprzedawał z zyskiem. Odkąd pamiętam, miał dryg do interesów. I nie narzekał na brak pieniędzy.

– Cały czas utrzymywała pani męża w przekonaniu, że jego jedyny syn przepadł bez wieści, zamiast przyznać się do zdrady sprzed lat. Nie wydaje się pani, że to okrutne? Że na to nie zasługiwał? – Lazar wiedziała, że się zagalopowała, a może spytała ją o to celowo, znajdując analogię w ich życiowych wyborach.

– Jeżeli przyjechała tu pani, by mnie pouczać, to nie mamy o czym rozmawiać. – Kobieta odwróciła wzrok, czuła, że do oczu napływają jej łzy.

– Gdzie mogę znaleźć pani męża?

– Jest już za późno. – Sulima kiwała głową, nie odwracając się w stronę policjantki. – Nie byłam w stanie powstrzymać w nim tej siły, która od lat zatruwa mu krew.

– O czym pani mówi? – zaniepokoiła się policjantka.

– Bogdan dowiedział się, że syn Adlera zgłosił się na policję i złożył zeznania, które obciążają Wojtkę. Mój mąż ma znajomości w wielu miejscach. Wpadł w furję i poprzysiągł zemstę. Za to, że przez te wszystkie lata milczał. Nie wiem, gdzie jest, ale mam nadzieję, że nie zrobi czegoś, czego będzie później żałował. Jak ja.

Lazar szybko łączyła fakty. Zastanawiała się, co by zrobiła na jego miejscu i jak wiele granic byłaby w stanie przekroczyć, aby zadośćuczynić śmierci dziecka.

Sulima ukryła twarz w dłoniach. Lazar słyszała tylko stłumiony szloch, który rozrywał kobiecie serce. Wiedziała, że słowa nie są w stanie przynieść jej ulgi.

Liczyła się każda sekunda. Zrozumiała, gdzie powinna zacząć szukać.

2019

Wojciech Adler nie wyglądał na zaskoczonego, gdy otworzył drzwi i dostrzegł w progu grupę śledczych. Musiał zakładać, że kiedyś ten dzień nastąpi. Wyłączył się chwilę po tym, gdy jeden z nich wyjaśnił mu cel wizyty. W pewnym sensie przyjął to z ulgą.

Śledził całe zamieszanie z perspektywy wózka inwalidzkiego, w roli człowieka, któremu los zabrał wszystko, co miało jakąś wartość. Śledczy krążyli po domu, przeszukiwali teren posesji, skupiali się na szeregu rutynowych zadań. Adler czuł się niewidzialny. Wiedział, że żywi ich nie interesują. Przyszli tu po martwych.

Uryga schował się przed deszczem i przyglądał się pracy zespołu techników. Podziwiał ich za cierpliwość, drobiazgowość i profesjonalizm. Od kilku godzin skrupulatnie przeczesywali posesję w poszukiwaniu najdrobniejszych śladów mogących świadczyć o tym, że przed laty mogło dojść tutaj do popełnienia zbrodni.

Szanse na to były iluzoryczne, ale dopóki istniały, musieli pracować z pełnym zaangażowaniem. Błażej rozglądał się po garażu. Pomieszczenie było wysprzątane, jakby od lat przygotowywano je na wizytę techników. Adler nie miał samochodu, sprzedał go, zanim przesiadł się na wózek. Wzdłuż ścian piętrzyły się regały z narzędziami, pojemnikami po farbach i częściami rozebranych urządzeń. Posadzka w pomieszczeniu była równa, jednak na środku dało się dostrzec ciemniejszy prostokąt. W tym miejscu kiedyś znajdował się kanał. To o nim wspominał Bartosz Adler.

Specjaliści sprawdzili to miejsce georadarem i wykonali odwierty w betonie. Jechał już do nich pies przeszkolony do poszukiwania zwłok. Ciało ofiary mogło zostać zakopane w ziemi, później kanał zalano i trudno

przewidzieć, na jakiej głębokości zalegało. Technicy pracowali na miejscu od rana, korzystając z najlepszego sprzętu, i rozkuwali go, warstwa po warstwie.

Ich wątpliwości od początku budził fakt, że cały kanał był zalany betonem, co wydawało się podejrzane. Zwykle najpierw zasypuje się go piaskiem, gruzem, kamieniami i dopiero potem zalewa, ze względu na koszty.

Błażej wybrał numer i przystawił telefon do ucha. Cisza. Nikt nie odbierał. Od rana nie miał kontaktu z Olą. Zaczął się martwić, czy wszystko jest w porządku.

Kątem oka zauważył Adlera. Przyglądał się akcji mimo padającego deszczu. Prokurator wydał w końcu postanowienie o dokonaniu przeszukania, ale nie świadczyło to jeszcze o winie mężczyzny. Uryga podszedł do niego i zaproponował, żeby schronili się w środku i porozmawiali, ale ten odmówił. Stwierdził, że nie chce, by ktoś w tym czasie podłożył mu świnię. Miał prawo być przy czynnościach.

– Kto was tu przysłał? – wypalił. Nie było w tym złości, tylko zwykła ciekawość.

– A czy to coś zmieni, jeżeli powiem? – odparł Uryga, zakładając kaptur bluzy. Włosy kleiły mu się do twarzy. W rozstawionym obok garażu namiocie kręcili się technicy i śledczy. Każdy koncentrował się na swojej części zadania.

– Zresztą co mnie to obchodzi. Mam tylko nadzieję, że odpowie za to, w co mnie wpakował.

Błażej domyślał się, kogo Adler miał na myśli. Nie wiedział, że nie wydał go dawny wspólnik, tylko własny syn.

– Nie wydaje ci się, że to dobry moment, żeby powiedzieć, do czego tu doszło?

– To bez znaczenia. I tak przyszlście tu z gotową tezą – denerwował się Adler. – Kiedy ta farsa się skończy, będziecie spieprzać stąd z podkulonymi ogonami.

Błażej mu się przyglądał. Adler szedł w zaparte, pewnie dlatego, że musiał zdawać sobie sprawę, że nawet jeśli coś znajdą, i tak uniknie kary.

Jego wychudzone, pozbawione czucia ciało było więzieniem, w którym doczeka ostatnich chwil. Żaden wyrok tego nie zmieni. Przyprószona siwym zarostem skóra była świadectwem upływającego czasu oraz rezygnacji, którą miał wypisaną na twarzy.

– Jeżeli uda nam się znaleźć ludzkie szczątki, będzie po wszystkim. To kwestia czasu. Nie ma sensu ciągle zaprzeczać. – Błazej prowokował go wyłącznie po to, by przekonać się, jak zareaguje.

– Przestań pan pierdolić. Nie mam nic wspólnego z tym, do czego pan pijesz – uparcie zapewniał Adler. – Pogadajcie lepiej z tym, kto wam wcisnął ten kit. On ma znacznie więcej na sumieniu niż ja.

Uryga nie miał ochoty się nad nim pastwić. Uznał, że prędzej czy później facet dowie się, że to nie Cymański zdradził ich wspólny sekret. Obaj mieli zbyt wiele do stracenia i obaj wierzyli w to, że zabiorą prawdę do grobów. Przeliczyli się.

Zobaczył samochód. Stał za szpalerem drzew na końcu zwirowej ulicy, jakby kierowca nie chciał rzucać się niepotrzebnie w oczy. Wiedział, kogo zastanie za kółkiem. Adler wciąż burczał coś pod nosem, gdy policjant odchodził.

– I jak postępy? – Andrzej Młynarczyk opuścił szybę i uścisnął śledczemu dłoń. – Wsiadaj.

– To potrwa, na szczęście dostaliśmy zielone światło z prokuratury. Chciałem coś z niego wyciągnąć, ale do niczego się nie przyznaje. Sądzi, że to Cymański go sypnął.

Emerytowany policjant nie wyglądał na zaskoczonego. Wycieraczki w jeepie pracowały na pełnych obrotach i zgarniały z szyby nadmiar osiadającej wody.

– Nigdy nie czuli się winni. Pluję sobie w brodę, że nie udało nam się powiązać tych spraw ze sobą wcześniej. Mieliśmy ich na widelcu i za łatwo odpuściłem.

– Jeżeli jego syn rzeczywiście wie, co się tu stało, nie mogłeś tego przewidzieć.

– To bez znaczenia. Liczy się to, co wykopiecie spod ziemi. Spieprzyliśmy to i ciężko się teraz z tym pogodzić. Nieważne, jak bardzo

zaklinasz rzeczywistość.

– Działamy w tym miejscu od rana. Szukamy wszystkiego, co naprowadzi nas na jakiś trop. Nie oszukujmy się, minęło wiele lat i jeżeli syn się myli, wrócimy z niczym – oznajmił Uryga i spoglądał w spływającą deszczem szybę, jakby ktoś zapisał na niej odpowiedź na nurtujące ich pytania. – Swoją drogą to wymaga odwagi. Ludzie mają tendencję do samooszukiwania, do szukania wymówek i usprawiedliwiania błędów. Nie dziwi mnie, że stworzył wokół siebie pokręconą historię i schował się za nią; z całym bólem, samotnością i odręceniem.

– Nawet jeśli znajdziesz w niej kilka dziur, wciąż warto w tym grzebać. To musi boleć. Z drugiej strony pomyśl, że przez całe życie dźwigał na swoich barkach ciężar i jego pozbycie się przyniesie mu ulgę – dodał Młynarczyk. – Musisz robić swoje, nie myśl o konsekwencjach. Przegapiłem coś, nie zdołałem dotrzeć po nitce do cholernego kłębka. Nie powtórz tego błędu.

– Facet zupełnie się rozsypał. To niebywałe, jak zwodnicza potrafi być pamięć. Ile świadomie jesteśmy w stanie z niej wymazać albo stworzyć z niczego.

– Dziwisz mu się? Wydał własnego ojca. Zrobił słusznie, ale to wymaga olbrzymiej odporności psychicznej. Musi upłynąć wiele czasu, zanim się z tym upora.

Obaj wiedzieli, że to tylko teoria. Nikt nie da mu takiej gwarancji.

– Nie wiemy, czy ktoś w ogóle spoczywa w tym kanale. Cymański mógł zmyślać, chciał go wystraszyć. Chłopak już wtedy skrawkiem świadomości zdawał sobie sprawę, że to nie może być Szymon. W końcu odnalazł jego zwłoki na mokradłach. A jeśli to nie on, to kto?

– Skoro badania wykazały, że szczątki Sulimy znajdowały się na grzędawisku, w tej zabetonowanej mogile mogła zostać pochowana tylko jedna osoba. Brakujące ogniwo w tej chorej układance – stwierdził z rezygnacją były policjant.

Błażej milczał. Zdziwiłby się, gdyby zawiodła ich intuicja. Wolał nie zapeszać.

– Wiesz, co z Olą? Nie mogę się do niej dodzwonić. Zapadła się pod ziemię.

– Nie. – Młynarczyk się zawahał. Nie wiedział, czy w końcu powiedziała mu o tym, że była na biwaku, w trakcie którego zaginął Szymon. – Mówiłem ci, że rozmawialiśmy o tym wszystkim, o poszukiwaniach, później dzwoniła parę razy coś potwierdzić. Nic więcej. Olka jest indywidualistką, źle się czuje przyparta do muru. Kto by pomyślał, że to wszystko tak się skończy. – Pokręcił głową.

Błażej świetnie go rozumiał. Nie dziwił się, dlaczego stary policjant tu jest, i domyślał się, ile zdrowia kosztowała go ta sprawa.

Sam oddałby wszystko, by móc cofnąć czas i anulować złe decyzje. Słyszał, że człowiek uczy się na błędach. To nieprawda. Czas wygładza ich krawędzie, sprawia, że nie wrzynają się w skórę i nie ranią jak dawniej. Ale wciąż uwierają boleśnie.

Nie mógł ochronić żony, był zbyt zapatrzony w siebie. Zaślepiiony destrukcją.

Z zamyślenia wyrwał go jeden z techników. Podszedł do samochodu i zapukał w szybę, informując, że coś znaleźli. Wyraz twarzy mężczyzny świadczył o tym, że to może być przełom.

Uryga pożegnał się z Młynarczykiem i wrócił z ubranym w kombinezon ochronny technikiem do garażu. W namiocie i wokół domu dało się wyczuć rosnące napięcie.

– Wszystko wskazuje na to, że mamy trafienie. Georadar wskazał miejsce, w którym widoczne są zmiany w strukturze. Przekopaliśmy się głębiej i znaleźliśmy fragment kości. Trudno stwierdzić, czy należała do człowieka, czy jakiegoś zwierzęcia, próbki trafią do laboratorium i wtedy zyskamy pewność. Nie chcę niczego przesądzać, ale skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, by zakopać je w tym miejscu i zalać betonem... – Nie skończył. W świetle dotychczasowych ustaleń mogli brać pod uwagę najczarniejszy scenariusz.

Błażej patrzył na przykutego do wózka Adlera. Siąpiący deszcz sprawił, że zlał się w szarą plamę z odrapaną elewacją. Zaciśnął palce na oparciach wózka i uświadomił sobie, że nie zdoła uciec przed przeszłością. Uryga go

nie żałował; był dumny z ludzi, którzy pracowali w pocie czoła, by dotrzeć do prawdy zagrzebanej pod grubą warstwą betonu. Gotów był przysiąc, że mężczyzna szukał go wzrokiem, kiedy funkcjonariusze prowadzili go do radiowozu.

– Powiedz jej, że ktoś nas uprzedził. Oni nie żyli, gdy weszliśmy do domu. – Tylko tyle usłyszał Błażej. Mógł się jedynie domyślać, kogo mężczyzna miał na myśli.

Zauważył zmierzającego w jego stronę technika. Ścisnął w dłoni coś, co mogło wywrócić ich przypuszczenia do góry nogami.

Uryga sięgnął do kieszeni po telefon i raz jeszcze wybrał numer Oli. Tym razem odebrała.

2019

Przestał walczyć. Nie szamotał się, nie próbował wyswobodzić się z krępujących więzów. Związane za plecami ręce i kostki uniemożliwiały wyrwanie się z pułapki. Mężczyzna wywiózł go gdzieś, ale nie miał pojęcia dokąd.

Spod naciągniętej kominiarki niewiele był w stanie dostrzec; słyszał ciskające w karoserię krople deszczu i odgłosy nasilającej się burzy. Wydawało mu się, że podąża za nimi krok w krok. Napastnik nie zamknął go w bagażniku, Bartosz miał więcej miejsca, lecz nie był w stanie się poruszyć. Leżał nieruchomo na podłodze furgonetki.

Auto przedzierało się przez trudny teren. Czuł, jak skacze na nierównościach, koła z trudem łapią przyczepność i zbierają się z błota. Silnik wył, jakby chciał wykrzyczeć mu do ucha całą złość, która skumulowała się pod maską.

Mężczyzna za kierownicą milczał, radio przestało grać i zgubiło zasięg, słychać było tylko irytujące rżenie. Kierowca skręcił w lewo, samochód się zakołysał i Adler usłyszał drapanie na karoserii, jakby ktoś zeszkrobał lakier ostrymi pazurami. Domyślał się, że wjechali w las, i wolał nie zastanawiać się, co to może znaczyć.

W końcu pojazd się zatrzymał. Kierowca wysiadł, obszedł furgonetkę i otworzył drzwi. Bartosz zdawał sobie sprawę, że nie może się bronić. Niemoc była paralizująca. Czuł, że napastnik łapie go za ramię i łydkę, a następnie przeciąga bezwładne ciało w stronę drzwi. Upadek nie okazał się bolesny.

Wylądował na grząskiej nawierzchni i czuł na policzku śliską, błotnistą maź.

Kierowca stanął nad nim okrakiem, przeciął linę, która krępowała mu stopy, i podniósł go, blokując mu możliwość ruchu. W kominiarce na głowie Adler i tak nic nie widział. Każda próba ucieczki była z góry skazana na klęskę.

– Poznajesz to miejsce? – Wychwycił głos porywacza. – Jesteś pieprzonym tchórzem i nie znalazłbyś w sobie odwagi, by po tym wszystkim raz jeszcze tu wrócić.

Adler poczuł, jak tamten zrywa mu z twarzy kominiarkę. Odruchowo zmrużył oczy, nieprzyzwyczajone do światła dziennego. Potrzebował czasu, aby rozejrzeć się wokół, oswoić wzrok z jasnością. Zakręciło mu się w głowie.

Nic nie odpowiedział. W usta miał wciśnięty knebel.

Znajdował się na grzędawisku, kilkadziesiąt metrów stąd wznosiła się niegdyś baza na drzewie, którą stawiał, będąc nastolatkiem. Dziś to miejsce wyglądało inaczej. Drzewa rozrosły się, a z konstrukcji, którą pamiętał, zostały same zgliszcza.

Deski połamały się, spróchniały i obrosły mchem, fort rozleciał się i zniknął w trawie i wodzie. Adler widział tylko nogi od krzeseł, które zlewały się z korą drzewa.

– Kości Szymona przeleżały w tym bagnie dwadzieścia trzy lata. Syn miał przed sobą całą przyszłość, ale twój ojciec postanowił ją przekreślić. Wiedziałeś o tym. Od początku wiedziałeś, że go zabił, i przez cały ten czas nie pisnąłeś słowa. Jesteś tak samo winny jak on, ale pozbawienie życia tego pieprzonego inwalidy byłoby dla niego wybawieniem. Nie mam zamiaru mu tego ułatwić. Chcę, żeby poczuł to samo, co ja lata temu, aby stracił ostatnią osobę, którą naprawdę kochał. Krew z krwi – nakręcał się Bogdan Sulima.

Chwycił Adlera za przedramię i pchnął go przed siebie. Brodzili wokół mokradeł. Ich obszar skurczył się na przestrzeni czasu, wyschnięte brzegi pokryły trawa i popękane połacie błota – konsekwencja ostatnich suchych lat. Gdzieś widać było pozostałości policyjnej taśmy.

A może gdy jest się nastolatkiem, wszystko wydaje się większe, bardziej złowrogie?

Po kolejnym pchnięciu o mały włos się nie przewrócił, z trudem utrzymał równowagę na grząskiej nawierzchni. Stał nad lustrem wody, a Sulima uderzył go tak mocno, że upadł na kolana i niewiele zabrakło, a wylądowałby twarzą w bagnie. Mężczyzna wyrwał mu knebel z ust, a Bartosz wypluł zalegającą w ustach flegmę.

Z tyłu rozległ się dziwny dźwięk. Odgłos przypominał przeładowywanie broni.

Adler zamierzał coś powiedzieć, ale ścierpnięte usta sprawiły, że wydał z siebie niezrozumiały bełkot.

– Stul pysk! Nie zamierzam słuchać twoich kłamstw – usłyszał i poczuł, że Sulima chwyciła go za kark i wpycha mu głowę pod wodę.

Zdążył nabrać powietrza w płuca, jednak gęsta, śmierdząca ciecz wlewała się do ust i nosa. Napastnik pociągnął go za włosy w chwili, gdy zaczął się dusić. Bartosz wciągnął powietrze przez nos i raz jeszcze wylądował pod wodą. Wiedział, że tym razem musi wytrzymać dłużej. Nie słyszał, co tamten mówi, to nie miało już znaczenia.

W uszach rozległ się stłumiony dźwięk przypominający charkot. Gdy jego głowa znów powędrowała w górę, wypluł śmierdzącą breję i otworzył sklezione oczy. Coś dziwnego przykuło jego uwagę. Zaciśnął powieki, aby pozbyć się nadmiaru błota, i dojrzał zarys niewyraźnej postaci skradającej się za drzewami. Zdawało mu się, że czarna plama zbliża się i oddala na zmianę, unosi nad lustrem wody i niknie w mętnej toni.

W pierwszej chwili stwierdził, że to Siwy. Wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Znów widział go przed sobą. Szymon uśmiechał się i zapewniał go, że wszystko będzie w porządku. Miał zwidy.

Zanim zamazana sylwetka martwego kolegi powędrowała pod wodę, Adler zdołał dostrzec kobiecą postać, która skradała się ku nim.

– Puść go i odłóż broń! – krzyknęła Lazar.

Bogdan Sulima zauważył ją z opóźnieniem. Przystawił pistolet do skroni Adlera, uniósł go i objął w pól. Mężczyzna zakrztusił się, starając się nie połknąć zalegającej w ustach brei. Czuł, że zaraz zwymiotuje.

– Jego ojciec zabił mojego syna i zostawił go tu, by zgnił jak pieprzone zwierzę. Ten skurwiel wiedział o tym i krył go cały ten czas. Nie pozwolę,

by uszło im to na sucho.

Adler czuł zimną lufę pistoletu na skórze. Był umazany błotem i kleistą mazią, przemoczony od pasa w dół. Wciąż miał zawroty głowy, zrobiło mu się zimno.

– Odłóż broń. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje – zapewniła go Lazar, idąc z wycelowanym pistoletem. Zbliżała się krok po kroku, ostrożnie, aby nie prowokować go do pochopnych działań. Wiedziała, że musi zachować spokój.

Sulima zaśmiał się i nie zwolnił uścisku. Całe życie miał wszystko pod kontrolą, nie przywykł do ustępstw. Śmierć syna była jego osobistą porażką. I obsesją.

– Nie chcę tego słuchać. Odstrzelę mu łeb, tak jak obiecałem sobie lata temu. I nie zdołasz mnie powstrzymać, bo nie mam nic do stracenia – uciął i zacisnął palec na spuście. – To jedyny sposób, żeby ponieśli karę za śmierć Szymona.

– Wojciech Adler nie zabił twojego syna.

Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie zaskoczonych. Bartosz patrzył na nią i zastanawiał się, czy mówiła prawdę, czy to element gry mającej ocalić mu życie.

– Naprawdę myślisz, że jestem aż tak naiwny, żeby dać się nabrać? Czekałem na ten dzień wiele lat. Znam w tej dziurze zbyt wiele osób, by coś mi umknęło. – Sulima zacisnął zęby. Nie zamierzał słuchać, co chce powiedzieć policjantka.

– Nie zrobił tego – zapewniła go. – Z dwóch powodów. Możesz iść w zaparte i zabić niewinnego człowieka lub mnie wysłuchać i zdecydować, co robić dalej.

Adler zastanawiał się, czy niedotleniony mózg nie wystawia go na próbę, a cała sytuacja nie jest wytworem jego wyobraźni. Znow ukrył się w jej ścianach.

– Masz minutę. Jeśli złapię cię na kłamstwie, wpakuję mu kulkę prosto w łeb.

– Nie zrobił tego. W dniu, w którym zaginął twój syn, pożyczył auto koledze.

– I to ma być dowód na to, że nie maczał w tym palców? – Sulima zaśmiał się bezradnie. – Skurwiel mógł skłamać, zmyślić wszystko, by chronić siebie. Zresztą wiem, że to ścierwo... – Zacisnął zgiętą w łokciu rękę wokół szyi jego syna. – ...zgłosiło się na policję i złożyło obszernie zeznania. Twierdził, że jego ojciec zabił Szymona, wrzucił jego zwłoki na pakę, a potem przywiózł je tutaj, gdzie gniły przez te wszystkie lata. Nie pytaj, skąd o tym wiem.

Z każdym słowem wydawał się bardziej zdesperowany. Przestał nad sobą panować.

– Bartosz natknął się na ten samochód w lesie i był przekonany, że za kierownicą siedział ojciec. Wyparł tę scenę z pamięci na lata. Ale to Cymański zabił Witka Mamrota, wrzucił ciało na pakę i wywiózł je stąd, a potem zakopał zwłoki na posesji Adlerów. Technicy właśnie ją przeszukują. Obaj nie mieli nic wspólnego ze śmiercią Szymona.

– Po co miałyby to zrobić? I tak ryzykować? – Sulima był wyraźnie zaskoczony.

– Pozbycie się zwłok jest trudne, łatwo popełnić błąd, a ktoś może je przypadkiem odnaleźć. W ten sposób obaj musieli dbać o to, aby tajemnica nie wyszła na jaw. Zapewnił sobie bezpieczeństwo kosztem przyjaciela. Zwłoki Mamrota znajdowały się na posesji Adlerów – stwierdziła Lazar.

Ku własnemu zaskoczeniu poczuła mrowienie w ręce, a jej nogi stały się miękkie jak z waty. Ręka zaczęła słabnąć, z trudem trzymała broń. Przeraziło ją to, ale wiedziała, że nie może okazać słabości. Nie teraz.

– W takim razie kto zamordował mojego syna? – Słowa policjantki nie zrobiły wrażenia na Sulimie, skupiał się na swoim bólu. – Gówniarz wiedział, do czego tu doszło, i nie pisnął słowa, narażając moją żonę i mnie na niekończącą się niepewność i naiwną wiarę w to, że Szymon żyje i w końcu do nas wróci – ciągnął. – Nasze życie zamieniło się w koszmar.

Adler czuł, że kłamra wokół szyi się zaciska. Zamknął oczy i czekał na śmierć.

– Kto? Nikt. Szymon wdał się w bójkę z kolegami, którzy go upokorzyli, opuścił biwak i znalazł to miejsce. Był załamany, przestraszony i bał się wracać do domu, bo wiedział, że zacznie się pan nad nim pastwić. Z relacji

znajomych wynikało, że bał się pana i planował ucieczkę z domu – mówiła powoli Ola. – W chwili słabości odebrał sobie życie, wieszając się. Technicy ujawnili przy kościach włókna liny, szczęśliwie udało się zabezpieczyć także jej fragment, porównanie nie zostawia złudzeń. Wśród znalezionych kości jest kość gnykowa. Była złamana. Do jej uszkodzenia mogło dojść już po śmierci, to prawda, lecz taki uraz może świadczyć również o duszeniu bądź powieszeniu. Nigdy nie będziemy mieli stuprocentowej pewności, co się stało tamtej nocy, ale wszystko wskazuje na to, że Szymon popełnił samobójstwo – ucięła Lazar.

Bogdan Sulima przełknął ślinę. Pokręcił głową i zaczął wymachiwać pistoletem.

– To pierdolone kłamstwo! Mój syn nigdy by tego nie zrobił. To Adler go zabił!

– Wojciech Adler nie zrobiłby Szymonowi krzywdy. Był przestępcą, miał sporo na sumieniu, ale nie zabiłby dziecka. Nie mógł tego wiedzieć, ale... Szymon był jego synem. – Wolą, by to żona Bogdana wyznała mu prawdę, ale sprowokował ją do tego.

Poczuła niedowład w lewej części ciała, dziwny paraliż, który utrudniał poruszanie się. Straciła czucie w palcach, a pistolet w jednej chwili wysunął jej się z ręki. Nie miała sił się po niego schylić. Z trudem utrzymała równowagę.

Bogdan Sulima nawet nie drgnął. Sprawiał wrażenie, jakby zastygł w bezruchu.

– Badanie DNA wykazało, że pana żona jest matką Szymona, ale w pana przypadku nie było zgodności. Badanie powtórzono, nie mogliśmy pozwolić sobie na błąd albo niedopatrzenie. Bartosz obawiał się, że za śmiercią kolegi stoi jego ojciec. Wyparł ten wypadek, z czasem zaczął tłumaczyć sobie te wydarzenia na podstawie sugestii, relacji, informacji zasłyszanych lub znalezionych w prasie, zniekształcając tę historię. Będąc dzieckiem, wyobraził sobie nawet, że Szymon żyje. Podświadomie chronił w ten sposób ojca. Rozmawiałam o tym z biegłym psychologiem, możliwe, że racjonalizował sobie w ten sposób to, co się wydarzyło, tworząc fałszywe wspomnienia. Granica między nimi bywa naprawdę płynna.

Sulima nie odpowiedział, potrzebował czasu, aby oswoić się z prawdą. Utknął z pistoletem przy skroni Adlera, jakby nie dotarło do niego to, co przed chwilą usłyszał. Musiał przetrwać fakt, że żona zdradziła go z ojcem mężczyzny, którego chciał zabić, a Szymon, którego odnalezienie stało się sensem jego życia, był owocem zdrady.

Poświęcił wszystko, żeby go odszukać i poznać prawdę o jego zaginięciu. A potem pomścić.

Uświadomił sobie, że przyczynił się do jego śmierci. Nie pociągnął za spust. Nie zatłukł go na śmierć. Ale pozbawił go nadziei i skłonił do odebrania sobie życia.

Odsunął pistolet od skroni Adlera, podsunął lufę pod żuchwę i oddał strzał. Krew trysnęła, a bezwładne ciało mężczyzny opadło na mokradła. Echo wystrzału poderwało schowane między drzewami ptaki.

Bogdan zginął w miejscu, w którym odnaleziono szczątki Szymona. W miejscu, do którego doprowadziły go jego egoizm i wiara, że uczyni z niego lepszą wersję siebie.

Lazar ostatkiem sił podeszła do Adlera. Mężczyzna opadł na kolana i zamiast odetchnąć, zaczął łkać. Nie przeszkadzała mu, pozwoliła, by wyrzucił z siebie strach i skrywane pod skórą traumy.

– W zabetonowanym kanale w garażu rzeczywiście znajdują się kości. Ale wszystko wskazuje na to, że nie należą do człowieka – odezwała się, gdy doszedł do siebie. Nie chciała o tym mówić przy Sulimie, niepotrzebnie go rozpraszać. – Przy kościach znaleziono skórzaną obrożę.

Adler nie wstawał z kolan, które zagrzebały się w grząskim gruncie. Wydawał się zaskoczony tym, co usłyszał. Przez chwilę wpatrywał się w nią mętym wzrokiem, jakby szukał w pamięci pasujących do siebie obrazów, aż w końcu w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– W takim razie wiem, gdzie mogą być te ludzkie... Pomogłem mu je tam zagrzebać.

1996

Zmęczył się i nie miał siły biec dalej. Sprawność nigdy nie była jego mocną stroną. Łzy spływały po rozgrzanej do czerwoności twarzy, nos przestał już krwawić i pulsował boleśnie. Zabłądził i nie miał pojęcia, w której części lasu się znajduje. Gdy wzrok przyzwyczaiał się do ciemności, odwrócił się, nasłuchując, czy Smalec albo Blacha wciąż za nim idą.

Zgubił ich. Ustały nawet wyzwiska, które wciąż słyszał z tyłu głowy. „Zabiję cię, skurwysynu! Masz przejebane, już jesteś trupem. Nie pokazuj się na oczy i idź wypłakać się ojcu w rękaw, pieprzona cioto”. Szymon zdawał sobie sprawę, że po tym, co się stało, nie dadzą mu spokoju. Blacha nie daruje mu upokorzenia.

Teren, na którym się znalazł, był zalany wodą. Dopiero teraz wyczuł, że brodzi w niej po kostki, błoto zasysa buty; z trudem wyciągał je z powrotem. Ból w boku utrudniał poruszanie się. Przystawił rękę do skóry i wyczuł ciemną maź oblepiającą palce.

Ojciec tłumaczył mu, że musi zatamować krwawienie, a w pierwszej kolejności zadbać o bezpieczeństwo. Pierwszy raz jego chora obsesja mogła mu się do czegoś przydać.

Szedł wzdłuż krawędzi grzęzawiska, sprawdzając, czy podłoże, po którym idzie, jest stabilne. Dotarło do niego, że nie może uciekać w nieskończoność, że ojciec i tak go znajdzie, choćby zaszył się pod ziemią. Nienawidził go. Czuł się obco we własnym ciele.

Wiedział, że nie jest w stanie spełnić jego wygórowanych ambicji. Od dawna myślał tylko o tym, żeby zniknąć. Uciec stąd i zacząć wszystko od nowa. Odkąd zyskał szacunek Blachy, czuł, że mając wsparcie kumpli, poradzi sobie. Nie chciał być takim frajerem jak Bartek Adler, dziwił się, że

kiedyś z nim trzymał. Ale on przynajmniej miał ojca, któremu na nim zależało, i gdyby Szymon mógł, chętnie by się z nim zamienił...

Brodził w wysokich trawach i zobaczył w mroku zarys konstrukcji, która wznosiła się na horyzoncie. Przypominała nieskładny dom na drzewie, zbity z wszystkiego, co nawinęło się komuś pod rękę. Dotarł tam, wspiął się na górę po stopniach przytwierdzonych do pnia i usiadł na podeście, wpatrując się w taflę wody pod nogami.

Skrzyła się odbitymi na powierzchni refleksami. Wołała, by się w niej zanurzył.

Rozejrzał się. Znalazł jakieś narzędzia; nóż, garść gwoździ i śrub, młotek i linę. Do tego rzeczy, które wskazywały na to, że czas spędzał tu jakiś nastolatek; karty do gry, książki, plik gazet sportowych, a na dnie drewnianej skrzyni kilka świerszczyków. Spodziewał się, co go czeka, kiedy wróci do domu. Ojciec przyjdzie nad ranem i...

...przypominał sobie jeden z ostatnich wieczorów. Słyszał, że ojciec już od progu zaczął kłócić się z mamą, a w zasadzie sam krzyczał, bo ona nigdy mu się nie sprzeciwiała. Musiał sięgnąć po pas, bo Szymon wzdrygnął się, gdy mama prosiła, by jej nie bił, żeby się nad nią zlitował.

Zerwał się z łóżka i wpadł do kuchni, rzucając się na niego. Zobaczył, że ojciec był w wojskowym mundurze, choć nie służył w armii od kilku lat. Chłopak uwiesił się na jego ramieniu i usiłował wyrwać mu pas z ręki. Widział skuloną mamę w rogu kuchni; płakała i zasłaniała twarz dłońmi, wciąż powtarzając, by dał jej spokój. Ojciec długo go nie zauważał, dopiero gdy nie był w stanie wyprowadzić kolejnego ciosu, odepchnął go od siebie z taką furją, że chłopak przejechał po posadzce i wylądował w drugim końcu kuchni.

– Zostaw ją! – wrzeszczał Szymon, usiłując skupić na sobie jego uwagę, ale widział, że ojciec go ignoruje i dalej pastwi się nad Bogu ducha winną kobietą, bijąc ją coraz mocniej.

Wstał, rzucił się na niego od tyłu i pchnął mężczyznę na sąsiednią ścianę.

Płacz mamy wdzierał się do głowy każdą szczeliną. Szymon czuł, że ojciec próbuje wydostać się spod niego; robił, co mógł, by spowolnić ten proces. Poczł uderzenie w brzuch i mimowolnie się skulił. Widział, jak

tata wstaje na równe nogi i przeklina; kopnął go w plecy. Usłyszał świst pasa, który przeciął powietrze, i na skórze rozlał się ból, przypominający ten po oparzeniu. Skulił się w embrion i pozwolił mu odreagować na sobie. Nie pierwszy raz zresztą. Usłyszał, jak mężczyzna dyszy, wyładowuje frustrację i wkłada mnóstwo sił w każde uderzenie.

W końcu ojciec się zmęczył. Usiadł przy stole i zaczął ich wyzywać.

Wszystkie te słowa Szymon znał na pamięć, słyszał je tyle razy, że przestały robić na nim wrażenie. Bogdan Sulima oddychał ciężko przez nos, ale Szymon wiedział, że jest za wcześnie, by podnieść się z podłogi.

– Będziecie chodzić jak w pierdolonym zegarku. Zrobię z tobą porządek, w wojsku nie przetrwałbyś nawet nocy – sapał ojciec. Czuć było od niego woń alkoholu. Gdy był trzeźwy, ignorował słabego nastolatka lub traktował go z większą pobłażliwością. – Wstydzę się za ciebie. Marzyłem o synu, a nie tej piździe, którą muszę utrzymywać z własnej krwawicy.

Zdarzało się, że budził chłopaka kubłem lodowatej wody, kazał ścielić łóżko i biegać wokół domu w samej bieliźnie. Robić pompki, szorować buty szczoteczką do zębów, a kiedy nie udało mu się doprowadzić pokoju do porządku, wywracał wszystko do góry nogami. Szymon nienawidził tej surowej dyscypliny, chłodu, który bił z jego słów, ustalonych reguł i zakazów. Dom przypominał koszary.

Mogli odzywać się wyłącznie wtedy, gdy ojciec na to pozwolił, a odejść od stołu, gdy on odchodził. Szymon nie mógł zrozumieć, jak mama mogła z nim wytrzymać. Przyzwyczaiła się do życia w poczuciu ciągłej niepewności. Skrzywił ją. Zniszczył. Ulepił według wypaczonego wzorca, w który powinna się wpisać idealna żona i matka.

Całą noc nie spał. Szukał sobie wygodnej pozycji, piekły go rany po zadanych pasem razach, a obudził zapach jajecznicy. Mama przypudrowała podbite oko i uśmiechając się od ucha do ucha, dostarczyła im na stół pachnące śniadanie.

Jakby wymazała ostatni wieczór z pamięci albo jakby on nigdy się nie wydarzył. Szymon pamiętał ojca, który siedział przy stole z gazetą w dłoni i ze świeżo zaparzoną kawą i nic nie mówił. Czyżby to wszystko jedynie

mu się przywidziało? Gdyby widział to raz, mógłby dać się nabrać. Ale to zdarzało się za często, aby o tym zapomnieć.

Kiedyś spróbował nawet z nią rozmawiać. Zrugła go, stając w obronie męża. Zapewniał im chleb i dach nad głową, powtarzała. To, że poprzedniego wieczoru przyparł ją do ściany, zacisnął palce na jej szyi i o mały włos nie pozbawił tchu, poszło w niepamięć. Kazała chłopakowi milczeć i dziękować Bogu, że ma normalną rodzinę.

Nie starczało mu fantazji, by wyobrazić sobie, jak funkcjonują te nienormalne.

Teraz siedział na drewnianym podeście i wiedział już, że nie ucieknie. Zło dopadnie go wszędzie, nieistotne, na jak długo zniknie i jak głęboko się ukryje. Wzmógł się wiatr, zaczął mżyć deszcz. A może to tylko złość i bezradność brały go w ramiona?

Nie chciał bez przerwy uciekać, chować się za plecami znajomych, dla których i tak nic nie znaczył. Nienawidził swojego życia. Wiedział, że gdy wróci do domu, znowu rozpęta się piekło. Marzył o tym, by zniknąć. Przestać istnieć.

Sięgnął po nóż, który leżał obok, i w przypiływie rezygnacji przystawił go do żył nad dłonią. Przejechał nim po skórze, jakby chciał sprawdzić, czy jest w stanie przekroczyć tę granicę. Zadać sobie taki ból, który ukoi cierpienie. Nie zdołał. Serce biło jak szalone. Zdjął z szyi saszetkę z legitką i zaskórniakami i zostawił ją na podeście. Może ktoś ją kiedyś znajdzie i zrozumie, że nie miał wyjścia. Łzy spływały mu po twarzy.

W kącie pomieszczenia znalazł linę. Zerknął na taflę mętnej wody – jego odbicie przypominało zniekształcone przez ciemność i strach dziwadło. Może naprawdę nim był? Kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł drzewo, którego korona rozciągała się nad grzędzawiskiem. Wiatr podrzucał gałęziami, szarpał nimi jak w upiornej choreografii. Zrozumiał, że nic się nie zmieni. Nie był aż takim nieudacznikiem, żeby spieprzyć nawet to.

Epilog

Lazar została na mokradłach, aby dopełnić formalności związanych z samobójstwem Bogdana Sulimy. Na szczęście zapisała namiar GPS w telefonie, kiedy ujawniono szczątki Szymona, dzięki czemu zdołała skierować ekipę na miejsce.

Gdy Adler ochłonął, odwiozła go pod dom ojca i przyglądała się, jak prowadzi techników za pozostałości po szopie na narzędzia i wskazuje im miejsce pod lasem, w którym Cymański miał zakopać truchło psa. Zwiódł ich, uspił ich czujność, ubezpieczając się na wypadek, gdyby ojciec Bartosza chciał go wydać i zaprowadził śledczych do garażu.

Tak naprawdę Cymański pogrzebał tu zwłoki Mamrota. Spoczywały w zarośniętym chaszczami dole.

Kiedy policja zapukała do jego mieszkania, sprawiał wrażenie pogodzonego z losem. Nie uciekał, niczego się nie wyparł. Potulnie wsiadł do radiowozu, jakby czekał na tę chwilę.

Ola zdawała sobie sprawę, że gdyby spóźniła się choćby o kwadrans, Adler mógłby już nie żyć. Odwiedziła go w szpitalu, nie musieli nic mówić, wystarczyła im obecność. Dramatyczna historia sprzed lat odcisnęła piętno na ich dorastaniu i zbliżyła ich do siebie. Odsuwane przez lata traumy znów zapiekły jak dawniej.

Wsiadła do samochodu i odjechała z parkingu pod szpitalem. Będąc tu, zrozumiała, że musi wykonać serię badań, incydent z bronią nie mógł się powtórzyć. Czuła się lepiej, ale możliwe, że to adrenalina stłumiła objawy. Wmówiła sobie, że nie zrobi tego dla siebie, ale dla córki. Jej problemy schodziły na drugi plan. Najpierw musiała ją odzyskać.

Zauważyła, że wyświetlacz leżącej na fotelu pasażera komórki się rozświecił, i poznała numer, z którego ktoś dzwonił. Pięć razy. Pochłonięta pracą, nie zwróciła na to uwagi. Od razu przełączyła się na zestaw głośnomówiący i oddzwoniła pod ostatni numer.

– Aleksandra Lazar, ktoś do mnie dzwonił z państwa numeru – zaczęła.

– Tak, usiłujemy się z panią skontaktować od dłuższego czasu – usłyszała ożywiony głos po drugiej stronie i uzmysłowiła sobie, że to nie jest dobra wróżba.

– Z jakiego powodu? – Odsuwała od siebie złe myśli, które uparcie wdzierały się do głowy. Wiedziała, że nie warto się niepotrzebnie denerwować.

– Chodzi o pani dziadka. – Głos kobiety zabrzmiał niepewnie. – Zniknął. Naprawdę nie wiem, co pani powiedzieć, dokładamy starań, by zapewnić bezpieczeństwo naszym podopiecznym, ale...

– Co to znaczy: zniknął? – weszła jej w słowo Lazar. Wystraszyła się.

Włączyła awaryjne i zjechała na pobocze. Zdała sobie sprawę, że w tym stanie nie skupi się na prowadzeniu auta.

– Był na obiedzie, ale nie wrócił do siebie do pokoju. Szukaliśmy go na terenie ośrodka, bez powodzenia. Nie wiem, w jaki sposób udało mu się wydostać, od razu zgłosiliśmy sprawę na policję. Zapewnili, że potraktują zgłoszenie poważnie i będą go szukać. – Z każdym słowem brzmiała na coraz bardziej bezradną.

– Zajmę się tym. Proszę do mnie natychmiast zadzwonić, gdyby się odnalazł.

– Oczywiście. Od początku próbowaliśmy się do pani dodzwonić – tłumaczyła kobieta.

Lazar miała wyrzuty sumienia. W lesie był fatalny zasięg i nie miała głowy do tego, by oddzwonić. Teraz rozłączyła się, oparła głowę na zagłówek i usiłowała się domyślić, dokąd dziadek mógłby się udać. Jedno miejsce przychodziło jej do głowy.

Skup się, powtarzała w myślach, dodając sobie otuchy i starając się myśleć racjonalnie. Zadzwoniła na komendę i przekazała dyżurnemu wytyczne związane z akcją poszukiwawczą. Opis dziadka, cechy

charakterystyczne i znaki szczególne, które mogły ułatwić jego odnalezienie. Bała się, że ludzie z ośrodka coś przeoczyli. Włączyła silnik, nawróciła na zwirowym poboczu i odjechała. Nie było czasu do stracenia.

Na miejsce dotarła po dwudziestu minutach. Zostawiła samochód wzdłuż drogi i pobiegła w stronę pogorzelniska, które pochłonęło jej rodziców. Z tej odległości nie zdołała dostrzec, czy dziadek tam jest; przed jej oczami rozciągała się zarośnięta łąka, wokół zrobiło się już szaro. Ola biegła, starała się nie zwracać uwagi na powracające osłabienie. Zmierzała uparcie do celu po pajęczynie utkanej ze wspomnień.

W połowie drogi zauważyła zgarbioną sylwetkę mężczyzny, który przycupnął na pozostałościach fundamentów. Nawet nie spoglądał w jej kierunku, jakby jej nie zauważał i chciał być sam na sam z własnymi obawami, lękami i bólem.

Z tej perspektywy wydawał się kruchy i słabszy niż zwykle. Tragedia sprzed lat sprawiła, że nie odzyskał pewności siebie i optymizmu, wciąż rozpamiętywał niezagojone krzywdy, szukał zadośćuczynienia. Pod tym względem przypominał jej Bogdana Sulimę.

Ola podeszła do niego ostrożnie, położyła dłoń na wątłym ramieniu i przytuliła go, czując, jak słabo bije jego rachityczne, gasnące z każdym dniem serce.

– Wracajmy do domu, dziadku. – Wiedziała, że nie warto przelewać na niego strachu, który towarzyszył jej całą drogę w to miejsce. To nic nie da. Obiecała sobie, że porozmawiają, gdy zdoła go przekonać, aby z nią pojechał.

– Nigdzie się stąd nie ruszam – burknął, zaciskając pięści i kurcząc się w sobie. – Miałem rację. Wiedziałem, że nie zginęli w tym pożarze. Ale nikt nie chciał mnie słuchać, nikt... – powtarzał jak mantrę.

Lazar słyszała to tyle razy, że przestała traktować jego słowa poważnie.

– Obiecałeś, że będziesz informował mnie o swoich decyzjach. Martwiłam się o ciebie. Zostaniesz dziś u mnie, a jutro rano odwiozę cię do ośrodka, dobrze?

Zrzucił jej dłoń z ramienia i spojrzał na nią wzrokiem pełnym złości i bezsilności. Podniósł się z trudem, zgięty wpół, jakby jakiś ciężar

ograniczał mu ruchy, i ze łzami w oczach wyciągnął do wnuczki prawą dłoń. Była pomarszczona i sina.

– Co się stało? Dlaczego opuściłeś ośrodek i jak tu trafiłeś tak późno? – dopytywała.

– Weź to.

Spojrzała na jego naznaczoną żyłami dłoń. Ścisnął w niej dwie złote obrączki.

– Skąd je masz? – Zdawała sobie sprawę, do kogo mogły należeć, i poczuła, że uginają się pod nią nogi. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej.

– Mówiłem ci, że zginęły. Wiedziałem, że ktoś je wziął... – powtarzał do znudzenia. Cały drżał, jakby dotarcie w to miejsce i konfrontacja z przeszłością kosztowały go mnóstwo sił i musiał to odchorować.

Lazar wtuliła się w jego wątle ramiona i poczuła, że po jej policzkach płyną łzy. Przestała już z nimi walczyć.

Spis treści

[2019](#)

[Wcześniej 2019](#)

[2019](#)

[1996](#)

[1996](#)

[2019](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[2019](#)

[1996](#)

[1993](#)
[2019](#)
[2019](#)
[2019](#)
[1996](#)
[2019](#)
[2019](#)
[2019](#)
[1996](#)
[2019](#)
[2019](#)
[1986](#)
[2019](#)
[2019](#)
[1996](#)
[2019](#)
[2019](#)
[1996](#)
[2019](#)
[2019](#)
[2019](#)
[1996](#)
[Epilog](#)